

Anna Karpińska

Zasłużyć na szczęście

Prószyński i S-ka

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

LILLO13

Anna Karpińska

Zasłużyć

na szczęście

Prószyński i S-ka

Copyright © Anna Karpińska-Plaskacz, 2023

Projekt okładki
Wioletta Markiewicz

Zdjęcia na okładce
© molchanovdmitry/[iStock](#)
© elenaleonova/[iStock](#)

Redaktor prowadzący
Michał Nalewski

Redakcja
Ewa Charitonow

Korekta
Katarzyna Kusojeć
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8352-619-5

Warszawa 2023

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

*Książkę dedykuję moim
Czytelniczkom i Czytelnikom.
Dziękuję, że jesteście ze mną
i dzielnie sekundujecie bohaterom powieści.*

Prolog

Wigilia 2023 roku

Roma Jońska już od dłuższego czasu nie mogła usiedzieć w miejscu. Gdyby nie była gospodynią wigilijnego przyjęcia, zapewne wzięłaby za fraki Włodka, Ewę, Tadzika i pożegnała towarzystwo. Uciekłyby stąd jak najdalej, do świata, gdzie nic złego nie mogłoby jej spotkać.

Nie, nie z powodu atmosfery. Wieczór otwierający najpiękniejsze święta w roku jak zwykle zachwycał, a ludzi zebranych przy wspólnym stole mogła przytulić do serca. Wszystkich razem i każdego z osobna.

Roma była szczęśliwa. Tata przyszedł z Celiną, przybył stryj Stefan oraz Marcelina z Olgierdem i Witkiem. Przyjechał nawet Andrzej z żoną, chociaż lekarz wyznaczył Josephine termin porodu na początek lutego. Oprócz domu w Breście mieli również mieszkanie w okazałej toruńskiej kamienicy, gdzie zamierzali spędzić sylwestra, więc chętnie przyjęli zaproszenie na Wigilię u Jońskich.

Zabrakło jedynie mieszkających w Hiszpanii rodziców Włodka, ale ci zdecydowali się pozostać w domu, by wesprzeć Angelę, jego bratanicę, która właśnie miała rodzić.

W przedpokoju czekały już spakowane walizki, a w portfelu bilety lotnicze do jednego z włoskich narciarskich kurortów. Rodzina miała wyjechać – o ile pozwoli zdrowie Romy.

Państwo Jońscy, właściciele poważnego i dobrze prosperującego biura nieruchomości, na co dzień zapracowani, każdego roku pozwalali sobie na kilka dni białego szaleństwa, nie bacząc na koszty. Byli wyjątkowo zgodni w kwestii, że pieniądze dają szczęście tylko wówczas, kiedy ma się czas z nich skorzystać, a od kiedy mieli Ewę i Tadzika, żyli pełnią życia. I byli gotowi przychylić nieba dzieciakom. Zwłaszcza że szesnastoletnia już „młoda” i jej siedmioletni brat popierali rodzicielski punkt widzenia.

Niestety, wyjazd w poprzednie święta musieli przełożyć do szkolnych ferii, ale i tak nie doszedł do skutku. Plany przekreśliła złamana ręka Ewy, a potem hiobowa wieść o chorobie Romy.

– Kochanie, może w tym roku zaprosimy twojego tatę z Celiną? I stryja Stefana? – Włodek przed świętami wspomniał o żonie ojca Romy i jego bracie bliźniaku. – Może i moi rodzice dojechaliby z Hiszpanii?

– Rozumiem... – Roma spojrzała na męża i wybiegła z pokoju.

– Jeśli nie chcesz, możemy je spędzić sami. – Pobiegł za nią Włodek i utulił, mimo oporów.

– Ależ skąd! Masz zupełną rację – odparła, kiedy udało się jej opanować emocje. – Oczywiście, że zaprosimy naszych bliskich. Oboje wiemy dlaczego.

– Nawet tak nie myśl! – zachnął się. – Ja nie z powodu twojej choroby. Po prostu dawno nie spędzaliśmy świąt z rodziną. – Włodek płatał się w zeznaniach.

Roma spojrzała na niego z politowaniem.

Oczywiście, że właśnie dlatego chce ich tutaj ściągnąć. Pewnie myśli, że to nasze ostatnie święta, przemknęła jej przez głowę refleksja, którą zachowała dla siebie.

– W takim razie zaprosiłabym również Marcelinę z Witkiem i Olgierdem oraz Andrzeja z Josephine – zakomunikowała.

Na twarzy Włodka pojawił się lekki grymas.

Wiedziała, co on oznacza. Ich rodziny pozostawały w dobrych relacjach, ale poszerzenie grona gości świadczyło, że Roma się poddała, a tego jej mąż nie akceptował.

– Mam ich nie zapraszać? – zapytała, w głębi duszy licząc, że przytaknie.

– Zaproś, kochanie. Może w przyszłym roku spędzimy Wigilię u Osińskich, a kolejną w Breście u Konieckich? – Włodek próbował nadrabiać miną.

– Może – odparła bez przekonania. – W takim razie zgarniamy wszystkich – podsumowała, wysiliwszy się na uśmiech.

Przygotowania do świąt pochłonięły cały wolny czas, którego Roma i tak nie miała zbyt wiele. Zbliżający się koniec roku w firmie zapowiadał spiętrzenie obowiązków. Włodek całymi dniami przesiadywał w pracy, ona również nie próżnowała. Na ile tylko pozwalały jej zdrowie i kondycja.

– Nie powinnaś trochę odpuścić? – martwiła się o przyjaciółkę Iza.

Jednak Roma chciała żyć normalnie i nie pamiętać o zagrożeniu.

– Ostatnio dużo lepiej się czuję. A świąteczne dania przygotuje pani Zdzisia. – Zlekceważyła wątpliwości przyjaciółki. – My z Włodkiem tylko przystroimy choinkę. A prezenty dla Ewy i Tadzika już mam.

Iza nie wydawała się przekonana.

– Naprawdę lepiej się czujesz? – dopytywała.

– Oczywiście. Przecież mówię.

Praca z ludźmi nauczyła Romę ostrożności. Oczywiście, najlepszej przyjaciółce należała się szczerść, ale czasami ciężar prawdy był zbyt duży, by go unieść.

– Gdybyś czegoś potrzebowała... – usłyszała.

– Ty również możesz na mnie liczyć. – Przytuliła Izę.

Nie okłamywała Izy. Ostatnio naprawdę lepiej się czuła, jednak mogła to być cisza przed burzą. Czekwała na list z kliniki, w której ostatnio robiła badania. Miał przyjść przed Wigilią.

I nadszedł, kiedy towarzyszyła pani Zdzisi w kuchni.

Odebrała go ukradkiem od listonosza i zaniósła do sypialni. Nawet jeśli w pierwszym odruchu miała ochotę przeciąć kopertę i wyciągnąć z niej kartkę z wynikiem, powstrzymała zapał.

Sprawdzę po kolacji, pomyślała. Spokojna Wigilia jest ważniejsza.

Wprawdzie ciężar niewiedzy i niepewności przytłaczał, ale lęk przed wyrokiem zwyciężył. Roma zdecydowanym gestem wsunęła kopertę do szufladki nocnej szafki i wróciła do kuchni przygotowywać święta, czego efekty podziwiali teraz wszyscy goście.

Ze stołu zniknął smażony karp, pierogi z grzybami leżały zdziesiątkowane na półmisku. Zgromadzeni pochłaniali łazanki z kapustą.

Roma nie mogła niczego przełknąć, ale aby nie wzbudzać podejrzeń, próbowała kolejnych potraw. Jej myśli krążyły wokół zamiaru bezszelestnego wymknięcia się do sypialni.

Nie uszło jej uwagi, że Włodek zerka na nią raz po raz. Chwytała również spojrzenia pozostałych biesiadników, starając się markować dobry humor. W końcu jednak zdecydowała się wstać od stołu. Nie oglądając się za siebie, pobiegła do sypialni.

List leżał nietknięty.

Drżącymi palcami Roma oddarła jeden z rogów i wyszarpnęła uszkodzoną zawartość. Po odczytaniu wyniku na chwilę przysiadła na

skraju łóżka, po czym wstała, rozprostowała dłońmi fałdy czerwonej świątecznej sukienki. Odetchnęła głęboko i pomaszerowała do salonu.

Oni też powinni znać prawdę, pomyślała, kiedy stanęła przy stole i dostrzegła skierowane na nią oczy wszystkich obecnych.

– Muszę wam o czymś powiedzieć – wyszeptała.

W pokoju zapadła cisza.

Rozdział 1

Marcelina

Wigilia 2022 roku

Gdzie mam postawić choinkę? – dobiegł do mnie głos Olgierda.

Już miałam zawołać, żeby powędrował z nią do salonu, ale coś mnie tknęło. Poszłam sprawdzić, jak wygląda drzewko.

W przedpokoju natknęłam się na sięgający sufitu świerk. Pachnące gałązki skrzyły się od śniegu. I całkowicie zasłaniały mi widok na postawnego, wysokiego mężczyznę, jakim był Olgierd.

Machając brudnymi od mąki rękami, gestem wskazałam mu drzwi.

– Skąd wzięłeś taką kolubrynę?! – zawołałam przerażona. – Wyjdź, proszę, na dwór i chociaż ją otrzep! – Zastawiłam drogę do pokoju jak Rejtan.

Mój mężczyzna nie pojmował, dlaczego nie okazałam podziwu dla jego starań.

– Przecież chciałeś dużą choinkę... – Zrobił minę zasmuconego spaniela. – To pojechałem do szkółki i wzięłem najbardziej okazałą.

– Olek, nie chodziło mi o trzymetrowe drzewko! Wprawdzie mamy wysokie wnętrza, ale żeby ją ubrać, będziesz musiał pójść do stajni po drabinę!

Dom po babci, w którym od czterech lat mieszkałam, należał do tych bardziej okazałych we wsi. Solidny piętrowy budynek ze strychem i przepastną piwnicą wtapiał się jednak w gąszcz starych dorodnych drzew, pamiętających czasy moich pradziadków.

Świerki, lipy i dęby potężniały z każdym rokiem, w przeciwieństwie do drzewek owocowych, mających – jak ludzie – niezbyt długi cykl życia. Nawet przy najlepszej opiece po latach owocowania kurczyły się, marniały

i zmierzały ku śmierci. Prawdę powiedziawszy, ani babci Anastazji, od urodzenia mieszkającej w Maciejówce (nazwanej imieniem pradziadka), ani mnie nie zajmował specjalnie sad i jego kondycja. Dlatego drzewka rozpościerały szeroko ramiona nad sporym ogrodem opasanym kutym płotem.

Przez lata na posesję prowadziła skrzypiąca furтка, również dzieło miejscowego kowala. Jednak kiedy poznałam Olgierda, nagle zaczęła się zamykać i otwierać bezgłośnie.

– Wiesz, chyba się wyrobiła – napomknęłam kiedyś przy kolacji. Mój chłopak wznosił ręce do nieba, gestem wskazując na cud. – To twoja sprawka, prawda? – Prawda dotarła szybko. – Nasmarowałeś zawiasy? – Uśmiechnęłam się przymilnie, dumna, że załapałam.

Przy Olgierdzie moje życie stało się lepsze. I to nie tylko z powodu jego licznych umiejętności złotej rączki.

Pojawił się w naszej wsi na początku roku, wezwany przez moją szefową do naprawy kilku komputerów. Mieliśmy bardzo przestarzały sprzęt, a pieniądze znikąd nie chciały napływać.

Gdy któregoś dnia odprowadzałam Witka na zajęcia, zatrzymała mnie Agnieszka.

– Marcelinko, muszę wyjechać pilnie do miasta – oznajmiła. – Możesz przyjść do ośrodka około drugiej i posiedzieć kilka godzin? Znajoma przysłała do nas informatyka, który sprawdzi nam sprzęt za niewielką kasę.

Miałam wprowadzić rozgrzebaną redakcję książki, a na karku nieodległy termin jej oddania, ale czego się nie robi dla dobra synka. Witek bardzo dobrze czuł się w tym środowisku, a kontakty z dziećmi były mu potrzebne. Zresztą Agnieszka, robiąca dla gromadki dzieciaków z ośrodka dużo dobrego, zasługiwała na pomoc. Nawet gdyby miało to oznaczać poświęcenie.

– Oczywiście, że przyjdę.

Tym sposobem poznałam Olgierda. A teraz, po kilku miesiącach, mieliśmy we trójkę, z Witkiem, spędzić święta.

Mimo zauroczenia, niemal od pierwszej chwili, trzymałam serce na wodzy. Podpowiadały mi to wcześniejsze doświadczenia z mężczyznami i moja życiowa sytuacja. Miałam trzydzieści trzy lata i ośmioletniego syna, o którego musiałam dbać szczególnie. Witek urodził się z zespołem Downa i miał tylko mnie.

Do tej pory nie zdecydowałam się na zaproponowanie Olgierdowi wspólnego zamieszkania, mimo że dom po babci swobodnie pomieściłby dodatkową osobę. Olek, który pracował głównie online, wynajął zatem pokoik u sąsiadki Kordylowej. Żeby być bliżej. Jednak mimo jego bardzo dobrych stosunków z Witkiem, powiedziałabym, że nawet widocznego *flow*, postanowiłam dać nam czas na lepsze poznanie. Żeby nie było jak z Hubertem, który na dłuższą metę nie udźwignął downa u boku swojej dziewczyny.

Moja przyjaciółka Agnieszka, pani od wufu, niejednokrotnie krytykowała wstrzemięźliwość wobec daru losu, jakim według niej był dla mnie Olgierd.

– W końcu sobie pójdzie – prorokowała. – Który chłop zdzierzyłby taką marudną babę jak ty? – Groziła mi palcem. – Jeżeli ty nie chcesz przystojnego informatyka, to ja się nim zajmę! – straszyla.

– Ciekawe, co na to Poldek? – wspomniałam jej męża.

– Od razu tam! Leopold nie ma nic do powiedzenia. Zaadoptuję Olka. Dzieciaki zyskają kumpla do gier komputerowych.

Łatwo jej było żartować. Miała udaną rodzinę stworzoną z facetem od pierwszego strzału Amora. I dwójkę udanych potomków...

Karciłam się w myślach, gdy tylko nachodziła mnie refleksja o niepełnosprawności Witusia. Kochałam go całym sercem i nie zamieniłabym na nikogo innego, niestety czasami okrutny umysł podsuwał obrazy życia z dzieckiem bez skazy. Zdrowym, rozwiniętym jak rówieśnicy, z perspektywami, na których tak zależy kochającym rodzicom. I niezależnym w przyszłości, kiedy mnie zabraknie.

Byłam młoda, ale czasami wydawało mi się, że noszę na grzbiecie ciężar, który mnie przygniata i postarza o kilkadziesiąt lat. Czy trzydziestotrzylatka powinna myśleć, że kiedyś jej zabraknie? I co się wówczas stanie z jej dzieckiem?

Witek był jeszcze w ośrodku, a Olek miał go odebrać za niecałą godzinę. Ja do tej pory powinnam skończyć lepienie pierogów z grzybami.

Na poważnie podjęłam się tego okrutnie skomplikowanego zadania po raz pierwszy w życiu. Poprzednie dyskretne próby kończyły się fiaskiem. Przegrywałam na polu walki z rozlazłym kleistym ciastem, które ratowałam kolejnymi porcjami mąki. Po ugotowaniu wyjmowałam z garnka twarde kluski bez zawartości, która wypływała ze źle sklejonych pierogów. Jednak

tym razem się zawzięłam i uzbrojona w doświadczenie wiejskich sąsiadek, podeszłam do zadania z napiętymi mięśniami, otwartą głową i silną motywacją, żeby zasłużyć na pochwały moich panów.

– To nie chcesz tej choinki? – przerwał mi potok myśli głos Olka.

– Chcę, chcę – ustąpiłam. – Tylko daj mi już święty spokój, bo gadam tu z tobą, a tymczasem ciasto pewnie zdążyło już stwardnieć i wyschnąć.

Chyba czuwała nade mną babcia, bo po raz pierwszy w życiu pierogi wyszły mi tak dobre, że z degustacją nie czekaliśmy Wigilii.

Po południu Witek z Olgierdem ubrali choinkę, a ja nastawiłam bigos. Kolejna duża sprawa i wyzwanie, ale z nim poszło mi znacznie lepiej.

Wieczorem miałam przygotowane dwie pracochłonne wigilijne potrawy, a kiedy jeszcze Agnieszka podeszła przez Poldka piernik i keks, odetchnęłam z ulgą. Świąteczna spizarnia powoli się zapełniała, a ja czułam się jak własna babcia, która podejmowała rodzinę tyłoma smakołykami, że trudno było je zliczyć. A było kogo karmić. Wprawdzie nasza najbliższa rodzina liczyła jedynie pięć osób: babcię z dziadkiem, mamę, tatę i mnie, ale często przyjeżdżała siostra babci z mężem, ich dzieci, czyli ciotka Janka i wujek Dariusz, ze swoimi dziećmi (a moim kuzynostwem) Czarkiem i Gosią oraz siostra dziadka Jadwiga. Każdy chętnie sięgał po zupę z suszu, kaszę gryczaną z sosem grzybowym, smażonego karpia, łazanki z kapustą i grzybami oraz makiełki, o innych rybach i kulebiaku nie wspominając. A na deser obowiązkowo makowiec, ciasto orzechowe, sernik, keks, piernik i pierniczki.

I jak ja miałam w dorosłym życiu udźwignąć tak wyrefinowaną i pracochłonną tradycję?

Nie podejmowałam wyzwania przez wiele lat. Zwłaszcza że nie mogłam liczyć na towarzystwo przy stole, a naszą dwójkę zadowalało skromniejsze menu.

Dopiero teraz, kiedy poznałam Olgierda, poczułam potrzebę zorganizowania prawdziwych świąt. Takich, jakie pamiętałam z rodzinnego domu.

Umówiliśmy się, że na świąteczny czas się do nas wprowadzi. Ale ponieważ nie chciałam, żeby Wituś nadział się na nas w sypialni, umieściłam Olka na piętrze, w pokoju na końcu korytarza. Mój synuś, mimo że już dziewięcioletni, często przychodził rano do mojego łóżka.

– Nie ma sprawy. – Mój mężczyzna był cierpliwy i rozumiał potrzeby młodego.

Tym bardziej chciałam go ugościć, nie żałując sił i serca.

W dniu Wigilii wstałam wcześniej z zamiarem przygotowania śledzi w śmietanie, kremu do tortu orzechowego, pokrojenia warzyw na sałatkę z majonezem i wykonania kilku ostatnich dań, które powinny być przygotowane na świeżo.

W domu panowała cisza. Chłopcy jeszcze smacznie spali. Synonim, mój pies, podniósł łeb, kiedy przeszłam obok jego pośłania. Zrozumiałam przekaz i wypuściłam kundla na dwór. On też miał swoje potrzeby.

Po chwili kuchnię opanował aromat kawy. Wyjęłam ulubioną filiżankę, prostą, białą, lekko zwężającą się do dołu. Często zastanawiało mnie, czy to upodobanie do jednego naczynia nie jest przejawem natręctwa. A może staropanieńskiej rutyny?

Trochę mnie to niepokoiło.

– Przed tobą całe życie, Marcelino – tłumaczyła mi Agnieszka, kiedy zwierzałam się jej z wątpliwości. – Każdy lubi swoją filiżankę, podomkę, ma ulubiony krem czy coś tam innego. Zobaczysz, wszystko się zmieni, kiedy poznasz tego jedyne. Świat stanie na głowie, a ty dasz się mu porwać.

Rzecz w tym, że spotkałam Olgierda i chyba się zakochałam, ale przewidywania przyjaciółki się nie spełniły. Świat nie stanął na głowie, a ja wciąż trzymałam przyszłość na dystans.

Zbyt dużo nieszczęść przeżyłam i podświadomie próbowałam zapobiec kolejnym.

W pachnącej kawą kuchni wkładałam do salaterki wymoczone i pokrojone śledzie, siekałam cebulę.

Zjemy na obiad z ziemniaczkami z wody. Bardzo je lubi, pomyślałam o Olku i natychmiast skarciłam się w myśli, że nie o synu. A Witusiowi damy trochę łazanek z kapustą i grzybami, znalazłam rozwiązanie, zanim poczułam uścisk Olgierda.

Podszedł po cichu i objął mnie w pasie. Lekko pocałował w szyję.

– Zobacz, ile śniegu spadło w nocy. – Spojrzał przez okno, nie wypuszczając mnie z ramion.

– Pięknie. Nieczęsty widok w Wigilię ostatnio. I bardzo się cieszę, że mam blat naprzeciwko okna – odparłam z uśmiechem. – Patrząc na ten

bajkowy zimowy świat i od razu lepiej mi się kroi, smaży, miesza w garach.

– Powiedz, jak mogę ci pomóc, kochanie? Mieszkanie już odkurzyłem, łazienka posprzątana. Nawet Synonima wykapałem. Aha, i wyczyściłem Rogera.

Na dobre przejął opiekę nad moim koniem.

Kupiłam go za grosze od sąsiada kilka miesięcy wcześniej, kiedy padła nasza ulubiona klacz Elektra. Witek i inne dzieci nadal mogły uczestniczyć w hipoterapii.

Mój syn bardzo się zaprzyjaźnił z dużym zwierzakiem i razem z Olkiem spędzali przy Rogerze długie godziny.

– Wypijmy razem kawę – zaproponowałam.

Przez kilka kolejnych minut gapiliśmy się przez okno na śnieżne poduszki opatulające pędy wiciokrzewu.

Godziny przybliżające nas do pierwszej gwiazdki zaostriły apetyt na święta. Witek przez cały czas sprawdzał, czy Mikołaj aby nie podrzucił już prezentów pod choinkę. Olgierd puszczał kolędy i przygotowywał stół. Ja wykańczałam dania i dzwoniłam do znajomych z życzeniami.

Kiedy usiedliśmy przy świecach i rozgrzanym kominku, ulegliśmy wigilijnej atmosferze.

Odsunęłam od siebie wspomnienia, skoncentrowałam się na tym, co tu i teraz. Miałam przy sobie syna, Olgierda i niczego nie chciałam zmieniać. Ale jedna sprawa z przeszłości nie dawała mi spokoju.

Niestety, nie do załatwienia.

Rozdział 2

Roma

Wigilia 2022 roku

Cieszyłam się na święta Bożego Narodzenia, jak zawsze.

W naszej agencji nieruchomości zamykaliśmy rok, a to oznaczało nawał roboty. Ruch na rynku prywatnym nieco osłabł, za to firmy, jak na złość, wyraźnie się uaktywniły. Przesiadaliśmy z Włodkiem w firmie do późnego wieczoru, ale w perspektywie mieliśmy nagrodę: Wigilia przy wspólnym stole, a pierwszego dnia świąt wylot na narty w Dolomity.

Włodek przyniósł walizki z piwnicy, ja w wolnej chwili przygotowałam narciarskie kombinezony i inne niezbędne akcesoria. Ewa nie mogła się doczekać wyjazdu. Może dzięki temu wyjątkowo dobrze znosiła przedświąteczną krzątaninę? Nawet pomagała pani Zdzisi w porządkach i zakupach.

Nasza pomoc domowa opiekowała się Ewą od samego początku, potem także Tadzikiem. Czasami nawet bywałam zazdrosna o tę szczególną więź łączącą moje dzieci z panią Zdzisią. Na szczęście gospoia nie próbowała zająć mojego miejsca i nie wychodziła poza rolę opiekunki. Wprawdzie bardzo czułej i oddanej, ale jednak spoza rodziny.

Znalazłam ją, kiedy Ewa przyszła na świat i czułam, że nie poradzę sobie sama. Mama zmarła młodo, teściowie mieszkali za granicą. Nie chciałam, żeby mała pałętała się po żłobkach, tym bardziej że stać nas było na zapewnienie jej właściwej opieki.

– Chcesz od razu wrócić do pracy? – Iza próbowała odwieść mnie od tego pomysłu.

– Oczywiście, że nie. Ale tak czy siak, pomoc przy Ewuni się przyda. Włodek sam nie pociągnie firmy, mamy dużych klientów w całej Polsce.

Kiedy wyjeżdża, ja muszę zostać na posterunku. Posiedzę z małą przez kilka miesięcy, a potem wracam do firmy. Słyszałaś może o kimś godnym zaufania? – zapytałam z nadzieją.

Przyjaciółka zamyśliła się, potarła podbródek i pokiwała głową.

– Może? Musiałabym spytać ciotkę z Poniewieża – wspomniała wieś położoną opodal naszego miasta. – Mówiła coś o swojej kuzynce, której spalił się dom, i kobieta nie bardzo wie, co ze sobą zrobić. Może ona by się nadała?

Tak trafiłam na panią Zdzisławę. W ekspresowym tempie przyjechałam pod swój dach pięćdziesięcioletnią samotną kobietę ze wsi, która zajęła pokój na piętrze naszej dużej willi.

Mój mąż wykazywał sceptycyzm dla pomysłu zakwaterowania pomocy w domu.

– Jak ty sobie to wyobrażasz? Mam mijać się w łazience z obcą kobietą? Chcę czuć się swobodnie pod własnym dachem, a nie zaczynać dzień od dzień dobry. Poza tym wiesz, że lubię chodzić w slipach, nalać sobie kieliszek whisky. Co będę ci tłumaczył. Wykluczone!

Mimo to czułam, że Włodek nie ma racji. Potrzebowaliśmy pomocy.

Zebrałam siły, by go przekonać.

– Ta kobieta nie ma niczego. Jej dom spłonął, a ona została z dwiema walizkami. Będzie się starać. Dajmy jej szansę.

Intuicja mnie nie zawiodła. Pani Zdzisia wychodziła z siebie, by sprostać zadaniom. Mój mąż przestał narzekać na obecność obcej osoby w domu. Po kilku miesiącach wróciłam do pracy na kilka godzin dziennie, bo po powrocie miałam dopilnowane dziecko i ciepły obiad.

Pewnego dnia Włodek zaskoczył mnie propozycją.

– Przejrzyj ofertę. – Położył na stole plik dokumentów.

Byłam pewna, że rzecz dotyczy spraw zawodowych, które kilka godzin wcześniej zostawiłam w firmie. W domu nie miałam ochoty zajmować się pracą.

– Mogę jutro w agencji?

– Zerknij. To dobra propozycja.

Z ociąganiem sięgnęłam po kartki i zaczęłam je studiować. Dotyczyły sprzedaży niewielkiego mieszkania położonego w pobliżu naszego domu.

Usłyszałam głos męża.

– Małe, dosyć tanie, wymaga niezbyt kosztownego remontu. Co ty na to?

Nie rozumiałam jego intencji.

– Jest w porządku – odparłam, zapoznawszy się z lokalizacją, rozkładem pomieszczeń i ceną. – Nie będzie kłopotu ze znalezieniem kupca.

Włodek uśmiechnął się pod nosem.

– Zdecydowanie. Nawet już go znalazłem.

Zaczynał mnie irytować.

– Możemy o tym porozmawiać w pracy? Muszę zajrzeć do Ewki. Śpi od dwóch godzin.

– Roma, jeszcze nie rozumiesz? Uważam, że powinniśmy kupić to mieszkanie dla pani Zdzisławy. Zamieszka blisko nas, ale nie z nami. Mimo wszystko ciąży mi jej obecność przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kochanie. – Przysiadł obok mnie na kanapie i chwycił moją dłoń. – Wiem, jak jest nam potrzebna, ale przecież nie zrobimy jej krzywdy tym lokum.

Miał rację. Pomysł był świetny, więc się zgodziłam. Jeszcze trochę czasu zajęła dyskusja nad formą własności. Włodek chciał, żeby mieszkanie należało do nas, ja miałam wątpliwości.

– A gdyby tak je jej podarować? – spróbowałam.

Pani Zdzisława była nam bardzo oddana i nie miała własnej rodziny. Chciałam ją przy nas zatrzymać.

– Dziewczyno, kiedy tylko się wyprowadzi na swoje, odejdzie! Ludzie znają swoje miejsce, kiedy pozostają w stosunku zależności. Szybko zapomni, kto zafundował jej drogi prezent, i wybierze wolność. Nie bądź naiwna.

Przekonał mnie.

Panią Zdziszę ucieszył zarówno własny kąt, jak i możliwość jego urządzania. Musieliśmy nieco wyskoczyć z kasy, ale się opłaciło. Z jeszcze większą gorliwością piekła co tydzień wspaniałe placki i robiła obiady. Żeby nie wspomnieć o pełnej poświęcenia opiece nad Ewą.

Również w tym roku w kuchni czułam zapach piernika. Tyle że w piekarniku rosły dwa ciasta. Jedno dla Zdzisi i jej Mateusza.

– Ewka nie wróciła jeszcze ze szkoły? – Po przyjściu z pracy, prowadzona węchem, skierowałam kroki do sanktuarium naszego kulinarnego anioła.

– Jest z panem Włodkiem na łyżwach. Mają wrócić na podwieczorek. Przygotowuję naleśniki.

Kompletnie zapomniałam, że moja córka wymogła na ojcu ostatni przed świętami wypad na lodowisko. Chciała mu się pochwalić rittbergerem,

skokiem, który trenowała na grudniowych lekcjach jazdy figurowej.

– Wyskakuje się do tyłu, z zewnętrznej krawędzi prawej nogi – tłumaczyła, na czym polega akrobacja. – Koniecznie musisz zobaczyć, jak dobrze mi wychodzi!

Namawiała, bym poszła z nimi, ale musiałam uporządkować firmową buchalterię, a potem odebrać z butiku zamówioną dla Ewy bluzę z kapturem. Żeby dobrze prezentowała się po śmiganiu po stokach we Włoszech.

– Teraz sobie przypominam – mruknęłam. – O której jutro pani wyjeżdża? – zapytałam, dostrzegłszy na ustach pani Zdzisi ukradkowy uśmiech.

– Jeśli nie będę państwu potrzebna, chcielibyśmy pojechać z Mateuszem pod wieczór.

Skinęłam głową. Wybierali się na wieś, do rodziny partnera naszej gosposi, z zapasem smakołyków, które przygotowała przy okazji robienia tych dla nas.

Obawy mojego męża, że Zdzisia kiedyś nas opuści, okazały się bezpodstawne. Wciąż byliśmy razem, choć obok siebie. Mimo że z czasem przepisaliśmy mieszkanie na nią.

Włodek i Ewa nie wracali długo. Naleśniki dawno zdążyły wystygnąć.

Spakowałam walizki, nałożyłam na twarz maseczkę regenerującą, zmyłam ją, dokonałam ostatnich poprawek w świątecznym wystroju salonu. Każda bombka wisiała na swoim miejscu, świece były porzostawiane. Prezenty zapakowane w przepiękne pudła, przewiązane wstążkami i zaopatrzone w przywieszki z ciepłymi dedykacjami od kochającego Mikołaja, leżały na dnie szafy, czekając na wielkie *entrée*.

Pogrążona w oczekiwaniu na święta, zasłuchana w dźwięki świątecznej muzyki, która sączyła się ze wszystkich stacji radiowych, usiadłam w fotelu i nalałam sobie kieliszek wina.

Moich wciąż nie było, jednak zanim sięgnęłam po telefon, by skontaktować się z Włodkiem, usłyszałam ruch w przedpokoju. Po chwili w drzwiach stanęła Ewa z ręką w gipsie.

– Co się stało? – Wyskoczyłam z fotela jak strzała.

– Rittberger mi nie wyszedł. Złamałam rękę. – Moja córka zalała się łzami. – I to prawą!

Próbowałam ją pocieszać, że odbijemy sobie świąteczny wyjazd na narty w innym terminie, ale nie pomogły nawet naleśniki pani Zdzisi.

– Roma, może jednak polecimy? – Włodek próbował mnie przekonać do zaplanowanej wyprawy.

– A ona będzie patrzeć, jak wszyscy śmigają na stoku?

– No nie. To co wobec tego? – zapytał zagubiony i pełen wyrzutów sumienia, że Ewa nabawiła się kontuzji pod jego opieką.

Pozostało nam pięknie spędzić te święta w domu. Nie bardzo sobie to wyobrażałam, bo w głębi duszy sama czułam się nieco zawiedziona wymuszoną koniecznością rezygnacji z wymarzonego wyjazdu, ale nie pozwoliłam sobie na frustrację.

Następnego dnia zasiedliśmy we czworo do wigilijnego stołu, wśród kolęd, zapachu grzybów i piernika, otuleni półmrokiem rozświetlonym lampkami na choince.

Po raz kolejny stwierdziłam, że jestem bardzo szczęśliwa. Momentami odpływałam, zasłuchana w gwar rozmowy moich najbliższych niczym w najpiękniejszą muzykę. Życzyłam sobie tylko jednego: aby nic się nie zmieniło w naszym życiu. Żeby Włodek nadal był wspaniałym mężem, a Ewa i Tadzik dobrymi, kochanymi dziećmi.

A przede wszystkim żeby nasza tajemnica nigdy nie ujrzała światła dziennego, bo tego bym nie przeżyła.

Rozdział 3

Marcelina

2005 rok

Byłam typową dziewczyną z dobrego domu.

Od początku szkolnej edukacji rodzice naukowcy wdrazali mnie do pracy, zaszczepiwszy w umyśle jedynaczki głód nauki i osiągnięcia bardzo dobrych ocen. Zabiegałam o jak najlepsze stopnie, wprowadzie bardziej dla zaspokojenia ich niżeli własnych ambicji, i nie buntowałam się. Byłam jak koń przyzwyczajony do kieratu. A że nauka przychodziła mi łatwo, osiągałam zamierzone cele i rokrocznie przynosiłam do domu cenzurkę z paskiem wraz z kolejną nagrodą za osiągnięcia w nauce.

Mama z tatą honorowali moje sukcesy pucharem lodów w ulubionej kawiarni i jakimś wymarzoną prezentem. Według nich uczyłam się dla siebie i swojej przyszłości, ale nigdy nie zapominali, by nagrodzić dobre świadectwo fajnym obozem, komputerem lub sprzętem grającym.

Zajmowaliśmy całkiem przyzwoite mieszkanie w kamienicy przy parku. Miałam spory pokój, który urządziłam zgodnie z własnym gustem. Po okresie różów nieletniej księżniczki nadszedł czas na ściany oplakatowane wizerunkami ulubionych zespołów. W trakcie nadchodzących wakacji po ukończeniu gimnazjum zamierzałam zmienić wystrój i już nawet wybrałam sobie nowe meble. Miałam je dostać po dobrze zdanym egzaminie do najlepszego liceum w mieście. Zamierzałam startować do klasy humanistycznej.

Rodzice patrzyli na mój wybór niechętnie. Oboje byli ekonomistami i pragnęli podobnej kariery dla mnie.

– Córku, powinnaś wybrać profil ogólny lub matematyczny. Dadzą ci większe możliwości wyboru kierunku studiów – przekonywał tato. – Nie

tylko polonistyka, języki czy historia. Chyba nie chcesz kształcić się na kierunkach pedagogicznych? Jakie będziesz mieć z tego pieniądze?

Szesnastolatkę raczej mało interesowały zarobki po studiach. Lubiłam czytać, od czasu do czasu pisywałam coś do szuflady, a odległą o lata świetlne dorosłością ani myślałam się przejmować.

– Jak będę biedna, to mnie wesprzecie – odpierałam zarzuty rodziców o niefrasobliwość.

Faktem było, że zarówno mama, jak i tato dorabiali poza uczelnią w działach księgowych różnych firm, co przekładało się na konkretne pieniądze. Zawsze jeździliśmy samochodami dobrej marki i mogliśmy sobie pozwolić na zagraniczne wakacje.

Najbliższe mieliśmy spędzić na Malcie.

– Nawet nie wiem, gdzie leży ta Malta. – Moja najbliższa przyjaciółka Alina wyraziła zachwyt nad planowanym przez rodziców wakacyjnym urlopem.

Sięgnęłam po mapę.

– Podobno na Morzu Śródziemnym, w pobliżu Afryki – poinformowałam z mądrą miną, znalazłszy niewielką wysepkę w miejscu opisanym przez tatę. – O, jest! Ponad cztery godziny lotu.

Alinka wpatrywała się w mapę tęsknym spojrzeniem.

– Też bym chciała polecieć tak daleko. Ale jadę tylko do babci na wieś.

– Przecież ja też posiedzę z miesiąc u babci Anastazji! – Z przyjemnością pomyślałam o pozostałej części wakacji.

Uwielbiałam jeździć do starego babcinego domu, którego historia sięgała przedwojennych czasów. Zbudowali go moi pradziadkowie w dwudziestym piątym roku i przez cały czas pozostawał w rękach rodziny. Tam wychowały się babcia Nastka i moja mama.

Lubiłam jego wysokie pomieszczenia, okazałą, ale jednocześnie przytulną kuchnię z ogromnym dębowym stołem i kafłową kuchnią, które trwały niezmiennie mimo upływu lat i zmiany mód. Ogród bez najmniejszej przesady można było nazwać tajemniczym, z powodu gąszczy szczęśliwych drzew i krzewów, które rosły sobie, jak chciały, nieograniczone ludzką ręką.

Babcia, emerytowana nauczycielka, z natury była artystką i człowiekiem wyzwolonym. Żyła po swojemu i pozwalała żyć innym. Tuż przy domu miała niewielki warzywnik i uprawiała spore poletko ziół do swoich leczniczych nalewek.

– A będę mogła odwiedzić cię w Chruśniaku? – Alina przywołała nazwę wsi, nomen omen oznaczającą gęstwinię, niczym tę w babcinym ogrodzie.

– Pewnie! – odparłam ochoczo. – Pamiętasz, jak w ubiegłym roku przesiadywałyśmy w domku na starym dębie? Podobno podłoga spróchniała, ale pan Wiesiek, sąsiad, na prośbę babci wstawił nową. Żebyśmy nie wypadły przez jakąś dziurę.

– To fajnie. Boję się egzaminu gimnazjalnego – zmieniła temat Alina. – Szczególnie matmy i fizyki. Ciebie przynajmniej douczą rodzice... – Spojrzała smutno.

Pogadałam z tatą i przyjaciółka dołączyła do naszych sesji. Zależało mi, żeby dostała się do tego samego liceum, co ja, i zabiegi odniosły skutek. Wprawdzie po egzaminach obie zaliczyłyśmy sporo nerwów, oczekując na wyniki, ale po ich ogłoszeniu odetchnęłyśmy z ulgą. Od września czekały na nas obie miejsca w wymarzonej klasie.

Rodzice nie posiadali się z radości. Właśnie kończyli egzaminowanie studentów, po którym zamierzali przystąpić do remontowania mojego pokoju.

– Chcesz zostać w domu i dopilnować remontu czy jechać do babci na wieś? – zapytała mama w restauracji, gdzie rodzinie świętowaliśmy mój znakomity wynik na egzaminie gimnazjalnym.

Miałam rozdarte serce. Z jednej strony chętnie bym uczestniczyła w akcie tworzenia, z drugiej ciągnęło mnie do ukochanej babci, za którą zdążyłam się stęsknić.

Mama dostrzegła problem i znalazła salomonowe wyjście.

– Kochanie, wybierzesz farbę. Na meble już się zdecydowałaś. Wykonanie powierzmy panu Markowi – wspomniała znajomego fachowca od remontów. – A o detale zadbasz po powrocie. Należy ci się wypoczynek. Jedź do babci.

Zgodziłam się z pełnym przekonaniem. Plan wakacji rysował się zachęcająco: dwa tygodnie w Chruśniaku, kolejne na Malcie, na początku sierpnia dopieszczanie pokoju, a pozostałe sierpniowe dni na obozie jeździeckim. A w ostatni tydzień przed rozpoczęciem kolejnego roku szkolnego następne odwiedziny u babci.

– Jadę! – zakomunikowałam. – Kiedy ruszamy?

Stało na najbliższym weekendzie.

Babcia przywitała nas z otwartymi ramionami, w swoich ulubionych kwiecistych szatach do ziemi, w których wyglądała jak wróżbitka.

– Moja ulubiona wnuczka! – Pominęła rodzoną córkę i zięcia i wzięła mnie w ramiona.

– Ulubiona, bo jedyna – usłyszałam słowa mamy wyszeptane z lekkim przekąsem.

– Nie bądź zazdrosna, Gabrysiu. Słyszałam. – Babcia skarciła ją życzliwie. – Was też kocham. – Spojrzała na zięcia. – Antosiu, postaw torby na ganku – poprosiła tatę. – W pokoju Marcelinki podłoga jeszcze niegotowa. Wyszorowałam ją porządnie i nie zdążyła wyschnąć.

Wyobraziłam sobie drewniane surowe deski w pokoiku na stryszku, który zajmowałam w czasie pobytów u babci. Miał skośne ściany, niewielkie, zaokrąglone u góry okienko i kwiecistą, starą jak świat tapetę, której nigdy nie pozwoliłam zdjąć. Przywoływała nastrój jak z *Ani z Zielonego Wzgórza*. Lubiłam w tym pokoju czytać powieść Lucy Maud Montgomery, tak silnie identyfikując się z główną bohaterką, że chwilami miałam żal do rodziców, że nie nadali mi jej imienia.

Mama z tatą odjechali przed wieczorem, a ja mogłam wreszcie pobyć sam na sam z babcią, u której zawsze działo się coś ciekawego. Pokazała mi swoje ostatnie prace: obrazy namalowane na starych prześcieradłach, patchworkowe narzuty i serwetki wyczarowywane szydełkiem.

– Może sobie wybierzesz którąś do nowego pokoju? – zaproponowała, kiedy opowiedziałam jej o remoncie.

– Nie wiem którą... – Byłam zauroczona wszystkimi naraz i każdą z osobna.

– Mamy dużo czasu, wnusiu. – Babcia, jak zwykle, pozwoliła mi na wątpliwości. – A teraz chodźmy do kuchni przygotować kolację. Sałatka z ekologicznych warzyw i goloneczka z dorodnego świniaka od sąsiadów! Był szczęśliwy za życia, bo hodowany w godnych warunkach. – Uśmiechnęła się. – Wyjmij ze spiżarni usmażoną kapustę i boczek, który wisi u powały. Znasz takie słowo? Powąła?

– To jest sufit.

– Dobrze. Widać, że czytasz klasykę.

– To z *Pawła i Gawła*. „Nazajutrz Gawel jeszcze smacznie chrapie, a tu z powały coś mu na nos kapie” – zacytowałam.

– Brawo, znasz Fredrę. To do roboty!

Później z każdym dniem było tylko coraz lepiej. Babcia potrafiła wciągnąć mnie w świat swojej sztuki i codziennych kontaktów z sąsiadami, których znała od lat i na wylot. A oni ją. Nie sposób było się nudzić.

Wzięłam udział w warsztatach lepienia z gliny, przygotowywałyśmy z babcią nalewkę z malin i dżem truskawkowy, nauczyłam się trzymać w rękach druty (a nawet udało mi się wykonać ze dwa metry szalika prawymi oczkami). Każdego dnia piłam zsiadłe mleko, które nastawiała sąsiadka, posiadaczka krowy, i jadłam jagody zbierane w pobliskim lesie.

Kto by pomyślał, że dwa dni deszczu zaowocują poletkami maślaków? Ugotowane i przyrumienione na patelni grzyby z cebulką pachniały w całej kuchni. Żeby nie wspomnieć o wczesnych papierówkach w szarlotce i świeżym szczypiorku do swojskiego twarogu...

Przez moment zaczęłam się nawet zastanawiać, czy mam ochotę jechać z rodzicami na Malte.

Na dodatek przyjechała Alinka i codziennie na kilka godzin przenosiłyśmy się do domku na drzewie. Tam odkryłam jeszcze inny fascynujący świat – świat dziewczyńskich rozmów o chłopakach. Okazało się, że wystarczyło stracić kontakt z przyjaciółką na kilka dni, by ta zdążyła się zakochać. A ponieważ ja nigdy jeszcze nie oddałam serca chłopakowi, słuchałam jej zwierzeń z ciekawością.

„Leszek to, Leszek tamto”, mówiła z przejęciem o nowej znajomości, a ja zastanawiałam się, czy jestem normalna, że do tej pory nie znalazłam sobie obiektu westchnień.

Babcia wyczuła pismo nosem.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy człowieka trafi strzała Amora – stwierdziła filozoficznie przy kolacji, wprawiając nas w osłupienie. – A wiecie, że ja poznałam dziadka, kiedy oboje mieliśmy po piętnaście lat?

– I co? – wyrwałam się z pytaniem.

– Przeżyliśmy z sobą całe życie. – Babcia posmutniała. – Choć chciałoby się dłużej...

Po wyjeździe Aliny zostały nam zaledwie dwa dni pobytu w Chruśniaku. Rodzice zapowiedzieli się w najbliższy weekend, po powrocie z krótkiego wypadu nad jezioro do znajomych.

– Jarkowie zaprosili nas do siebie na grilla – poinformowała mnie mama przez telefon. – Kupili działkę na Mazurach i chcą nam ją pokazać.

Będziemy w sobotę po południu. A w poniedziałek wyjazd na Malte. Jesteś gotowa?

– Jasne, chociaż u babci jest jak zwykle. To znaczy nie chce się wyjeżdżać – opisałam swój stan ducha.

– To korzystaj! I pamiętaj, że pod koniec sierpnia dalszy ciąg. Kocham cię, córciu, i tata też.

Mimo to każdą komórką czułam cierpienie. Zawsze tak było, gdy wyjeżdżałam z Chruśniaka. Wyobraziłam sobie babcię stojącą na ganku i kiwającą mi na pożegnanie i poczułam ukłucie w sercu. Chciałabym być jednocześnie i w domu, i u niej.

– Pod koniec wakacji przeczeszemy stryszek i znajdziemy stare zdjęcia naszej rodziny – pocieszała mnie, zobaczywszy, że przygasłam. – Chcesz?

Oczywiście, że chciałam! Bywałam na przygórku, owszem, znajdowałam tam jakieś stare lalki, kuferki, pamiątki po starych czasach, ale nigdy dotąd nie nadarzyła się okazja, by poszperać dokładnie.

W piątkowy wieczór na kolację były placki ziemniaczane w roli głównej. Posypywałam każdy z osobna cukrem i popijałam maślanką. Babcia stała przy kuchni i nakładała na patelnię kolejne porcje masy.

Zadzwonił telefon.

– Odbierzesz? – usłyszałam.

Nie zareagowałam, zajęta przerzucaniem kanałów. Za moment miał się rozpocząć nasz ulubiony serial.

– Słucham? – Babcia podeszła do aparatu. – Jak to...? To niemożliwe! – dobiegły mnie jej słowa. – Jesteście pewni...? – zapytała nie swoim głosem.

Oderwałam wzrok od ekranu i spojrzałam w jej kierunku. Zobaczyłam, jak osuwa się na fotel, i zrozumiałam, że stało się coś złego.

Rozdział 4

Roma

1994 rok

Z Włodkiem poznaliśmy się na studiach. On kontynuował edukację w rodzinnym mieście, ja wyniosłam się spod kurateli rodziców kilkaset kilometrów od domu. Miałam dosyć ich permanentnej kontroli, zamartwiania się o moje bezpieczeństwo i wpływania na moje życiowe wybory. Już na początku liceum postanowiłam, że wybiorę kierunek, którego nie ma na naszym lokalnym uniwersytecie. Jako młoda dziewczyna nie potrafiłam nazwać mojego stanu ducha, ale od zawsze odczuwałam dużą potrzebę wolności, przestrzeni i nie życzyłam sobie nadmiernego naruszania prywatności. Tymczasem dla moich rodziców, zwłaszcza mamy, zrozumienie tego graniczyło z cudem.

Żałowałam, że kiedyś nie postarali się o kolejne dziecko, które być może odciągnęłoby ich uwagę ode mnie. Na próby zapytania, dlaczego jestem jedynaczką, mama zacinała się w sobie.

– To są sprawy dorosłych – odburkiwała. – Nie wszystko w życiu układa się tak, jak sobie tego życzymy. Odrobiłaś lekcje?

Tato nigdy nie ingerował w nasze dyskusje. Dla świętego spokoju chował się za gazetą. Kochał mnie, owszem, ale w potyczkach z mamą nie wspierał.

Uczyłam się dobrze, przykładałam do zajęć, co rodzice doceniali, ale jak każda młoda dziewczyna miewałam ochotę pójść na domówkę i zostać trochę dłużej niż do dwudziestej. Jednak mama była nieprzejednana.

– Będiesz dorosła, będziesz decydować sama o sobie – słyszałam. – Ale teraz mieszkasz z nami pod jednym dachem i musisz dostosować się do zasad panujących w tym domu.

Nieraz ze łzami w oczach za straconą imprezą wybiegałam z pokoju. Kumple powoli zaczęli odbierać mnie jak dziwoląga uległego mamusi i tatusiowi. Ciekawe, co by zrobili na moim miejscu?

Mama, widząc zalaną łzami poduszkę na moim łóżku, tłumaczyła:

– Martwimy się o twoje bezpieczeństwo. Nie będziesz wracać sama po nocach. Kochanie, całe życie przed tobą. Jeszcze sobie poimprezujesz.

Marna to była pociecha.

Na szczęście rodzice czasami wyjeżdżali i zostawiali mnie, nastoletnią pannicę, pod opieką stryja Stefana, bliźniaczego brata taty, a ten rekompensował mi wszystkie przykrości. Krótco mówiąc, przybijaliśmy sobie piątkę i każde robiło swoje. Stryjek dawał mi na taksówkę, z przykazaniem, żebym wróciła przed północą, a sam kwitł u nas w domu, w razie gdyby musiał mnie kryć. Mama czasami wykonywała kontrolny telefon. Zazwyczaj byłam wtedy „w łazience” lub uczyłam się „u koleżanki”. Nie sprawdzała.

Dzięki ulubionemu członkowi rodziny nie zostałam skazana na towarzyską banicję.

– Naprawdę musisz jechać na studia tak daleko? – Mirka próbowała zatrzymać mnie w rodzinnym mieście. – Co ja zrobię bez ciebie?

– Też mi przykro, że będziemy musiały się rozstać, ale sama widzisz, co mam w domu. Muszę się wyrwać, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Matka nie da mi spokoju, a tato nie ma własnego zdania. Będzie mi brakować ciebie i stryja Stefana... – westchnęłam.

Matura poszła mi dobrze. I niemal do egzaminów na studia udawało mi się lawirować w sprawie ich wyboru. Rodzice nie przestawali wypytywać o kierunek, ale robiłam umiejętne uniki. Tłumaczyłam, że jeszcze nie zdecydowałam, choć już dawno dokonałam dogłębnej analizy oferty zarówno naszego uniwersytetu, jak i mocno oddalonych uczelni. Na jednej z nich trafiłam na zarządzanie nieruchomościami.

Nadszedł wieczór przedstawienia rodzicom swojego wyboru.

– Co ci przyszło do głowy? – Mama zareagowała gwałtownie. – Zarządzanie nieruchomościami? To żeby zrobić coś takiego, trzeba kończyć studia?

Ha! Byłam przygotowana.

– Usługi związane z obrotem nieruchomościami to bardzo ważny segment rynku. Szczególnie w Stanach Zjednoczonych, ale ponieważ i do nas

powoli docierają światowe trendy, specjaliści będą potrzebni. I to ci dobrze wykształceni, a nie tylko po jakichś kursach – wyrecytowałam formułkę przeczytaną i przyswojoną w celach propagandowych. – Przypuszczam, że w naszym mieście nie ma ich zbyt wielu.

Zaskoczyłam rodziców dojrzałością, niestety nie zdołałam przekonać.

– A pomyślałaś o kosztach utrzymania? W domu masz wszystko: swój pokój, ciszę do nauki, nie musisz martwić się o posiłki – wyliczała mama.

A gdzie prywatność? – pomyślałam. Postanowiłam zablokować.

– Już złożyłam papiery – zakomunikowałam tonem, który wydał mi się stanowczy.

– Słyszałeś, Kazimierz? Twoja córka już złożyła dokumenty!

Mama wstała i sięgnęła po papierosa, by dać mi do zrozumienia, że się zdenerwowała.

Znana zagrywka. Kiedy w mniemaniu mamy zrobiłam coś złego, zawsze byłam córką taty. Jednak na tym etapie walki o siebie nie byłam jeszcze w stanie się postawić i przypomnieć rodzicielce, że także ona ma coś wspólnego z powołaniem mnie na świat.

– Aniela, zachowajmy spokój – odparł tato, z trudem odnajdując się w niekomfortowej sytuacji. Byleby tylko nie zająć stanowiska. – Romeczko, przemyślisz jeszcze sprawę, prawda? Pragniemy wyłącznie twojego dobra...

Udałam Greka.

– Cieszę się, tatusiu. – Powściągnęłam złość. – Zawsze wiedziałam, że moje dobro leży ci na sercu. I przepraszam, bo wiem, jakim wydatkiem będzie dla was pomoc w utrzymaniu mnie w innym mieście. Ale załatwię sobie tani akademik, będę dorabiać w weekendy i oszczędzać. I oczywiście zamierzam was jak najczęściej odwiedzać – łągałam, oczami wyobraźni widząc już swoje nowe życie bez wojskowego drylu i kaprała nad głową.

Rodzice okazali się słabsi, niżeli myślałam. Spasowali.

Przed rozpoczęciem roku akademickiego spakowałam walizkę i pozwoliłam się odwieźć do mojego nowego miejsca na ziemi, gdzie miałam już załatwioną stancję. Przy pożegnaniu łezka zakręciła się w oku wszystkim. Jednak perspektywa przyszłych zysków z samodzielnego życia sprawiła, że otarłam ją szybko.

Owo życie okazało się niepozbawione trudności. Uświadomiło dziewiętnastolatce, że musi coś jeść, wyprać brudne ciuchy i wreszcie

zmagać się z samotnością. Kiedy koledzy z roku pomykali do akademika, ja wracałam do pustych czterech ścian. I kompletnie irracjonalnie tęskniłam za moimi domowymi ciemiężcami. Dobrego samopoczucia nie poprawiał mi fakt, że Mirka wylądowała na studiach całkiem wygodnie, znalazła przyjaciół i mnóstwo okazji do imprezowania.

Nie pozostawało mi nic innego, jak wziąć się do studiowania. Niestety, kierunek wybrany na zasadzie negatywnej selekcji nie wciągał, a przedmioty nudziły. Byłam zrozpaczona i niemal zdecydowana na powrót do domu z podkulonym ogonem. I wówczas los wyciągnął do mnie pomocną dłoń.

– Robimy domówkę u kumpla. Wpadniesz? – złożył mi nieoczekiwaną propozycję Marcin, kolega z grupy.

Długo się nie zastanawiałam. Wyposzczona towarzysko z miejsca wyraziłam zgodę. Tym bardziej że pochodziła od obiektu westchnień wielu koleżanek z roku. Przyznaję, także mnie podobał się postawny blondyn o tajemniczym uśmiechu, z niesfornym, spadającym na oczy kosmykiem włosów.

Imprezę organizował Rysiek z drugiego roku, w domu rodziców, którzy od kilku miesięcy siedzieli za granicą.

Rozległa willa na obrzeżach miasta, majestatyczna w swoim przepychu, choć nieco już podupadająca, spodobała mi się ogromnie. Przekroczyłam jej próg nieco speszona, ale Marcin otoczył mnie czułą opieką.

Nie pojmowałam, o co tu chodzi. Ja, szara mysz, obiektem zainteresowania wydziałowego donzuana? A jednak.

Dbał, by nie zabrakło mi wina w kieliszku, adorował. Zaś mnie ta jego atencja odpowiadała z każdą minutą coraz bardziej. Wprawdzie z każdym kolejnym łykiem świat nieco tracił kontury, ale samopoczucie zwyżkowało. Jeszcze nigdy nie czułam się tak dobrze.

– Pójdziemy na górę? – Słowa Marcina przebiły się przez pocałunek pieścący moją szyję.

– Teraz? – Poczułam delikatny powiew wątpliwości.

– Nie chcesz? – Jego oczy patrzyły na mnie spod długich ciemnych rzęs. Jego dłoń podała mi kolejny kieliszek czerwonego wina, który wychyliłam jednym haustem.

I utwierdziłam się w przekonaniu, że jestem gotowa na swój pierwszy raz.

Było naprawdę wspaniale. Zakochałam się w Marcinie. Byłam mu wdzięczna za zaproszenie, za inicjację i otwarcie drzwi do innego życia. Dziwił mnie wprawdzie trochę brak dalszego ciągu czułego zainteresowania na korytarzach naszego wydziału w kolejnych dniach, ale złożyłam to na karb niechęci do publicznego obnoszenia się z naszą miłością. Spotykaliśmy się na kawie, zamienialiśmy kilka słów w trakcie przerw od zajęć.

Próbowałam dopytać, o co chodzi.

– Marcin, czy ty byłeś ze mną na poważnie? – Zdobyłam się na szczerość.

– O co ci chodzi, Roma? Że wtedy, u Ryśka? – roześmiał się. – Nie było ci miło?

– Oczywiście, że było – odparłam.

– Mnie również, mała. Ale nie róbmy z tego wielkiego halo. I pamiętaj, że zawsze możemy to powtórzyć. Byłaś boska – zakończył i odszedł, zostawiwszy mnie na korytarzu z otwartymi ustami.

Wtedy zrozumiałam, że zostałam wychowana pod kloszem.

Jeszcze bardziej utwierdziłam się w tym przekonaniu, kiedy w kolejnym miesiącu nie doczekałam się okresu. Miałam przynajmniej tyle rozumu, by podzielić się tym spostrzeżeniem z Marcinem.

– Możesz być w ciąży?! – zareagował paniką. – Musimy coś z tym zrobić. Poczekaj, zadzwonię do kogoś... – Po chwili na jego twarzy pojawił się uśmiešek. – Mamy to! Jutro kumpel dostarczy ci tabletkę poronną i po kłopotach – zakomunikował.

W tamtej chwili nie myślałam o dziecku. Raczej o rodzicach i kłopotach wynikających z niechcianej ciąży.

– Czy ta tabletkę jest bezpieczna? – spytałam zaniepokojona.

– Całkowicie.

– Skąd to wiesz?

– A czy to ważne? Grunt, że mam do niej dojście, bo oboje bylibyśmy ugotowani. Damy radę, laska, i będzie dobrze. Naprawdę bardzo cię lubię, ale nie jestem przygotowany na ojcostwo ani ty na bycie matką. Wpadnę do ciebie jutro z tabletką, może nawet dzisiaj wieczorem. Było miło. – Wsunął dłonie w moje włosy i pocałował mnie w usta. – Daj znać, kiedy to powtórzymy!

Miał rację. Na pierwszym roku studiów żadne z nas nie nadawało się na rodzica.

Zażyłam tabletkę. Zaliczyłam dość obfite krwawienie i było po sprawie.

Jednak od tego momentu jeszcze trudnej mi było rozmawiać z rodzicami i odpowiadać na ich rutynowe pytania. Jak studia, kolokwia, czy się dobrze odżywiam? Bla, bla. Właśnie przespałam się z facetem po raz pierwszy, prawdopodobnie zlikwidowałam ciążę, coś tam przeżyłam, ale zyskałam twardszą skórę i większy dystans do życia.

Zaczęłam starania o akademik, żeby zmniejszyć koszty utrzymania. I częściej spotykać się z ludźmi. Zahukana Roma odeszła w niepamięć.

Taką właśnie poznał mnie Włodek na jednej z imprez. W czerwonej sukience, tańczącą, wyluzowaną i pewniejszą siebie.

Rozdział 5

Marcelina

od lipca 2005 do lipca 2006 roku

Co ci jest? Wezwę karetkę! – Przestraszona zasłabnięciem babci wpadłam w panikę.

Na moment nawet zapomniałam o telefonie będącym jego przyczyną. Na szczęście babcia nie straciła przytomności, choć była biała jak ściana i nie mogła wykrztusić słowa.

Pokręciła głową na znak, że nie potrzebuje lekarza, i gestem poprosiła o wodę. Sięgnęłam do stojącego na stoliku dzbanka i podsunęłam jej pełną szklankę. Upiła kilka łyków i odzyskała mowę.

Wolałabym nigdy nie usłyszeć tego, co miała do powiedzenia.

– Marcelinko, stało się coś strasznego. Twoi rodzice... Gabrysia i Antoni...

Słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

Moją głową zawładnęły najczarniejsze myśli.

– Mieli wypadek? – dokończyłam z nadzieją, że nie mam racji.

– Tak.

– Ale żyją, prawda? W którym są szpitalu? Pojedziemy do nich? – brnęłam, odpychając najgorszy scenariusz.

– Zginęli oboje. – W jednej chwili zostałam pozbawiona złudzeń, że takie tragedie przydarzają się wyłącznie innym. – Z lasu wyskoczył łoś... Chodź do mnie. – Babcia wzięła mnie w ramiona, byśmy wspólnie nie przepadły w otchłani rozpacz.

Nie myślałam o niej, która straciła córkę i zięcia. Skoncentrowałam się na sobie. Jak to możliwe, że los zmiotł z powierzchni ziemi moich ukochanych rodziców? Jedyne, nie licząc babci, najbliższe mi osoby. A tak chciałam

z nimi porozmawiać, przytulić się do nich, pojechać z nimi na Malte, wprowadzić się do wyremontowanego pokoju. Spędzać z nimi każdy dzień.

Zostałam sama.

A może to moja wina? – zaatakowała mnie natrętna refleksja. Gdyby aż tak się do mnie nie śpieszyli, uniknęliby spotkania z jakimś głupim łosiem!

Jednak najgorsza była świadomość pustki.

Przez kolejne dni w domu babci Anastazji panował niespotykany ruch. Z pomocą zameldowali się znajomi rodziców z uczelni i sąsiedzi z Chruśniaka. Babcia załatwiała sprawy pogrzebowe, mną zajęły się różne przyszywane ciocie i wujkowie, usiłując zachować pozory normalności, która w moim odczuciu już nigdy nie miała powrócić.

Ze względu na mnie babcia zrezygnowała z wystawiania zwłok.

– Marcelinko, oni nie wyglądają jak za życia – tłumaczyła, kiedy zapragnęłam zobaczyć ich po raz ostatni. – Lepiej ich zapamiętać takimi jak zawsze.

Uległam. Ale wątpliwości, czy dobrze zrobiłam, miały mi towarzyszyć jeszcze przez lata.

Na pogrzebie obie byłyśmy zarazem bardzo zmęczone przeżyciami ostatnich dni, jak i zaabsorbowane działaniem. Na tyle, by nie płakać od rana do wieczora. Świadomość straty nadeszła, dopiero gdy żałobnicy po stypie rozjechali się do domów, pozostawivszy na grobie rodziców stertę wieńców i wiązanek.

Nie zdawałam sobie sprawy z ogromu spraw do załatwienia. Jednak towarzysząc babci w kołędowaniu po urzędach, mimo woli szybko dorastałam i stawałam się jej partnerką.

– Kochanie, jesteś jeszcze za młoda, żeby samodzielnie to ogarnąć, ale musisz o wszystkim wiedzieć – tłumaczyła, a ja pojmowałam niewypowiedziane. Że także ona kiedyś odejdzie.

Towarzyszyłam jej zatem u notariusza, kiedy odbierałyśmy akt poświadczenia dziedziczenia, w urzędzie skarbowym, w którym zgłaszałyśmy wartość spadku, w sądzie, gdzie przyznano jej opiekę nade mną, i w wielu innych instytucjach, w których musiałyśmy zgłaszać śmierć i przepisywać rachunki za prąd, gaz i Bóg wie co jeszcze na siebie.

Zamiast odpoczywać na Malcie, wycierałam kąty w urzędach i opłakiwałam stracone życie. Nawet Alina, która przyjechała do Chruśniaka, nie była w stanie mnie pocieszyć. Zresztą czy słowa najlepszej

przyjaciółki, która miała wokół siebie rodzinę w komplecie, mogły mi przynieść ulgę?

Tamtego roku warzywnik obrodził wyjątkowo.

Pomidory oparły się zarazie, ogórki wyglądały jak cukinie. Nadzwyczajny plon wydały nawet krzewy czerwonych i białych porzeczek, żeby nie wspomnieć o rosnących pod płotem na wpół dzikich malinach.

Babcia wykorzystywała ten róg obfitości do mobilizowania mnie, bym wstała z łóżka i pędziła do pomocy przy zbiorze owoców i przetworach. Czasem wydawało mi się nawet, że zbyt szybko pozbiierała się po śmierci córki i zięcia. I nawet ją za to znieubiłam.

– Ciągłe gada o dżemach, konfiturach, kompotach. Po co nam to wszystko? – skarżyłam się Alinie. – Chciałabym wrócić do domu.

Tęskniłam za rodzicami, a wiejskie życie przestało mi odpowiadać. Mimo że babcia sięgnęłaby dla mnie po gwiazdkę z nieba.

Któregoś sierpniowego wieczoru postawiła na stole mój ulubiony tort bezowy z malinami i lemoniadę. Wyjęła dla siebie kieliszek, do którego kapnęła nalewki z jeżyn. Wiedziałam, bo i mnie zdarzało się podkraść z butelki po kilka kropel, kiedy nikt nie patrzył.

– Musimy porozmawiać, Marcelinko, i podjąć kilka ważnych decyzji – zaczęła poważnie. Nałożyła po sporym kawałku tortu na talerzyki. – Rok szkolny zbliża się wielkimi krokami, a ty idziesz do liceum. Trzeba się zastanowić, jak sobie poradzimy.

Szkoła była ostatnią sprawą, o jakiej myślałam przez miniony miesiąc. Jak gdyby szkolne życie stanęło w miejscu. Kilkakrotnie natomiast zaglądałyśmy z babcią do mojego rodzinnego domu. Zaawansowane prace remontowe nie cieszyły mnie wcale a wcale, mimo że mama przygotowała niespodziankę. Zainstalowała antresolę, a jedna ze ścian została pokryta imitacją cegły.

– Podoba ci się? – Babcia obrzuciła wnętrzem spojrzeniem.

– Tak. Jest ładnie.

Nie zdołałam powstrzymać łez.

– Musimy dokończyć ten remont, Marcelinko. Znalazłam kontakt do tego waszego fachowca. Pora do niego zadzwonić.

Prawdę powiedziawszy, ja chciałam opuścić ten dom jak najszybciej. Nie interesowało mnie, co się będzie działo z mieszkaniem po wakacjach.

– To jak, gotowa do rozmowy o szkole? – Głos babci przywrócił mnie do rzeczywistości.

Zrezygnowana skinęłam głową. Zakończenie edukacji na poziomie gimnazjum nie wchodziło w rachubę.

– Mam taką propozycję – usłyszałam. – Pozostajesz teraz pod moją opieką aż do pełnoletności. Dlatego przeprowadzę się do miasta, do ciebie.

– Ale co z twoim domem?

– Nic. Zamknę go na klucz, a Janina – babcia wspomniała sąsiadkę – wpadnie od czasu do czasu i dopilnuje. Poradzimy sobie, kochanie, chociaż wiem, że nie będzie to dla ciebie łatwe.

I nie było.

Od września aklimatyzowałam się w nowej szkole, na szczęście u boku Aliny, lecz nie bardzo wiedziałam, jak mam się odnaleźć w gronie normalnych, czyli nieskażonych śmiercią obojga rodziców, ludzi. Wprawdzie pierwszy żal, rozgoryczenie i smutek trochę zelżały, ale wciąż byłam niekompletna. Zwłaszcza kiedy wracałam po lekcjach, a w domu czekał przygotowany przez babcię obiad. Pachniał przesmacznie, ale nie tak jak ten maminy. Lepszy, ale od niej. Kiedyś zauważyłam, że babcia na swój sposób próbuje mi pomóc i dyskretnie usuwa ślady obecności rodziców. Nie chciałam jej w tym przeszkadzać, bo robiła to w dobrej wierze. Zdawałam sobie sprawę, że nie chce, by pamiątki wytrącały mnie z równowagi. Wymieniła zasłony, serwety na stole i coś tam jeszcze.

Postawiłam na nocnym stoliku zdjęcie rodziców, wzięłam do łóżka ulubioną poduszkę mamy, zachowałam taty zegarek, z którym nie rozstawał się od czasu moich narodzin. Poza tym pozwoliłam babci na zmiany.

Żyliśmy z dnia na dzień, udając szczęśliwe. Ale nie byliśmy, mimo dobrej woli z obu stron.

Kiedyś usłyszałam rozmowę babci z jej bliską sąsiadką z Chruśniaka.

– Pytasz, jak się czuję? – mówiła. – Jak w klatce. Nigdy w życiu nie mieszkałam w mieście i trudno mi się tu odnaleźć. Ale muszę, dla Marcelinki. Przecież ona nie ma nikogo oprócz mnie i tu ma szkołę. Musimy przetrwać trzy lata. A potem pójdzie na studia, a ja wrócę do siebie. Fakt, że ona jedna mi pozostała, pozwala godzić się z losem, chociaż kiedy wspomnę o Gabrysi, nie potrafię pohamować łez. To niesprawiedliwe, kiedy musisz pochować swoje dziecko...

To niesprawiedliwe, kiedy dziecko musi pochować rodziców, pomyślałam. Czy mój pobyt na ziemskim padole ma jakikolwiek sens? – przemknęło mi przez głowę. Pozostało mi jedynie zapalenie zniczy na grobie mamy i taty, podczas gdy inni mają ich oboje i jeszcze rodzeństwo, zazdrościłam.

W takiej atmosferze przeżyliśmy z babcią do wakacji. Gdy nie bez problemów, ale jednak zostałam promowana do drugiej klasy, wyjechałyśmy na lato do Chruśniaka.

Czekało nas tam mnóstwo pracy. Ogród zarósł niemiłosiernie, dom, do którego rzadko zaglądałyśmy, wymagał odświeżenia i gruntownych porządków, ale nie miałam do tego głowy. Ten wyjazd po raz pierwszy nie był wymarzoną wakacyjną beztroską. Czułam nawet coś w rodzaju złości na rodziców, że pozbawili mnie naszych zagranicznych wojaży.

Ale gdy Wojtek, znajomy z Chruśniaka, zaprosił mnie na imprezę, nie odmówiłam.

– Wróc po dziewiątej – poprosiła babcia. Przytaknęłam skinieniem, podmalowując oko. – I uważaj na siebie – usłyszałam.

Pożegnałam ją pocałunkiem w policzek.

Rozdział 6

Roma

czerwiec 1995 roku

Bardzo mi zależało na praktyce w Magicu, jednej z najbardziej rozpoznawalnych agencji nieruchomości w mieście, w którym studiowałam. Wprawdzie rodzice mieli nadzieję, że spędzę wakacje w domu, a przynajmniej przepracuję je w biurze prowadzonym przez ich przyjaciół, ale postanowiłam nie korzystać z protekcji.

– Kochanie, przez cały rok akademicki jesteś daleko od nas, to może chociaż wakacyjne praktyki...? – wypraszał tato zmianę decyzji.

– Pewnie i tak się nie dostanę do Magica – próbowałam go uspokajać, jednocześnie zanosząc w myślach modły i gryząc palce, żeby jednak się powiodło.

Z zaliczaniem egzaminów różnie bywało, ale nasz opiekun roku wystawił mi dobrą opinię, która miała mi w tym pomóc. Cóż, przyznaję, że dołożyłam starań, by sympatyczny doktor Wilczyński wykazał się stosownym entuzjazmem.

Ziemowita, bo takie nosił imię, poznałam na jednej z imprez integracyjnych i wzbudziłam jego zainteresowanie. Jeszcze rok wcześniej nie śmiałabym spojrzeć w oczy człowiekowi z takim stopniem naukowym, który oprócz tytułu miał również urok osobisty oraz sporo do powiedzenia na wydziale. Jednak teraz, kiedy przepoczwarzałam się z szarej myszki w barwnego motyla, nabrałam śmiałości. I się opłaciło. A w pakiecie z wyższą samooceną zyskałam wianuszek znajomych i większe możliwości towarzyskie.

Rodzice przysyłali pieniądze, żebym nie musiała pokątnie dorabiać i skupiła się na nauce. Nie zaniedbywałam edukacji, ale ograniczałam się

do poziomu przyzwoitej, solidnej trójki lub co najwyżej czwórki. Stwierdziłam, że oceny nie są najważniejsze, a życie liczy się znacznie bardziej niż zakuwanie.

Przypuszczałam, że ten punkt widzenia zawdzięczałam Marcinowi, niedoszłemu tatusiowi mojego nienarodzonego dziecka, o którego zarodku usiłowałam zapomnieć. Odsuwałam od siebie niewygodne myśli o likwidacji płodu. Ale najbardziej ciążyła mi świadomość, że nie mogę nikomu zwierzyć się z tajemnicy. Marcin zastrzegł to wyraźnie.

– Pamiętaj, Romka, wszystko zostaje między nami, okej? Bo z tego może być dym.

– Jasne. Sznuruję usta – obiecałam, choć zdawałam sobie sprawę, że namawianie kobiety, by powstrzymała się od zwierzeń najbliższej przyjaciółce, jest jak próba zawrócenia kijem Wisły. Na szczęście nie dorobiłam się jeszcze „najbliższej przyjaciółki”, więc język nie świerbił mnie zanadto.

Koledzy z roku zadbali o to, by imprezy integracyjne odbywały się regularnie. Wprawdzie akademik odpadał, ale kilkoro znajomych dysponowało odpowiednimi miejscówkami. Przedwojenna willa w okazałym ogrodzie, podmiejski domek nad jeziorem, podniebny penthouse na luksusowym osiedlu. Gdy wyjeżdżali rodzice, pustoszały i można było z nich skorzystać, co skrzętnie wykorzystywaliśmy.

Cieszyło mnie, że dołączyłam do takiego towarzystwa, bo nie wszyscy się załapali. Inne szare myszki, które skrupulatnie uczestniczyły w każdych zajęciach i wykładach, notując każde słowo mądrości naszych uniwersyteckich guru, po zajęciach wracały do swoich pokojów w akademiku czy na stacji i rozpuszczały w kubku chińską zupkę lub otwierały słoik z przywiezionymi z domu pulpetami w sosie pomidorowym.

Nigdy nie lubiłam sosu pomidorowego, tych wszystkich gołąbków, makaronu. Wszystkiego, co wyglądało na talerzu jak psie żarcie. Zawsze chodziło za mną coś bardziej wysublimowanego. No i sama nie potrafiłam ugotować niczego i brakowało mi domowych smaków. Tęskniłam za sałatkami, rybami, duszonym mięsem sauté, wprowadzonymi na nasz stół *via* kolorowe kuchenne dodatki do gazet. Mama eksperymentowała w soboty i niedziele, bo w tygodniu jadaliśmy z ojcem w stołówce.

Stacja u starszej pani Wójcikowej zaczęła mi doskwierać, a właściwie nadmierna skłonność właścicielki do bliskich kontaktów. Nie potrafiłam

udawać jej przyszywanej wnuczki ani sprawiać wrażenia, że interesują mnie jej sprawy. Po pierwszym roku złożyłam podanie o akademik i go dostałam. Nie interesowało mnie, z kim będę mieszkać.

Nadciągnęła sesja. Egzaminy jakoś mi szły. Każdy z nich opijaliśmy sążnięcie. W perspektywie miałam praktyki w biurze nieruchomości. I oczywiście marzyłam o Magicu.

W takim stanie ducha spotkałam Marcina.

– Przyjdiesz na imprezę do Agaty? – zapytał mnie na korytarzu przed dziekanatem.

– Nie wiem. Mam jeszcze do zaliczenia podstawy budownictwa i wiedzy technicznej i procedury w obrocie nieruchomościami. Kupa roboty, a ja zielona jak trawa wiosną.

– I właśnie dlatego powinnaś wpaść! W sobotni wieczór i tak nie zajrzysz do podręczników i tylko będziesz się dołować. A u Agatki jest pełny barek – zanęcił. – Jej starzy świętują rocznicę ślubu w Paryżu. I będzie Wilczyński.

– Co z tego? – Nie zrozumiałam, dlaczego przymrużył oko i oblizał usta.

– Romka, mówię ci, wpadnij. Nie pożałujesz.

Kompletnie nie pojmowałam, o co mu chodzi. Wiedziałam, że Ziemowit ma duże możliwości, ale czym one mogą skutkować dla mnie?

– Zobaczę, co da się zrobić – mruknęłam. – A zresztą masz rację! Przecież nie będę się umartwiać nauką w sobotę wieczorem! – Wzięłam od niego adres.

Przed imprezą długo siedziałam przed lustrem, poświęciwszy czas na staranny makijaż. Zastanawiałam się tylko, dla kogo go robię. Dla Marcina, który wciąż tkwił w głębi mojej duszy, dla przyjemności czy dla interesu?

Odkąd zagwarantowałam sobie akademik, przestałam przejmować się natrętną gospodynią i jej uwagami, że wracam późno i ją budzę. Po powrocie zawsze zdejmowałam buty i chodziłam na paluszkach. Mimo to rano robiła mi wymówki, stara jędza.

– Wychodzisz? – Zdybała mnie w przedpokoju także teraz.

– Tak. I proszę na mnie nie czekać. Mam klucz – odparłam opryskliwie.

– Tylko wejdz po cichu, bo kiedy się obudzę w nocy, nie mogę zasnąć – burknęła i poczłapała do kuchni.

Wyciągnęłam język w kierunku jej pleców i potrząsnęłam głową z dezaprobatą. Wypatrywałam dnia, kiedy wreszcie zabiorę stąd manele.

Jeszcze chwila, pocieszałam się w duchu. Kolejny tydzień, dwa egzaminy i tato przyjedzie po mój majdan. No, chyba że zostaną przyjęta do Magica... – pomyślałam i mnie zmroziło. Nawet gdyby się udało, gdzie będę mieszkać?

Machnęłam ręką na potencjalne kłopoty. Przecież i tak wszystko uda się jakoś załatwić. Teraz czeka mnie sympatyczny wieczór w domu Agaty!

Przyszłam jako jedna z ostatnich. Towarzystwo zdążyło już obrócić jedną, może dwie kolejki. W salonie pod palmą panowała wesoła atmosfera.

– Jesteś. Mam dla ciebie karniaczka. – Marcin podał mi kieliszek wódki, nie dopuszczając odmowy.

Wychyliłam grzecznie i dałam się namówić na następny.

Gospodyni okazała się bardzo gościnna. Wokół stały półmiski pełne cateringowego żarcia: koreczki, sushi, oliwki, kolorowe sałatki w salaterkach i czego dusza zapagnie. W dobrym nastroju po dwóch karniakach szybko wtopiłam się w towarzystwo i pozwoliłam porwać do tańca. Nawet nie zauważyłam, kiedy wylądowałam w ramionach doktora Wilczyńskiego. Ze zdumieniem stwierdziłam, że nie czuję zażenowania.

– Możemy mówić sobie po imieniu? – zapytał. – Ziemowit – dodał, nie czekając na odpowiedź.

– Wiem, panie doktorze – roześmiałam się. – Roma.

Przetańczyliśmy kilka kawałków, z drobnymi przerwami na kolejne drinki.

Pogubiłam się w wymianie coraz bardziej natarczywych spojrzeń i namiętych ruchów. I chociaż zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam wykorzystywać sytuacji, imponowała mi atencja Ziemowita. Zresztą, jak sądziłam, inni także byli zajęci partnerami i się nam nie przyglądali.

– Romka, może wyjdziemy na taras? – usłyszałam i poczułam kolejny kieliszek wina, który pan doktor wcisnął mi w dłoń.

W drzwiach mineliśmy się z Włodkiem, kolegą z roku. Nagle poczułam się nieswojo, a on zrobił nam przejście.

– Chcesz dostać się do Magica? – ciągnął Wilczyński. – Mógłbym napisać ci dobrą opinię. A na uszko szepnę ci, że to moi serdeczni znajomi. To jak? – Uśmiechnął się zachęcająco.

– A co byś za to chciał? – zapytałam zalotnie.

– Czy tego samego, co ty? – odpowiedział pytaniem.

Normalnie odmówiłabym, ale wypity alkohol szemrał w głowie, a Ziemowit jest naprawdę przystojnym facetem. Poza tym co złego może mnie spotkać, jeśli się z nim prześpię. Cięża? To już miałam za sobą i wiedziałam, że da się to obejść.

– Masz zabezpieczenie? – zapytałam rzeczowo, mimo rauszu.

– Zawsze – odparł. – Czy ktoś ci kiedyś mówił, mała, że jesteś piękną dziewczyną?

Po wszystkim poprosiłam o dyskrecję.

– Oczywiście, kochanie – obiecał z przekonaniem. – Ja również na nią liczę. Bo wiesz, jestem żonaty.

Ta wiadomość mnie ucieszyła. Przynajmniej zostawi mnie w spokoju, pomyślałam, obciągając sukienkę. Opuściłam pokój z zamiarem szybkiej ewakuacji na stację.

– Już wychodzisz? – W progu zatrzymał mnie Włodek. – Może cię odprowadzę?

– Dziękuję, wezwę taksówkę – odparłam i odruchowo otarłam usta. Jakbym spodziewała się, że pozostał na nich ślad pocałunków Ziemowita.

Kilka dni później otrzymałam wiadomość, że biuro nieruchomości Magic rozpatrzyło moją aplikację pozytywnie.

Rozdział 7

Marcelina

marzec 2007 roku

Muszę przyznać, że po rocznej żałobie po rodzicach propozycja imprezy bardzo mnie podekscytowała. Wojtka znałam od dobrych kilku lat, tak samo jak kilka innych osób, które miały w niej uczestniczyć. Coroczne odwiedziny u babci zaowocowały licznymi przyjaźniami, które ostatnio zarzuciłam, i to zarówno z miejscowymi, jak i z przyjezdnymi spędzającymi wakacje w pobliskim ośrodku nad jeziorem. Kiedyś kopaliśmy razem w piasku, łaziliśmy po drzewach, leczyliśmy poobijane kolana, objadaliśmy się lodami z kawiarni pana Walczaka.

Ja zawsze wybierałam kawowe, inni woleli owocowe. Imponowało mi, że mogę choć w takiej postaci popróbować kawy, ulubionego napoju moich rodziców, do którego jako dziecko nie miałam dostępu. Niecierpliwie czekałam na moment, w którym spotka mnie zaszczyt wypicia filiżanki czarnego pachnącego naparu razem z mamą i tatą.

Ta chwila nigdy jednak nie nastąpi, pomyślałam smutno.

Mimo upływu czasu od tragicznej śmierci rodziców wciąż odczuwałam pustkę i żal do losu, ale te uczucia powoli zaczynały mi ciążyć. Potrzebowałam zmiany. Dlatego kiedy stary kumpel zaprosił mnie na imprezę, bardzo się ucieszyłam. A nawet odkryłam, że mam na nią ochotę.

Jedyną trudnością była babcia. Stała przy mnie od roku, dzień po dniu, godzina po godzinie, kiedy wracałam ze szkoły. Dobrze, że mnie z niej nie odbierała.

Niejednokrotnie próbowałam podejmować temat jej nadopiekuńczej miłości, ale zawsze słyszałam jedno wytłumaczenie.

– Marcelinko, boję się o ciebie. Nie potrafię sobie wyobrazić, co by się stało, gdybym cię straciła.

– Dlaczego miałabyś mnie stracić? Babciu, ja tylko chcę po lekcjach pójść do koleżanki. I wrócę przed kolacją.

– Wyjdę po ciebie. Powiedz, gdzie ona mieszka.

Tylko tego mi brakowało, żeby babcia kwitła pod domem Agnieszki i przejmowała mnie jak pałeczkę w sztafecie! Wołałam zrezygnować z wizyty u koleżanki, niż narazić się na śmieszność.

Dobrze, że przynajmniej dziś wynegocjowałam powrót o dziewiątej wieczorem, pogratulowałam sobie w duchu. Wyraziłam zgodę na tę nonsensowną godzinę, z góry wiedząc, że jest nierealna.

Oczywiście wyłącznie z doświadczenia koleżanek i kolegów, którym rodzice nie narzucali tak absurdałnej pory powrotu.

Nie spodziewałam się jednak, że Wojtek przyjedzie po mnie na skuterze. Przykrótka sukienka nie ułatwiała mi ulokowania się na mechanicznym rumaku, jednak dałam radę. Odparłam sugestie babci, by zamienić ją na spodnie.

– I pamiętaj, o której masz wrócić! – szepnęła mi do ucha na pożegnanie.

Chciałam zostawić za sobą wszystko i popędzić przed siebie. Na razie na skuterku Wojtka.

Zawiózł nas nad jezioro, z dala od wsi.

Znałam tę dziką plażę, którą upodobaliśmy sobie z miejscowym towarzystwem lata temu. Dróżka do niewielkiego spłachetka piasku prowadziła stromą ścieżką przez las schodzący wprost do wody. Z dołu rozciągał się widok na całe jezioro. Po lewej widniały zabudowania Chruśniaka, w jego pobliżu ośrodek wczasowy. Wokół brzegu ulokowano liczne pomosty dla wędkarzy przecinające gęste szuwary.

Od zawsze lubiłam tę naszą przytulną miejscówkę, do której nikt nie zaglądał. Nie wiem, dlaczego pozostawała niezauważona, bo zachęcała białym piaskiem i płytkim brodem.

Zostawiliśmy motor na górze i pokonawszy ostre zejście, zsunęliśmy się na plażę, skąd machało do nas kilka osób.

Poznałam Aśkę i jej bliźniaczkę Oliwkę. Byli też Arek i Kuba, a pozostałych przedstawiono mi już nad wodą. Zaskoczył mnie ich wyśmienity nastrój, ale jednocześnie ucieszył. Także ja miałam ochotę na zabawę i zapomnienie o wszystkich tragediach tego świata.

– Chodźcie do nas! – usłyszałam zaproszenie. – Wojtek, przyniosłeś aprowizację? – Kuba spojrział z nadzieją na pokaźny plecak.

– Jasne! Było z tym trochę gimnastyki, ale wpadł wujek i mi pomógł.

Po chwili, kiedy zaczął wyciągać kolejne flaszki, zorientowałam się, o co chodzi. Nie odmówiłam, kiedy Wojtek podał mi butelkę piwa.

Procenty natychmiast poszły do głów i przyjemnie namieszały. Sądziłam, że kolejnej porcji nie dam już rady, ale opróżniłam butelkę. I po raz pierwszy od roku poczułam wspaniały luz i spokój. Świat nareszcie stał się bardziej przyjazny, a ja wolna od trosk.

Naszła mnie chęć na kąpiel i wspólne śpiewanie przy ognisku.

Bawiłam się tak dobrze, że nie zauważyłam, kiedy zaszło słońce. Wprawdzie poczułam lekki niepokój na widok zegarka wskazującego dwudziestą drugą, ale nawet to nie było w stanie mnie poruszyć. Tańczyliśmy przy ognisku, gadaliśmy i wypijaliśmy zapasy.

Nie pamiętam, jak trafiłam do domu. W każdym razie kolejny poranek należał do najgorszych w moim życiu. Spędziłam go z miską w objęciach, potem z ręcznikiem na czole i wyrzutami sumienia na widok smutnej i zatroskanej babci, która nie odstępowała mnie na krok.

– Wypij miętę, Marcelinko. – Wmuszała we mnie płyn, który tylko pobudzał kolejne wymioty.

Z powodu fatalnego samopoczucia nie miałam nawet sił myśleć, kiedy dostanę po głowie, co niechybnie musiało nastąpić. Aby opóźnić tę chwilę, udawałam, że śpię, ilekroć słyszałam pod drzwiami babcine kroki. Niestety, w końcu musiałam stawić czoła rzeczywistości.

Konfrontacja nastąpiła przy kolacji.

– Zrobić ci kanapki czy jajecznicę? – zapytała babcia, gdy zeszłam na dół po całodziennym zaleganiu w łóżku.

– Może być jajecznica – zgodziłam się bez entuzjazmu.

Wprawdzie jej zapach jeszcze mnie odrzucał, nie na tyle jednak, bym nie przełknęła zawartości talerza.

W myślach posypywałam głowę popiołem, kajałam się za wczorajsze upojenie. Bałam się, ale babcia zareagowała nadzwyczaj spokojnie.

– Kochanie, kiedyś musiałaś spróbować – powiedziała. – I wiesz już, do czego prowadzi przedawkowanie alkoholu – zaczęła. – Nie zamierzam cię za to ganić. Ale martwiłam się o ciebie cały wieczór. Co ja mówię, umierałam ze strachu! Więc nigdy więcej mi tego nie rób – zakończyła.

Poczułam się fatalnie.

– Przepraszam – wykrztusiłam zawstydzona, że ją zawiodłam.

Ale gdy przypomniałam sobie beztroskie chwile nad jeziorem, które przeniosły mnie w normalny świat, świat zapomnienia o przeżyciach związanych ze śmiercią rodziców, uśmiechnęłam się w duchu. Nawet babcia, moja jedyna rodzina i kochana istota, nie mogła mi ich dać.

– Nie szkodzi, Marcelinko. – Znienacka znalazłam się w jej ramionach. – Po prostu uważaj na siebie. Alkohol pomaga tylko na chwilę. Niczego nie załatwia.

Przytaknęłam bez przekonania. Ale od tej chwili wiedziałam, że będę mieć przed babcią swoje tajemnice. Nie chciałam dalej żyć w cieniu rodzinnej tragedii, pod kloszem. W końcu byłam już prawie dorosła, doświadczona przez życie i nie mogłam funkcjonować pod czyjekolwiek dyktando, choćby życzył mi najlepiej na świecie. Musiałam coś wymyślić.

Aż w końcu wpadłam na genialny pomysł, który podsunęło mi samo życie.

Był bardzo gorący dzień. Słońce nie dawało spokoju od samego rana, prażąc niemiłosiernie. Obie z babcią nie potrafiłyśmy znaleźć sobie miejsca. W lodówce chłodziła się lemoniada. I dobrze, bo w starej wannie w ogrodzie woda chyba osiągnęła temperaturę ludzkiego ciała, więc o orzeźwiającej kąpieli można było zapomnieć. Podobnie jak o zapakowaniu w słoiki jabłek na zimę, co sobie zaplanowałyśmy.

I właśnie tamtego dnia w Chruśniaku pojawił się gość.

Zanim to jednak nastąpiło, od udanej (moim zdaniem), choć niefortunnej (zdaniem babci) imprezy minęło sporo czasu i pył bitewny trochę opadł. Próbowałam się nie narażać, kombinując, jak by tu przekonać babcię do swojego pomysłu na przyszłość. Nie chciałam zrobić jej przykrości, ale jednocześnie pragnęłam przeżyć kolejne lata zgodnie z tym, co grało mi w duszy. Przyczaiłam się zatem przed ostateczną rozmową. Chodziłam z babcią po zakupy, pomagałam jej w gotowaniu, wracałam zawsze na czas. I nie nadużywałam alkoholu, a raczej wcale go nie próbowałam.

Zmartwiło mnie, kiedy w sierpniu pojawił się temat powrotu do miasta.

– Marcelinko, może odświeżymy kuchnię? – Babcia zaczęła snuć plany.

– Ale po co? Przecież rodzice niedawno robili remont.

– Pan Wiesiek by ją przemalował, a my mogłybyśmy na ścianie naprzeciwko lodówki zawiesić półki, na których hodowałybyśmy zioła. Co

ty na to?

No cóż. Moje myśli krążyły wokół zgoła innych rozwiązań. Nie chciałam już mieszkać z babcią. Nawet jeśli ceną miałyby być wyprowadzka z rodzinnego domu. Potrzebowałam wolności.

– Babciu, a nie jest ci dobrze tu, na wsi? – zapytałam.

Wtedy usłyszałam pukanie do drzwi. W przedpokoju stanęła młoda kobieta.

Obie z babcią pomyślałyśmy zapewne o tym samym. W Chruśniaku często pojawiali się letnicy szukający kwatery, możliwości zakupu mleka prosto od krowy czy ekologicznych warzyw.

Babcia zaprosiła gościa do środka i poczęstowała lemoniadą. Zostałam z nimi na trochę, bez przekonania, ale kiedy rozmowa zesłała na interesujące tory, nastawiłam ucha.

– Pani Anastazjo, nazywam się Agnieszka Kwiatkowska i jestem nauczycielką wuefu – przedstawiła się kobieta. – I chciałabym porozmawiać o możliwości wynajęcia części pani domu.

Wow! Ta wizyta zakrawała na zrządzenie losu.

Pani Agnieszka reprezentowała fundację na rzecz dzieci niepełnosprawnych, która upatrzyła sobie Chruśniak, żeby stworzyć im tutaj miejsce na ziemi.

– Pani dom ma sporą przybudówkę – ciągnęła. – W sam raz na nasze potrzeby. I zdążyłam się już zorientować, że jego właścicielka, zdolna osoba, artystka...

W oczach babci pojawił się blask, który zgasł niemal natychmiast.

– O najmie mogę porozmawiać – oświadczyła. – Ale o moim udziale raczej nie. Mieszkamy z wnuczką w mieście.

Nie mogłam się nie wtrącić.

– Babciu, jesteś przecież zielarką, malarką! Potrafisz zrobić wszystko, co tylko zechcesz!

Do tematu powróciłam po odjeździe pani Agnieszki, która pożegnała się zadowolona, że podnajęcie części domu nie jest wykluczone.

– To wspaniały pomysł! – przekonywałam. – Mogłabyś wspomóc fundację swoją wiedzą i talentem. A przy okazji miałybyś dom na oku.

– A kto zajmowałby się tobą, kochanie? – odbiła piłeczkę.

– Daj spokój! Mam już prawie siedemnaście lat i sama potrafię się sobą zająć. Babciu, najgorsze minęło. – Przytuliłam ją. – Wierz mi. Mam dwie

koleżanki, które mieszkają w bursie, więc na pewno chętnie przeprowadzą się do mnie. Wpadnie nam trochę kasy na czynsz. Obiecuję, że dociągnę do matury i pójdę na studia! A ty wróć wreszcie do siebie i żyj, jak lubisz. Co ty na to?

Rozmarzenie w oczach wskazywało, że pomysł nie jest bez szans. Kułam żelazo, póki gorące.

– Ta pani Agnieszka zaproponowała ci całkiem dobrą kasę za najem. Zaufaj mi. Będę grzeczna – zapewniałam, nie spuszczać z babci wzroku.

I zaufała.

Od września zamieszkałam sama w mieście, odstąpiwszy dwa pokoje koleżankom z klasy, Aldonie i Sylwii. Babcia Anastazja podzieliła się domem w Chruśniaku z fundacją i zaangażowała się w jej działalność. Na początku próbowała mnie sprawdzać, wpadając znienacka, ale wkrótce, zobaczywszy, że wszystko jest w porządku, odpuściła.

Poczułam powiew wolności. I choć brakowało mi trochę domowych obiadków, szybko znalazłam bar, w którym zaspokajałam głód. Wprawdzie babcia raz po raz przywoziła mi słoiki pełne obiadowych smakołyków, ale nie zawsze chciało mi się je odgrzewać. Skrupulatnie chowałam je w spiżarni, by nie wpadły babci w oko w trakcie kolejnej wizyty. Wolałam hot doga ze sklepiku albo hamburgera.

Zaczynałam być panią samej siebie. Decydowałam o własnym losie.

Czasami wpadałam do mojej przyjaciółki Agnieszki na domowe pierogi albo schabowego z podsmażaną kapustą i ziemniakami z patelni. Były smaczne i przypominały mi dania z kuchni mojej mamy. Ale po takiej sentymentalnej wizycie zawsze zaliczałam doła. No bo to przecież cholernie niesprawiedliwe, że ja, niespełna siedemnastolatka, jestem sama!

Tak, miałam współlokatorki, ale one niczego nie rozumiały. Podobnie jak inni. Bo nie byli w mojej sytuacji.

Przeżyłam kolejny rok w szkole, na jałowym biegu, z fałszywym uśmiechem na ustach. Trochę się uczyłam, imprezując od czasu do czasu.

W marcu poznałam Damiana. Na imprezie, o której babcia nie miała pojęcia. Wokół mnie kręcili się też Alek i Miłek.

Przeżyłam swój drugi, trzeci czy czwarty raz, nie liczyłam. Było dobrze. Do czasu, kiedy mój organizm zaczął wysyłać niepokojące sygnały. W kolejnym miesiącu nie pojawiło się krwawienie.

Boże mój! – dotarło do mnie. Chyba jestem w ciąży!

Rozdział 8

Roma

po sesji 1995 roku

Sesję miałam za sobą już dwudziestego szóstego czerwca. Wprawdzie oceny nie powalały na kolana, ale liczyło się czyste konto i wolny wrzesień. Z poczuciem ulgi i dobrze spełnionego obowiązku mogłam hucznie poświętować w towarzystwie kilku lasek z roku.

Od akcji z Wilczyńskim, kiedy przez łóżko załatwiłam sobie praktyki w Magicu, przestałam być anonimowa. Wśród jednych miałam opinię przedsiębiorczej dziewczyny, która nie cofnie się przed niczym, by osiągnąć zamierzony cel, drudzy dyskretnie lub nie wytykali mnie palcami.

Szczerze powiedziawszy, nie byłam specjalnie dumna ze sposobu załatwienia praktyk, ale stało się. Nie zamierzałam publicznie bić się w pierś. W końcu nie ja pierwsza i nie ostatnia, no i nie poszłam do łóżka z byle kim. Nie zamierzałam również odbijać Ziemowita jego żonie ani szkodzić mu w jakikolwiek inny sposób.

W przekonaniu o niskiej szkodliwości czynu utwierdzała mnie Magda, z którą ostatnio zaczęło nam być po drodze. Podobnie jak ja była dziewczyną imprezową i czerpała z życia pełnymi garściami. Kiedyś przy kawie wyłożyła mi swoje credo.

– Jak świat światem mężczyźni sypiają z kobietami, a asystenci ze studentkami. Czy ten mały numerek wymagał od ciebie dużego poświęcenia?

Trochę pożałowałam, że wyjawiałam jej mój sekret, ale odparłam zgodnie z prawdą:

– No coś ty! Nawet miałam ochotę.

– Więc spójrz na to tak: dwoje dorosłych ludzi poszło z sobą do łóżka i było im dobrze. Bo było?

Przytaknęłam skinieniem głowy.

– Właśnie. A że przy okazji pan doktor się odwdzieczył? Nie wzięłaś od niego pieniędzy za seks, więc nie popełniłaś czynu prostytutki. A żona to jego problem. Przecież nie wiesz, jak układa się między nimi. Może ona też przyprawia mu rogi? Albo są w trakcie rozprawy rozwodowej? Laska, wyluzuj i pozbądź się wyrzutów sumienia!

Argumenty były przekonujące, ale wątpliwości nie chciały zniknąć.

– Najgorsze, że to stało się na imprezie, niemal na oczach tyłu ludzi...

Magda pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Tu cię boli! Ale olej to. Ludzie pogadają i się zamkną, a kolejny „skandal” – palcami zakreśliła w powietrzu cudzysłów – wyprze ten wasz mały incydent. Bo nie utrzymujesz już kontaktów z panem doktorem, mam rację?

Potwierdziłam.

– Zatem to by było na tyle. Biegnij na te praktyki w Magicu i niczym się nie przejmuj!

Nie ma to jak rozmowa z doświadczoną, trzeźwo myślącą, pragmatyczną koleżanką. Podniosła mnie na duchu, choć nie była w stanie mi pomóc w kwestii zakwaterowania na lipiec.

Gorączkowo szukałam lokum, bo czułam, że z moją gospodynią dłużej już nie wydołę.

Kiedy siedziałam przed dziekanatem, czekając na swoją kolej, i studiowałam oferty w gazecie, zagadał do mnie Włodek.

– Szukasz stancji? Mówiłaś, że od przyszłego roku masz akademik.

Zdumiona podniosłam oczy.

Nagle przypomniałam sobie, że był świadkiem moich pocałunków z Ziemowitem. I nabrałam podejrzeń, że to jego długi język przyczynił się do rozkolportowania informacji o tym wśród kolegów.

– Co cię to obchodzi? – warknęłam obcesowo. – Robisz za wydziałowego detektywa?

Chyba się obraził, bo wstał i zaczął nerwowo przechadzać się przed drzwiami dziekanatu.

Nie musiałam na to długo patrzeć, bo wyszedł przez nie poprzedni interesant. Zajęłam jego miejsce, odebrałam kartę praktyk. Opuszczając

korytarz, rzuciłam Włodkowi pogardliwe spojrzenie.

Nie zniechęciło go to w najmniejszym stopniu.

– Poczekaj na mnie chwilę. Chciałbym ci coś zaproponować – rzucił i zniknął w dziekanacie.

Prychnęłam pogardliwie i sobie poszłam.

Do rozpoczęcia praktyk pozostawało dziesięć dni, rodzice nalegali na mój przyjazd, a ja na gwałt musiałam załatwić sobie lokum. Czas naglił, ale kolejne stacje niewiele miały do zaoferowania. Nie licząc, oczywiście, wysokich opłat.

Byłam zde gustowana i zniechęcona. I właśnie w takim stanie ponownie natknęłam się na Włodka. Kiedy w pizzerii zlokalizowanej niedaleko wydziału oczekiwałam na zamówienie.

– Mogę się przysiąc? – zapytał i zanim odpowiedziałam, zajął miejsce naprzeciwko.

Było mi wszystko jedno. Człowiek ewidentnie za mną podążał, ale co tam. W końcu możemy zjeść pizzę przy jednym stole. Miałam na głowie poważniejszy problem niż jego śledcze zapędy.

– Zaliczamy kolejne przypadkowe spotkanie – stwierdziłam z przekąsem.

– Najwyraźniej uwzięło się na nas przeznaczenie.

– Roma, pozwól, że powiem wprost. – Włodek nie zwrócił uwagi na ten sarkazm. – Jeśli wciąż szukasz mieszkania na czas praktyk w Magicu, mogę ci je zaoferować. Próbuję od dłuższego czasu.

Czemu zawdzięczałam tę jego propozycję? Może myśli, że odwdzięczę się w naturze?

– Sama nie wiem... Jaka to miejscówka? – Wobec braku odpowiednich ofert wyraziłam zainteresowanie.

– W domu moich starszych. Wyjechali na kilka miesięcy za granicę i mogę ci odstąpić jeden pokój. Za darmo.

Najwyraźniej moja wątpliwa reputacja poprzedza mnie z transparentem głoszącym: „Należność płatna w łóżku”, pokiwałam głową.

– Wolałabym się rozliczyć – bąknęłam. – I żeby było jasne, żadnych takich!

– Jakich? – Włodek wydawał się zaskoczony.

– Do cholery, nie śpię z facetami interesownie! – uniosłam się. – Ani za kasę, ani za załatwianie spraw!

– Nie wiem, o czym mówisz! – zaprotestował.

Wiedział doskonale.

Dodałam dwa do dwóch, oceniłam korzyści i zaczęłam zadawać pytania.

– Podaj cenę za miesiąc – zażądałam.

– Możemy pojechać do domu nawet teraz. Żebyś nie mówiła, że proponuję ci kota w worku – mruknął.

– Dobra. Ale najpierw zjemy pizzę.

Włodek miał całkiem przyzwoity wóz. Nie znam się na markach, ale był sportowy, ze składanym dachem, nadzwyczaj przydatnym w to gorące, czerwcowe wczesne popołudnie. Zwłaszcza że nie było wiatru, a słońce prażyło niemiłosiernie.

Dojechaliśmy do willi na obrzeżach miasta. Muszę przyznać, że zrobiła na mnie wrażenie. Budynek w dużym ogrodzie, dojazd od bramy obsadzony potężnymi dębami. A w środku wystrój spod ręki dekoratora i ogólny przepych w dobrym guście.

– I ja miałabym tu zamieszkać? – roześmiałam się z niedowierzaniem.

Jakoś nie widziałam siebie w tej jaskini luksusu.

– Pokażę ci twój pokój. – Włodek zignorował tę uwagę i wskazał na schody.

Na piętrze ujrzałam ponaddwudziestometrową komnatę godną angielskiej rodziny królewskiej.

– Chyba żartujesz? – skomentowałam. – Nie stać mnie na coś takiego.

Nie odpuszczał.

– Dom urządzali rodzice – powiedział. – To nie moja bajka ani wina. A ty po prostu skorzystaj z dobrej propozycji i pomieszkaaj przez miesiąc na próbę. Rozmawiałem z nimi, nie mają nic przeciwko.

Wolałabym bardziej klarowny układ, ale koniec końców przestałam dyskutować. Wszak do tanga trzeba dwojga, więc raczej nic mi nie groziło. No i byłam w pilnej potrzebie.

Włodek pomógł mi przewieźć rzeczy, a wieczorem przygotował kolację, jakiej nie jadłam od dłuższego czasu. Odwykłam od sałatek, tarty z tuńczykiem i koreczków z wędzonym łososiem.

– Bardzo dobre. Wynałazłeś dobry catering – pochwaliłam.

Sprawiłam mu przykrość.

– Sam przygotowałem.

Miałam na końcu języka pytanie, dlaczego tak się stara, ale spojrzałam mu w oczy i zrozumiałam wszystko. Ten facet był chyba we mnie

zakochany. Albo przynajmniej mną zauroczony.

– Jeszcze wina? – zaproponował. – Mówiłem, z rodzinnej piwniczki.

Było wyjątkowo dobre.

– Poproszę. – Podsunęłam kieliszek.

Dom był imponujący, ale nie czułam się w nim swobodnie. Ja, mieszkanka blokowiska, nagle znalazłam się w arystokratycznym wnętrzu. Lecz Włodek był całkiem normalnym, skromnym facetem. Kulturalnym, potrafiącym gotować. No i przede wszystkim zrobił dużo, żeby się do mnie zbliżyć. Jak nikt przed nim.

Na tle Marcina i jego aborcyjnej tabletki, potem innych kolegów na jedną noc, wreszcie Ziemowita, cud- -faceta, który wprawdzie podniósł mi ego, bo nie leciał na wszystkie laski po kolei, ale przy mojej aktywnej pomocy po prostu zaspokoił swoją potrzebę, Włodek wydawał się inny.

– Musimy ustalić wysokość czynszu. – Oprzytomniałam. – I dograć szczegóły. Wiem, że i tak się nie wypłacę za te luksusy, ale chociaż będę mieć spokojniejsze sumienie.

– Trzysta złotych – powiedział szybko. – Jeśli już koniecznie musisz...

– Muszę. I dziękuję ci bardzo za propozycję, bo rzeczywiście miałam problem. Postaram się być niekłopotliwa.

– Nie będziesz – wyszeptał.

Czyżby zaczynał mi się podobać?

Rozgościłam się w pokoju na piętrze.

„Przez miesiąc będę mieć z okna widok na ogród w stylu angielskim i jezioro czy stawik z kwitnącymi nenufarami”, poinformowałam Magdę esemesem. Oczywiście załączyłam zdjęcie.

„Bosko! Laska, ty to masz fart! Sama bym się przeniosła do tej krainy czarów. Kto by pomyślał, że z Włodzia taki arystokrata? Gdybym wiedziała, sama bym się za niego zabrała”, przyszła odpowiedź.

„Ja tylko wynajmuję u niego pokój. Przez najbliższy miesiąc”, odpisałam stanowczo.

„Oczywiście, ale życie lubi sprawiać niespodzianki. Wszystkiego najlepszego z twoim królewiczem!”

Niczego nie rozumiała.

Następnego dnia włożyłam elegancką garsonkę i powędrowałam do wymarzonej agencji Magic.

Zanim przyjęła mnie szefowa, odczekałam swoje w sekretariacie, ale wreszcie zostałam zaproszona do gabinetu. Przywitała mnie superelegancka babka w garniturku, o jakim mogłam tylko pomarzyć. Szczupła, piękna, młoda kobieta, jak wycięta z żurnala, mimo swoich, na oko, czterdziestu lat.

– Pani Roma Rydel, o ile się nie mylę? – Podała mi smukłą dłoń.

Straciłam cały rezon.

– Tak. To ja – odparłam cicho.

– Antonina Wilczyńska – przedstawiła się.

Byłabym idiotką, gdybym nie skojarzyła nazwisk. Pozostawała nadzieja, że to siostra Ziemowita.

Została rozwiana natychmiast.

– Mąż wspominał mi o pani i panią polecał. – Spojrzała na mnie z uśmiechem. – Mam nadzieję, że się dogadamy – dodała. Zamówiła u sekretarki dwie kawy. – Cukier, śmietanka?

Uśmiech nie schodził z ust pani prezes, a ja z każdą chwilą byłam coraz bardziej zażenowana. Nie dalej jak kilka dni temu przespałam się z jej mężem, tymczasem ona przyjmuje mnie z otwartymi ramionami. Jaką trzeba być suką, żeby zrobić takie świństwo drugiej kobiecie? – w duchu biłam się w pierś.

Przez moment chciałam nawet wyjść i zrezygnować z praktyki. Ale jakąś musiałam odbyć, a na zorganizowanie podobnej było już za późno.

– Nie słodzę. Za śmietankę też dziękuję – wykrztusiłam. – A przede wszystkim jestem pani wdzięczna, że mnie pani przyjęła – dodałam.

– Mów mi Antonina. – Ponownie wyciągnęła do mnie dłoń. – Zaraz zapoznam cię z programem praktyk.

Czułam się fatalnie, ale musiałam brnąć w to bagno.

Rozdział 9

Marcelina

marzec 2007 roku

Wiedziałam, że najprościej jest sprawdzić moje podejrzenia za pomocą testu. Niestety, wykonanie okazało się ponad moje siły. Po pierwsze, panicznie obawiałam się pozytywnego wyniku, po drugie, sama myśl, by pójść do apteki i poprosić o test, przyprawiała mnie o mdłości.

Oczami wyobraźni widziałam karcące spojrzenie farmaceutki, która będzie realizować zamówienie dziewczyny o wyglądzie czternastolatki. Niestety, po mamie odziedziczyłam delikatną urodę i powierzchowność dziecka.

Samopoczucia nie poprawiał mi fakt, że po mieszkaniu kręciły się Aldona i Sylwia. Były świadkami moich porannych wymiotów i ogólnie złej kondycji. A że wszystkie osiągnęłyśmy już pełnoletność, więc zapewne domyślały się ich przyczyny. Na szczęście dyskrecja nie pozwalała im zadawać pytań.

Biłam się z myślami, co robić, aż w pewnym momencie ciężar stał się nie do zniesienia. Postanowiłam podzielić się sekretem z Aliną.

Zaprosiłam ją do herbaciarni.

– Dają tu wino? – zapytała, gdy ulokowałyśmy się przy stoliku.

– Niestety. Zresztą chcę tylko pogadać – odparłam.

Jej reakcja mnie zaskoczyła.

– Nie masz ochoty na kieliszek wina? Jesteś w ciąży?

Czyżby to było aż tak widoczne?

– Nie wiem, Ala. Mam straszliwy problem. Okres mi się spóźnia, źle się czuję, nie wiem, co robić. – Spuściłam głowę, żeby ukryć rozpacz.

– Jezus Maria, ja tylko tak sobie powiedziałam! Robiłaś test?

– Jeszcze nie. Próbuję ci powiedzieć, że wstydzę się pójść do apteki...

– Ja to zrobię. A ty tymczasem zamów herbatę. – Alina wstała energicznie i zanim zdążyłam ją powstrzymać, skierowała kroki do wyjścia. Po chwili była z powrotem. W dłoni trzymała niewielkie pudełeczko prawdy. – Wiesz, jak to zrobić?

Pokręciłam przecząco głową.

– Nasikaj na niego po nocy. Mają być dwie kreseczki... No, sama wiesz, co to oznacza.

Spojrzałam na ten probierz mojej głupoty i rozpaczę. Byłam niemal pewna, co zobaczę kolejnego poranka. Już dawno przestałam wierzyć w cuda.

– Dziękuję, że go kupiłaś – wyszeptałam. – Nie byłabym w stanie...

Alina, nie spuszczać mnie z oka, przejęła od kelnerki herbatę.

– Marcela, z kim ci się to przydarzyło? – zapytała.

Co miałam odpowiedzieć? Z Damianem, Alkiem, Miłkiem? Skąd miałam wiedzieć?

– Nie mam pojęcia, Ala. – Zdobyłam się na szczerość. – Chyba Damian...

– Masz wątpliwości?! – Przerazona aż podniosła głos.

– ...

– Nieźle namieszałaś. Mówiłaś już babci? – Alina dotknęła tematu, który od siebie odpychałam.

– Jeszcze nie. I w ogóle nie wiem, czy powiem kiedykolwiek. Może jednak nie jestem w ciąży? – podzieliłam się nagłą nadzieją.

– Sprawdź. I nie martw się. W razie czego coś zaradzimy.

Zgodnie z oczekiwaniami poranek przyniósł złe wiadomości. W obszarze kontrolnym widniały dwie czerwone kreski, które nie pozostawiały wątpliwości. Byłam w odmiennym stanie.

– Niestety – mruknęłam do Aliny w szkole. – Nie mam pojęcia, jak napiszę dzisiejszy sprawdzian z matmy. Kompletna plaża w głowie.

Zważywszy na okoliczności, klasówka poszła mi całkiem nieźle. Mocna trójka zapewniła mi święty spokój na jakiś czas.

Tydzień przed Wielkanocą nauczyciele dostali amoku. Czułam przez skórę, że nie mogę zrobić sobie tyłów, więc ślęczałam nad książkami. Na tyle, na ile pozwalał mi organizm. Babcia często dzwoniła, chwając sobie zarówno nowych lokatorów, jak i pracę w fundacji. Jak przed każdymi

świętami ucieszona i stęskniona do naszego bliskiego spotkania. Ja, mająca w zanadrzu hiobowe wieści, wręcz przeciwnie.

Zdawałam sobie sprawę, że wielkimi krokami nadchodzi czas prawdy, kompromitacji i wstydu. Zawiodłam jedyną bliską mi osobę. I nie miałam nic na swoje usprawiedliwienie.

Na szczęście u boku miałam Alinę. No i jakimś cudem w sytuacji nie zorientowały się moje współlokatorki. Na razie sensacja pozostawała w ukryciu.

Dwa dni przed świętami zebrałam manatki i wyjechałam do Chruśniaka. Babcia i upieczone mazurki już czekały. Przywitałyśmy się serdecznie. Pełny stół zwiastował wcześniejsze zakończenie postu.

– Jedz, kochanie. Jesteś tak wychudzona, że aż przykro patrzeć. – Babcia podsuwała mi kolejne smakołyki, na których widok ogarniały mnie mdłości.

Skubnęłam odrobinę ryby w galarecie i sałatki z majonezem, dziękując Opatrzności, że nie zostałam uraczona białą kielbasą z podsmażaną kapustą i aromatycznym żurkiem.

– Na tym miejskim skurczył ci się żołądek! – pomstowała babcia. – Boże mój, chyba tam z tobą pojedę po świętach i dopilnuję, żebyś nie zmarniała do końca!

Tajemnica ciążyła mi niesamowicie, ale nie znajdowałam odpowiedniej chwili na jej ujawnienie. Zresztą miałam nadzieję na tłumną imprezę, z obecnością sąsiadów z fundacji, z którymi babcia bardzo się zżyła, albo przynajmniej dalszej rodziny. Jedna babcina kuzynka mieszkała pod czeską granicą, druga w Borach Tucholskich i nie utrzymywałyśmy z nimi kontaktów, ale przez głowę przemknęło mi ich odnowienie. Większe grono gości to mniejsze prawdopodobieństwo śledztwa.

A ja bałam się konfrontacji.

Pierwszego dnia świąt nie potrafiłam dospać. Słyszałam babcię Anastazję krzątającą się po kuchni i przygotowującą stół do śniadania. Oczami wyobraźni widziałam faszerowane jajka, żurek, białą kielbasę i obowiązkową sałatkę warzywną z majonezem, porozstawiane wszędzie malowane jajka i woskowe baranki. Na pewno nie zabraknie pieczeni rzymskiej z jajkiem, gotowanej szynki, o mazurkach i serniku nie wspominając. I specjalnie dla mnie wyczarowanej waniliowej passze z bakaliami.

Powinna mnie cieszyć ta próba powrotu do normalności, jednak wystarczyło pomyśleć o skosztowaniu kompletu przygotowanych z serca smacznosci, by organizm zaprotestował.

Prawda uwierała mnie coraz bardziej.

– To dla ciebie, kochanie. – Przed śniadaniem babcia wręczyła mi torebkę z prezentem.

Dostałam pierścionek ze szmaragdem, po mamie, i kilka książek.

Ja miałam dla niej kilka motków wełny do kilimów, ostatniej babcinej pasji. Nie dość, że opanowała trudną sztukę tkania na należących do fundacji krosnach, to jeszcze uczyła innych.

– Dziękuję, kochana! – Babci aż zaszklily się oczy. – Jesteś najlepszą wnuczką na świecie. – Objęła mnie ramieniem. – Oby życie wynagrodziło ci wszystkie krzywdy, Marcelinko.

Odebrało mi mowę.

Przy kolacji babcia spojrzęła z niepokojem.

– Powiesz mi, co cię trępi? – zapytała.

Odruchowo skinęłam głową.

– A zatem?

Łzy popłynęły same, a w ślad za nimi moje gardło z trudem opuściło pojedyncze zdanie.

– Jestem w ciąży.

Wbiłam wzrok w podłogę. Nie śmiałam podnieść wzroku. Ale kiedy wreszcie opanowałam wstyd, dostrzegłam wpatrzoną we mnie parę zdumionych i zmęczonych oczu.

Moja niespełna siedemdziesięcioletnia babcia zawsze wydawała mi się młoda, energiczna i pełna werwy. Teraz wreszcie dostrzegłam na jej twarzy upływ czasu.

A przede wszystkim niesamowity zawód, którego byłam sprawczynią.

Najchętniej zapadłabym się pod ziemię. Żeby chociaż się odezwała, pokrzyczała, ochrzaniła mnie, ale nie. Po prostu siedziała, taka bezbronna.

– Nie chciałam – wyszeptęłam przez łzy. – Tak mi przykro...

Babcia długo zbierała siły. Wydawało mi się, że przez wieczność.

Jej pierwsze słowa dotyczyły mojej kondycji.

– Jak się czujesz?

– Różnie – odparłam.

– Domyślam się. Od kiedy wiesz?

– Od tygodnia.

– Rozumiem.

W pewnym momencie babcia wstała i podeszła do kominka. Odwrócona do mnie plecami przemówiła do ustawionych na półeczce zdjęć rodziców.

– Przepraszam was, że nie dopilnowałam Marcelinki. Nie powinnam zostawiać jej samej sobie. Wybaczcie. I ty też mi wybacz, wnusiu – zwróciła się do mnie.

Spojrzałam zdezorientowana. To raczej ja powinnam się tłumaczyć.

– Babciu, ja nie chciałam. – Podeszłam, licząc, że mnie przytuli.

Stała nieruchomo.

– Cóż, kochanie – wyszeptała. – To niezbyt odpowiedni moment na ciążę, ale co zrobić? Na razie nie mam pojęcia, co powiedzieć, poza tym, że sobie poradzimy. To znaczy ty i ojciec dziecka, a ja wam pomogę. Nie mamy innego wyjścia. Zresztą po części to moja wina... Kto jeszcze wie? – zapytała.

– Tylko Alina. Aldona i Sylwia mogą się domyślać, ale nie mają pewności.

– Czy możesz mi zdradzić, kochanie, jak do tego doszło?

Puściły mi nerwy, więc zeznałam jak na spowiedzi: o potrzebie odreagowania śmierci rodziców i samotności, o wszystkich chłopakach, z którymi sypiałam na imprezach, wreszcie o swoim lęku, co dalej.

Babcia słuchała uważnie. Przeżywała każde moje słowo. W jej oczach widziałam współczujące spojrzenie i powoli nabierałam nadziei, że jeszcze nie zaprzepąściłam swojego życia.

Rozdział 10

Roma

lipiec 1995 roku

I jak ci minął pierwszy dzień na praktykach? – przywitał mnie Włodek pytaniem. – Zaraz przyjedzie pizza. Zamówiłem hawajską i capricciosę.

– Skąd wiedziałeś, że wrócę zaraz po pracy?

Uśmiechnął się szeroko i rozłożył ręce.

– Miałem taką nadzieję. Dobrze trafiłem ze smakami?

Było mi wszystko jedno, ale odpowiedziałam twierdząco, żeby nie sprawiać wrażenia niewdzięcznicy. Niezły galop, który zafundowała mi pani Wilczyńska pierwszego dnia praktyk, zwyczajnie mnie wykończył. Albo miała zwyczaj rzucania młodych na głęboką wodę, albo doszły do niej słuchy o moich łózkowych wyczynach z jej mężem. Tak czy owak, zostałam przeczołgana.

Pod pretekstem umycia rąk powędrowałam do siebie z postanowieniem zadzwonienia do rodziców, za którymi nagle zatęskniłam.

Jakie licho mnie pognało do tego cholernego Magica? – dumalam po drodze. Mogłam sobie spokojnie siedzieć w domu, udawać, że pracuję w biurze nieruchomości wujka Kornela, przyjaciela taty, wieczorami pogadać z rodzicami, wypić z nimi kieliszek wina, a w weekendy odwiedzić stryja Stefana w jego domku nad jeziorem, który wybudował z bali niedaleko miasta. A nawet, jak mawiał, „zamoczyć kija” i wyciągnąć kilka płotek albo nawet okonków, które mama przygotowałyby na kolację w chrupiącej panierce.

Bliźniaczy brat taty był uroczym kompanem, a rybom nie przeszkadzało, kiedy wprowadzał mnie w arkana wiedzy o florze i faunie jeziora, którą zresztą jako biolog zajmował się na co dzień. Tato pracował w sąsiedniej

katedrze ornitologii, ale obaj żartowali, że choć podobieństwa się nie wyprą, nie mogliby zastąpić się na zajęciach. Tato nie lubił wędkować, stryj Stefan „od lornetki i liczenia ptasich ogonów”, jak to określał, dostawał wysypki.

Niemniej w swoim towarzystwie zawsze czuli się znakomicie, a stryjek był mile widzianym gościem w naszym domu, co skrzętnie wykorzystywał. Zwłaszcza w niedziele, kiedy stołówki były nieczynne, a do mieszania w garach mu się nie śpieszyło. Zaglądał do nas, gdy kawalerski żołądek zaczynał przyrastać mu do kręgosłupa.

– Anielka przecież świetnie gotuje i zawsze ponad miarę – mawiał. – Więc taki chudziaczek jak ja może uszczknąć sobie co nieco.

Ten „chudziaczek” był stukilowym postawnym facetem.

Tęskniłam za nimi wszystkimi.

Umyłam ręce i przysiadłam na brzeżku ogromnego łoża przykrytego atlasową narzutą, jednak na widok zagniecenia, jakie zrobiłam, szybko wstałam i wyrównałam je dłonią. Sięgnęłam po telefon.

– Cześć, to ja! – ucieszyłam się, usłyszawszy głos taty. Ale co miałam mu odpowiedzieć na pytanie, jak w pracy i czy u mnie wszystko dobrze? – U mnie wspaniale, a w pracy znakomicie – skłamałam. – Znalazłam dobrą stancję, mam niezły dojazd, tylko dwie przesiadki. A w sierpniu przyjadę do domu – obiecałam, bardziej sobie niż jemu.

– Sądziliśmy, że spędzimy ten miesiąc wszyscy razem, więc wykupiliśmy dwutygodniową wycieczkę do Włoch dla naszej trójki, ale nie miej wyrzutów sumienia. Dzisiaj mama oddała twój bilet i jedziemy sami. Najważniejsze, że się spełniasz – powiedział tato. – Jesteśmy dumni, że dostałaś się do renomowanej agencji, i trzymamy kciuki. Było trudno, ale wreszcie przyjęliśmy do wiadomości prosty fakt, córeczko. Że nasza mała Roma decyduje o sobie.

Omam nie zemdlalam. Moglam zwiedzac Wlochy, a tymczasem na własna prosbę ugrzęzłam w Magicu, w firmie żony Ziemowita Wilczyńskiego. Gdybym wiedziała wcześniej...

– A gdzie będziecie we Włoszech? – Rozdrapywałam ranę.

– To taka wycieczka objazdowo-rekreacyjna. Wenecja, Toskania, Rzym. Ale co ci będę dokuczał. Zorganizujemy sobie równie ciekawą w przyszłym roku.

Przełknęłam gorzką pigułkę i pożyczyłam rodzicom wspaniałej wyprawy. Należała się im, dawno nigdzie nie byli tylko we dwoje.

Kiedy zesłam na dół, Włodek wyjmował pizzę z piekarnika.

– Musiałem potrzymać w cieple, by całkiem nie ostygła.

– Przepraszam, rozmawiałam z tatą – odparłam. Myślami wciąż jeszcze byłam w rodzinnym domu.

Mimo wysiłków gospodarza nie odzyskałam dobrego humoru. Jednak nie byłam już dzieckiem, więc musiałam zapomnieć o lodach, które mnie ominęły. Następnego dnia w gotowości stawiałam się w agencji. A właściwie zostałam podwieszona.

– Nie czekaj na mnie dziś z pizzą ani żadnym innym obiadem – poprosiłam na pożegnanie. – Jestem ci bardzo wdzięczna, ale twoja troskliwość mnie krępuje.

Szefowa przeczyłała mi po raz kolejny. Przygotowała do przerobienia furę papierów i potężną listę klientów do obdzwonienia. Najwyraźniej na spotkania z klientami i pokazywanie im lokali, niewątpliwie najjaśniejszą stroną tego zawodu, musiałam jeszcze poczekać.

Nie uszło mojej uwagi, że pozostali praktykanci mieli więcej luzu, a szefowa służyła im uwagą i radą. Mnie traktowała inaczej.

– Magda, ona chyba wie o mnie i Ziemowicie – powiedziałam do przyjaciółki. – Niby jest w porządku, ale wyczuwam fałsz.

Zbagatelizowała moje obawy.

– Może widzi w tobie potencjał i pogania, żebyś pokazała swoje możliwości?

Argument jakoś nie trafił mi do przekonania.

Naprawdę się starałam. Każdego dnia wracałam zmordowana, jak gdybym przerzuciła hałdę żużlu. Siedziałam przez chwilę z Włodkiem i czasami udawało się nam nawet wypić po kieliszku wina. Ale potem po prostu padałam na łóżko, nie bacząc na nienaganną narzutę.

Po tygodniu sytuacja się nieco zmieniła – byłam do pracy odwożona i z niej przywożona. Włodek praktykował w agencji na starówce, niedaleko mnie; kończyliśmy o podobnej godzinie. Czasami wpadliśmy na jedzenie do baru, jednak częściej robiliśmy zakupy i pichciliśmy w domu proste dania.

Było miło, a Włodek był uroczy. Lubiłam jego zainteresowanie moją osobą i byłam wdzięczna za wszystko, co dla mnie robi. Przyjął mnie pod

swój dach, robił za taksówkarza, dbał, żebym się właściwie odżywiała. Nawet mi się podobał, ale do motyli w brzuchu było daleko.

Tamtego dnia trafiłam do firmy jak zawsze, kilka minut przed ósmą. Lubiłam mieć trochę czasu na rozłożenie papierów na biurku przed przyjściem szefowej. Już prawie przywykłam do codziennego drylu. Okazało się, że całkiem ładnie ogarniam tematy, a nawet odnoszę drobne sukcesy.

Pewnego razu przyprowadziłam klienta, a kolejnego skłoniłam do zakupu mieszkania. Agencja przytuliła ładnych parę groszy.

– Chyba będzie premia! – rozemocjonowana zadzwoniłam do Magdy, która akurat odpoczywała w negliżu nad Bałtykiem.

– Czym sobie zasłużyłaś? – zapytała.

– Mój klient pozwolił nam zarobić dwadzieścia pięć tysięcy! – zdradziłam firmową tajemnicę.

– No, no, no! – mlasnęła z uznaniem. – Ale właśnie wsiadam na skuter wodny z bardzo fajnym facetem, więc do usłyszenia.

Przerzuciłam raz jeszcze dokumenty transakcji i zadowolona odetchnęłam głęboko. Będą jeszcze z ciebie ludzie, Roma, pogratulowałam sobie, oczami wyobraźni widząc zadowolenie szefowej.

Nic dziwnego, że kiedy pojawiła się godzinę później i przez sekretarkę wezwała mnie do siebie, pognałam jak na skrzydłach, z piersią wypiętą pod order.

– Siadaj, Roma. Musimy porozmawiać. – Wilczyńska władczym gestem wskazała mi fotel.

Nie tak wyobrażałam sobie chwałę.

– Co to jest? – Na stoliku wylądowała sterta papierów.

Zerknęłam. Dotyczyły transakcji sprzedaży kilku działek pod miastem.

– Chodzi o spółdzielnię, która chce sprzedać teren – odparłam.

Szefowa spojrzała na mnie groźnie.

– Chciała. I sprzedała, tyle że nie przez naszą agencję. Bo-z-na-szej-stro-ny-nie-by-ło-za-in-te-re-so-wa-nia – przesylabizowała.

– Ale jakim cudem? Przecież nie dalej jak wczoraj rozmawiałam z właścicielem terenu i wszystko było w porządku. Miałam go skontaktować z firmą Artbud, potencjalnym klientem...

– Miałaś, ale tego nie zrobiłaś – wycedziła Wilczyńska. – Klient zawarł transakcję przez inne biuro. Zdajesz sobie sprawę z naszej straty? Działki

pod nowe inwestycje są warte miliony. Chyba nie muszę ci wyliczać kwoty naszej trzyipółprocentowej prowizji, którą właśnie straciliśmy przez twoje zaniedbanie?

– Zrobiłam to! – zawołałam. – Zadzwoiłam do właściciela i klienta i ich skontaktowałam!

Byłam przerażona.

– Możesz to udowodnić?

Zdałam sobie sprawę, że zadzwoniłam z telefonu stacjonarnego.

– Roma, zaprzepaściłaś kontrakt na grube tysiące – usłyszałam. – Może zrobiłam głupio, że zaufałam twoim kompetencjom, ale sądziłam, że studentka polecona przez mojego męża na to zasługuje.

Co ona sugerowała? Czego chciała? Naprawdę nie pokpiłam tego kontraktu, a nawet się do niego przyłożyłam. Bardzo starannie.

W oczach szefowej dostrzegłam mróz i domyśliłam się, co za chwilę usłyszę.

– Pani Rydel, w tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak panią zwolnić. I poradzić, by w przyszłości szła pani przez życie uczciwie, a nie przez łóżka wykładowców.

Powiedzieć, że poczułam się, jak gdyby ktoś dał mi w pysk, to jakby nic nie powiedzieć. Czułam się podle, bo zawiniłam. Wilczyńska potraktowała mnie podle, ale miała do tego prawo.

Wyszłam z jej gabinetu, zebrałam papiery z biurka i gestem pożegnałam się z kolegami, ignorując pytania.

Z Włodkiem też nie miałam ochoty rozmawiać.

Najbliższy pociąg do domu odchodził o czternastej. Do tej pory musiałam dojechać po rzeczy, spakować się i trafić na dworzec.

Po wszystkim wezwałam taksówkę.

– Gorąco dzisiaj – próbował zagadywać kierowca.

– Tak – odparłam machinalnie, zapatrzona w okno.

Nawet bardzo gorąco, stwierdziłam w duchu. Właśnie wyrzucono mnie z praktyk, przez które ominęła mnie wycieczka do Włoch. A bez nich nie zaliczę roku, pokiwałam głową.

Czułam palący wstyd. A na dodatek nie miałam pojęcia, co ze sobą zrobić.

W pociągu, mimo znużenia, nie mogłam zasnąć.

Włodek, nie zastawszy mnie przed agencją, zapytał esemesowo, gdzie jestem. Próbował zanęcić mnie dobrą tartą w nowo odkrytej knajpie.

„Jadę do domu”, odpisałam. „I proszę, nie dzwoń do mnie. Odezwę się. R.”

Rozdział 11

Marcelina

od czerwca do grudnia 2007 roku

Byłam ogromnie wdzięczna babci za jej reakcję na moją nieszczęsną ciążę. Zrzuciłam z siebie balast, poczułam się pewniej i bezpieczniej. Swoją tajemnicę dzieliłam z najbliższą mi osobą. W dodatku z taką, która nie wylała na mnie wiadra pomyj, ale wyciągnęła pomocną dłoń.

Po pierwszych emocjach nadszedł czas na poważne rozmowy i planowanie najbliższej przyszłości.

Przy śniadaniu w lany poniedziałek babcia przedstawiła swój punkt widzenia. Chyba nie spała całą noc, żeby wszystko ułożyć sobie w głowie.

– Będiesz jeszcze coś jadła? – zapytała, gotowa zebrać naczynia po posiłku.

Poderwałam się z miejsca, żeby jej pomóc.

Wróciłyśmy do stołu z kawą i ciastem, na które zupełnie nie miałam ochoty. I tak się niezłe namęczyłam, udając, że jem konkrety. Poranne nudności trzymały się niezłe.

– Musimy porozmawiać, co dalej – usłyszałam. – Przemyślałam całą sytuację, Marcelinko. Chcesz usłyszeć, jak to widzę?

Czy chciałam? Nie mogłam się doczekać!

Skinęłam głową i zamieniłam się w słuch.

– Kochanie, wiesz, że informacja o ciąży była dla mnie ogromnym zaskoczeniem. Przyznaję, że nie najprzyjemniejszym. Oczywiście wyłącznie z uwagi na twoją szkołę, bo przecież masz już osiemnaście lat i w świetle prawa jesteś dorosła. Ale musisz skończyć drugą klasę liceum, że nie wspomnę o trzeciej, złożeniu matury i studiach. Na szczęście mam jeszcze sporo sił i pomogę ci przy dziecku. Mam nadzieję, że zdrowie

pozwoli mi zająć się nim przynajmniej do końca twojej edukacji. Małe może być u mnie lub jeśli zechcesz mieć je przy sobie, przeprowadzę się do miasta. Chociaż w Chruśniaku jest lepsze powietrze...

Słuchałam, ale nie podzielałam tej wizji. Przerwałam, zanim babcia zaplanowała nam kolejnych kilka lat.

– A skąd wiesz, że zamierzam urodzić to dziecko?

– Nie rozumiem...

– Czego nie rozumiesz? – Odzyskałam ostrość widzenia i dostrzegłam szansę na pozbycie się problemu, której do tej pory nie brałam pod uwagę. Aborcję. – Wyobrażasz sobie, że będę z brzuchem chodzić do szkoły? Zanim zajęłabyś się dzieckiem, najpierw musiałabym je urodzić. Nie chcę być wytykana palcami i poniżana. Nastolatki w ciąży traktuje się jak patologię. A poza wszystkim jestem za młoda na dziecko.

– Jak widać, nie jesteś, skoro zaszłaś w ciążę – odparła babcia surowo. – Dałaś życie, musisz ponieść za nie odpowiedzialność. Kochanie, rozumiem, że stało się to niezależnie od waszej woli, twojej i tego chłopaka. Przykro mi, wnusiu, ale mimo młodego wieku jesteś matką nienarodzonego dziecka. A twój partner, którego powinnaś zidentyfikować, jego ojcem.

Boże mój, takie straszne rzeczy! Musiałam być stanowcza.

– Nie-chcę-te-go-dziec-ka – przesyłabizowałam podniesionym tonem. – I nie będę poszukiwać chłopaka, z którym zaszłam w ciążę. Wtedy dopiero rozniosłoby się po szkole! Młoda Koryncka to ladacznica, która sypia z kim popadnie!

Babcia spiorunowała mnie spojrzeniem.

– To ty powiedziałaś – odparła. – Nie wychodź! – Złapała mnie za rękaw, gdy wstałam.

Nie miałam ani pieniędzy na aborcję, ani pojęcia, jak się do tego zabrać. Bez pomocy babci pomysł spali na panewce. Opadłam na kanapę z nadzieją, że uda mi się ją przekabacić i wyciągnąć od niej kasę na zabieg.

– Przepraszam, Marcelinko – powiedziała. – Mnie też ponoszą nerwy. Czasami wymknie mi się jakieś niewłaściwe słowo.

Jeśli zrobię aborcję, ciągnęła, być może już nigdy nie zajdę w ciążę. Że mama po moich narodzinach wielokrotnie próbowała i się nie udało, że wielu osobom nigdy nie jest dany cud narodzin. Że w każdej sytuacji można sobie poradzić, zwłaszcza przy jej pomocy.

Ostatni argument zwałił mnie z nóg.

– Co prawda Gabrysia i Antoni nigdy nie poznają swojej wnuczki czy wnuka, ale może ty odnajdziesz w dziecku jakieś ich cechy? Chcesz pozbać się tej możliwości?

Przytłoczona i opanowana nagłą tęsknotą za rodzicami, uciekłam z pokoju, żeby się wypłakać. Wróciłam po godzinie niespokojnego snu, w który zapadłam zmęczona. I z decyzją.

– Dobrze. Urodzę, ale do szkoły nie wrócę.

Babcia nie byłaby sobą, gdyby nie postawiła na swoim także w tej kwestii.

– Do końca roku szkolnego ciąża nie będzie jeszcze widoczna. I naprawdę lepiej będzie, jeśli skończysz drugą klasę przed porodem.

Następnego dnia zaprowadziła mnie do ginekologa, który potwierdził czterotygodniową ciążę.

– Z arytmetyki wynika, że urodzi pani w Wigilię! – Aż się roześmiał. – Oczywiście proszę nie traktować tego terminu dosłownie, a jedynie plus minus. Na tym etapie nie jestem w stanie określić płci dziecka, więc Adam albo Ewa – zarechotał. – Najważniejsze, że ciąża jest w absolutnym porządku.

Cóż było robić? Wróciłam do szkoły, a babcia odpuściła mi identyfikację szczęśliwego tatusia. Zwierzyłam się tylko Alinie.

– Tylko błagam, ani słowa rodzicom! – Zobowiązałam przyjaciółkę do trzymania języka za zębami.

– Dobra. Będzie, jak sobie życzysz.

Jakoś przetrwałam do końca roku szkolnego, nieustannie obserwując swój brzuch. Na moje szczęście wcale nie rósł. Nudności odpuściły, czułam się dobrze, mogłam normalnie ćwiczyć na wuefie. Nawet przyłożyłam się do nauki, mimo że chwilowo miałam zakończyć edukację na przedostatniej klasie liceum. Co tam, stracę rok, ale wrócę w kolejnym. Oczywiście zaocznie.

Wprawdzie przerażała mnie myśl o porodzie, ale opieka nad noworodkiem nie wydawała mi się już tak straszna. Miałam u boku babcię.

Po zakończeniu roku szkolnego zjechałam do Chruśniaka.

Wcześniej babcia wypisała mnie ze szkoły, ujawniwszy powód jedynie dyrektorce, z prośbą o dyskrecję. Wypowiedziałam najem Aldonie i Sylwii, które i tak miały dołączyć do swoich rodzin na wakacje. Zamierzałyśmy z babcią wynająć pokoje komuś obcemu.

W Chruśniaku poznałam pracowników fundacji wynajmującej od babci przybudówkę: szefową, panią Kornelię, nauczycielkę wufu, młodą i fajną, niewiele ode mnie starszą Agnieszkę Kwiatkowską i kilkoro innych.

Pod koniec wakacji przestała ukrywać mój stan, ale nowym znajomym chyba to nie przeszkadzało. A rodzice podopiecznych fundacji, niepełnosprawnych dzieci, mieli własne problemy.

Wśród nich czułam się dobrze.

Babcia angażowała się w tę społeczność i już nie tylko tknęła kilimy, ale i zadzierzgnęła bliskie kontakty z maluchami, które pod jej okiem lepiły garnki, malowały na starych prześcieradłach czy na szkle. Miałam pewność, że moje dziecko będzie się chować w przyjaznej atmosferze, wśród dobrych ludzi, przyrody i czystego powietrza. A ja wróczę do miasta, skończę szkołę, może nawet pomyślę o studiach, fantazjowałam.

Bolesne wspomnienia dopadały mnie już tylko czasami, kiedy jechałam do domu, gdzie przeglądałam rzeczy po rodzicach. Kartki z podróży pisane ich ręką, drobiazgi zwożone z całego świata. Dotykałam ulubionego kubka taty, koca mamy, pod którym zawsze drzemała po obiedzie, odczytywałam jakieś notatki, krótkie, do tej pory niezdjęte, przypięte do lodówki liściki. „Pamiętaj o dzisiejszej wizycie Andrzejczaków. Kup wino. Kocham cię, Gabi”. I odpowiedź taty: „Ja ciebie też”.

Odpadałam na ich widok. I miałam wyrzuty sumienia, że tą swoją ciężą zbrukałam pamięć o rodzicach.

Ale mleko już się wylało. A ja musiałam zajrzeć do każdej szuflady, przepatrzeć szafy, komódki, pawlacze i podjąć decyzję, co zrobić z ich zawartością.

Znalezisko w postaci biletów samolotowych na Malte i vouchera na lokum zważyło mnie z nóg.

Musiałam zadzwonić do Aliny i się pożalić.

– Chcę odzyskać swoje stare życie, mamę i tatę! – łkałam przez telefon. – Ja ich zawiodłam! Jestem w ciąży, będę musiała urodzić niechciane dziecko! Są wakacje, ja chcę wyjechać na Malte, przeżyć beztroskie chwile! Ala, ja tego nie wytrzymam!

Przyjechała natychmiast, pocieszyła. I odprowadziła na autobus do Chruśniaka.

Ciąża rosła. Pod koniec wakacji pięciomiesięczny brzuch był już widoczny. Przyjmowałam życzenia, by dziecko urodziło się zdrowe, choć

nie dopuszczałam do siebie innego scenariusza. Tylko tego mi brakowało!

Ginekolog niezmiennie przekazywał dobre wieści.

– Ciąża rozwija się prawidłowo. Córeczka rośnie, termin porodu podtrzymuję. Przyjdzie na świat w świątecznym czasie.

– Widzisz, Marcelinko, jak się nam dobrze układa? A tak się bałaś. Zobaczysz, jeszcze wyjdziemy na prostą! – podtrzymywała mnie na duchu babcia w chwilach zwątpienia.

Chętnie jej wierzyłam, usiłując nie poddawać się melancholii. Ale pierwszego września, w dniu, w którym miałam pójść do klasy maturalnej, i później, gdy świat opanowała jesienna szaruga, coraz bardziej odczuwałam noszony przed sobą ciężar. Także pierwszego listopada, gdy odwiedziłyśmy z babcią grób rodziców, wreszcie w grudniu, miesiącu, który przez lata kojarzył mi się z przygotowaniami do świąt, prezentami i przeżywaniem tego najwspanialszego czasu z rodziną. Przy choince, kolędach, a najlepiej jeszcze ze śniegiem za oknem. A w tym roku co? Myśl o porodzie w Wigilię napawała mnie przerażeniem.

Na szczęście nie straciłam kontaktu z Aliną, jedyną osobą z miasta, nie licząc dyrektorki szkoły, która wiedziała o ciąży. Od czasu do czasu spotykałyśmy się w domu rodziców.

Właśnie zapowiedziała się z wizytą w Chruśniaku.

– Będą pierogi z mięsem! – ucieszyłam się. – Poproszę babcię. Przyjedziesz autobusem o dziesiątej?

Potwierdziła i kazała mi się trzymać.

Pobiegłam do kuchni, gdzie spodziewałam się zastać babcię. Dochodziła pora kolacji, pewnie szykowała dla nas coś smacznego. Może pastę jajeczną albo drobiowe galaretki? Przed kilkoma godzinami w domu pachniało rosołem.

– W sobotę przyjedzie Alina – zwołałam od progu. – Zrobisz pierogi?

Odpowiedziała mi cisza.

Zerknęłam do lodówki. W filizankach rzeczywiście tężały drobiowe galaretki, a w metalowej foremce pasztet.

Opanowałam chęć odkrojenia kawałka i podreptałam na piętro.

Babcia spała. Zmęczyła się, biedactwo, pomyślałam. Już chciałam wyjść, gdy dotarło do mnie, że nie słyszę oddechu.

– Babuniu, obudź się! Nie rób mi tego, proszę... – zaniósłam się szlochem.

Rozdział 12

Roma

lipiec 1995 roku

Podróż do domu ciągnęła się w nieskończoność.

Nie mogłam zapomnieć o przeżyciach zafundowanych mi przez Wilczyńską. Ani o wstydzie, jakiego sobie narobiłam, załatwiając praktyki przez jej męża. Fakt, okazała się wredną, mściwą babą, która zatrudniła mnie tylko po to, by wyrzucić z hukiem przy pierwszej nadarzającej się okazji. Ale choć rozumiałam ją jak kobieta kobietę, nie mogłam jej wybaczyć sposobu, w jaki mnie potraktowała. Perfidnie zastawiła sieć, w którą wpadłam. Dopuszczałam, że potencjalny sprzedawca ziemi był podstawionym gościem, a transakcja, której rzekomo nie dopilnowałam, jedną wielką fikcją mającą mnie poniżyć.

Wieść o moich łózkowych wyczynach z Ziemowitem może dotrzeć do dziekana, pokiwałam głową. Na samą myśl o tym robiło mi się niedobrze. Oczami wyobraźni widziałam, jak wręcza mi wilczy bilet.

Co za zawód dla rodziców i stryja Stefana! I jaki obciach! Przecież nie raz i nie dwa słyszałam przy stole opowieści o bezwstydnym i gotowym na wszystko studentkach.

No i wreszcie prawda dotrze do Włodka...

Najchętniej schowałabym głowę w piasek.

Dotarłam do pustego domu, mając cichą nadzieję, że mama zostawiła co nieco w lodówce. Z ciężką walizką nie miałam ochoty włóczyć się po sklepie.

W kwestii lodówki spotkał mnie zawód, na szczęście barek był pełny.

W pierwszej kolejności wzięłam kąpiel, a potem zadzwoniłam do Włodka, któremu należało się kilka słów wyjaśnienia. Wieść

o niefortunnym zakończeniu praktyk w Magicu zmartwiła go, ale nie drążył tematu.

Byłam mu wdzięczna.

– Co teraz zrobisz? – zapytał tylko.

Zaśmiałam się nerwowo, dolewając sobie wina do kieliszka.

– Dzisiaj opróżnię tacie barek, jutro pewnie będę leczyć kaca. A potem się zobaczy – odparłam. – I bardzo ci dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. A teraz pozwól, że się rozłączę. Jestem zmęczona.

Faktycznie byłam, nie na tyle jednak, by nie zadzwonić do Mirki. A nuż widelec odbierze? – pomyślałam. Musiałam się komuś wygadać.

Trafiłam w dziesiątkę. Jej aktualny chłopak, jak się okazało, kierowca TIR-a, właśnie ogarniał trasę na południu Europy. Mirka była chętna i gotowa, żeby wpaść na drinka do pustej chaty moich rodziców.

Długo się nie widziałyśmy. Rzadko przyjeżdżałam do domu i na krótko, więc szkoda mi było czasu na życie towarzyskie. Trudno nam było zgrać wolne chwile.

Od progu przywitałam ją informacją, że właśnie przybyłam i nie mam niczego do jedzenia.

– Zamówię pizzę. – Sięgnęłam po telefon. – Jaką chcesz?

– Wszystko mi jedno. A to ode mnie! – Zamachała butelką prosecco i posłała mi promienny uśmiech. – Mów, co u ciebie, bo u mnie w sercu maj! Mam fajnego faceta!

– A u mnie dół i trzy metry mułu – zacytowałam koleżankę z roku, znaną z dosadnego języka.

– Uuu, niedobrze! Chociaż zawsze byłaś typem melancholiczki, Romka. Myślałam, że jesteś z rodzicami we Włoszech. – Mirka zmieniła temat. – Spotkałam kiedyś w sklepie twoją mamę i wspomniała, że kupiła dla was bilety.

Poląłam wina i dałam upust wszystkim swoim frustracjom, przez które siedziałam w domu, podczas gdy moi rodzice podbijali Italię.

– Zmarnowałam studia, a może nawet i życie – zakończyłam opowieść o Ziemowicie, jego żonie i prawdopodobnych kłopotach na wydziale.

Mirka zachowała zdrowy rozsądek.

– Czego się boisz, głupia? Gdyby sprawa z doktorkiem Wilczyńskim wyszła na jaw, on też miałby kłopoty, a tego pewnie by nie chciał. Opiekun roku, który sypia ze studentkami? Hello! Ten gość to twoja tarcza. Jego

stara się brącha, bo ma kłopot. No, chyba że zbiera na niego papiery rozwodowe... – Zasepiła się.

Iskierka nadziei zniknęła.

– Tylko się nie załamuj! – ofuknęła mnie licealna przyjaciółka. – A na praktyki wbijaj do biura tego przyjaciela twojego ojca. Jak mu tam...? Kornel?

Że też wcześniej nie przyszło mi to do głowy!

– Dzięki, Mirka! – podziękowałam jej z serca. – Masz świętą rację, jutro uderzam do Kornela! Może mnie przygarnie. A teraz mów ze szczegółami, co u ciebie.

Jej także należała się chwila uwagi. Zresztą byłam naprawdę ciekawa, skąd wytrasnęła chłopaka tirowca.

– Super, kochana! Roberta poznałam w klubie studenckim, do którego przyszedł z kolegą z mojego roku. I od razu miłość, po pierwszej upojnej nocy! Jest niesamowity. Kawał chłopca, taaakie mięśnie! – Napięła bicepsy jak żabie udka i wydeła policzki. – Prawdziwy mężczyzna, nie to co moi kumple z grupy. I ma głowę na karku. Szuka dla nas domu w Hiszpanii. Albo chociaż mieszkania, bo podobno są dużo tańsze niż w Polsce.

– Jak to dla was? A twoje studia?

Mirka machnęła ręką.

– Nie one są w życiu najważniejsze. Zawsze marzyłam o wczasach za granicą, a teraz rysuje mi się perspektywa zamieszkania w słonecznej Hiszpanii na dobre. Robert ma dobrze płatną pracę, ja sobie coś znajdę na miejscu. Nauczę się hiszpańskiego i będę się opalać na Costa del Sol, przyrządzać paella z owocami morza i tańczyć flamenco. Przyjedziesz do mnie?

Cudny plan, stwierdziłam. I nakreślony z takim przekonaniem, że niemal realny. Może ma rację z tymi studiami? Czy każdy musi je kończyć? – przemknęło mi przez głowę.

Gadałyśmy do świtu. Ja nareszcie spałam we własnym łóżku, Mirka zdrzemnęła się w pokoju rodziców. Wyprysnęła stamtąd jak z procy.

– Robert się zapowiedział! – zawołała i tyle ją widziałam.

Na zgliszcza po imprezie wkroczył stryj Stefan, który przyszedł podlać kwiaty.

– Ho, ho, kogo ja tutaj widzę! – usłyszałam od progu. Od razu zaczęłam się tłumaczyć. – Spokojnie, nie przyszedłem cię sprawdzać, jesteś dorosła.

Zaparzyć ci kawy?

Oto właściwy człowiek na właściwym miejscu, uśmiechnęłam się pod nosem. Rodzicom nigdy bym się nie przyznała do swoich wyczynów, bratu ojca ujawniłam je niepytana przy śniadaniu.

– Nieźle namieszałaś, młoda – skwitował, ale zaproponował rozwiązanie.
– Zadzwonimy do Kornela, na pewno cię przyjmie. A gdybyś jednak musiała odejść z uniwerku, zawsze możesz studiować tutaj. Na przykład ekonomię. Kołacze mi się po głowie, że po licencjacie oferują tam jako specjalność obrót nieruchomościami. I praktyki byś już miała zaliczone. To jak? Dzwonić?

Nieoceniony stryj Stefan jak zwykle stanął na wysokości zadania. A co do jego pomysłu... Prawdę powiedziawszy, nie miałam ochoty wracać na swoją uczelnię. Tyle że nie miałam również zamiaru spowiadać się z kłopotów rodzicom.

– Stryjku, ta rozmowa to tylko między nami, prawda? – zapytałam.

Zapadło długie milczenie.

A zatem kłapa, westchnęłam w duchu.

– Romka, nie damy rady ukryć faktów – zaczął stryj Stefan. Już wiedziałam, że to, co usłyszę, mi się nie spodoba. – Wiesz, jak cię kocham i rozumiem. W końcu jesteś moją chrześnicą, a własnych dzieci brak. Ale twoi staruszkowie są mądrymi i rozsądnymi ludźmi. Może nie od razu, ale kiedyś na pewno cię zrozumieją, bo też cię kochają. Bardzo. Zresztą na dobrą sprawę nie popełniłaś żadnej zbrodni. Przespałaś się z facetem i tyle. Nikogo nie zabiłaś...

Staneło mi serce.

Owszem, stryjku, zabiłam. Własne dziecko, które nosiłam. Bezwzględnie, bez zastanowienia i chwili refleksji.

Aż do tej pory nigdy nie pomyślałam o tym, że byłby to wnuk czy wnuczka moich rodziców.

Pogratulowałam sobie w duchu, że nie wie o tym nikt poza mną i Marcinem. O pozornie wypartej, bardzo niewygodnej prawdzie, której wspomnienie uderzyło mnie jak młotem.

– Dobrze – przytaknęłam po zastanowieniu. – Powiem im o Wilczyńskim. I chyba zdecyduję się przenieść na nasz uniwersytet. A teraz mógłbyś zadzwonić do wuja Kornela?

Zadzwonił.

Od poniedziałku zostałam praktykantką w biurze nieruchomości, w którym znalazłam swoje miejsce.

Któregoś dnia odwiedził mnie Włodek, a jego wizyta sprawiła mi przyjemność. Nie dopytywał o nic, z wyjątkiem tego, jak się urządziłam i jak sobie radzę. Nie wpraszał się na siłę do domu, zabukował sobie miejsce w hotelu.

Na domową kolację zaprosiłam go ja.

– Jutro wracają rodzice, dzisiaj jeszcze mam wolny wieczór. – Postawiłam na stole zapiekankę z łososiem i szpinakiem pod pierzynką z mozzarelli, gęsto posypaną zieleniną.

Żeby nie nadwerężyć zapasów taty, kupiłam kilka piw i białe wino, które polecił stryj Stefan jako odpowiednie do ryby.

Przy deserze w postaci debiutanckiego tiramisu (swoją drogą czemu tak się męczę dla Włodka?) wzięłam głęboki oddech.

– Nie wracam na uczelnię – oznajmiłam.

– Tego się obawiałem – odparł zasmucony, ale nie zaskoczony. – Wyjechałaś tak nagle. Coś musiało się stać.

– Nie chcę teraz o tym rozmawiać – ucięłam.

– Rozumiem. A czy możemy pozostać w kontakcie? – Spojrzał prosząco.

– Jasne.

– A mam u ciebie szansę? – zaatakował zniechęcony.

Trochę mnie zatkało. Owszem, myślałam o nim od czasu do czasu, ale chwilowo miałam na głowie swoje zakręcone sprawy.

– To nie jest dobry moment na rozmowę o uczuciach. Znaczący nie dla mnie. Ale bardzo cię lubię i cenię. Dasz mi czas?

– Ile tylko zechcesz. I pamiętaj, że jestem.

I był, jeszcze przez kilka godzin. Gadaliśmy na luzie. Spędziłam z nim miły wieczór zakończony krótkim pocałunkiem w policzek. Gdy Włodek wyszedł, podbiegłam do okna, by odprowadzić go spojrzeniem do taksówki.

W domu zrobiło się pusto.

Rozdział 13

Marcelina

lipiec 2007 roku

Nie musiałam być lekarzem, żeby to stwierdzić. Babcia nie żyła.

Być może powinnam zacząć płakać, rozpaczać czy najlepiej położyć się obok niej i zejść z tego świata, ale wobec ogromu nieszczęść, jakie spadły na mnie w ostatnim czasie, wpadłam w coś w rodzaju odrętwienia. Nie byłam w stanie wykonać żadnego ruchu ani wycisnąć z oczu łez.

Oczywiście zadzwoniłam po karetkę, choć na zmartwychwstanie nie miałam co liczyć.

Z sanitariuszami przyjechał lekarz rodzinny babci, doktor Gęsicki, którego znałam od lat. Zidentyfikowałam go po głosie, mimo że nawet nie podniosłam oczu, gdy wszedł.

– Jestem, Marcelino. Odsuń się, proszę. – Wskazał na fotel.

Wstałam z łóżka, otuliwszy babcię szczelnie kołdrą. Żeby nie zmarzła.

– Potrzebujesz czegoś na uspokojenie? Mam środek, który nie zaszkodzi ciężarnej. – Doktor czynił swoją powinność. – Nie żyje od około trzech godzin – poinformował sanitariusza, który wyciągnął właśnie kartę zgonu. – Wiedziałaś, że babcia chorowała na serce? – zapytał. Pokręciłam przecząco głową. – Byliśmy umówieni na wrzesień, na koronarografię i założenie stentów. Szkoda, że nie udało mi się namówić pani Anastazji na wcześniejszy termin...

Pewnie z mojego powodu, pomyślałam i po raz pierwszy wezbrały łzy. Z żalu i poczucia winy za śmierć babci.

Doktor Gęsicki podyktował sanitariuszowi czy może ratownikowi medycznemu, jak zwał, tak zwał, dane do karty zgonu i odprawił go do

karetki, po czym delikatnie okrył zmarłą i usiadł w fotelu naprzeciw mojego. Sięgnął po komórkę.

– Kogo mam powiadomić? – Spojrzał mi prosto w oczy.

– Nikogo – odparłam. – Miała tylko mnie.

– Ale jak to? Wiem, że twoi rodzice nie żyją, ale chyba miałyście jakąś dalszą rodzinę?

Pokręciłam przecząco głową.

– Dziadek nie żyje, mama była jedynaczką, babcia również. O dalekiej rodzinie wiem tyle, co kot napłakał.

Doktor Gęsicki potarł czoło.

– Może masz jakichś przyjaciół? Trzeba zadzwonić do zakładu pogrzebowego. Zabiorą ciało, zorganizują pogrzeb i dopełnią formalności związanych ze zgonem pani Anastazji. Sama nie dasz sobie rady.

– Dam. – Spojrzałam przez łzy. – Niedawno chowałyśmy rodziców. Babcia uparła się, bym towarzyszyła jej wszędzie.

Tamtego wieczoru doktor nie zostawił mnie samej. Zadzwonił po łapiduchów i zczekał, aż przyjadą.

Nie mogłam patrzeć, jak wkładają babcię do worka i zasuwały zamek, ale wbrew sugestii doktora patrzyłam. Czułam, że nie wolno mi odpuścić sobie tych ostatnich chwil z babcią. Byłam jej to winna.

Mała w brzuchu (wiedziałam już, że urodzę córkę) fikała koziółki, nie pozwalając o sobie zapomnieć, a ja usiłowałam opanować jej aktywność siłą woli. Babcia nie żyje przez ciebie! – drążyły umysł złe myśli. Gdyby nie ty, dotrwałyby do zabiegu!

Doktor musiał w końcu wracać do domu. Zaaplikował mi coś na uspokojenie, przygotował łóżko i zaparzył filiżankę melisy.

– Dzwon, gdybyś czegoś potrzebowała – powiedział. – Jutro załatwię pomoc – obiecał.

Zasnęłam nie wiadomo kiedy.

Rano musiała upłynąć dobra chwila, zanim dotarła do mnie nowa rzeczywistość. Mimo wszystko może pospałabym dłużej, gdyby nie pukanie do drzwi.

Nie zamierzałam wstawać, ale do pukania dołączył dzwonek komórki. Zwlekłam się z łóżka.

W progu stała Agnieszka z fundacji. Znałam ją i lubiłam, ale ponieważ nie obnosiłam się z ciążą, widywałyśmy się dość rzadko, mimo

funkcjonowania pod jednym dachem.

– Tak mi przykro! – usłyszałam. – Jestem. Żeby ci pomóc. – Weszła do sypialni.

– Skąd wiesz, że babcia nie żyje?

– Złe wieści szybko się rozchodzą.

Zza węgła wyłonił się Poldek, jej chłopak, także pracownik fundacji.

Zupełnie jak po śmierci rodziców, teraz także pozwoliłam sobą kierować. Nie miałam sił ani głowy na ponowny pogrzeb i formalności.

Agnieszka z Poldkiem, jak niedawno babcia, przeprowadzili mnie za rączkę przez wszystkie rafy. Urządzili nawet stypę, na którą przyszło kilkoro sąsiadów, doktor Gęsicki z żoną, pracownicy fundacji i oczywiście Alina. Przed nią była matura i wybór kierunku studiów, przede mną niewiadoma przyszłość.

– Marcela, bardzo ci współczuję. Zawsze możesz na mnie liczyć – zadeklarowała. – Zostanę z tobą przez kilka dni – oświadczyła. – I nie protestuj – dodała, choć nie zamierzałam.

To było kilka najgorszych dni w moim życiu. Okraszonych płaczem, rozżaleniem, bezradnością. Biedna Alina nie miała pojęcia, jak sobie z tym poradzić.

Któregoś wieczoru sięgnęłam po babciną nalewkę i nieśpiesznie napełniłam nią kryształowe kieliszki po mamie.

– Chyba nie powinnaś... – wyraziła wątpliwość Ala.

– A to dlaczego?

– Jesteś w ciąży.

– No i co z tego? Umrę czy jak? Może to i dobrze, bo i tak nie wiem, po co i jak mam żyć.

– Marcela, alkohol szkodzi dziecku!

– A niech sobie szkodzi! Ala, ja nie chcę tego dziecka! To babcia Anastazja mnie przekonała, że mam je urodzić, bo niby odnajdę w nim cechy mamy i taty! Miała mi pomóc je wychować, a ja skończyć szkołę i pójść na studia. A teraz co? Umarła sobie i zostawiła mnie na pastwę losu! – wrzeszczałam. Kolejny kieliszek mocnej nalewki nieźle uderzył mi do głowy. – Mam w dupie to dziecko, ale już za późno, żeby się go pozbyć! Ale może ty znasz jakiś sposób?

Następnego dnia odebrali nas z Chruśniaka rodzice Ali i umieścili mnie u siebie. Przytulona do rodziny odzyskałam odrobinę równowagi. Tyle że

było to rozwiązanie tymczasowe – Alina chodziła do szkoły, jej rodzice do pracy, ja tkwiłam w pustym domu.

Aż któregoś dnia pożegnałam się i wróciłam na wieś, zdeterminowana radzić sobie sama. Byt zapewniały mi pieniądze z wynajmu mieszkania rodziców i renta po nich.

Agnieszka próbowała mnie odwiedzać, wciągać do pracy w fundacji, ale nie miałam ochoty wychodzić do ludzi. Pokancerowana przez los, najlepiej czułam się w domu babci. Przesypiałam większość dnia i zgodnie z najlepszymi wzorami zapuszczałam ogród.

Może postępowałabym inaczej, gdyby nie to coś w moim brzuchu.

Październik przyniósł złotą polską jesień, która zasłała wszystko dywanem żółto-brązowych liści. Spacerowałam wśród grządek, spoglądając na obsypane owocami krzewy pigwy (babcia przerabiała ją na soki i nalewki), zbierając późne jabłka i zioła, najwierniejsze babcine roślinki, które potrafiły trwać do listopadowych mrozów, jak gdyby przekonane o swojej przydatności.

Tylko co z tego, jeśli wracałam do pustej kuchni.

Po kilku dniach niewykorzystane zbiory łądowały w śmietniku, a ja, żeby nie umrzeć z głodu, smażyłam sobie jajecznicę albo smarowałam kromkę chleba przygotowanym jeszcze babci ręką smalcem ze skwarkami.

Czułam się jak dziecko porzucone przez całą rodzinę. I całkiem à propos, bo dla osiemnastolatki w ciąży ciężar tragedii był niemal nie do udźwignięcia. W sensie przenośnym i dosłownym. W krótkim czasie straciłam rodziców i babcię, za to nosiłam przed sobą coraz większy brzuch.

Po dwóch kieliszkach nalewki wykrzyczałam, że nie chcę tego dziecka. Był najwyższy czas, by zdecydować, jak rozwiązać ten problem.

Tylko z kim o tym porozmawiać? – myślałam. Jeśli z Agnieszką, cała wieś się dowie. Znów Alina?

Przyjechała w połowie listopada i wtedy wyjawiałam jej swój plan.

– Jesteś pewna, że po porodzie chcesz oddać dziecko do adopcji? – Kilkakrotnie zadawała mi to samo pytanie.

– Tak. Miałam dużo czasu, żeby to przemyśleć. Mam osiemnaście lat, muszę skończyć szkołę i pomyśleć o przyszłości. I niestety, nie mogę liczyć na niczyją pomoc. Nie dam rady z dzieckiem, a nawet nie chcę. A poza

wszystkim nie opuszcza mnie myśl, że to ono było gwoździem do trumny babci Anastazji. Będzie mu lepiej u obcych ludzi – zakończyłam pewnie.

Zdawałam sobie sprawę, że przyjaciółka nie rozwiąże mojego problemu bez pomocy swoich rodziców, ale brałam to pod uwagę. Poprosiłam ją jedynie o dyskrecję.

– Masz to jak w banku. Koleżanka mojej mamy pracuje w ośrodku adopcyjnym i wszystkiego się dowie – zapewniła.

Nadszedł grudzień. Termin porodu zbliżał się wielkimi krokami.

Wprawdzie rodzina Ali chciała mnie przygarnąć już po mikołajkach, ale postanowiłam jeszcze kilka dni posiedzieć w Chruśniaku. Ustroiłam w gościnnym małą choinkę, kupiłam dla rodziców i babci po niewielkim prezencie, opakowałam w świąteczny papier. Nawet poszłam do kościoła po opłatek, chociaż nie miałam się z kim nim podzielić. Odprawiłam Wigilię dwa tygodnie przed terminem, zamknęłam drzwi domu i wyruszyłam do Aliny, gdzie czekał na mnie pokój.

Przedświąteczne przygotowania pochłonęły czas i myśli. W natłoku zajęć poczułam się niemal szczęśliwa, mimo ciężącego brzucha i uporczywych myśli o porodzie, który mnie przerażał.

Zapachy z kuchni przyjemnie drażniły nos. Mama Ali wyczarowywała świąteczne dania, nie szczędząc majeranku i innych ziół. Pomagałam jej, jak mogłam. Ofiarowałam swój czas, ręce, uwagę.

W końcu byłam dłużniczką państwa Wojtczaków, którzy przyjęli mnie pod swój dach. Miałam nadzieję, że nie sprawię im większego kłopotu i nie będą musieli w Wigilię odstawiać mnie do szpitala.

Niestety.

Skurcze czułam od rana, a po południu miałam kłopoty z chodzeniem. Schowałam się w pokoju, żeby trochę odpocząć i w pełni formy usiąść do stołu.

Nic z tego. Mama Aliny znalazła mnie na łóżku zwiniętą z bólu.

– Zenon, jedziemy! – zakomenderowała i już po chwili siedziałam w samochodzie. Z walizką, którą nie wiadomo kto przygotował.

Bolało po drodze i potem też, ale poród przebiegł szybko i sprawnie. Usłyszałam, że mam córkę, która waży... i mierzy... i przez chwilę czułam się nawet szczęśliwa.

Może dlatego, że było już po wszystkim? Innych scenariuszy nie brałam pod uwagę.

– Będzie mieć na imię Ewa – wyszeptałam tylko, kiedy pielęgniarka zabierała małeństwo w kokonie z pieluchy.

Miałam go już nigdy nie zobaczyć.

Rozdział 14

Roma

wrzesień 1995 roku

Jeśli nawet miałam wątpliwości, czy pozostać na obecnych studiach, czy wrócić do rodzinnego miasta, dylemat rozstrzygnęło życie.

Na początku września zostałam poproszona o stawienie się w gabinecie dziekana. Nietrudno było przewidzieć, o co chodzi. Na szczęście, idąc za radą stryja Stefana, opowiedziałam rodzicom historię o sobie i Wilczyńskim, więc przynajmniej przed nimi nie musiałam już świecić oczami. Wprawdzie na początku usłyszałam dużo gorzkich słów, ale w końcu kurz opadł i sprawa przyschła. Po telefonie z uczelni tato nawet zaproponował mi podwózkę.

Odmówiłam, bo chciałam spotkać się z Włodkiem.

Od zakończenia swoich praktyk wpadał do mnie często, niemal w każdy weekend. A ja mu nie zabraniałam. Przedstawiłam go rodzicom, wyskoczyliśmy na kilka dni do domku stryjka Stefana, nauczyłam go łowić ryby. Przemierzaliśmy na rowerach okoliczne wertepy, a wieczorami zasiadaliśmy przy ognisku. Brat taty zabezpieczył palenisko otoczkami z jeziora, zbił kilka drewnianych ławek, a pod okapem domku zgromadził drewna, po które pozwolił nam sięgać.

Mimo luksusów, wśród których się wychował, Włodek okazał się nadzwyczaj normalnym facetem. Byłoby poniżej jego honoru, gdyby stryjkowy zapas opału został nadwątlony. Udowodnił, że nieobce mu jest machanie siekierą. I w ogóle był złotą rączką, o czym przekonałam się przy wymianie przepalanej żarówki. Potrafił również wyczyścić i przemaalować podniszczoną okiennicę, naprawić zamek przy furtce czy ułożyć na nowo

zerwaną w czasie burzy dachówkę. A do tego przygotowywał ze mną ciepłe kolacje, podziwiał przyrodę i kupił sobie moją rodzinę.

Jakiś niestworzony ideał, myślałam. Doszukiwanie się w nim ukrytych wad sprawiało mi coraz większą trudność.

Zwłaszcza że nie miałam z kim na ten temat pogadać. Mirka rzeczywiście wyjechała do Hiszpanii z tym swoim Robertem tirowcem i chwilowo osiadła w wynajętym za grosze domu w Alicante. Podobno niebawem mieli kupić inny, na klifie, z widokiem na Morze Śródziemne. Miejscowy samorząd wystawił go za jedno euro i zobowiązanie do remontu.

W głowie mi się nie mieściło, jak to możliwe, ale Mirka nie wyglądała na przejętą. Niezmiennie prezentowała optymizm i dobry nastrój na landszaftowych fotkach.

Któregoś dnia powiedziałam o tym Włodkowi.

– Jedno euro za dom? Przecież to jakaś ściema – wyraziłam wątpliwość.

– Niekoniecznie. Remont może kosztować krocie, choć nie musi – odparł.

– Takie domy kupuje znajomy mojego ojca, remontuje i sprzedaje z dużą przebitką staruszkom z Niemiec czy Anglii. Jeżeli facet Mirki ma głowę na karku i trochę oszczędności, poradzi sobie. Chociaż współczuję zmagania z lokalną biurokracją i fachowcami.

Byłam oszołomiona. Do tej pory korzystałam z uroków południa Europy wyłącznie jako turystka i beneficjentka wyjazdów nad ciepłe morza, do klimatycznych miejscowości, z dużymi hotelami lub niewielkimi pastelowymi domkami przycupniętymi na ścianach wystających z wody skał. Z widokiem na lazurową wodę, zielone wysepki i ławice białych żagli. Rodzice załatwiali lokum przez internet lub rzadziej biuro podróży i hajda! Czasami trafiała się naprawdę fajna miejscówka, kiedy indziej musieliśmy zadowolić się gorszym standardem. Zawsze jednak pogoda i widoki rekompensowały drobne niedogodności.

– Widzę, że masz pojęcie o inwestycjach na południu Europy. – Spojrzałam na Włodka z zainteresowaniem.

– Interesuję się wszystkim, co dotyczy nieruchomości, również w Europie. Inaczej nie wybrałbym takich studiów – odparł z promiennym uśmiechem. – Podłożę do ognia – zmienił temat. – Jest ci ciepło? Może przyniosę koc?

Po raz kolejny zyskał w moich oczach. Plus za opiekuńczość.

Tamtej nocy po raz pierwszy poszłam z nim do łóżka. Chciałabym móc powiedzieć, że wskutek porywu serca, namiętności, podniecenia, ale nie taka była prawda.

Włodek mi imponował i w jakiś sobie tylko znany sposób przywiązywał do siebie. Oplatał inteligencją, urokiem osobistym, kulturą, poczuciem bezpieczeństwa. Zakochiwałam się w nim powoli i systematycznie i coraz bardziej mi go brakowało. Kiedy wyjeżdżał, natychmiast zaczynałam tęsknić, choć motyle w moim brzuchu miały rozmiar komara i nie grzeszyły liczebnością.

Ponadto byłam spięta. I nawet znałam powód. Chodziło o tego cholernego nieszczęsnego Wilczyńskiego, z którym przygoda zepsuła mi całe wakacje. Najpierw jego żona wyrzuciła mnie z praktyk, potem musiałam spowiadać się przed Mirką, stryjcem Stefanem i rodzicami. A teraz jeszcze i to. Fakt, że Włodek wkrótce dowie się z wydziałowych plotek, do czego jestem zdolna, nie ułatwiał swobodnego seksu.

Postanowiłam wziąć byka za rogi.

– Wiem o tym, Roma. Ale oszczędź mi szczegółów – przerwał moje wyznanie.

– Jak to?

– Widziałem was z Ziemowitem na tamtej imprezie. Otarliśmy się o siebie, kiedy wychodziliście z tarasu i kierowaliście się na piętro. Najważniejsze, że to już przeszłość.

– Niezupełnie. Wezwał mnie dziekan. Właśnie załatwiam sobie przeniesienie, bo że mnie wyrzuci, to jasne.

– A co byś powiedziała, gdybym przeniósł się za tobą? – wypalił.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Odpowiedź twierdząca byłaby równoznaczna ze zgodą na wspólne życie albo przynajmniej akceptacją Włodka przy moim boku. I jego poświęcenia. Na tym etapie taki ciężar był nie do udźwignięcia.

– Włodek, zaczekajmy jeszcze chwilę – odparłam. – Nie jestem gotowa na poważny związek, a tym bardziej na to, żebyś zmieniał dla mnie swoje plany.

– Rozumiem – skwitował.

Następnego dnia wyjechał do domu.

Tęskniłam. Miałam nadzieję, że zobaczymy się po moim wyjściu od dziekana i może nawet powiem Włodkowi, że go kocham. No, może

łagodniej, że darzę uczuciem.

Nie udało się. Zgodnie z przypuszczeniami dziekan wręczył mi pismo o relegacji ze studiów. Po wszystkim zaszłam do ulubionej knajpki i zasiadłam przy dobrze mi znanym stoliku. Pewnie to już ostatni raz, pomyślałam. Nie miałam ochoty tu wracać, ale jednak bolało.

W drzwiach zobaczyłam Magdę, kumpelę z roku. Zerknęła na kieliszek wina na stoliku i zamówiła taki sam dla siebie.

– Może zrobimy jakąś imprezkę powitalną po wakacjach? – zapytała, przymrużywszy oko.

– Zmieniam uczelnię – wypaliłam. – Zostałam wyrzucona. Za Ziemowita.

– Dżizas, co za hipokryzja! Wilczyński właśnie dostał nagrodę rektorską za opiekę nad naszym rokiem! Że taki niby profesjonalista i oddany studentom!

Pokiwałam głową.

– Na otarcie łez, bo pewnie żona go odprawiła – mruknęłam.

– W żadnym wypadku! Są teraz w uroczej podróży na Sycylię.

– Skąd ty to wszystko wiesz?!

– Laska, uczelnia to tylko małe bagienko. Powiedział mi doktor Marcin. – Puściła oko.

Wiedziałam, o kogo chodzi. A nawet gdzie nastąpiły zwierzenia. Nieraz widywałam ogniste spojrzenia obojga i mogłam się spodziewać dalszego ciągu.

– Wilczyński co rusz pozwala sobie na skoki w bok – ciągnęła Magda. – Ale widocznie ten z tobą okazał się bardziej niebezpieczny od innych, więc żeby się ciebie pozbyć, jego żona musiała uruchomić dziekana. Przykro mi, że tak się stało.

– A mnie nie! – odparłam, nadrabiając miną, bo jednak byłam przegrana.

Opuściłam knajpkę i zadzwoniłam do Włodka. I ponownie. Ale przy każdej próbie połączenia słyszałam, że abonent jest niedostępny.

Wracałam do domu pociągami, zapatrzona w krajobraz za oknem. Najpierw oświetlony słońcem, potem opatulony zmierzchem. Włodek nie dawał znaku życia. Najwidoczniej zraził go mój brak zapału.

Tęskniłam za nim. Nie miałam pojęcia, dlaczego próbowałam go zniechęcić. Być może przegięłam i zaprzepąściłam coś wartościowego.

Rozdział 15

Marcelina

grudzień 2007 i początek 2008 roku

Po porodzie zostałam przewieziona do pustej trzyosobowej sali. Byłam wdzięczna lekarzom, że nie znalazłam się w gronie szczęśliwych mam mających w zasięgu ręki łóżeczka ze swoimi nowo narodzonymi dziećmi. Miałam nadzieję na szybki wypis i brak kontaktu z kobietami, które przeżywają radość powołania na świat małego człowieka. Jeszcze bym się zaczęła wahać, czy dobrze zrobiłam, wypełniwszy oświadczenie o pozostawieniu dziecka w szpitalu.

Pracująca w ośrodku adopcyjnym znajoma mamy Aliny próbowała mnie namówić na załatwienie sprawy przed porodem, ale odwlekałam decyzję. Podjęłam ją ostatecznie, gdy w bólach przedporodowych przekraczałam próg szpitala.

To się nie mogło udać. Moja córka, która gwałtownie domagała się spotkania z tym najlepszym ze światów, zasługiwała na dobre życie, którego nie byłam w stanie jej zapewnić. A jak słyszałam, mnóstwo rodzin czekało na dziecko.

– Podpiszę to oświadczenie – postanowiłam.
– Jesteś absolutnie pewna? – spytała mama Aliny, pani Daria.
– Przepraszam, że zmarnowałam państwu Wigilię. Jestem pewna – odparłam.

Złożyłam podpis na druku i tym samym rozstałam się z własnym dzieckiem na zawsze. Na szczęście nie miałam czasu roztrząsać tego kroku. Na rozwiązanie nie musiałam długo czekać.

Tyle że kiedy mała znalazła się na świecie, a mój wielki brzuch powrócił do jakiej takiej normalności, zniecka opanowało mnie bezmierne

szczęście. Nic nie bolało, ja byłam lekka i miałam wrażenie, że odzyskałam własne ciało. Czekałam, aż lekarz pokaże mi córeczkę, ale on przekazał ją pielęgniarce.

Poczułam się tak, jakbym dostała w twarz. Oczywiście, zrzekłam się córki, ale żeby mi jej nie pokazać?

– Chciałabym zobaczyć... – wyszeptałam.

Położnik zawrócił siostrę od drzwi.

– Proszę. Oto pani dziecko. Jeszcze może się pani wycofać – powiedział.
– Czy będzie pani karmić?

Ewunia wyglądała pięknie. Wyobrażałam ją sobie jako noworodka z pomarszczoną twarzą, zmęczonego trudami porodu, tymczasem zobaczyłam dorodnego puchatego bobasa. Z namiastką uśmiechu, który mi posyłał.

Zalała mnie fala czułości.

Nie możesz tego zrobić. Nie wolno ci się wycofać, nakazywał rozum, ale serce mówiło co innego.

Nie wiem, jak długo trwało, zanim przytuliłam małą, poprosiłam, by dać jej na imię Ewa, i przekazałam zawiniątko pielęgniarce.

– Nie będę karmić – zdecydowałam. Nie chciałam się przywiązywać.

Na sali poporodowej natychmiast zapadłam w sen. Kiedy się obudziłam, dostrzegłam, że dołączyła do mnie sporo ode mnie starsza mama z dzieckiem.

Udawałam, że śpię, ale spod rzęs obserwowałam ich czułości. Mimo że obolała, podobnie jak ja, mama nieustannie zsuwała się z łóżka, by doglądać maleństwa. Rozmawiała przez telefon z mężem, dzieląc się każdą minutą, piała peany na temat niezwykłości synka, wychwytywała każdy grymas i dźwięk dochodzący z łóżeczka.

Nie mogłam tego znieść. Wtuliłam głowę w poduszkę. Tyle że zbyt długo nie mogłam markować snu. W końcu musiałam iść do łazienki i zjeść przyniesioną przez salową kolację.

– Jestem Aneta, a to mój syn Nikoś. – Moja sąsiadka posłała mi promienny uśmiech, gdy przechodziłam obok jej łóżka.

– Marcelina – zrewanżowałam się krótko, dając do zrozumienia, że nie mam ochoty rozmawiać. A po wizycie w toalecie odwróciłam się do okna, byleby tylko nie zostać wziętą na spytki.

Sąsiadka dała mi spokój. Pewnie pomyślała, że straciłam dziecko przy porodzie albo z jakiegoś powodu leży w inkubatorze. Niestety, jak mówi porzekadło, prędzej czy później oliwa na wierzch wypływa, nie dane mi było cieszyć się spokojem. Po kolacji przyszła pielęgniarka.

– Pani Koryncka, potrzebujemy jeszcze pani podpisu w tej rubryce oświadczenia – wskazała palcem – żebyśmy mogli powiadomić ośrodek adopcyjny.

Złożyłam ten nieszczęsny podpis, czując na sobie zaskoczony i pełen pogardy wzrok Anety. Nawet się jej nie dziwiłam. Marzyłam tylko o tym, by opuścić tę jaskinię szczęśliwych matek, które po bożemu urodziły dziecko poczęte w porządnym domu i które będą wychowywać w glorii i chwale.

Nie to co ja, młodociana matka, niemogąca nawet wskazać tatusia.

Następnego dnia z ulgą wyszłam z sali odprowadzana lekceważącym spojrzeniem Anety, z silnym postanowieniem, żeby jak najszybciej opuścić dom Wojtczaków i wrócić do siebie na wieś. Zanim to jednak nastąpiło, mama Aliny zdecydowała, że pozostanę u niej przynajmniej do drugiego dnia świąt włącznie.

Czułam się dobrze. Nie byłam cięta, więc fizycznie wszystko było w porządku. A pani Daria okazała się wspaniałą osobą. Znałam ją od lat, lecz zawsze patrzyłam na nią oczami Aliny, która nierzadko narzekała na matkę. Pewnie i ja, gdybym mogła dłużej być z rodzicami, też miałabym do swojej różne anse. Żałowałam, że tego nie doczekaliśmy. Tak chętnie bym się z nimi pożarła, pogodziła! No cóż, nie było nam dane.

Po porodzie odzyskałam apetyt. Te wszystkie pachnące pierniki, serniki i co tam jeszcze pobudzały zmysły i kazały mi pochłaniać te świąteczne smakowitości. I mimo przygnębienia i wątpliwości, czy dobrze zrobiłam, oddając Ewę, czułam namiastkę szczęścia. Grzałam się w otoczeniu rodziny Ali, jej rodziców i dziadków.

– Pani Dario, jutro wracam do Chruśniaka – oznajmiłam w trakcie przygotowań do poświątecznego śniadania.

– Ale dlaczego? Zostań z nami bodaj do sylwestra – namawiała pani Daria. – Będziesz siedzieć sama w czterech ścianach? A poza wszystkim musisz chyba dopełnić formalności związanych ze zrzeczeniem się dziecka?

– Teraz nie mam na to sił. W szpitalu powiedzieli, że wyrobią akt urodzenia, a ja mam tylko się po niego zgłosić do urzędu stanu cywilnego po trzech tygodniach.

– Ale potem powinnaś pójść do sądu i załatwić pozbawienie cię praw rodzicielskich. – Mama Ali wyrecytowała wiedzę nabytą od koleżanki pracującej w ośrodku adopcyjnym.

– Wiem – ucięłam. – Mam na to sześć tygodni. I w tym czasie mogę jeszcze zmienić zdanie.

– Rozważasz to? – Spojrzała zdezorientowana.

– Nie bardzo – odparłam zgodnie z prawdą. Niemniej jednak darowany mi prawnie czas odwlekał nieuchronność decyzji.

Po powrocie do Chruśniaka zderzyłam się z rzeczywistością. Przywitał mnie pusty, zimny dom, w którym zabrakło babci. Nie wiem, na co liczyłam. Że nagle rzeka cofnie bieg, a pory roku zmienią kolejność? Że powita mnie gromada domowników, ogień w kominku i pachnące świętami potrawy? Nie licząc niepodlewanej od dwóch tygodni choinki, która zaczęła gubić igły, i przejmującego ziąbu, nie zastałam niczego przyjemnego.

Może trzeba było przyjąć zaproszenie pani Darii? – pomyślałam z goryczą, przystąpiwszy do rozniecania ognia.

Sięgnęłam po pudełka z jedzeniem, które przygotowała mi mama Aliny. Rozpakowałam walizkę i na jej dnie natrafiłam na torebkę, której nie kojarzyłam. Energicznym ruchem dobrałam się do jej zawartości i zobaczyłam maleńkie różowe buciki.

„To na wypadek, gdybyś jednak zdecydowała się zmienić decyzję. Daria”, przeczytałam załączony liścik.

Długo ważyłam w dłoniach mikroskopijne buciki, na przemian to podjadając świąteczne zapasy i podkładając do pieca sosnowe szczapki.

Dopadło mnie poczucie winy. Może jednak powinnam zabrać córkę ze szpitala? Może babcia miała rację, gdy mówiła, że dostrzegę w małej zmarłych rodziców?

Niestety, zdrowy rozsądek podszeptował, że nie dam rady.

W galimatias wątpliwości wciął się telefon od Ali.

– Jak się czujesz, Marcelina? Mama nie przestaje się o ciebie martwić.

– Dobrze – uspokoiliłam przyjaciółkę. Musiałam poradzić sobie sama.

– Pamiętaj, że wciąż możesz...

Nie pozwoliłam jej dokończyć.

– Wiem, Alinka. I bardzo wam za wszystko dziękuję. Zadzwoń, kiedy będę gotowa. – Przerwałam połączenie.

Po sylwestrze, który spędziłam na kanapie przy misce popcornu, zadzwoniłam do pani Darii i przekazałam jej ostateczną decyzję.

– Marcelinko, skoro taka twoja wola, będę ci towarzyszyć w USC i w sądzie.

Sąd pozbawi mnie praw rodzicielskich i podda dziecko, jak to się fachowo nazywa, procedurze adopcyjnej, dumałam. I podobno przyczyni się do szczęścia wielu oczekujących par. Oczekujących na małe dziecko, które matka zostawiła w szpitalu. Wiedziałam, że jeśli nie będę sprawiać problemów, moja córeczka ma szansę trafić do nowej rodziny w ciągu miesiąca.

Podobnie jak po śmierci babci polegałam na Agnieszce, tak teraz przyjełam pomoc pani Darii i pozwoliłam się poprowadzić za rączkę przez gąszcz formalności.

Miałam do niej tylko jedną prośbę.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek więcej dowiedział się, że urodziłam Ewę.

– Dobrze, kochanie. Ale co powiesz ludziom w Chruśniaku, którzy wiedzieli o twojej ciąży? – zapytała.

– Że dziecko zmarło przy porodzie – wyrecytowałam przygotowaną odpowiedź.

– Będzie, jak sobie życzysz.

Rozdział 16

Roma

od września 1995 do sierpnia 1996 roku

Przestałam wydzwaniać do Włodka i bombardować go esemesami. Ale kiedy już na dobre straciłam nadzieję na jakikolwiek kontakt, odczytałam wiadomość.

„Roma, musiałem przemyśleć kilka spraw. Chciałbym z tobą porozmawiać. Pojutrze przyjeżdżamy z ojcem do twojego miasta, może znajdziesz chwilę na spotkanie?”

Umówiliśmy się w knajpce niedaleko uczelni.

Szłam podniecona, ale i niepewna. Może tylko przywiezie mi bluzę dresową, którą zostawiłam w jego domu?

Już w progu kawiarni zorientowałam się, że nie wszystko stracone. Świadczył o tym spory bukiet astrów z pobliskiego straganu, stojący w wazonie, niewątpliwie kupiony przez chłopaka, który zajmował miejsce przy stoliku pod oknem.

Mocniej zabiło mi serce.

Ostatnio często przechodziłam obok kwiaciarek handlujących na bazarze w pobliżu uczelni. Załatwiałam sprawy przeniesienia na ekonomię, które na szczęście nie okazały się zbyt skomplikowane. Dzięki tacie i stryjowi Stefanowi nazwisko Rydel było dobrze znane w środowisku akademickim i otwierało wiele drzwi. Dziekana, który mnie wyrzucił, ubłagałam telefonicznie o zmianę kwalifikacji czynu i powstrzymanie się od formalnej dyscyplinarki. Wilczy bilet bardzo skomplikowałby mi życie, nie mówiąc o wstydzie, jaki przy okazji by zafundował.

Czasami kupowałam sobie na straganie bukietek, najczęściej jednak karmiłam oczy mnogością barw i różnorodnością gatunków. Teraz, pod

koniec wakacji, ich obfitość porażała.

– Jestem. Cześć – powiedziałam na powitanie. Usiadłam i odwiesiłam torebkę na oparcie krzesła. – Chciałeś porozmawiać.

– To dla ciebie. – Włodek przesunął wazon w moją stronę.

Nie tak wyobrażałam sobie nasze spotkanie. Miałam nadzieję na serdeczność, jednak Włodek postawił na oficjalność.

Odepchnęłam natrętą myśl, by pożegnać go i wyjść. Odda mi dres i rozstaniemy się za chwilę, pomyślałam i zamówiłam średnie cappuccino.

– Dziękuję, są bardzo ładne. – Wsunęłam nos w bezwonne astry. – Zapomniałam czegoś u ciebie?

Przyglądał mi się uważnie.

– To też – mruknął. – Przepraszam, że się nie odzywałem – dodał. – Mieliśmy trochę rodzinnych zawirowań.

– Kłopoty? – zapytałam.

– I tak, i nie. Rodzice postanowili sprzedać dom i przenieść się na stałe za granicę. Ojciec koordynuje projekty, co może robić z dowolnego miejsca na świecie, mama amatorsko maluje, a na co dzień jest panią domu, więc mogą mieszkać, gdzie chcą. Zdecydowali się na dom w Hiszpanii, niedaleko mojego starszego brata Wiktora. Chcą, żebym jechał z nimi i kontynuował studia w Maladze – zakończył wyznanie.

Zrobiło mi się gorąco. Wpatrywałam się w pożegnalny bukietik astrów, z każdą sekundą odczuwając coraz większy żal. Może powinno mnie cieszyć, że Włodek informuje mnie o swoich życiowych planach, ale nie cieszyło.

– I ja właśnie w tej sprawie, Roma – dotarły do mnie jego słowa.

Czyżby oczekiwał ode mnie błogosławieństwa?

– To znaczy? – zapytałam zrezygnowana.

– To znaczy, że jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc w podjęciu decyzji. Chcesz, żebym został?

Zatkało mnie.

– Co niby mam ci powiedzieć? – odezwałam się po dobrej chwili. – Każdy by chciał mieszkać w słonecznej Hiszpanii, a w dodatku tam studiować. Macie kasę, rodzice kupią piękny dom. No i będziecie tam wszyscy, cała rodzina. Chociaż...

Włodek spojrzał z nadzieją.

– Dokończ, proszę. – Położył dłoń na mojej dłoni.

– Nie miałam nic konkretnego na myśli – wycofałam się.

Chciałam mu powiedzieć, że jest mi potrzebny. Że kiedy wyjechał i zarzucił kontakty, tęskniłam. Ale nie potrafiłam wykrztusić słowa.

Jego twarz stężała w surowym wyrazie. Widelczyk zanurzył się w kawałku sernika z galaretką i borówkami. Włodek popijał kolejne kęsy ciasta drobnymi łykami kawy.

By znieść jakoś krępującą ciszę, która zapadła, poszłam w jego ślady.

Prawdę powiedziawszy, pragnęłam, by powtórzył pytanie, na które teraz, po upływie minuty czy dwóch, znałam już odpowiedź. Brzmiała: nie wyjeżdżaj. Zostań ze mną. Niestety, Włodek szybko dokończył swój sernik, zadał mi kilka kurtuazyjnych pytań dotyczących przenosin na ekonomię, po czym gestem przywołał kelnera.

– Czy będę mógł czasem do ciebie napisać? – zapytał po opłaceniu rachunku.

– Jasne!

Na pożegnanie dostałam buziaka w policzek i wybiegłam z kawiarni, tłumiąc łzy.

– Tym samym zaprzepaściłam miłość życia! – zwierzyłam się Izie, nowej przyjaciółce z uczelni.

Po powrocie do domu musiałam zaczynać wszystko od zera, także znajomości. Iza była pierwszą osobą, która wyciągnęła do mnie rękę, zaprosiła na imprezę, wciągnęła do towarzystwa. Mimo że zachowywałam się dosyć wstrzemięźliwie i zachowawczo. Ponieważ niedawne szaleństwa odbiły mi się czkawką, nie szukałam powtórki z rozrywki. A zresztą teraz mieszkalam z rodzicami, co nie sprzyjało wyjściom w miasto. Jeśli o dwudziestą drugą nie wracałam do domu, natychmiast dzwonił telefon.

Włodek zajmował moje myśli nieustannie. Plułam sobie w brodę, że go nie zatrzymałam; teraz nie popełniłabym takiego błędu. Porównywałam go z nowo poznawanymi kolegami i coraz bardziej doceniałam.

Nie odzywał się, ale kiedy Magda przesłała mi informację, że widziała go na mieście z jakąś atrakcyjną laską, nie dałam wiary.

„Jesteś pewna, że to był on? Przecież powinien studiować w Hiszpanii. Wyprowadził się z rodzicami do Malagi”, napisałam esemesa.

„No to pewnie przyjechał, żeby pokazać swojej sniadej Hiszpance Polskę”, odpowiedziała.

Ta wiadomość bardzo mnie zasmuciła.

Magda była jedynym ogniwem łączącym mnie z byłą uczelnią. Trochę tęskniłam za utraconą wolnością z dala od domu, ale wstyd z powodu Wilczyńskiego i tamtej nieszczęsnej nocy nie pozwalał mi na utrzymywanie kontaktów ze znajomymi.

Szybko się pocieszył, nadełam się. Najwyższy czas o nim zapomnieć, pomyślałam po tej wymianie esemesów. Tyle że w nowych okolicznościach pójście w tango nie bardzo licowało z moim wizerunkiem sumiennej studentki, córki i bratanicy znanych na uczelni panów biologów, doktorów Rydlów. Który ciążył mi coraz bardziej.

Zawsze mogę zorganizować babskie pogaduchy z Izą, tknęło mnie. Kiedy rodzice wybędą na weekend do dziadków.

– Tadam! Przygotowałam tartę i naturalnie prosecco! – Gdy tylko weszła, zaprezentowałam zastawiony stół.

– O Boże, nie wiedziałam! Tak cię przepraszam! – Sens tej reakcji pojęłam, gdy w ślad za Izą do salonu wpakowało się kilka innych osób. – Mam urodziny, więc pomyślałam, że będzie przyjemnie poświętować razem...

No i właściwie było. Tyle że zamiast babskich plotek odbyła się pierwsza solidna studencka impreza od początku października.

Zadbałam o to, by z nikim nie pójść do łóżka. Polewałam trunki z barku rodziców, również sobie, ale temperament trzymałam na wodzy. Choć w sumie imponowało mi, że kolegom z roku podobam się ja, moja błyskotliwość i cięty język. Co z tego, że po alkoholu?

Pożegnałam gości niezłe wcięta, a oni pozostawili po sobie nieziemski bałagan, ale w niedzielę zdołałam ogarnąć mieszkanie przed powrotem rodziców. Wprawdzie na sporym kacu, ale cóż. Za przyjemności trzeba płacić.

Od tamtego czasu zbliżyłyśmy się z Izą. Czułam w niej bratnią duszę, nic zatem dziwnego, że to właśnie jej postanowiłam się zwierzyć.

– Wyjechał, a ja go nie zatrzymałam! – desperowałam.

– Po prostu nie byłaś tak zakochana jak on – skwitowała Izka.

– Pewnie masz rację. Ale tak czy siak, już przepadło.

– Romka, ogarnij się. Życie nie znosi próżni, a ty masz dopiero dwadzieścia lat!

– Dwadzieścia jeden – doprecyzowałam.

– Duża różnica! – prychnęła. – Znalazł sobie hiszpańską dziewczynę, a o tobie zapomniał? Jego strata! Tego kwiatu jest pół świata!

Łatwo było jej mówić. Swojego faceta poznała w pierwszej klasie szkoły średniej i od tamtej pory nie przeżywała rozterek wyboru. Byli jak papużki nierozłączki, para, która zapowiedziała ślub po drugim roku. Szykowaliśmy się na niego wszyscy.

Zresztą moja nowa przyjaciółka nie miała racji. Byłam beznadziejną laską, która zaprzepaściła szansę na normalne życie. Została wyrzucona z uczelni, wróciła do rodziców i pogoniła faceta, o którym teraz nie potrafiła zapomnieć...

To musi się zmienić! – postanowiłam.

Po świętach przysiadłam do nauki i z powodzeniem zaliczyłam pierwszy semestr, a zaraz potem sesję. I nawet zaczęłam umawiać się z Remkiem, kolegą z roku. Trochę na siłę, ale zawsze.

Po letniej sesji zaczęłam przemyśliwać o uniezależnieniu się od rodziców. A że akurat zmarła ciotka taty i stryja Stefana, ten drugi zaproponował, bym zajęła jej mieszkanie.

– Nie ma najmniejszego sensu, by Roma się od nas wyprowadzała. – Mama zgłosiła sprzeciw.

– Dlaczego? – zaatakowałam, bo już witałam się z gąską.

– Źle ci z nami? – usłyszałam argument poniżej pasa.

– Nie. Ale chyba już pora na samodzielność?

Dostałam, co chciałam. Rodzice sprawę przetrawili, doszli do jednego słusznego wniosku i w końcu stanęłam w progu starego, zaniedbanego, bo nieremontowanego od lat, lokum po ciotce – z junkersem w łazience, ścianami obłazącymi z farby i kuchnią kafłową. Jednak znajdowało się w kamienicy, miało ponad trzy metry wysokości, piękny balkon, dębowe podłogi w jodełkę i cudowny stary kredens w salonie.

Nie myślałam wówczas o remoncie ani problemach z utrzymaniem tak wielkiego i starego mieszkania. Zabrałam manatki od rodziców i zaczęłam się urządzać. Było lato, na dworze skwar, nie musiałam martwić się o ogrzewanie. Rodzice płacili rachunki, stryj Stefan dorzucał mi miesięcznie kilka stówek.

Pewnego dnia wstałam wczesnym rankiem i po porcji płatków kukurydzianych z mlekiem zajrzałam do internetu, by sprawdzić, jak poradzić sobie z odnowieniem kredensu. Postanowiłam zmierzyć się z tym

zadaniem samodzielnie, bo zlecenie go komukolwiek pochłonęłoby majątek.

Dotarłam do opisu pierwszego kroku, czyli prawidłowego rozpoznania warstwy wykańczającej mebel – czy to jest lakier, czy politura, od czego miały zależeć dalsze prace renowacyjne oraz wybór produktu do impregnacji, jak wyczytałam w mądrym opisie – kiedy zadzwonił telefon. Skupiona na fachowych poradach i zła jak osa, że ktoś śmie mi przeszkadzać, odebrałam niechętnie.

– Słucham? – warknęłam.

– Jestem pod twoim domem. Otworzysz mi?

Głos należał do Włodka.

Rozdział 17

Marcelina

od grudnia 2007 do lipca 2013 roku

Przez kilka dni od powrotu ze szpitala nie wychodziłam z domu. Wyjadałam zapasy przygotowane przez mamę Aliny i wypalałam w kominku drewno zgromadzone w szajerku. Z uwagi na święta i sylwestra ośrodek fundacji, która wynajmowała niegdyś od babci, a teraz ode mnie kilka pomieszczeń, był zamknięty, więc nie musiałam martwić się o kontakty z jego pracownikami ani podopiecznymi. Ani tłumaczyć się z tego, że wróciłam ze szpitala bez dziecka. Oni, zajęci świętowaniem, również nie zaglądali. Przesiadywałam na tyłach domu i zasłaniałam okna od drogi, udając, że mnie nie ma. Ta strategia odniosła skutek. Nikt mnie nie nachodził.

Jednak musiałam wreszcie wyjść, choćby po zakupy. Obawiałam się pierwszych po porodzie kontaktów z ludźmi, ale nie sposób było nie pokazać się we wsi i nie odpowiedzieć na pytania o dziecko.

Zrobiłam to dzień po sylwestrze z nadzieją, że okoliczni mieszkańcy siedzą w domach, dojadają resztki, leczą kaca i nie mają ochoty w deszczu, który nagle spadł i utworzył na ulicach płytkie marznące kałuże, wystawiać nogi za próg. Trudno jednak było nie ominąć pani Grażyny, właścicielki sklepiku spożywczego, która mimo spodziewanego braku klientów i tak otworzyła interes. Zawsze mógł nadejść człowiek spragniony piwa lub chętny, by nabyć na kaca zwyczajne pół litra.

Ja poszłam po chleb. Od progu dostrzegłam zaciekawiony wzrok sklepikarki.

– Już po porodzie? – zapytała, znacząco spoglądając na mój płaski brzuch pod płaszczem.

– Tak, pani Grażyno. Poproszę pół chleba. I może jeszcze masło – złożyłam zamówienie, świadoma, że to dopiero początek.

– To mów! Córka czy synek? Gdybym wiedziała, przyniosłabym ci zakupy do domu. Zostawiłaś dziecko bez opieki?

Przygotowana na lawinę pytań, z wyprzedzeniem opracowałam aktorski występ przed sąsiedzką społecznością. Otarłam oczy dramatycznym gestem, z nadzieją, że nie popadam w patos, i wyszeptałam:

– Córeczka. Zmarła przy porodzie.

Pani Grażyna wybiegła zza lady i wzięła mnie w swoje potężne ramiona. Na moment straciłam oddech.

– Kiedy pogrzeb?! – niemal wykrzyczała, siłą usadzając mnie na stołku.

– Już był – odparłam. – Znajomi z miasta pomogli mi wszystko zorganizować.

Sklepiarka wciąż przeżywała tragiczną wiadomość. Pobiegła na zaplecze po szklankę wody dla mnie, chyłkiem ocierając niewidoczne łzy. Kręciła się po sklepie bez ładu i składu.

Zrozumiałam, że w ten sposób próbuje mi okazać współczucie. Postanowiłam zakończyć tę farsę.

– Dziękuję, pani Grażyno. Pójdę już.

– A może cię odprowadzić i posiedzieć z tobą? – Była gotowa zamknąć sklep.

– Nie trzeba. Dzisiaj przyjeżdża przyjaciółka – skłamałam. – Dlatego przyszłam po chleb – dodałam bez sensu.

Wychodząc z jaskini miejscowych plotek, wiedziałam, że wieść o moim „zmarłym” przy porodzie dziecku rozniesie się po wsi z prędkością błyskawicy. I tak się stało, bo wkrótce potem ludzie spoglądali na mnie oczami pełnymi pożałowania. Ta ciężko doświadczona przez życie mała Koryncka przeżyła kolejną tragedię! Ale przynajmniej zostawili mnie w spokoju i nie dopytywali o szczegóły.

Niestety, z Agnieszką z ośrodka nie poszło mi tak łatwo. Kiedy w styczniu wróciła z miasta, by po przerwie świątecznej wznowić zajęcia dla niepełnosprawnych podopiecznych, wiadomość o moim dziecku bardzo nią wstrząsnęła.

Próbowała ze mną rozmawiać, chciała pójść na cmentarz ze zniczami i wiązanką. Musiałam się nieźle nagimnastykować, żeby poskromić jej zapędy i udowodnić, że powoli dochodzę do siebie.

– Pomogła mi dalsza rodzina i zorganizowała pogrzeb w rodzinnym grobie na drugim końcu Polski – łągałam w żywe oczy, czerpiąc inwencję twórczą nie wiadomo skąd.

Jej postawa przestała mnie dziwić, gdy niebawem Agnieszka napomknęła o swojej ciąży i rozwiązaniu za kilka miesięcy. Wspomniała również o pomysle przeniesienia się na stałe do Chrusniaka. Razem z Poldkiem, którego poślubiła w drugi dzień świąt.

– Ja stałam na ślubnym kobiercu, a ty w tym czasie straciłaś dziecko – kajała się za niepopelnioną winę. – Nawet nie wiesz, jak mi przykro. I przepraszam, że cię nie zawiadomiłam o ślubie. Impreza była kameralna z uwagi na ciążę. – Odruchowo zerknęła na swój jeszcze płaski brzuch i położyła na nim dłoń. – Ale niebawem będziemy się częściej widywać. Mamy na oku jedną z działek pod lasem, które sprzedaje pan Gabrys. Chyba się dogadamy.

Wkrótce ostatecznie zrzekłam się w sądzie prawa do córki i zamknęłam ten rozdział w moim życiu. Odetchnęłam z ulgą.

Nie cierpiałam głodu, żyłam z zasiłku po rodzicach i pieniędzy z wynajmu mieszkania. Pani Grażyna przyjęła mnie do pracy w sklepie. Zatrudniłam się u niej do czasu, kiedy wieczorowo skończę liceum i pójdę na studia.

Za półtora roku zdałam maturę na tyle dobrze, że przyjęto mnie na polonistykę.

Do końca nie wiedziałam, czy była to wyłącznie moja zasługa, ale nie zamierzałam się nad tym głowić. Na uczelni pracowali przyjaciele moich tragicznie zmarłych rodziców, którzy, jak sądziłam, otaczali mnie dyskretną opieką. Ważne, że w październiku miałam zacząć studia i od nowa zainstalować się w rodzinnym domu.

Mieszkanie nie wyglądało najlepiej, ale przy stanie moich finansów o remoncie mogłam zapomnieć. Ratując kieszeń, przyjęłam na stację koleżankę z roku i z miesiąca na miesiąc życie zaczęło się normalizować. Nareszcie zostawiłam za sobą tragedie i zaczęłam funkcjonować jak przeciętna dwudziestolatka. Otoczona gronem rówieśników, zajmująca się sprawami młodych ludzi. Zaczęłam nawet nieśmiało odwiedzać knajpki i smakować imprezy.

Kalina, moja współlokatorka, może i nie była specjalnie imprezowa, ale dogadywałyśmy się całkiem dobrze. Szybko znalazła sobie chłopaka

i spędzali z sobą mnóstwo czasu. Chwilami nawet jej zazdrościłam, ale widocznie miałam inną karmę. Obarczona doświadczeniami nie spodziewałam się od życia niczego pocziwego.

Po ostatnim egzaminie w sesji letniej Kalina wręczyła mi niewielką kopertę. Wyjęłam z niej kartonik ze zdjęciem dwojga ludzi i odczytałam treść.

„Kalina i Andrzej zapraszają na ślub, który odbędzie się siódmego lipca w kościele...”

Zapatrzona w datę przestałam czytać. To była rocznica śmierci rodziców.

Zadumę przerwała mi Kalina.

– Coś nie tak? Nie możesz przyjść? – usłyszałam pytanie.

– Mogę, Kalina. Naturalnie, że mogę. – Powróciłam do rzeczywistości. – Gratuluję i bardzo się cieszę! – Objęłam ją i uściskałam.

Ślub zaplanowano na czternastą, zatem mamę i tatę odwiedzę rano, pomyślałam przed snem, z trudem panując nad łzami.

A jednak wspomnienia bolały.

Po wakacjach Kalina się wyprowadziła, a ja nie miałam ochoty kwaterować kogoś innego. Żeby zrekompensować sobie stratę finansową, najęłam się jako kelnerka w pobliskiej kawiarni. Pracowałam głównie w weekendy.

W wolnym czasie spotykałam się z Aliną i odwiedzałam jej rodziców. Pani Daria przyjmowała mnie jak swoją. I nigdy nie nawiązywała do oddania mojej córeczki, za co byłam jej bardzo wdzięczna.

Ja również po jakimś czasie powoli zapominałam o małej, nauczona okrutnym doświadczeniem, że ludzie odchodzą i wokół człowieka robi się pusto. A jednak czasami, kiedy widziałam matkę z wózkiem, zdarzało mi się zerkać do środka. Tłumaczyłam sobie, że dałam córeczce szansę na lepsze życie, a ja jeszcze kiedyś zaznam radości macierzyństwa. Tyle że nie teraz, przyspieszałam kroku. Na razie mają mi wystarczyć zaliczone sesje i małe radości dnia codziennego, ustawiałam się do pionu. Wycieczka do Zakopanego dla członków koła górskiego na naszej uczelni, do którego dołączyłam. Odłożyłam na nią parę groszy; dofinansowana nie kosztowała wiele, a ja przynajmniej gdzieś wyskoczyłam. Wyjazd z kolegami na mazurski rejs żaglówką, nawet trzydniowy wypad do Pragi z kilkorgiem znajomych z roku.

Planowałam wprawdzie niewielki remont w mieszkaniu, ale musiałam poczekać na lepsze czasy. Może po studiach, kiedy zacznę pracować na dobre?

Teraz zarabiałam w kawiarni, której byłam wierna od samego początku. Oprócz pensji zbierałam trochę z napiwków, więc przykładałam się do roboty. Aż pewnego dnia przy moim stoliku usiadł przystojny młody gość, na którego widok mocniej zabiło mi serce.

Pewnie czeka na dziewczynę, pomyślałam, pytając o zamówienie.

Po chwili dołączyło do niego dwóch kolegów. Kiedy płacił rachunek, zapytał, czy może kiedyś po pracy zaprosić mnie na kawę. Skinęłam głową jak głupia koza.

Od tego momentu zaczęłam spotykać się z Hubertem, studentem piątego roku medycyny. Los nareszcie się odwrócił. Miałam u swego boku fantastycznego faceta, bez którego nie potrafiłam przeżyć chwili.

Spędzaliśmy z sobą dużo czasu, poznawaliśmy się wzajemnie. Byłam zauroczona nim, jego rodziną, którą mi przedstawił, domem.

Rodzice Huberta byli lekarzami, zamężna siostra prowadziła kancelarię prawniczą. Na szczęście, choć sierota, nie musiałam wstydzić się swoich rodziców, ekonomistów, całe życie pracujących na uczelni.

Czułam się akceptowana i mile widziana u państwa Rawiczów. A Hubert był najlepszym z chłopaków. Uwielbiałam jego dowcip, sposób, w jaki mnie pieścił, doceniał. Lubiliśmy się bawić razem na fajnych imprezach i oglądać zachód słońca nad jeziorem.

Kiedy obroniłam magisterkę, czekał z bukietem kwiatów. Zrewanżowałam mu się równie pięknym po jego egzaminie.

Zaczęliśmy planować ślub. Chciałam jak najszybciej założyć białą suknię, a Hubert w pełni się ze mną zgadzał.

– To może we wrześniu? – zaproponowałam.

– Pogadam z rodzicami. Wiesz, oni pewnie będą chcieli zorganizować imprezę z wielką pompą, jak ta mojej siostry – mruknął.

Terminu wrześniowego nie udało się znaleźć, ale już w połowie października jak najbardziej.

Byłam szczęśliwa. Zwłaszcza gdy pod wpływem znanych mi doskonale reakcji organizmu nasiusiałam na test ciążowy.

Zobaczyłam dwie różowe kreski.

„Ala, jestem w ciąży! I w październiku pobieramy się z Hubertem. Nareszcie zajrzało do mnie szczęście!”, napisałam do przyjaciółki.
„Wspaniale! Należało ci się, kochana”, przyszła odpowiedź.
Po raz pierwszy od nie wiadomo jakiego czasu zasypiałam spokojnie.

Rozdział 18

Roma

od lipca 1996 do lipca 2000 roku

Gdy usłyszałam w domofonie głos Włodka, mimo woli wpadłam w panikę. Matko jedyna, jak ja wyglądam! – odruchowo przeczesalam dłonią włosy i zrzuciłam fartuch, który założyłam do prac nad renowacją kredensu.

Po chwili puknęłam się w głowę, dostrzegłszy bezsens tych działań. Przecież nie byliśmy razem. Nie widzieliśmy się od roku. A ja obecnie chodziłam z Remkiem.

Nieoczekiwana wizyta nie powinna mnie obejść. To, że wyjechał, mogłam jeszcze zrozumieć. Nie zrobiłam niczego, żeby go zatrzymać. Ale on skutecznie powstrzymał się od jakichkolwiek kontaktów. Zero esemesów, telefonów czy mejli.

A jednak jego głos bardzo mnie poruszył.

– Wejdz – zaprosiłam go na górę.

Zastanowiłam się, czy mam w lodówce śmietankę do kawy, jak gdyby od tego zależało powodzenie wizyty.

Staął w drzwiach, opalony i przystojny jak nigdy dotąd. Widać pobyt na hiszpańskim wybrzeżu mu służył.

– Zapraszam. Jak mnie znalazłeś? – Gadatliwością nadrabiałam zakłopotanie. – Mieszkam tu od niedawna, wszędzie mam bałagan, nie zdążyłam nawet rozpakować kartonów, a teraz czytam o renowacji starego kredensu ciotki. Chcesz, to ci go pokażę.

Był zakłopotany tak samo jak ja. Nie usiłował objąć mnie ani pocałować. Wyjął zza pleców bukiet, z nadzieją w oczach, że przyjmę.

– Dziękuję. Wejdz do pokoju. Naleję wody do wazonu. – Sięgnęłam po jeden z ciocinych kryształów i wybiegłam z pokoju.

W kuchni z miejsca sięgnęłam po szklanekę z wodą i pociągnęłam solidny łyk, skarciwszy się w duchu za rozkojarzenie. Muszę się opanować. W żadnym wypadku nie mogę pokazać Włodkowi, jakie wrażenie wywiera na mnie jego wizyta.

– Napijesz się kawy? – zawołałam, kiedy udało mi się odzyskać normalny głos.

– Chętnie – powiedział za moimi plecami. – Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem – sumitował się. – Przyszedłem pomóc.

Powoli wzięłam się w garść.

– Zanieś do pokoju cukiernicę i mlecznik – poleciłam. – Już nastawiłam ekspres.

Kiedy zajęliśmy miejsca w przepastnych uszakach pamiętających przedikeowe czasy, rozmowa potoczyła się wokół mieszkania. Z zaangażowaniem godnym lepszej sprawy opowiadałam o kolejnych pomieszczeniach, o planach remontowych i renowacyjnych oraz oprowadzałam Włodka po wszystkich kątach.

Minęło sporo czasu, zanim nawiązaliśmy do celu jego przyjazdu. Jak gdyby obawiając się, co z tego wyniknie.

Zaczął Włodek.

– Roma, mówiłaś, że nie jesteś gotowa, a ja to uszanowałem – przerwał godzinną debatę na tematy zastępcze. – Wiem, że moja nagła emigracja na koniec Europy była drastycznym krokiem. Jednak wtedy nie chciałaś, żebym z tobą został, więc do końca nie czuję się winnym naszego rozstania.

– Zarzuciłeś kontakty – oskarżyłam. – Pisałam do ciebie.

– To prawda. Na początku byłem dotknięty, a potem stwierdziłem, że przyjadę do ciebie po roku i zobaczymy. Nie zdawałem sobie sprawy, jak trudno będzie mi o tobie nie myśleć. A ty? Jak sobie radzisz? Masz kogoś?

Dlaczego zadał to pytanie? Czyżby chciał wspomnieć o swojej Hiszpance?

– Zaliczyłam drugi rok ekonomii – oznajmiłam. – Musiałam przystąpić do kilku dodatkowych egzaminów, w ramach uzupełniania, jak się to nazywa, różnic programowych. A teraz udało mi się wyprowadzić od rodziców do mieszkania po ciotce. Tak naprawdę chatę odziedziczyli mój tato i stryj Stefan, któremu zawdzięczam to moje nowe życie. Rodzice chyba nigdy nie wypuściliby mnie z rąk, skoro poza domem dopada mnie rozwiązłość. –

Uśmiechnęłam się krzywo. – Za rok zrobię licencjat, za kolejne dwa magisterkę z nieruchomości, bo mnie naprawdę interesują. A ty?

Musiałam trzymać na wodzy nawrót oczarowania. Włodek operował wyłącznie spojrzaniem, ale miało ono niezłą siłę rażenia.

– Również zaliczyłem rok. Wprawdzie trochę z problemami, bo musiałem solidnie przyłożyć się do języka, ale dałem radę. Jest dobrze, chociaż rezydowanie na stałe w Hiszpanii to nie moja bajka.

– Bo?

Zastanowił się przez chwilę.

– Bo tam nie ma ciebie.

Nie byłam w stanie opierać się dłużej czy szukać kolejnych pretekstów, by stawać w poprzek przeznaczeniu.

Zaproponowałam Włódkowi nocleg. Zaczęliśmy go, nie czekając na zmierzch.

Jeszcze nigdy nie spędziłam tak fantastycznego czasu z żadnym mężczyzną. Kochaliśmy się, jedliśmy, tuliliśmy przy romantycznej muzyce. Zapomniałam, że od rana występuję nieumalowana i w niezbyt seksownych ciuchach.

Pamiętałam za to, by zapytać Włodka o śniadą dziewczynę, z którą widziała go Magda.

– To Inez, żona mojego brata – wyjaśnił. – Przyjechaliśmy kiedyś we trójkę do Polski i rzeczywiście byłem z nią w kawiarni. Mają dwoje dzieci – dodał. – Ale nie odpowiedziałaś mi na pytanie. Masz kogoś?

Zastanawiałam się, czy powiedzieć o Remku, ale zrezygnowałam.

– Nie – odparłam. – Jestem sama. Chłopak, z którym byłam na kilku randkach, to nic poważnego. – Oddałam Włódkowi pocałunek.

I nie tylko.

Sprowadził do mnie rzeczy z hotelu i został. Jego oficjalne przenosiny na naszą uczelnię odbyły się po roku, ale w końcu się udało.

Na pierwszym roku studiów magisterskich siedzieliśmy obok siebie, słuchając wykładu doktor Korynckiej ze współczesnych koncepcji zarządzania nieruchomościami.

Gdy omawiała slajdy, a ja właśnie ścisnęłam pod ławką dłoń Włodka, na salę wykładową wtargnęła mała dziewczynka.

– Mamo, czy mogę coś napisać na tablicy? – zawołała.

Za nią pojawił się doktor Koryncki. Przeprosił gestem słuchaczy i wyprowadził nieproszonego gościa na korytarz.

Po sali przeszedł szmer, a potem rozległy się stłumione chichoty.

– To Marcelinka, córka Korynckich – usłyszałam. – Tatuś nie upilnował...

Mała mogła sobie liczyć jakieś pięć, sześć lat. Ciut więcej od mojego nienarodzonego dziecka. Pieczołowicie ukrywanej tajemnicy.

Nie miałam pojęcia, dlaczego pamięć podsunęła mi dawno zapomniane wydarzenie. Może dlatego, że nie miałam szansy z nikim się nim podzielić? Zapewne Marcin, niedoszły ojciec, załatwił przy pomocy cudownej tabletki niejedną taką sprawę. A zresztą, co mnie to obchodzi. Od tamtej pory nie interesowałam się jego życiem uczuciowym. Ani jakimkolwiek innym.

Stare dzieje, pora zapomnieć, westchnęłam w duchu.

W wakacje po pierwszym roku studiów magisterskich wyjechaliśmy z Włodkiem do Hiszpanii, odwiedzić jego rodziców i rodzinę brata. Wprawdzie spotkaliśmy się już wcześniej, w Polsce, kiedy wpadli do nas na kilka dni, ale tym razem pobyt miał być dłuższy i połączony ze zwiedzaniem Andaluzji.

Pokochołam ojczyznę Picassa i Banderasa. Włóczyłam się z ukochanym po urokliwych uliczkach Malagi, opalałam na Costa del Sol, zjadałam się owocami morza. I byłam cholernie szczęśliwa.

Podobnie jak rok później, kiedy po obronie stanęliśmy z Włodkiem na ślubnym kobiercu, w moim rodzinnym mieście. Niestety, przez moich rodziców pomysł na ślub w Hiszpanii nie przeszedł, ale podróż poślubna pozwoliła mi powtórnie odwiedzić ten kraj.

Z teściami, Wiktorem, Inez i ich dwujęzycznymi dzieciakami, Angelą i Juanem, dogadywałam się doskonale. Zauroczona widokami, odurzona ciepłym powietrzem i nieustającym słońcem zaczęłam w pewnym momencie przemyśliwać o przeprowadzce, zwłaszcza że rodzina Włodka przetarła szlak. Jednak z drugiej strony tęskniłam za rodzicami, stryjkiem, nawet mieszkaniem po ciotce, które powoli remontowaliśmy, odzyskującym dawny blask. A w dodatku nadarzała się okazja wykupienia znanego w mieście biura nieruchomości, które dotychczasowa właścicielka, pani Wolska, postanowiła sprzedać.

– Włodek, przecież nas na to nie stać – zaoponowałam, kiedy mąż przedstawił mi propozycję.

– Nie chce dużo, a rodzice mogą zapłacić. Wiktorowi też sfinansowali interes. Posłuchaj... – Przysiadł naprzeciwko mnie i ujął moje dłonie. – Oczywiście, możemy zacząć od zera, ale wtedy czeka nas szukanie lokalu, urządzenie go, budowanie bazy klientów i tworzenie know-how. A Wolska przekaże nam wzory umów i podzieli się doświadczeniem.

– To ile ona chce? – spytałam.

Usłyszałam kwotę i aż zamarłam.

– Nie ma mowy! – zaprotestowałam. – Co ona sobie myśli?

– Wierz mi, to okazja. Polskie ceny nawet nie sięgają do pięt tym na hiszpańskim rynku. Rodzice nam pomogą – powtórzył.

No i niebawem objęliśmy w posiadanie nasze nowe biuro nieruchomości. Wprawdzie lokal w rynku domagał się niewielkiego odświeżenia albo przynajmniej przystosowania do naszych upodobań i gustów, ale byliśmy młodzi i mieliśmy dużo sił. Praca od rana do wieczora, dzielona między remont a pośrednictwo w obrocie nieruchomościami, nie męczyła. W niedziele zaliczaliśmy obiady u rodziców i czasami wpadaliśmy nad jezioro, do stryja Stefana.

Na imprezie z okazji pierwszej rocznicy naszego ślubu mama przeszła samą siebie. Odkąd pamiętam, potrafiła smacznie gotować, jednak tym razem zaskoczyła wszystkich mnogością potraw i elegancją stołu. Przy podwieczorku, na który zaserwowała tort bezowy i makaroniki à la Ladurée, spojrzała znacząco na tatę. Ten odchrząknął, wstał z krzesła i podniósł kieliszek.

– Kochani, wielka to dla nas radość być z wami i dzielić wasze szczęście – wniósł toast. – Ale jeszcze większa byłaby, gdyby... – przerwał i spojrzał na mamę w poszukiwaniu wsparcia.

Skinieniem głowy dodała mu otuchy.

– Gdyby biegały po domu jakieś małe stópki. Kochani, wasi rodzice chcą zostać dziadkami! – zakończył z zapałem. – Wszystkiego dobrego!

Wracaliśmy do siebie wdzięczni za wspaniały wieczór, smakowitości, pudełka z jedzeniem na kilka dni, ale jednak nie w humorach.

Rzecz w tym, że nie zabezpieczaliśmy się od ślubu, a jednak nie zachodziłam w ciążę. Postanowiłam zasięgnąć porady ginekologa.

Słowa rodziców dały mi do myślenia.

Rozdział 19

Marcelina

sierpień 2013 roku (dwunasty tydzień ciąży)

Jesteś pewna, że będziemy mieć dziecko? – Hubert na wieść o wyniku testu nie zareagował skakaniem pod sufit.

Poczułam się niezręcznie. Spodziewałam się minimum radości, tymczasem krzywy uśmiech wskazywał na konsternację.

– Powtórzyłam test. Jeśli chcesz, mogę ci pokazać.

Milczał, ale zrozumiałam, że wolałby sprawdzić moją prawdomówność. Sięgnęłam po plastikowe płytki. Na każdej widniały niebudzące wątpliwości dwie amarantowe kreski.

– Rzeczywiście. Kiedy robiłaś test? – zapytał.

Czy to przesłuchanie?

– Dzisiaj rano.

– Testy, jak wiesz, nie są stuprocentowo dokładne – mruknął.

Nie rozumiałam. Czy ktoś mi podmienił chłopaka? Za dwa dni mamy się pobrać, więc chyba ciąża nie jest jakimś wielkim dramatem? Nawet jeśli wyprzedza białą suknię, która i tak mi się nie należała.

Niestety, jak dotąd nie znalazłam w sobie odwagi, żeby wspomnieć Hubertowi o Ewie. Alina nie raz i nie dwa namawiała mnie do szczerości, ale przez strach, że go stracę, odkładałam to na bliżej nieokreślony czas. W mieście nikt nie był świadomy mojej poprzedniej ciąży, ale w Chruśniaku przeciwnie. I nawet gdybym poprosiła sąsiadów o dyskrecję, nie mogłam mieć gwarancji, że sprawa nie wyjdzie na jaw. Mało to na świecie życzliwych?

Nic dziwnego, że na wieść nie jeździłam. Separowałam Huberta od mojego dawnego życia.

– Powiem mu po ślubie – obiecałam Ali, przyłożywszy do serca dłoń, na znak szczerych intencji.

– Będzie z tego awantura – prorokowała ponuro przyjaciółka. – Hubert to porządny facet, a ty go najnormalniej oszukujesz.

– Nie. Tylko nie mówię mu całej prawdy – sprostowałam. – Zrzekłam się Ewy, to już zamknięty rozdział. Nie mam prawa zacząć życia od nowa?

– Oczywiście, że masz. Ale jak byś się czuła, gdyby Hubert zataił przed tobą coś równie ważnego?

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś przeciwko mnie.

Czułam, że Alina ma rację, jednak nie byłam w stanie postawić pod znakiem zapytania przyszłości związku z Hubertem.

– Marcelina, zawsze będę po twojej stronie. I tym razem również jestem. Sekunduję waszemu związkowi, ale wskazuję na zagrożenia. Kiedyś zajdziesz w ciążę, a lekarz szybko się zorientuje, że już rodziłaś. Chcesz, żeby twój mąż dowiedział się od niego? Albo jego rodzice lekarze od kolegi ginekologa?

Teraz, po reakcji Huberta na wyniki testu, przypomniałam sobie tamtą rozmowę i przeraziłam się nie na żarty. On jak najszybciej musi poznać prawdę, postanowiłam.

Rzecz w tym, że od postanowienia nie przybyło mi odwagi. Tłumaczyłam sobie pokrętnie, że wprowadzie rodzice mojego narzeczonego z pewnością załatwią mi wizytę u najlepszego ginekologa położnika w mieście, ale mogę stanąć okoniem, wybrać innego i poprosić go o dyskrecję w kwestii pierwszej ciąży. No i oczywiście zrezygnować z rodzenia w macierzystym szpitalu teściów.

Karkołomne i skomplikowane zadanie, ale przy dobrych wiatrach możliwe, kombinowałam.

Tymczasem po pierwszym wstrząsie Hubert ochłonął i przeprosił mnie za brak entuzjazmu.

– Marcelinko, ja po prostu jestem bardzo zaskoczony. Przyznaję, nawet nieco przestraszony. Niebawem zaczynam pracę w szpitalu i chciałbym się jej poświęcić, a nie z miejsca wskakiwać w pieluchy. Ty pewnie też liczyłaś na posadę w wydawnictwie.

Miał rację. Przed kilkoma dniami byłam na rozmowie kwalifikacyjnej i wyszłam zadowolona. Pełna dobrych myśli czekałam na telefon, z nadzieją, że wiadomość będzie pozytywna i niebawem rozpocznę pracę

redaktorki. Tymczasem ciąża mogła zmienić optykę mojego potencjalnego pracodawcy. W tej sytuacji nie mogłam jej zataić.

Tyle że na pewne rzeczy nie mamy wielkiego wpływu. Stało się. Ale chciałam mieć w Hubercie oparcie, a spotkał mnie gorzki zawód.

– Wszystko rozumiem, ale tego, że jestem w ciąży, nic nie zmieni – odparłam. – Chyba nie chcesz, żebym ją zlikwidowała? – zadałam w moim mniemaniu retoryczne pytanie.

Oczekiwałam zaprzeczenia.

Hubert wciąż miał kwaśną minę.

– Nie zamierzam namawiać cię do aborcji – zastrzegł się. – Po prostu inaczej wyobrażałem sobie nasze pierwsze kilka lat po ślubie. Przepraszam, muszę ochłonąć i oswoić się z tematem.

Okej. Taka odpowiedź była możliwa do zaakceptowania.

W najbliższą sobotę poszliśmy na obiad do rodziców Huberta. Miałam duszę na ramieniu, niepewna reakcji przyszlých teściów, poinformowanych o wyniku testu przez mojego narzeczonego.

Już od progu okazałej willi powiało chłodem. Pewnie ich zawiodłam, pakując się w dziecko jeszcze przed ślubem, pomyślałam.

– Wejdz, Marcelino, zaraz podam krem z białych warzyw. Bardzo zdrowy w twoim stanie. – Pani Alicja powitała mnie i skierowała się do kuchni.

Fakt, że pomoc domowa została odprawiona, wskazywał, że szykuje się poważna rozmowa.

Przecucie mnie nie myliło. Rawiczowie mieli ze mną do pogadania.

Mama Huberta zaczęła po drugim daniu. Jak zwykle grzecznie i kulturalnie, ale w tonie jej głosu brakowało dobrze mi znanej serdeczności.

– Kochani, jesteśmy z mężem nieco zaskoczeni, że zdecydowaliście się na dziecko jeszcze przed ślubem. Ciebie czeka rezydentura. – Spojrzała na syna. – A ty miałaś podjąć pracę redaktorki. – Zerknęła na mnie. – No, ale cóż. Rozumiemy z Pawłem, że czasami natura bierze górę i pewnym rzeczom nie da się zapobiec. Teraz najważniejsza jest wizyta u ginekologa i to, żeby dziecko urodziło się zdrowe.

Nie wierzyłam własnemu szczęściu. Państwo Rawiczowie nie wyrazili może specjalnej ekscytacji moim stanem, ale też nas nie pognębili.

Przy wyborze lekarza zaczęły się schody. Mama Huberta nie chciała słuchać.

– Nie ma mowy! – ucięła, gdy próbowałam ją poinformować, że już wybrałam doktora. – Pójdiesz do Alka Witkowskiego. On jest najlepszy w mieście i zajmie się tobą, jak należy. Trzeba zrobić wszystkie badania, a jego klinika dysponuje sprzętem najwyższej klasy.

Nie bardzo wiedziałam, dlaczego potrzebuję aż tak dogłębnych i precyzyjnych badań, ale teraz nie to było ważne. Intensywnie główkowałam, jak wyautować się od znajomego rodziców Huberta, choć czułam, że nie dam rady. Pozostawała nadzieja, że facet okaże się dyskretny i nie rozpuści języka, gdy zorientuje się w sytuacji. No i zawsze mogłam mu przypomnieć o tajemnicy lekarskiej.

Hubert okrzepł nieco. Z każdym dniem bardziej przyzwyczajał się do myśli, że za kilka miesięcy zostanie ojcem. Wprawdzie nadal nie okazywał zbyt dużej radości, ale założyłam, że ta przyjdzie z czasem.

– Zobaczysz dziecko, zakocha się – pocieszała mnie Ala. – A jak tam przygotowania do ślubu?

– Chwilowo trochę przystopowały. Pani Rawiczowa wyjechała na jakiś lekarski kongres, a ja czekam na wizytę u ginekologa. Wiesz, zrobiłam się jakaś taka apatyczna. I czuję dziwny niepokój. Odeszły mi ciężowe dolegliwości. Pamiętam, że przy Ewie długo miałam nudności i ogólnie słabo się czułam, a teraz nic.

– To tylko się cieszyć, mała! Nie mam doświadczenia, ale chyba każda ciąża jest inna?

– Może. A co u ciebie? Jak w pracy? – zmieniłam temat.

Moja przyjaciółka zmieniła się na twarzy.

Znałam tę minę. I nie myliłam się. Alina zaczęła spotykać się z mężczyzną.

Jej nowa miłość pochodziła z Irlandii i mała na imię Steve.

– No i co teraz? – zapytałam przytłoczona groźbą utraty przyjaciółki, której mógłby przyjść na myśl wyjazd z Polski na stałe.

– Na razie nic, Marcela. On tutaj wpada, by załatwić interesy swojej firmy, i wtedy się widzimy. Ale we wrześniu wybieram się do Irlandii.

– Cudownie!

Alina zasepiła się nieco.

– Mama twierdzi inaczej...

W sumie się nie dziwiłam. Jedyńca zadaje się z chłopakiem wyspiarzem. To zagrożenie perspektywą rozstania z córką. Niemniej jednak

nic jeszcze nie było przesądzone, więc powinna cieszyć się jej szczęściem, bo Ala wyglądała naprawdę olśniewająco.

Jak to zakochana kobieta.

W końcu nadszedł dzień wizyty u lekarza. Poszłam sama, bo na szczęście Hubert nie był zbyt wyrywny, by mi towarzyszyć.

Doktor Witkowski posadził mnie naprzeciwko dużego dębowego biurka, za którym zajął miejsce w wygodnym fotelu. Jeżeli nie liczyć tych dwóch akcentów przeszłości, wewnątrz było sterylnie białe i nowoczesne. Niewątpliwie przygotowane, by spotkanie ze specjalistą wypadło profesjonalnie i zbudowało zaufanie.

– Rozumiem, że robiła pani test ciążowy? – zagał.

– Dwukrotnie – potwierdziłam.

– W takim razie proszę się rozebrać i zapraszam na fotel – zaordynował, wskazując mi garderobę.

Zdjęłam majtki, założyłam higieniczne białe ochraniacze na stopy i zajęłam miejsce na dobrze mi znanym helikopterze, jak w myślach nazywałam fotel ginekologiczny.

Doktor przystąpił do badania, a kiedy je zakończył, zaprosił mnie na kozetkę, na USG.

W trakcie diagnostyki nie doczekałam się żadnego słowa. Obserwowałam twarz doktora, próbując wyczytać z niej emocje, ale minę miał nieprzeniknioną. Niepokojącą.

Bałam się odezwać i zapytać, dlaczego badanie trwa tak długo.

Wreszcie Witkowski wytarł mój brzuch jednorazowym ręcznikiem, podał mi rękę i pomógł wstać z kozetki.

Usuwałam ze skóry resztki kleistej mazi i obserwowałam spod oka, jak zdejmuje lateksowe rękawiczki.

– Proszę usiąść – usłyszałam i ponownie zajęłam miejsce na krześle. – Czy pierwsza ciąża przebiegła bez komplikacji? – zapytał bez ogródek doktor.

– Tak – odpowiedziałam, rumieniąc się po uszy.

Nie zdobyłam się na prośbę, by zachował swoje odkrycie dla siebie.

– Jest pani w dwunastym tygodniu ciąży – powiedział. – Zalecałbym badania prenatalne, a dokładnie test PAPP-A.

– Nie rozumiem. Czy z dzieckiem jest coś nie tak? – Wpadłam w popłoch.

– Na tym etapie nie mogę wyrokować, ale dostrzegam pewne zagrożenie. Fałd karkowy płodu jest nieco większy, niż powinien. Norma przezierności karkowej na tym etapie ciąży powinna wynosić trzy milimetry. U pani jest wyższa.

– Co to oznacza?

Byłam przerażona.

– Że pani dziecko może mieć wadę genetyczną i cierpieć na zespół Downa.

Krew odpłynęła mi z twarzy i niemal zsunęłam się z krzesła.

– Ale nie musi? – szukałam pocieszenia.

– Nie musi. Ale powinna pani kontynuować diagnostykę i wykonać test PAPP-A. I proszę się nie martwić na zapas. Wypiszę pani skierowanie na badania.

Nagle prośba o dyskrecję wydała mi się mało istotna. Wizja urodzenia niepełnosprawnego dziecka przesłoniła wszystko inne.

Oby doktor Witkowski się mylił! – huczało mi w głowie.

Rozdział 20

Roma

od lipca 2000 do 2003 roku

Fakt, że mimo nieskrępowanego seksu z Włodkiem nie zachodziłam w ciążę, martwił mnie, ale na tym etapie życia specjalnie nie przerażał. Oboje mieliśmy po dwadzieścia pięć lat, a mój zegar biologiczny tykał bardzo powoli. Nie mielibyśmy nic przeciwko dziecku, ale praca w nowym biurze absorbowała nas bez reszty i pochłaniała cały nasz czas. Choć z drugiej strony... Byliśmy ze sobą od kilku ładnych lat, zajmowaliśmy wygodne mieszkanie po ciotce, które tato ze stryjem przekazali nam notarialnie, mieliśmy hiszpańskich rodziców, do których jeździliśmy w wolnym czasie. Ale przede wszystkim siebie.

Ogromnie kochałam Włodka i każdego dnia dziękowałam Opatrzności, że nie pozwoliła mu odejść, kiedy tak usilnie go do siebie zniechęcałam. Mogłam również liczyć na jego miłość. Nie szczędził mi kwiatów i czułych gestów. Ale przede wszystkim był moim przyjacielem.

– Odnależliście się jak w korcu maku – mówiła Iza, której również się poszczęściło.

Krótko po studiach poznała Tomasza i niebawem tańczyliśmy na jej weselu. Świadkujący na naszym ślubie państwo młodzi zrewanżowali się nam prośbą o to samo, a dziesięć miesięcy później zostałam matką chrzestną ich Walentynki. Nie mogli inaczej nazwać córeczki, skoro urodziła się czternastego lutego.

Hołubiłam małą, nie szczędząc kasy na prezenty i czasu na odwiedziny w trzydziestopięciometrowej kawalerce szczęśliwych rodziców. Tomasz zaczynał karierę naukową na ekonomii, Iza po urlopie wychowawczym miała wrócić na etat bibliotekarki na naszym wydziale.

Trzy nasze niezłe transakcje równały się ich rocznemu dochodowi.

– Może zaproponujemy Tomkowi pracę? – Szukałam sposobu na wsparcie przyjaciół w ich zmaganiach z niedostatkiem.

– Rozmawiałem już z nim na ten temat. – Mój mąż wykazał się empatią wcześniej niż ja. – Ale Tomek to typ naukowca. Powiedział, że o zarabianiu pieniędzy pomyśli po doktoracie. Aha, i jeszcze że niczego im nie brakuje.

– Okej. Nie możemy nikogo uszczęśliwić na siłę – odparłam. – Ale gdyby jednak potrzebowali...? – Spojrzałam na Włodka prosząco.

– Dla ciebie wszystko, kochanie. – Zamknął mi usta pocałunkiem. Do sypialni nie zaniósł mnie tylko dlatego, że sekretarka poinformowała go, że w firmie czeka klient.

Kiedy mama na naszej pierwszorocznicowej imprezie wspomniała o dziecku, Iza była w zaawansowanej ciąży. Nie zazdrościłam jej, ale jednak pojawiły się wątpliwości. Czy ze mną jest coś nie tak? Nie zdradzałam się przed Włodkiem ze swoimi niepokojami, zmagalam się z nimi w samotności.

Wystarczało, bym pomyślała o dziecku, a przed oczami stawał mi Marcin i tabletki wczesnoporonna. Zażyłam ją ochoczo, wszak stanowiła rozwiązanie mojego ówczesnego problemu. I rzeczywiście, była skuteczna, tyle że dzisiaj nie mogłam zajść w ciążę. Czyżby bomba z opóźnionym zapłonem?

Najłatwiej byłoby pójść z tym do ginekologa i zasięgnąć języka, jednak przed tym krokiem powstrzymywała mnie jakaś niewidzialna siła. Podświadomie bałam się poznać prawdę. A poza wszystkim musiałabym opowiedzieć Włodkowi o swojej niechlubnej przeszłości, co absolutnie nie wchodziło w rachubę. Na myśl o jej ujawnieniu miałam dreszcze ze wstydu i strachu o wspólną przyszłość. Widziałam ekscytację mojego męża ciążą naszych przyjaciół.

A kiedy swoje dołożyli rodzice...

– Wiesz, że moi też pytają o dziecko? – powiedział Włodek po powrocie z naszej rocznicy.

– Przecież mają Angelę i Juana – wspomniałam dzieciaki Wiktora.

– To tylko takie gadanie. Jesteśmy młodzi i mamy prawo do życia na luzie. Przyjdzie czas na powiększenie rodziny. – Nalał mi kieliszek czerwonego hiszpańskiego wina z okolic Malagi, ze szczepu Pedro Ximenez, które, jak podkreślali moim teściowie, darczyńcy winnych

przesyłek, urzekało delikatnym aromatem i słodyczą po dojrzeniu w beczkach z amerykańskiego dębu.

Teść od przeprowadzki do Hiszpanii tak się wciągnął w smakowanie wina i zgłębianie jego tajemnic, że spodziewaliśmy się jego przeobrażenia w winiarza.

– Dobrze! – Młasnęłam po pierwszym łyku wyrazistego trunku, który niemal od razu zaszumiał mi w głowie. – Kochanie, masz rację, nie mamy powodów do zmartwień. Możesz mi nalać jeszcze trochę? – Wyciągnęłam do męża dłoń z pustym kieliszkiem.

Wkrótce urodziła się Walentynka, którą trzymałam do chrztu. Praca w firmie przynosiła nam dużo satysfakcji i pieniędzy. Latem wyjechaliśmy do Hiszpanii, gdzie oddałam się we władanie andaluzyjskiemu słońcu. Pod koniec sierpnia dołączyli do nas moi rodzice. Zwiedzali z teściami Sewillę, Kordobę i inne wspaniałe miejsca, podczas gdy Włodek i ja oddawaliśmy się najmiłszym towarzyskim obowiązkom, przesiadując z Wiktorem, Inez i ich dziećmiakami w klimatycznych knajpkach w pobliżu katedry lub zamku Gibralfaro. Szczęście zdawało się nie mieć granic.

Na jakiś czas zapomniałam o problemie.

Mama wracała do Polski przeziębiona. Dopadł ją jakiś fatalny wirus, który w żaden sposób nie chciał odpuścić.

– Musisz koniecznie załatwić jej wizytę u lekarza – klarowałam ojcu, kiedy odprowadzaliśmy rodziców na lotnisko. – Pamiętaj, jutro.

My mieliśmy wylecieć dopiero za tydzień, na który bardzo się cieszyłam. Wpadłam w rytm utrwalania opalenizny i kąpieli w ciepłym morzu, na zmianę. Prawdę powiedziawszy, nie śpieszyło mi się do codziennych zajęć, zwłaszcza że miałam u boku Włodka i spędzałam z nim wakacje życia.

Dziecko mogło przecież poczekać.

– Co robimy jutro? – zapytałam mojego męża w aucie, gdy wracaliśmy z lotniska.

Oczywiście robiąc do niego maślane oczy.

– A na co byś miała ochotę?

– Sama nie wiem. Tutaj wszystko jest piękne. – Rozejrzałam się rozmarzona. – Szkoda tylko, że mama tak się rozchorowała.

– Przejdzie jej, kochanie – zawyrokował Włodek i zawiózł mnie na kolację do naszej ulubionej knajpki na starówce.

Niestety, nie przeszło. Tato po wizycie u lekarza poinformował nas o konieczności wykonania kolejnych badań. Wyniki spłynęły szybko.

– Mama ma galopującą białaczkę – usłyszałam przez telefon.

Wróciliśmy z Hiszpanii. Zdążyłam jeszcze zastać ją żywą.

Po kilku dniach organizowaliśmy pogrzeb. Białaczka limfoblastyczna zmiata człowieka w kilka tygodni, a nawet dni. Moja mama nagle zniknęła.

Nie potrafiłam otrząsnąć się z oszołomienia i rozpacz. Przecież to nie mogło się stać! Jeszcze kilka dni wcześniej byliśmy razem, szczęśliwi, a teraz siedzimy z ojcem w czerni, w opustoszałym domu rodziców, zszokowani, rozżaleni, w poczuciu beznadziei.

Ogarnęłam się jakoś przy pomocy męża, ale tato nie bardzo dawał sobie radę. Na szczęście miał brata, który nie pozwolił mu zasklepić się w rozpacz.

Mijały miesiące. Rana po śmierci mamy bardzo powoli się zablizniała. Popychałam robotę do przodu, a nawet zaznawałam trochę radości, odwiedzając Izę i moją chrześnicę Walentynkę. Na razie zarzuciłam myśli o prokreacji, jak również rozpamiętywanie dawnych przewin związanych z likwidacją ciąży i jej skutków.

Jednak wszystko ma swój kres. Włodek zaczął przemyśliwać o dziecku.

– Jasne, że pójdę do ginekologa – obiecałam, kiedy cztery lata po ślubie wciąż nie doczekaliśmy się potomstwa.

O nieba, jakąż byłam głupia, że do tej pory nawet się nie przebadalam!

Zamówiłam wizytę u najlepszego specjalisty w mieście, doktora Aleksandra Witkowskiego. Podobno miał dobrze wyposażony gabinet i uznane kwalifikacje. Tyle że tego właśnie się obawiałam – twardej diagnozy, która nie pozostawi złudzeń.

Przez dwa tygodnie przed wizytą miałam nieustannie nawracające myśli o wyroku.

Ze swoich lęków zwierzyłam się Izie.

– Roma, nie ma co denerwować się na zapas. Wiele par czeka na dziecko latami, ale w końcu dopinają swego.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – przerwałam przyjaciółce. I wyznałam prawdę o Marcinie, ciąży i tabletkach.

– A jeśli to przez nią nie mogę zajść w ciążę? Włodek o niczym nie wie – dodałam ciszej. – Mama tak chciała, żebyśmy miała dziecko. I nie doczekała. – Z trudem stłumiłam płacz.

Wstrząśnięta Iza nie odzywała się przez dłuższą chwilę. A kiedy już odzyskała głos, doradziła jedyne sensowne wyjście.

– Idź wreszcie do tego lekarza i zorientuj się, na czym stoisz. A potem będziemy szukać rozwiązania.

Poszłam na wizytę i poddałam się lekarskim rytuałom. Najpierw rozmowa, później fotel ginekologiczny, a na końcu USG.

Witkowski badał mnie długo i w milczeniu. Niepokoiło mnie, ale złożyłam je na karb małomówności. Po wszystkim wskazał mi miejsce po drugiej stronie starodawnego biurka, a sam wygodnie ulokował się w fotelu.

Czekałam na werdykt.

– Pani Romo, wiem, że była już pani w ciąży, ale nie jestem w stanie przewidzieć, czy kolejna się powiedzie. Niestety, upływ kilku lat od tamtego wydarzenia i fakt, że nie może pani zająć w ciążę ponownie, nie rokuje dobrze. Ale proszę nie wpadać w rozpacz, próbować i być dobrej myśli.

Wyszłam z gabinetu zawstydzona, że doktor poznał mój sekret, ale i uskrzydłona. Nie przekreślił moich planów związanych z dzieckiem, a nawet napełnił nadzieją. Zastanowiłam się tylko, czy opowiedzieć o wszystkim Włodkowi, ale w drodze do domu zrezygnowałam.

Skoro Witkowski powiedział, że mamy próbować, to może w najbliższym czasie nam się uda. A sukces wymaże wyrzuty sumienia związane z tamtym nieszczęsnym tabletkowym incydentem.

Wprawdzie mama nie doczekała babciowania, ale ja wciąż mogłam zostać matką, a mój ukochany ojcem. Na rodzicielskim szczęściu Włodka zależało mi chyba bardziej niż na własnym.

Rozdział 21

Marcelina

od sierpnia do września 2013 roku

Nie wiedziałam, jak mam przekazać Hubertowi niepokojące wieści od doktora Witkowskiego. Miałam, oczywiście, nadzieję, że lekarz się myli, ale dość nikłą, zważywszy na jego doświadczenie i reputację najlepszego ginekologa w mieście. Niemniej czułam, że nie dam rady ukryć diagnozy, i musiałam powiadomić narzeczonego. Wystarczyło mi już jednej tajemnicy, o Ewie, stwierdziłam.

Tego dnia Hubert odwoził ojca na lotnisko i zapowiedział się z powrotem dopiero na wieczór. Przygotowałam jego ulubioną zapiekankę ziemniaczaną z boczkiem i grzybami, które w postaci suszu przetrwały w babcinej spiżarni, i podenerwowana czekałam na dzwonek do drzwi.

Przyjechał około ósmej.

– Już jesteś! Jak droga? – przywitałam go w progu gorącym całusem.

– W porządku. Coś pięknie pachnie! – Wciągnął aromat podgrzewanej w piekarniku zapiekanki. – Ależ jestem głodny! – Pobiegnął do łazienki umyć ręce.

Robił to tak często, że podejrzewałam go o natręctwo. Choć raczej był to nawyk wyniesiony z lekarskiego domu.

Zanim zaczęłam zdawać relację z wizyty u ginekologa, pozwoliłam Hubertowi zaspokoić pierwszy głód. Liczyłam, że smakowite danie poprawi mu humor.

– I jak wizyta u doktora Witkowskiego? Potwierdził ciążę? – Przypomniał sobie znieścacka.

Nadeszła chwila prawdy.

– Tak, dwunasty tydzień. Rozwiązanie planowane na połowę lutego – poinformowałam ogólnikowo.

– Jak to dwunasty? Nie mówiłaś, że od trzech miesięcy nie masz miesiączki!

– Bo ją miałam, Hubert. O nieco łagodniejszym przebiegu niż zazwyczaj, ale nie na tyle, by wzbudziło to moje podejrzenia. Przecież wiesz, że miewam nieregularne miesiączki, więc cierpliwie czekałam na kolejną.

Otarł usta serwetką, kopiując gest swojego ojca. Zauważyłam, że diagnoza go nie ucieszyła, ale zanim odezwał się ponownie, postanowiłam wyłożyć kawę na ławę. Rzutem na taśmę, zanim całkowicie zaciśnie mi się krtań.

– Doktor podejrzewa u naszego dziecka wadę genetyczną. Dostrzegł, że jest coś nie tak z przeziernością, pewnie wiesz, o co chodzi, i zalecił wykonanie testu PAPP-A.

Mój chłopak powoli odsunął od ust szklankę z piwem i obrzucił mnie niedowierzającym spojrzeniem.

– Ty żartujesz – usłyszałam zdanie wypowiedziane piskliwym głosem.

– Niestety. – Spuściłam głowę jak ktoś winny nieszczęściu. – Powiedział, że dziecko może mieć zespół Downa.

– Jezus Maria! – Hubert zerwał się i zupełnie jak ojciec zaczął nerwowo krążyć po pokoju. – Powtórz dokładnie, co ci powiedział. – Podeszedł do mnie i trochę zbyt mocno przytrzymał za ramiona.

Przestraszyłam się jego szalonego spojrzenia.

– Nie pamiętam dokładnie – odparłam. – Mówił, że przezierność karkowa powinna wynosić trzy milimetry, a jest większa, co wskazuje na downa. I jeszcze że tak nie musi być, Hubert. Powiedział, że mam zrobić test, ale jeszcze nie powinnam się martwić. – Próbowałam przekonać także samą siebie.

– Dużo pamiętasz, nie ma co. – Mój narzeczony popisał się sarkazmem. – Pokaż mi przynajmniej notatkę z wizyty – polecił.

– Nie mam.

– Jak to nie masz?! A dał ci chociaż skierowanie na test PAPP-A?

Sięgnęłam do torebki po karteluszek.

– Dzwonię do mamy. – Hubert sięgnął po komórkę.

Próbowałam go powstrzymać, ale nie słuchał. Żadne argumenty, że to nasza sprawa i przyjdzie jeszcze czas powiadomić rodziców, nie

skutkowały.

Zrezygnowana i odsunięta, w sensie przenośnym i dosłownym, stałam się niemym świadkiem rozmowy. Rozumiałam, że ona jest lekarzem, ale dlaczego mój narzeczony potraktował mnie jak przedmiot? Nawet się nie pofatygował, by wyjść z pokoju. Przekazał matce to, czego się dowiedziała ode mnie, i teraz wspólnie rozważali, co dalej.

Zorientowałam się, że moja przyszła teściowa ma wypytać doktora Witkowskiego o prawdopodobieństwo diagnostycznej pomyłki.

– Czy w naszej rodzinie były przypadki chorób genetycznych? – zapytał ją Hubert.

Jego reakcja wskazywała, że Rawiczowie są w kwestii dziedziczonych dewiacji kryształowo czyści, zatem byłam winna. Samotna jak palec, bez krewnych, u których można by zasięgnąć języka... Pierwsza podejrzana.

– Dlaczego zachowałeś się w taki sposób? – zapytałam, kiedy wreszcie odłożył telefon.

– A co, miałem czekać, aż urodzisz downa? Nie dosyć, że dzieciak nie w porę, to jeszcze z zespołem wad wrodzonych? Zdawałem z tego egzamin, wiem, czym pachnie opieka nad takim dzieckiem. To nie tylko inny wygląd, ale i szereg schorzeń. Wiesz, że nie mogłabyś pracować? A może o to ci chodzi? – Mój ukochany Hubert ział nienawiścią.

Tego wieczoru nie został u mnie na noc, bo podobno musiał ochłonąć i „przemyśleć pewne sprawy”. Wiedziałam, że potrzebuje wizyty w domu i narady z matką, która zapewne zdążyła już zasięgnąć języka u doktora Witkowskiego.

Byłam zrozpaczona i zawiedziona reakcją Huberta, więc nawet nie miałam siły ani ochoty zatrzymać go u siebie. Ale podbudował mnie fakt, że Ala znalazła czas, by wpaść na noc.

Wiadomość o ciążyowych komplikacjach nią wstrząsnęła. Mimo wszystko próbowała mnie pocieszać.

– Sama mówiłaś, że doktor pozostawił przestrzeń na nadzieję. Może ten test rozwieje wątpliwości?

– Ala, gość ma duże doświadczenie i doskonały sprzęt. Nie ma co się łudzić, że nagle zawiodła go technika, wzrok i intuicja.

Przyjaciółka podsunęła mi genialne wytłumaczenie.

– Słuchaj! Jesteś za młoda, żeby rodzić dzieci z wadami. To przydarza się głównie kobietom po czterdziestce.

Byłam przygotowana. Czekaając na Alinę, przetrząsnęłam internet, by zgłębić temat.

– Prawdopodobieństwo wad wzrasta z wiekiem matki, to prawda. Co trzydziesta czterdziestotrzyletnia kobieta urodzi dziecko z zespołem Downa, ale dwudziestopięciolatka, taka jak ja, co dziewięćsetna. Co mi po tych statystykach, skoro los wskazał na mnie? – poryczałam się. – A Hubert, zamiast pocieszać, polecił do mamusi! – łkałam.

Ala próbowała zachować zimną krew.

– Zrób ten test. A potem zobaczymy co dalej – podsumowała.

Jeśli nawet chciałam odwlec chwilę prawdy, matka Huberta mi nie pozwoliła. Po konsultacjach z kolegą zadzwoniła i poinformowała o umówionej wizycie w poradni przyszpitalnej, gdzie miałam poddać się badaniu.

– Jak zapewne się orientujesz, Marcelino, Hubert powiedział mi o wszystkim – oznajmiła. – Nie ma na co czekać. Masz się stawić jutro o ósmej rano. Pobiorą ci krew i ponownie wykonają ocenę przezierności karkowej na USG. Lekarz porówna wyniki i oszacuje ryzyko wystąpienia wady genetycznej. Test wykryje zespoły Downa, Edwardsa i Patau, czyli trzy możliwe trisomie. Czekam na ciebie w holu szpitala kwadrans przed ósmą – zakończyła.

Nawet nie miałam okazji spytać, jak długo potrwa oczekiwanie na wyrok, ale wygooglowałam to w internecie.

– Nie wspomniała o mojej pierwszej ciąży, więc chyba Witkowski jej nie powiedział – poinformowałam z ulgą Alinę.

– W zasadzie to dobrze, że tak szybko zadziałała – oceniła przyjaciółka. – Ale masz rację, lekarz nie powinien nikomu zdradzać stanu pacjentki ani jej tajemnic.

– Oni w swoim gronie kierują się chyba innym kodeksem. Najważniejsze, że nie wspomniał o Ewie.

Poszłam za poleceniem potencjalnej teściowej jak po sznurku i punktualnie zgłosiłam się do poradni przyszpitalnej. Po pobraniu krwi pani Rawiczowa zabrała mnie do swojego gabinetu, zamówiła u pielęgniarki kawę dla siebie, a dla mnie owocową herbatkę. Po jej oczach poznałam, że chce mi przekazać coś ważnego.

Nie myliłam się.

– Dziękuję, Arleta – odprawiła pielęgniarkę i całą uwagę skupiła na mnie.

Była skoncentrowana, a w białym fartuchu wyglądała nieco groźnie. Czułam się jak pacjentka podczas wizyty.

– Na wynik testu poczekamy siedem do dziesięciu dni – usłyszałam. – Dam ci znać natychmiast, ale szanse, żeby dziecko urodziło się normalne, są niewielkie.

Załamana skuliłam się w sobie. Wzrok wbiłam w wijącą się nad filiżanką strużkę pary. Nie miałam mamy, taty ani babci, w których ramionach mogłabym się zanurzyć i wypłakać żale. Przede mną siedziała niezbyt mi przyjazna kobieta. Niepełnowartościowy wnuk musiał ją srodze zawieść.

No i nie miałam Huberta.

Powinnam coś odpowiedzieć, ale słowa uwięzły mi w gardle. No bo co? Mam udowodniać, że nie jestem wielbłądem? Kajać się, jak mi przykro, bo nie powołałam na świat zdrowego dziecka? Przecież Ewa urodziła się piękna i dostała dziesięć punktów w skali Apgar...

Czułam się przytłoczona własną nieudolnością. I absolutnie niezdolna do konwersacji z matką Huberta.

– Niemniej na razie dajmy sobie spokój ze spekulacjami. Poczekajmy na wyniki – usłyszałam jej słowa.

Chciałam jak najszybciej opuścić gabinet i wrócić do domu, by spokojnie pomyśleć. Pomogła mi pielęgniarka, która wywołała Rawiczową do izby przyjęć.

– Przepraszam cię – powiedziała tylko i zniknęła w ekspresowym tempie.

Wizyta w poradni, na którą zaproszono mnie po ośmiu dniach, miała wyjaśnić wszystko.

Tym razem do gabinetu weszliśmy we dwoje z Hubertem. Ucieszyłam się, że chce ze mną dzielić trudne chwile i mnie wesprzeć, jeśli coś będzie nie tak, i nawet zapomniałam o jego konszachtach z matką. Nawet tych za moimi plecami. Próbowałam sobie tłumaczyć, że to dla mojego dobra.

Wyniki były jednoznaczne. Mój trzymiesięczny maluszek miał trisomię 21, czyli zespół Downa.

Przepłakałam z bezsilności cały wieczór, zebrząc u Huberta o pocieszenie. On jednak był daleko. Jak daleko, dowiedziałam się na spotkaniu z jego rodzicami przy okazji sobotniego obiadu.

Postawili warunki i wyznaczyli granice.

A właściwie zrobiła to matka mojego narzeczonego, bo pan Rawicz, który wrócił właśnie z zagranicznej konferencji, siedział w milczeniu.

– Przepraszam cię, Marcelino, jeżeli to, co mamy ci do powiedzenia, cię dotknie, ale z czasem na pewno zrozumiesz nasze stanowisko – zaczęła groźnie. – Hubert zaczyna rezydenturę i ma szansę zostać dobrym i cenionym lekarzem. Dziecko, w szczególności to nadzwyczajnej troski, mogłoby te plany zniweczyć. Nie martw się, nie zostawimy cię bez opieki. Zobowiązemy się prawnie do comiesięcznych alimentów, więc będziesz zabezpieczona.

W jednej chwili pojęłam, że ślubu nie będzie. Ani żadnych innych kontaktów, nie licząc tych przez bank. Na szczęście byłam zahartowana przez życie, które nauczyło mnie dbać o siebie, a teraz także o małego downa w moim ciele.

Powstrzymałam łzy.

– Ile? – spytałam zimno.

– Na razie dwa tysiące na miesiąc. – Rawiczowa miała przygotowaną odpowiedź. – Hubert uzna dziecko, a ty zgodzisz się na zaproponowaną kwotę. Będziemy ją waloryzować każdego roku o wskaźnik inflacji. Przyjmujesz nasze warunki?

Spojrzałam na Huberta. Siedział z głową w ramionach.

– Czy to również twoje zdanie? – zwróciłam się do niego z pytaniem i skrawkiem nadziei, że zaprzeczy.

– Tak – wyszeptał, unikając mojego wzroku.

Wychodziłam od Rawiczów zdołowana, ale nie pokonana. Wprawdzie straciłam Huberta, ale miałam zapewniony byt. Biała suknia odpłynęła w siną dal, przyszłość jawiła się bardzo niewyraźnie. W jednej chwili pogrzebałam miłość do chłopaka i wiarę w ludzkie uczucia.

Do domu dotarłam taksówką.

Najchętniej łyknęłabym sobie babcinej nalewki, ale przecież byłam w ciąży. Może niepełnosprawnej, niepełnowartościowej, ale nosiłam całkowicie ode mnie zależne dziecko. Którego nikt, poza mną, nie chciał.

Choć prawdę powiedziawszy, wcale nie byłam pewna, czy chcę go także ja.

Zadzwoiłam do Ali, by zadać jej retoryczne pytanie, czy przypadkiem nie zostałam ukarana za oddanie Ewy, ale nie odebrała.

Przypomniałam sobie, że dzisiaj wyleciała do Irlandii.

Rozdział 22

Roma

2003 rok

Przekazałam Włodkowi wieści od ginekologa.

– Powiedział, żeby próbować i nie martwić się zbyt – uspokajałam. – Wprawdzie jesteśmy cztery lata po ślubie, ale nie zabiegaliśmy o dziecko od początku. Wiesz, że pary czasami próbują wiele lat.

– To kiedy mamy zacząć się martwić?

– Nie wiem. Możemy sobie dać jeszcze rok, a potem pomyślimy. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze – zakończyłam z uśmiechem, myśląc już o kliencie, z którym byłam umówiona za godzinę, a przedtem musiałam jeszcze przygotować stertę dokumentów.

Jedna z firm farmaceutycznych z miasta, w którym zaczynałam studia, poszukiwała lokalu do wynajęcia lub nawet kupna, gdyby oferta okazała się korzystna. Wiedziałam, że mam do czynienia z zamożnym wypłacalnym klientem, a co najważniejsze, perspektywicznym, ponieważ mowa była także o podmiejskim terenie pod budowę hurtowni leków. Takiego należało hołubić i dokładać wszelkich starań, by go zadowolić. Dlatego sprawy rodzinne i prokreacyjne musiałam odłożyć ad acta. A przede wszystkim przenieść na grunt domowy.

– Co dzisiaj załatwiasz, kochanie? – zapytałam pro forma, zajęta układaniem sobie w głowie kolejności ofert, które zamierzałam przedstawić klientowi.

– Jadę do Kapuścisk obejrzeć teren i zabudowania po upadłej fermie drobiu. A potem spotykam się z deweloperem zainteresowanym tą lokalizacją. Nie wiesz, gdzie jest Andżelika? – Włodek zainteresował się nieobecnością sekretarki. – Miała mi wydrukować rzut terenu.

– Pewnie pobiegła do warzywniaka, kupić sobie ulubione jabłko – odparłam ze śmiechem, znając namiętność naszej asystentki do szampionów.

Mój niezadowolony mąż postanowił załatwić szybką sprawę na mieście i wrócić, kiedy już Andżelika zaspokoi swoją potrzebę przyjęcia codziennej dawki witamin. Pożegnaliśmy się, nie zapominając o słodkim całusie.

Zagłębiając się w papierach nie zauważyłam powrotu sekretarki. Dotarło do mnie, że jest, dopiero gdy uchyliła drzwi gabinetu i zapytała, czy może wprowadzić gościa.

Już? – spanikowałam, choć właściwie byłam gotowa. Dokładałam do papierów listę lokali do wynajęcia, które mogłam pokazać klientowi. Miałam jeszcze spytać Andżeliki, czy Włodek odebrał rzuty terenów w Kapuściskach, ale zaniemówiłam na widok mężczyzny, który pojawił się w progu.

Marcin.

Miałam nadzieję, że nie dostrzegł mojej reakcji.

Jako student uchodził za bawidamka i podrywacza. Zawsze dbał o siebie i nosił się z nonszalancką elegancją, ale teraz doprowadził swój image do perfekcji. Zadbane, nie za krótkie, nie za długie włosy o połysku jak z reklamy topowego szamponu, świetnie skrojona na wpół casualowa marynarka do czarnych dżinsów i olśniewający uśmiech. Przez moment zastanowiłam się, czy zrobił sobie zęby, bo błyszczały jak u amerykańskiego aktora.

– Jak miło cię widzieć, Romka! – Podszedł z wyciągniętą prawicą. – Pięknie się urządziłaś! No i najlepsze biuro nieruchomości w mieście. Gratuluję i podziwiam. Ciebie również, wyglądasz pięknie. – Odsunął się nieco i przez dłuższą chwilę taksował mnie wzrokiem. – Podobno wyszłaś za Włodka?

– Skąd wiesz?

– W moim fachu informacja jest na wagę złota. Pomagam klientom dobrze lokować interesy, więc muszę być zorientowany, kto jest kim i z kim. Zrobiłem research, zanim tu przyjechałem – roześmiał się. – A tak naprawdę powiedziała mi Magda. Macie jeszcze kontakt?

– Nie bardzo. Co u niej?

– Przepadła. Urodziła bliźniaki i siedzi w domu.

– Niemożliwe, ona? A u ciebie?

Także w moim fachu gromadzenie informacji było na wagę złota.

– To co zawsze. Szukam dobrej pracy i dobrej kobiety, ale jak do tej pory nie znalazłem ani jednej, ani drugiej.

Powstrzymałam się od zapytania, czy nadal sypia z każdą kandydatką, a w razie kłopotów dostarcza im tabletki wczesnoporonne. Przypomniałam sobie o powinnościach gospodyni.

– Napijesz się kawy?

Zamówił duże cappuccino.

Kiedy Andżelika wkroczyła z okazałą filiżanką kawy, na której powierzchni widniał obłoczek śmietany z wyrysowanym serduszkim, obciął ją spojrzeniem. Nie pozostała mu dłużna.

Pokręciłam głową. Mam nadzieję, że ten podryw rozwinie się poza biurem, westchnęłam w duchu.

– Wychodzę na chwilę na pocztę, pani Romo – oznajmiła Andżela. – Rzuty terenu w Kapuściskach dla pana Włodzimierza leżą na moim biurku. Zostawić uchylone drzwi do gabinetu? – zapytała.

Skinęłam głową potakująco, by mieć oko na ewentualnych wchodzących. A gdy zostaliśmy z Marcinem sami, zadałam mu pytanie, które mnie dręczyło.

– Słuchaj, czy coś ci wiadomo na temat skutków działania tabletki, którą dałeś mi, hm, wtedy?

Słowo „ciąża” nie przeszło mi przez gardło.

– Ale o co ci chodzi? – Spojrzał zdumiony.

– No, coś o problemach z zajściem w kolejną ciążę? Skąd ją wzięłeś? – zaatakowałam.

Zaniemówił zaskoczony moją bezpośredniością.

– Odpowiedz! Od kilku lat staramy się z mężem o dziecko i nic. Może to przez tę nieszczęsną tabletkę?

Marcin odzyskał głos i pewność siebie.

– Roma, mówiłem ci wtedy. Kupowałem je od gościa, który miał dojsć do dobrego lekarza. Chyba nie były trefne. Gwarancji ci nie dam, ale rękojmią bezpieczeństwa była ich cena.

– Pamiętasz nazwę?

– Sorry. – Rozłożył ręce. – Temat nie interesuje mnie od dawna.

Niczego znaczącego się nie dowiedziałam.

Wydało mi się, że ktoś wszedł do biura. Nawet sprawdziłam, ale w sekretariacie nie zastałam nikogo.

– Dobra, zostawmy stare sprawy i przejdźmy do interesów. – Wróciłam i sięgnęłam po dokumenty. – Pokażę ci kilka lokali w mieście, a potem wyselekcjonujesz ten jedyny. Musimy już jechać. Mamy poumawiane spotkania co półtorej godziny. Ostatnie o siedemnastej. Masz tyle czasu?

Kwerenda poszła nam sprawnie i owocnie. Marcin wybrał dwa z prezentowanych lokali, po czym zaprosił mnie na późny obiad.

Miałam ochotę odmówić, ale włączył mi się tryb perfekcyjnej obsługi pod tytułem „klient nasz pan”, który wymazał przeszłość i osobiste animozje.

W restauracji hotelu, w którym się zatrzymał, zjedliśmy po karkówce w sosie barbecue, opiwszy kieliszkiem wina efektywnie spędzony dzień. Omawialiśmy tematy zawodowe, z daleka omijając studenckie czasy.

Włodek zapytał esemesowo, kiedy wrócę.

„Jestem z klientem na kolacji. Niebawem będę”, odpisałam, dopijając wino.

– Dziękuję ci za ofertę. Odezwiemy się – usłyszałam od Marcina na pożegnanie.

– Czy mam rozumieć, że wybieriecie którąś z opcji?

– Prawdopodobnie tak. A teren pod hurtownię bardzo mi się spodobał i jesteśmy nim zainteresowani. Moja droga przyjaciółko, praca z tobą to czysta przyjemność. – Spróbował oczarować mnie spojrzeniem i ciepłym pocałunkiem w dłoń.

Nic się nie zmienił, łamacz kobiecych serc, pomyślałam, mimo to zrobiło mi się przyjemnie. Tym bardziej że na transakcjach z Farmmedikiem mogliśmy zarobić ładnych kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Zamówiłam taksówkę i kazałam się wieźć do domu, uradowana, że przekażę mężowi świetne informacje.

– Włodek? Wróciłam! Gdzie jesteś? – zawołałam od progu, zrzucając płaszcz.

Zaskoczyła mnie cisza, chociaż w salonie świeciło się światło.

Mój mąż siedział w fotelu, w pozie wskazującej, że na mnie czeka.

Mimo woli zadrzało mi serce. Czyżby stało się coś złego? – przeraziłam się na widok chmurnego spojrzenia. Oby tylko nic z tatą czy stryjem Stefanem!

Niemal stanęło mi serce.

– Co jest? Dlaczego tak siedzisz? – krzyknęłam.

– Widziałem Marcina. I słyszałem waszą rozmowę. Możesz mi wytłumaczyć, o co chodzi z tą tabletką? Bo wydaje mi się, że ktoś tu mnie oszukuje. I tym kimś jesteś ty.

Rozdział 23

Roma

od 2003 do grudnia 2008 roku

No tak. Prędzej czy później musiało do tego dojść, westchnęłam.

Najchętniej zapadłabym się pod ziemię, ale przyparta do muru nie miałam drogi odwrotu. Mydlenie oczu mężowi i próby wykrętów były pozbawione najmniejszego sensu.

Włodek, poważny jak nigdy, patrzył na mnie przenikliwie. Czekał.

Zdałam sobie sprawę, że moją jedyną szansą na utrzymanie naszych dobrych relacji jest szczerłość, której w kwestii ciąży z Marcinem unikałam od lat jak diabeł święconej wody.

Przysiadłam obok Włodka na kanapie. Nie drgnął, gdy nalewałam sobie wody. Zaczepnęłam powietrza.

– Przepraszam cię na moment, ale muszę do łazienki.

Wysączone pół szklanki płynu wywołało fizjologiczną potrzebę. Przy okazji przemyłam twarz wodą i opanowałam drżenie rąk. W miarę uspokojona wróciłam do pokoju.

– Możemy rozmawiać – zakomunikowałam, gotowa zmierzyć się z niechlubną przeszłością. – Dobrze podsłuchałeś. Rzeczywiście przez moment byłam z Marcinem. I zaszłam z nim w ciążę, ale zanim jeszcze poznałam ciebie. Właściwie nasz związek w żadnym calu cię nie dotyczy. – Powoli odzyskiwałam pewność siebie. – Nie chcieliśmy tego dziecka, więc podjęliśmy decyzję. Wspólną. Przyniósł mi tabletkę wczesnoporonną, a ja ją połknęłam. Dziś go zapytałam o działania uboczne. O jej udział w kłopotach z zajściem w kolejną ciążę. I tyle.

– Roma, właśnie o to mi chodzi! – wybuchnął Włodek. – Staramy się o dziecko, a ty milczysz o potencjalnej przyczynie problemów! Kiedy

zamierzałaś mi powiedzieć?

Zgodnie z prawdą powinnam odpowiedzieć, że nigdy. Liczyłam na los, który wyciągnie do mnie pomocną dłoń i w końcu dam Włódkowi upragnione dziecko. Bez konieczności sięgania wstecz.

Już miałam znów zacząć kręcić, na szczęście jakiś niewidzialny dobry chochlik nie pozwolił mi iść w zaparte.

– Włodek, widywałam się z Marcinem na pierwszym roku. Prawie się wtedy nie znaliśmy. Później to ty zabiegałeś o nasze kontakty. Pokaż mi taką dziewczynę, która powie zainteresowanemu nią facetowi... – Zawahałam się. – No, ostrzeże go lojalnie, że jest rozwiązała, że była w ciąży, którą usunęła, a dodatkowo że przespała się z Wilczyńskim, żeby załatwił jej praktyki w agencji swojej żony. Akurat o tym ostatnim wiedziałeś – dodałam. – Teraz chcesz rozliczać mnie z Marcina? Nie trzeba było wracać z Hiszpanii i przypominać o sobie po roku nieobecności. Znalazłbyś sobie jakąś drugą hiszpańską Inez i dorobił się gromadki dzieci. A swoją drogą od dziś zamierzam zamykać drzwi gabinetu starannie.

Spojrzenie Włodka świadczyło, że moje słowa nie zostały przyjęte najlepiej.

– Gdybyś mi powiedziała, moglibyśmy razem popracować nad tym problemem – powiedział z pretensją. – A tak pozwoliłaś, bym zastanawiał się, co jest z nami nie tak!

Wstałam zniecierpliwiona.

– Mamy dopiero po dwadzieścia osiem lat i przed nami dużo czasu na dzieci. Nie rozumiem, dlaczego ten temat tak cię dręczy!

– Przyznaję, jestem gotowy na ojcostwo, ale nie to jest najważniejsze – rzucił, zanim poszedł spakować walizkę. – Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego nie chciałaś, żebym ci towarzyszył podczas wizyty u ginekologa. Miałaś coś do ukrycia. Chyba nie na tym polegają stosunki między kochającymi się ludźmi.

Siedziałam bez ruchu. Słyszałam, jak Włodek się pakuje. Również jak zakłada płaszcz w przedpokoju.

– Przepraszam cię, Roma, ale muszę to wszystko przemyśleć w samotności – oznajmił. – O kontakty w pracy się nie martw – dodał. – W najbliższych dniach będę zajmował się Kapuściskami, głównie w terenie.

Nagle zostałam sama.

Niewyobrażalne, że mój mąż zrobił coś takiego. Nie on!

Nawet nie próbowałam dzwonić do Izy i ściągać jej do siebie, żeby się wypłakać. Miała malutką Walentynkę i mnóstwo zajęć przy małym dziecku. Przytuliłam butelkę wina i raczyłam się cierpkim smakiem.

Kiedy wylewałam do kieliszka ostatnie krople, ktoś zadzwonił do drzwi.

– Izka? Co ty tutaj robisz?

– Wpadłam zajrzeć, co u ciebie. I widzę, że całkiem nieźle sobie radzisz.

– Zerknęła na puste szkło.

Pozwoliłam sobie na spowiedź stulecia i wylałam przed Izą wszystkie swoje żale.

– No i odszedł ode mnie! – pochlipywałam. – Wiem, że nie powinnam brać wtedy tej cholерnej tabletki, ale stało się. A tak w ogóle to jak on mnie traktuje?! – bełkotałam. – Czy gdyby wiedział przed ślubem, zaprowadziłby mnie do lekarza, żeby ten potwierdził moją płodność? Ożenił się ze mną tylko dlatego, by mieć dzieci? Mam go w dupie! I te jego dzieci też! Niech sobie idzie, gdzie chce, i przestanie się mnie czepiać! – krzyczałam, próbując opanować czkawkę.

Iza zaparzyła kawę i postawiła przede mną pełną filiżankę. Piłam łąpczywie, powoli wracała świadomość.

– On wróci, Romka – dotarły do mnie słowa przyjaciółki. – Przecież się kochacie.

– A ty skąd wiedziałaś, że jestem sama? – Łypnęłam podejrzliwie.

Wraz ze świadomością powróciła zdolność kojarzenia. Iza nie pojawiła się u mnie przypadkiem.

– No dobra, powiem ci... – mruknęła niechętnie. – Włodek zadzwonił do mnie, żebym się tobą zajęła. Źle go oceniasz. Zawaliłaś i tyle – wyartykułowała, co myśli.

– Jeżeli tak uważasz, to lepiej wracaj do domu! – uniosłam się. – Sądziłam, że jesteś moją przyjaciółką, a nie emisariuszką mojego męża!

– Romka, przecież ja...

– Idź już. – Wstałam z fotela na wciąż chwiejnych nogach i wskazałam na drzwi.

Miałam nieźle w czubie, ale na szczęście wieczór zakończyłam wystarczająco wcześnie, by „podciągnąć krawat”, ogarnąć się, wyspać i następnego dnia stawić się w pracy o ósmej. Wprawdzie Włodek

zapowiedział, że wyjeżdża do Kapuścisk, ale musiałam być w formie, na wypadek gdyby akurat chciał sprawdzić moją kondycję.

Cholera jasna, przecież nikogo nie zabiłam! – piekliłam się w duchu. Powstrzymanie zarodka przed rozwojem chyba nie podlega karze? To wyłącznie sprawa mojego sumienia! Doktor Witkowski dał mi nadzieję na kolejne ciążę, więc nie mam się czym przejmować. I żaden Włodek nie będzie mnie rozliczał!

Kolejne dni w biurze przebiegały standardowo. Przychodziłam na ósmą, przeglądałam korespondencję, zapoznawałam się z harmonogramem spotkań przygotowanym przez sekretarkę, rozmawiałam z klientami.

Usiłowaliśmy z Włodkiem zachowywać pozory normalności, choć nie było to łatwe. Żadne nie chciało wyciągnąć ręki do zgody.

Nie zamierzałam odbierać telefonów od Izy. W końcu stała po stronie mojego męża. Ale brakowało mi kogoś bliskiego, z kim mogłabym porozmawiać o zaistniałej sytuacji. Taty, wciąż przeżywającego śmierć mamy, nie chciałam dobijać.

Ale mam przecież stryjka Stefana! – olśniło mnie.

Wybrałam jego numer w piątkowy wieczór, samotna jak nigdy.

Zaprosił mnie do domu nad jeziorem i wysłuchał.

– Co ja mam robić? – Ocierałam łzy, które przesłaniały mi strzelające z ogniska iskry.

Stryj patrzył w ogień, dokładając gałązki do stosu.

– Wiesz, że nie jestem ekspertem w sprawie posiadania dzieci ani nawet związków, ale może to i dobrze, że ta twoja sprawa z przeszłości wyszła na jaw – powiedział. – Przynajmniej oboje wiecie, na czym stoicie. Chociaż... Nie myślałaś nigdy, żeby Włodek się przebadał? – zapytał znienacka.

To była myśl! Ale żeby ją wprowadzić w życie, musieliśmy się pogodzić.

Emocje opadały. Widywaliśmy się z Włodkiem w firmie, krążyliśmy wokół siebie, piliśmy razem kawę przy omawianiu planu dnia, dzieliliśmy się informacjami.

Tęskniłam za nim, a on, sądząc po spojrzeniach, które łowiłam, za mną.

Pewnego dnia, a właściwie wieczoru, Andżelika wyszła już z pracy i zostaliśmy sami. Nie spodziewaliśmy się klientów.

Zaczęłam sprzątać papiery ze stołu.

Nie zauważyłam, kiedy Włodek stanął za moimi plecami. Kiedy poczułam jego oddech, było już za późno, żeby wysupłać się ze znajomych

ramion.

– Nie mogę dłużej bez ciebie, kochanie – usłyszałam. – Dlaczego my sobie to robimy?

Przepadłam.

Do domu wróciliśmy razem. Włodek obiecywał, że nigdy więcej nie wspomni o dzieciach, a ja, że zrobię wszystko, by je mieć. Ponieważ pragnął ich on. Na przeszłość spuściliśmy zasłonę milczenia. Daliśmy sobie rok na bezstresowy seks i dopiero – ewentualnie – potem solidarne badania. I jego, i moje.

Zanim plan doczekał się realizacji w całości, minęły dwa lata. W tym czasie firma się rozwijała, a my korzystaliśmy z życia. Oprócz wyjazdów do Hiszpanii fundowaliśmy sobie i inne wycieczki, nie żałując kasy na przyjemności.

Z Izą pogodziłyśmy się szybko. Nie było o co kruszyć kopii. Sprawdzałam się w roli mamy chrzestnej jej córeczki, a Włodek rozpieszczał małą na każdym kroku.

Tomek miał zaawansowany doktorat, Iza wróciła do biblioteki wydziału ekonomii, który skończyliśmy wszyscy.

Właśnie pakowałam walizki na wyjazd do Maroka, kiedy na wyświetlaczu telefonu zobaczyłam, że moja przyjaciółka ma jakąś sprawę. Pewnie chce się pożegnać, pomyślałam i ochoczo kliknęłam zieloną ikonkę.

– Cześć, co dobrego? – odebrałam z humorem.

– Mam kiepską wiadomość... Pamiętasz Korynckich? – zapytała.

Czy mogłabym zapomnieć takich wykładowców? Przed oczami stanęły mi zajęcia z doktor Gabi. Te, na których pojawiła się jej kilkuletnia córeczka, a pan Antoni, jej mąż, a nasz ćwiczeniowiec z księgowości, próbował Marcelinkę okiełznać.

– No pewnie! Co z nimi?

– Wyobraź sobie, że zginęli tragicznie w wypadku.

Wiadomość mną wstrząsnęła. Szybko policzyłam w myślach, że ich córka została sierotą przed pełnoletnością.

– Wiesz, kiedy pogrzeb? – zapytałam.

– Jutro o czternastej w kościele, około piętnastej na cmentarzu komunalnym. Przyjdziesz?

Stawiłam się z bukietem kwiatów przed cmentarną bramą. Pomna własnych uczuć po odejściu mamy, przeżywałam tragedię córki

Korynckich. Nie spuszczałam jej z oka, odkąd wysiadła z samochodu w towarzystwie jakiejś starszej kobiety, zapewne babki.

Widok kilkunastolatki, która straciła oboje rodziców, wyciskał łzy, ale życie bywa nieubłagane.

Miałam ochotę przytulić tę wątłą figurkę i ją pocieszyć. Niestety, byliśmy sobie obce, więc ograniczyłam się wyłącznie do niemego uczestnictwa i złożenia kwiatów.

Następnego dnia wyjeżdżaliśmy do Maroka, zostawiwszy za sobą trudny dzień codziennego, w tym refleksje związane z pogrzebem Korynckich.

– Swoją drogą, Włodczku, nie uważasz, że nasze nazwiska korelują? – spytałam w samolocie.

– Czyje nazwiska? – Nie pojął.

– Moje i Marceliny.

– Nie rozumiem, kochanie.

– Ona Koryncka, ja po tobie Jońska. Jak greckie kolumny.

– Rzeczywiście, zbieg okoliczności – roześmiał się. – Proszę, by zapiąć pasy. Zaraz lądujemy.

Szczerze powiedziawszy, wyciągnęłam Włodka do Afryki, by po raz ostatni dać nam szansę na ciążę. Doktor kazał mi zapędzić męża na koniec świata, rozluźnić go, odstresować i skutecznie zadziałać.

Niestety, po powrocie miesiączka pojawiła się w terminie. Plan się nie powiódł.

Oboje poszliśmy na badania. Moje wyniki mówiły jasno: mogłam zostać matką. Czekaliśmy na wyniki Włodka.

Domyśliłam się dramatu, kiedy długo nie wracał do domu. Gdyby wszystko było w porządku, pojawiłby się z bukietem kwiatów i butelką dobrego wina.

Niestety, wrócił z opuszczoną głową.

– To moja wina, Romka – powiedział. – Nigdy nie będę ojcem. Mam plemniki słabej jakości i ruchliwości czy jak tam mówią lekarze. Zobacz. – Podał mi kartkę papieru z wyrokiem.

Na chwiejnych nogach podszedł do barku, by dobić się kolejnym kieliszkiem alkoholu.

Przyznam, że twardy werdykt mnie przygniótł, bo jakkolwiek nie miałam wielkiego parcia na posiadanie dzieci, wolałabym móc decydować o powołaniu ich na świat.

– Niczym się nie martw, kochanie – pocieszałam męża. – Nigdy nie można mówić nigdy. Uda się nam.

– Nie, Roma. Lekarz powiedział, że zdecydowanie nie mam szans. Pozostaje wyłącznie adopcja.

Mimo miłości do Włodka nie byłam w stanie choćby pomyśleć o takim rozwiązaniu przez półtora roku. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, że mogłabym pokochać obce dziecko.

Nie nalegał, choć widziałam, jak spogląda na maluchy w wózkach.

– Wiesz co, Iza? Czasami myślę, że zamieniliśmy się z Włodkiem rolami. To on powinien być matką, a ja ojcem.

– Gadasz! Widzę, jaki masz kontakt z Walentynką – bagatelizowała.

– To co innego. Kocham ją, ale to ty kładziesz ją spać, ty odprowadzasz do przedszkola, zajmujesz się nią w chorobie. Nie wiem, czy byłabym w stanie robić to wszystko dla kogoś, kto nie jest z mojej krwi.

– Byłabyś – odparła z przekonaniem. – Gdybyś kochała to maleństwo.

– Chyba nie potrafię pokochać obcego dziecka...

– Jeżeli nie masz przekonania do adopcji, nie musisz się na nią decydować. Poczekaj na odpowiedni moment. O ile w ogóle nadejdzie.

Po rozmowie z Izą nabrałam dystansu do powiększenia rodziny. Również Włodek przestał czynić delikatne aluzje. Wprawdzie wyraziłam zgodę, byśmy zgłosili się do ośrodka adopcyjnego i przeszli procedury kwalifikujące nas na dobrych rodziców, ale nie miałam większych nadziei, że kiedyś zadzwoni telefon z informacją, że urodziło się dziecko dla nas.

Bo jeżeli już, to chciałam wziąć noworodka.

Początek grudnia okazał się bardzo pracowity. Siedzieliśmy w biurze po dwanaście godzin, sprzedając mieszkania na pniu.

Byłam zmęczona pędem i rutyną każdego dnia. Wprawdzie pani Maria, nasza pomoc domowa, ogarniała mieszkanie i robiła zakupy na święta, ale ja też chciałam uczestniczyć w przygotowaniach. Tymczasem po późnym powrocie z pracy mogłam jedynie pogrzebać w komputerze i zamówić kilka prezentów przez internet.

Trzy dni przed Wigilią zbuntowałam się na dobre i poprosiłam męża o urlop.

– Włodek, chcę przystroić choinkę i upiec pierniczki według przepisu mamy.

– Ależ oczywiście! Co tutaj jeszcze robisz? – zapytał.

– Przygotowuję umowę dla ogrodników – wspomniałam firmę, która kupiła teren w Zawilcu.

W domu odetchnęłam wreszcie atmosferą zbliżających się świąt. W kuchni pachniało bigosem i świeżo wyjętym z piekarnika pasztetem.

– Jestem, pani Mario! Już biegnę do kuchni pomóc! – zawołałam od progu. – Co mam robić? – zapytałam, zacierając świeżo umyte dłonie.

Tego wieczoru dom wypełnił zapach pierniczków. Kolejne dni przyniosły nowe wypieki i światełka na choince.

Kiedy w Wigilię gościliśmy tatę i stryja Stefana, świąteczny nastrój hulał na całego. Sprzyjał mu nieoczekiwany śnieg, który opatulił bielą drzewa i ulice.

Po zupie rybnej, smażonym karpniu, kaszy gryczanej z grzybowym sosem i kilku innych daniach zrobiliśmy sobie krótką przerwę. Tato z bratem rozsiedli się na kanapach z kieliszkiem „czegoś na trawienie”, my z Włódkiem zmienialiśmy zastawę.

Pani Maria zostawiła w kuchni drugą porcję smaczości.

– Kocham cię, żono. – Włodek objął mnie ramieniem, kiedy wkładałam naczynia do zmywarki.

– Ja ciebie też – odpowiedziałam. Bez względu na to, czy kiedykolwiek doczekamy się dziecka, dodałam w myśli.

– Słyszałaś? – Mój mąż nadstawił ucha.

– Co takiego?

– Telefon. To chyba nie rodzice ani Wiktor. Dzwonili z życzeniami po południu.

– Leć, odbierz. Mam nadzieję, że to nie żaden klient. Ale gdyby, to spuść go na drzewo – odparłam i powróciłam do ogarniania stołu przed dalszym ciągiem.

Zanim zdążyłam przetrzeć ścierką kuchenny blat, Włodek był z powrotem.

– Kto dzwonił? – zapytałam, nie odwracając głowy.

Zrobiłam to, dopiero kiedy długo nie odpowiadał. I trochę się przestraszyłam.

Stał jak słup soli, blady i nieobecny. A kiedy wreszcie się odezwał, aż przysiadłam na taborecie.

– Dzwoniła pani Łucja, że urodziło się dziecko. Dziewczynka, Ewa. Może dla nas.

Rozdział 24

Marcelina

od września do końca października 2013 roku

Zostałam z problemem sama.

Po raz kolejny życie postawiło mnie pod murem. Tym razem z perspektywą urodzenia i samotnego wychowywania niepełnosprawnego dziecka i marną szansą na podjęcie jakiegokolwiek pracy. Kto przyjmie matkę w ciąży, zdruzgotaną psychicznie, z przerażeniem patrzącą w przyszłość?

Mimo ogromnego zawodu, jaki sprawili mi Hubert i jego rodzina, próbowałam się z nim kontaktować. Do końca nie wierzyłam w jego złe intencje. Tłumaczyłam sobie jego zachowanie wpływem matki. Przecież kochaliśmy się, planowaliśmy ślub i wspólne życie. W głębi duszy liczyłam na to, że mój chłopak otrząśnie się po potwornej diagnozie i do mnie wróci.

Nie oddzwonił.

Przecież ja również boję się życia z niepełnosprawnym dzieckiem, myślałam ponuro. Mało powiedziane, byłam przerażona. Ale najgorsze było to, że nie miałam z kim o tym porozmawiać.

Wprawdzie Alina odzywała się z Irlandii, ale to nie było to samo, co szczerą i bezpośrednią rozmową w cztery oczy. Zresztą wyczuwałam, że mój przypadek wywołuje w niej lęk. Pocieszała w niedoli, ale poza dobrym słowem nie miała mi wiele do zaoferowania. Przekonałam się o tym w trakcie jednej z rozmów na Skypie.

Akurat mijały cztery tygodnie od rozstrzygającej o moim losie rozmowy z rodziną Huberta. Następnego dnia miałam wizytę u ginekologa. Niczego miłego się po niej nie spodziewałam, a nawet w głębi duszy miałam nadzieję, że nastąpią komplikacje i jakimś cudem pozbędę się ciąży.

Z doktora Witkowskiego zrezygnowałam, by odciąć panią Rawiczową od informacji o jej przebiegu.

I właśnie wtedy, wieczorem zadzwoniła Alina.

Zastała mnie na kanapie, w której ciągłym leżeniem wymościłam niezły dołek. Nie chciało mi się wstawać, niewielkie zakupy robiłam co kilka dni, a ciepłe posiłki przyrządzałam od przypadku do przypadku. Najchętniej zasnąłabym na tej kanapie na zawsze i porzuciła ten podobno najlepszy ze światów.

Kiedy usłyszałam sygnał Skype'a, od razu wiedziałam, kto dzwoni. Bo niby kto inny mógł się ze mną kontaktować? Fakt, od czasu do czasu dzwoniła Agnieszka, przeważnie raz w miesiącu, kiedy był czas płacenia czynszu. Byłam jej wdzięczna za regularne przyпіływy gotówki i to, że ma oko na posesję babci. Fundacja, w której wciąż pracowała, miała się dobrze i nie zamierzała rezygnować z wynajmu. Planowała nawet utworzenie punktu przedszkolnego.

Niedawno, tuż po ślubie z Poldkiem, Agnieszka zastąpiła panią Kornelię na stanowisku prezeski. Jej zaangażowanie i plany rozwoju cieszyły, bo zwalniały mnie z zamartwiania się o pieniądze. Niezbyt wielkie, ale rytmicznie pojawiające się na koncie.

Kliknęłam, co trzeba, i połączyłam się z przyjaciółką. Jednak zamiast jej twarzy zobaczyłam na ekranie laptopa serdeczny palec z pierścionkiem połyskującym szmaragdowym oczkiem.

Podobny do tego, który nosiła mama.

– Cześć, Marcelina! – usłyszałam. – Jesteś pierwszą osobą, której chwałę się pierścionkiem zaręczynowym! Wiesz, że Steve wynajął całą kawiarnię na barce i w tych okolicznościach padł przede mną na kolana?! A potem tańczyliśmy do upadłego w świetle latarni! Kocham go!

Odrzuciłam koc i postarałam się wznieść na najwyższe poziomy entuzjazmu. Usiłowałam dzielić radość przyjaciółki, choć miałam mieszane uczucia.

– Cudownie!

Czy aby nie za wcześnie? – chciałam zapytać. I co dalej?

– Na razie nie mów mamie, gdybyś się kiedyś z nią widziała – poprosiła Ala.

– Jasne – odparłam. Przeczynałam, że pani Daria niekoniecznie byłaby tak zachwycona jak córka. – Sama jej powiesz, kiedy wrócisz do Polski.

Tęsknimy obie.

Alina nerwowo odgarnęła włosy i upiła łyk kawy. Po chwili poznałam powód jej zmieszania.

– Marcela, w tym rzecz, że nie wrócę zbyt szybko. Właściwie to zamierzam zostać w Irlandii na stałe – wykrztusiła.

Wprawdzie pani Daria obawiała się takiego scenariusza od początku znajomości Aliny i Steve’a, ale ja nie traktowałam go poważnie. Jak widać, intuicja mnie zawiodła.

– Przecież tu masz pracę, rodzinę – powiedziałam. – I mnie – dodałam skromnie.

– Wiem, że nie wyszło ci z Hubertem, i współczuję, ale Steve jest inny. Chcę z nim być. A mama przecież sobie poradzi. Kiedy urodzi się dziecko, będzie nas odwiedzać. I później też.

– Jakie dziecko? Jesteś w ciąży?

– Zamierzamy szybko mieć dzidziusia – odparła wykrętnie Ala. – Steve ma sześcioro rodzeństwa i chce równie dużej rodziny.

A ty? – chciałam zapytać, ale się powstrzymałam.

Wyglądało na to, że moja przyjaciółka, podobnie jak ja przed kilkoma miesiącami, była zapatrzona w narzeczonego jak w święty obraz.

– Ja tak o sobie, a co z twoimi wynikami? – przypomniała sobie.

Streściłam w kilku słowach wydarzenia ostatnich dni. Ostateczną diagnozę doktora Witkowskiego, ultimatum Rawiczowej i postawę Huberta.

– O Boże! To straszne! Tak mi przykro, że nie mogę cię przytulić ani pomóc! Co ty teraz zrobisz?

– Raczej nie mam wyjścia – prychnęłam. – Urodzę, chociaż powiem ci szczerze, że najchętniej obudziłabym się z tego złego snu. Oddać drugie dziecko innym ludziom? Jutro idę do lekarza. Pewnie mi powie, że ciąża jak na downa dobrze się rozwija, a kolejna wizyta za miesiąc. Całymi dniami leżę na kanapie, nie szukam pracy. Nie mam ochoty na nic.

– To może pojedź do Chruśniaka? Wspominałaś o pani Agnieszce i jej mężu. I w ogóle. Tam przynajmniej coś się dzieje.

Trafiła. Faktycznie, na babcinej wsi było moje miejsce. Wśród matek z innymi niepełnosprawnymi dziećmi, w jaskini rozpaczy tych, którym w pewnym momencie załamało się życie. Jednak na razie nie miałam ochoty dołączyć do ich grona. Nie chciałam zostać zarażona chorobą

i nieszczęściem. Tylko na co liczyłam, siedząc samotnie w domu? Że oszukam los?

– Poczekam na wizytę – odparłam. – Zapisalam się do młodego lekarza w naszej przychodni. Może coś mi doradzi.

– Marcelina, powoli muszę kończyć, bo za parę minut wraca Steve – usłyszałam. – Więc króciutko. Miałam ci nie mówić, nie teraz, ale prędzej czy później i tak byś się dowiedziała... – Zachęciłam ją spojrzeniem. – Ja też jestem w ciąży – wypaliła Ala.

– Gratuluję. Byłaś u lekarza?

Cóż, zareagowałam jak ktoś, kto przeżył swoje.

– Wczoraj. I wszystko jest w porządku! Nawet nie wiesz, jak się cieszę! Och, przepraszam, Marcela, nie powinnam...

Z trudem przełknęłam ten wybuch radości. Jakkolwiek byłam Alinie życzliwa jak rodzona siostra, jej szczęście sprawiało, że swoją sytuację odczuwałam tym bardziej dotkliwie.

– W porządku. To cudownie. Kiedy rodzisz?

– W maju.

– To może będziemy razem chodzić z wózkami?

– Marcela, muszę kończyć, bo Steve jest pod drzwiami. Nie daj się. Jesteś silna – powiedziała.

Ekran zgasł w chwili, gdy jej chłopak przekroczył próg.

Nie bacząc na swój stan, sięgnęłam po butelkę whisky, jeszcze z tatowych zapasów.

– A co tam, najwyżej zejdziemy z tego świata razem. – Poklepałam się po brzuchu i nalałam sobie szklaneczkę.

Rozdział 25

Roma

od grudnia 2008 do końca lipca 2009 roku

Kto dzwonił w sprawie dziecka? – Przerwałam kuchenne czynności.

Spanikowana patrzyłam na Włodka. Właśnie tak. Zaskoczona też, ale przede wszystkim przerażona, że doczekałam chwili, której w głębi duszy nie oczekiwałam. A kiedy dostrzegłam roziskrzone spojrzenie męża, zdałam sobie sprawę, że przyjdzie mi się zmierzyć z sytuacją, którą sama sobie zgotowałam. Przez ostatnie półtora roku posłusznie chodziłam na te wszystkie spotkania w ośrodku adopcyjnym, poddawałam się ocenom psychologów i innych świętych, byleby tylko usłyszeć werdykt, że nadajemy się na rodziców adopcyjnych. Poradzono nam, byśmy starali się o status rodziny wyszkolonej do pełnienia funkcji rodziny zastępczej, by sąd mógł powierzyć nam pieczę nad noworodkiem.

– Sądowa procedura adopcyjna potrwa około pół roku po narodzinach, ale państwo odbierzecie malucha ze szpitala – tłumaczyła nam pani Łucja, pracownica Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie, która przeprowadzała nas przez labirynt przepisów mających umożliwić nam adopcję. – Od samego początku będziecie budować z nim więź jako rodzina zastępcza, a po kilku miesiącach staniecie się jego rodzicami adopcyjnymi. Oczywiście o ile biologiczni rodzice nie odstąpią od zamiaru oddania dziecka – dodała.

– Czy to oznacza, że mogą zmienić zdanie? – zachnął się Włodek.

– Mają na to sześć tygodni od narodzin. Proszę się jednak nie martwić na zapas. Nieczęsto zdarzają się takie przypadki – uspokajała pani Łucja. – Najważniejsze, żebyście byli państwo absolutnie przekonani, że pragniecie

przyjąć pod swój dach obce dziecko. I zapamiętajcie jedno. Zanim to nastąpi, w każdej chwili możecie zrezygnować.

Ta myśl była mi bardzo na rękę.

Włodek ogromnie chciał zostać ojcem, nawet niekoniecznie biologicznym, a ja bardzo kochałam męża, więc pozwoliłam, by dla niego zakwalifikowano mnie do programu. Z nadzieją, że cud się nie zdarzy.

– Pani Łucja. Oczywiście nieoficjalnie – odparł. – Kochanie, jeśli się postaramy, możemy mieć córeczkę. Ma na imię Ewa. – Objął mnie w tali i mocno przytulił.

Miałam mieszane uczucia, bo czym innym jest myśleć o dziecku, które może pojawić się w bliżej nieokreślonej przyszłości, a czym innym mieć je w zasięgu ręki.

– Włodek, porozmawiajmy później, kiedy tato i Stefan pójdą do domu – poprosiłam. Nasi wigilijni goście czekali na deser. – Zaniesiesz ciasto na stół?

– Gdzie wy przepadliście? – Powitał nas głos stryjka, kiedy dołączyliśmy do towarzystwa.

Mój mąż zareagował natychmiast. W każdym jego ruchu dostrzegałam zadowolenie.

– Może jeszcze po kieliszku? – zaproponował.

– I po kawałku tortu – dodałam, wskazując na okazały orzechowiec.

Panowie znacząco spojrzeli po sobie. Ku mojej uciechu tato, po raz pierwszy od śmierci mamy uśmiechnięty i rozluźniony, wskazał mi miejsce obok siebie. A kiedy skorzystałam z zaproszenia, mocno przytulił.

– Kocham cię, córeczko. Jak to dobrze, że cię mam – usłyszałam.

Z tyłu głowy zabrzmiały słowa Włodka o porzuconym maluchu, który w szpitalu czeka na rodziców.

Goście nie śpieszyli się z odejściem od wigilijnego stołu. Siedzieli do północy, smakując słodkości i zaglądając do kuchni po konkrety, których celowo nie schowałam do lodówki. Kiedy po miłym i długim wieczorze zegnaliśmy się w przedpokoju, tato wyszeptał:

– Kochana, nie wiem, co bym bez ciebie zrobił! Tęsknię za mamą, ale dzięki tobie jest mi łatwiej. Dobrze, że jesteś.

Chyba w tym właśnie momencie zdecydowałam się zawalczyć o Ewę. Skoro nie mogliśmy mieć z Włodkiem własnych dzieci... Trzeba brać, co daje los.

– Zostawmy brudne naczynia do jutra. – Powstrzymałam męża, kiedy zaczął zbierać zastawę ze stołu. – Myślisz, że mamy szansę na to dziecko? – zapytałam.

Natychmiast odstawił tacę i porwał mnie w ramiona.

– Tak się bałam twojej reakcji! Dziękuję! Jestem szczęśliwy!

– No przecież staraliśmy się o kwalifikację na rodzinę zastępczą...

– Wiem, kochanie, że nie miałaś przekonania i robiłaś to dla mnie – odparł, spoglądając mi głęboko w oczy. – Jesteś najlepsza.

Mimo wątpliwości wobec pragnień męża i jego zdecydowanej deklaracji nie miałam jak wyautować się z całej tej sytuacji. Chociaż strach czał się na każdym kroku.

Po pierwsze, zdecydowałam, że przyjmę pod swój dach obce dziecko. A co, jeśli pochodzi z gwałtu lub patologicznej rodziny? Albo ma chorobę genetyczną? Po drugie, bardzo lubiłam swoje życie i pracę, z której musiałabym zrezygnować, przynajmniej na jakiś czas. Wprawdzie Włodek obiecywał wszechstronną pomoc, ale któreś z nas musiało ciągnąć firmę, więc nie spodziewałam się jego nadmiernej aktywności w domu. Z doświadczeń Izy wynikało, że przy małym dziecku to kobieta poświęca się bardziej.

Zostałam zapędzona w kozi róg. Ale szczęście na twarzy Włodka kazało mi podążać nieznaną drogą macierzyństwa, licząc, że dokądś mnie ona zaprowadzi.

– To co teraz, kochanie?

Objął mnie, a ja wytarłam łzy w jego koszulę, z nadzieją, że odbierze je jako łzy szczęścia.

Okazał się bardzo sprawny w załatwianiu formalności i niebawem powitaliśmy w domu maleństwo. A nasze życie wywróciło się do góry nogami.

Na cito urządziliśmy pokój dla dziecka. Ściągnęliśmy do domu niezliczone mebelki, pampersy, ubranka, butelki, smoczki i inne noworodkowe akcesoria. Część z nich przekazała nam Iza po Walentyńce.

– Jestem przerażona – zwierzałam się przyjaciółce. – Nie mam zielonego pojęcia, jak się zająć noworodkiem.

– Niczym się nie martw – uspokajała. – Każdy dzień nauczy cię czegoś nowego. Dasz radę.

Gadanie! – myślałam.

Wątpliwości nie opuszczały mnie do chwili, kiedy jako rodzice zastępczy poszliśmy do szpitala po Ewę. Widok małej zmiękczył moje serce.

Siedzieliśmy, z nosidełkiem i ubrankiem dla dziecka, w izbie przyjęć obok dwóch tatusiów z podobnym wyposażeniem. Tyle że ja nie urodziłam. Na szczęście nikt nie wypytywał mnie o szczegóły.

Dopóki nie wydano nam Ewy, nie wierzyłam, że to kiedykolwiek nastąpi. Cała sytuacja wydawała mi się irracjonalna i jak gdyby z innego świata. Nagle miałam stać się matką i poradzić sobie z mikroskopijnie małym człowieczkiem, który musi jeść, którego należy przewinąć i ochronić przed chorobą lub niedyspozycją. Wprawdzie odbyłam szereg kursów na ten temat, ale teraz przyszedł czas na praktykę. A tej bałam się najbardziej.

Gdyby nie Włodek, pewnie nie zdałabym egzaminu.

Razem walczyliśmy przez pierwsze noce, kiedy Ewa budziła się co godzinę. Próbowaliśmy w czasie przewijania nie uszkodzić pęпка. Wstawaliśmy na każde jej poruszenie.

Jeszcze kilka dni wcześniej wizja tego, co nastąpiło, wprowadziłaby mnie w przerażenie i może odciągnęła od pomysłu adopcji, ale nie teraz. Kruszyna, która leżała przy nas i pozbawiała snu, zaczynała być nasza. Nie wiadomo kiedy przestałam myśleć o pracy i codziennych obowiązkach. Całą swoją uwagę skupiałam na Ewie.

Po jakimś czasie Włodek musiał wrócić do firmy. Sprzedaliśmy Kapuściska deweloperowi, dopracowaliśmy kilka innych intratnych kontraktów. Mój mąż starał się spędzać w domu każdą wolną chwilę, choć nie musiał mnie już przekonywać do dziecka. Z każdym dniem coraz bardziej zakochiwałam się w córeczce.

– A co będzie, jeśli jej matka jednak nie zdecyduje się jej oddać? – pytałam z przerażeniem.

Już nie wyobrażałam sobie takiego scenariusza.

– Kochanie, zostały jej tylko dwa tygodnie. Będzie dobrze – uspokajał Włodek.

Na szczęście biologiczna matka nie zmieniła zdania i zrzekła się dziecka. Sąd pozwolił nam adoptować Ewę, a urząd stanu cywilnego sporządził akt urodzenia z naszymi danymi. Formalnie matką zostałam ja, czyli Roma Jońska, zaś ojcem Włodzimierz Joński.

– Zobacz, kochanie! – Napawał się zapisem na dokumencie. – Ewunia jest nasza!

- To znaczy również twoja? – Naszło mnie na przekomarzanki.
- Co za pytanie?! – zachnął się.
- To idź ją przewiń, bo płacze – odparłam, rozciągając się na tapczanie.

Wywrócił oczami, posłał mi całusa i popędził do dziecięcego pokoju.

Tego dnia umówiłam się z Izą. Potrzebowałam wyjść z domu, czemu Włodek ochoczo przyklasnął.

Dziwnie było jakoś po czterech miesiącach zasiąść w kawiarni i zamówić kieliszek czerwonego wina. Miałam wprawdzie wyrzuty sumienia, że po nim nie wstanę do Ewci, ale przyjaciółka skutecznie uspokoiła moje obawy.

- Przecież nie karmisz. Włodek wstanie, jeżeli będzie trzeba.
- Masz rację. Jest wspaniałym ojcem.
- Tak jak i ty matką.

Popłakałam się. Czyżby ten jeden kieliszek wina mnie tak rozebrał?

– Wiesz, czego się boję? – zadałam pytanie, kiedy otarłam łzy. – Że ta kobieta, ta okropna matka, która zostawiła Ewunię w szpitalu, odezwie się kiedyś i zechce nawiązać z nią kontakt.

– A może to zrobić?

– Niestety. Ma nasze zamiary, a my możemy poznać jej, ale uprzedzając twoje pytanie: nigdy nie spróbuję poznać jej tożsamości. Trzeba być potworem, żeby pozbyć się własnego dziecka...

– Nie jesteś jej ciekawa?

– Może czasami. I zastanawiam się, kto urodził małą, ale wolę nie wiedzieć. Niech Ewcia pozostanie naszą ukochaną córeczką.

Rozdział 26

Roma

lipiec 2008 roku (wakacje w Maladze)

Po spotkaniu z Izą wróciłam nieco rozdrażniona. Przyjaciółka poruszyła czułą strunę i zachwiała moim poczuciem bezpieczeństwa.

Do tej pory próbowałam zagłuszyć myśli o ujawnieniu Ewie, oczywiście kiedyś tam, w odległej przyszłości, prawdy, ale w głębi duszy miałam nadzieję, że to nigdy nie nastąpi. Tyle że w przepastnych archiwach USC leżał, niczym tykająca bomba zegarowa, akt zupełny, zawierający faktyczne dane o biologicznych rodzicach mojej córki.

Wiedziałam, że Włodek poznał ich nazwiska, a może i dowiedział się czegoś więcej. Jednak ja nie chciałam słyszeć niczego o rodzinie, która zdecydowała się oddać dziecko, podświadomie obawiając się wpływu tych informacji na nasze życie.

Pracujący z nami psycholog z ośrodka adopcyjnego sygnalizował różne scenariusze i sugerował rozważenie rozmaitych opcji. Mogliśmy nigdy nie wspominać córce, że jest adoptowana, albo wybrać dogodny moment, żeby jej o tym powiedzieć.

Dla mnie żaden nie był właściwy.

– Pamiętajcie jednak państwo, że może pojawić się ktoś „życzliwy”, kto ujawni Ewie prawdę. A wreszcie ona sama, kiedy osiągnie pełnoletność, uzyska prawo wglądu w pełny akt swojego urodzenia.

Streściłam Włodkowi rozmowę z Izą.

– Nie rozumiem, kochanie, o co ci chodzi – powiedział. – To w końcu chcesz czy nie chcesz wiedzieć, kto urodził Ewę? Bo jeżeli chcesz, mogę ci ujawnić dane matki.

Nosiłam się z odpowiedzią kilka dni.

Półroczna Ewcia całkiem ładnie zasypiała i pozwalała nam na kilkugodzinny nocny odpoczynek, więc pewnego wieczoru postanowiłam porozmawiać z mężem o kolejnych miesiącach i swoim zamiarze powrotu do pracy. Miałam ochotę oderwać się od pieluch i wyjść z domu. Pani Zdzisia doskonale sprawdzała się w roli gosposi i znacząco pomagała przy małej. Nabrałam przekonania, że mogę zostawiać z nią dziecko na kilka godzin dziennie, i chciałam przekonać Włodka do swojego pomysłu.

Samodzielnie przygotowałam zapiekankę makaronową z zielonymi szparagami, groszkiem i sosem z borowików, nakryłam stół, kiedy Włodek usypiał małą, zadbałam o nastrojową muzykę i zapaliłam świece.

– Jaka to okazja? Czyżbym o czymś zapomniał? – zapytał, kiedy po wyjściu z pokoju małej przyzwyczał oczy do światła. – Czuję wspaniałe zapachy... A teraz także widzę moją ulubioną zapiekankę! – Uśmiechnął się szeroko.

– Śpi? – zadałam retoryczne pytanie, bo z dziecinnego pokoju nie dochodziły żadne dźwięki.

– Mam nadzieję, że do rana – odparł, opadając z rozkoszą na fotel. – Jestem zmęczony.

– Ile ci nałożyć? – Zawiesiłam nad żaroodporną foremką dwie łyżki.

Poprosił o niewielką porcję. Rzeczywiście musi być zmęczony, skoro powstrzymał się od zjedzenia całej zawartości naczynia, pomyślałam.

Przyznaję, to zmęczenie było mi na rękę. Liczyłam, że dzięki temu łatwiej przeprowadzę swój plan.

– Jak tam w pracy? – zagadnęłam, gdy skończył rozmowę przez telefon.

Z wymiany zdań domyśliłam się, że z klientem. Wprawdzie Kapuściska zostały sprzedane, ale niedawno złapaliśmy nowy kontrakt. Deweloper przekazał nam do sprzedaży kilkadziesiąt mieszkań na nowo budowanym osiedlu.

Zrezygnowany Włodek machnął ręką.

– Należy tylko się cieszyć. Dużo zleceń.

I wówczas przypuściłam atak.

– Kochanie, widzę, ile ostatnio masz zadań. Chciałabym ci pomóc.

– Daję radę. Ty lepiej dopilnuj Ewuni w domu.

– Włodek, chcę wrócić do firmy. – Postawiłam sprawę jasno. – Pani Zdzisława doskonale sobie poradzi w czasie mojej nieobecności – dodałam.

– To dlatego ta zapiekanka? Żeby mnie zmiękczyć, tak?

Dostrzegłam w oczach męża ogniki gniewu.

– A masz coś przeciwko temu? Muszę się ciebie bać? – odparowałam. – I prosić o dyspensę? – Także we mnie obudziło się złe. – Przypominam, że chciałeś dziecka bardziej ode mnie.

– Nie mówisz poważnie? – Spojrzał z zawodem w oczach. – Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej, że decydujesz się na dziecko wyłącznie ze względu na mnie? Co ja sobie wyobrażałem...?

Boże drogi, zabrnęliśmy w ślepy zaułek rozmowy. Nie potrafiliśmy się porozumieć, mimo że kochaliśmy się jak szaleni. Przecież Ewunia, śpiąca słodko w swoim pokoju, nie mogła nas poróżnić.

Postanowiłam spuścić z tonu. Przeprosiłam za zbyt mocne słowa. Ale nie zamierzałam odpuścić.

– Włodek, nie wracajmy do tego, co było. To przeszłość. Teraz mamy Ewę i jesteśmy trzyosobową rodziną. Daliśmy sobie radę z noworodkiem, więc nie ma znaczenia, kto bardziej go pragnął, ja czy ty. Chcę wrócić do pracy nie dlatego, że nie kocham Ewci, ale dlatego, że potrzebuję zajęcia poza domem – ciągnęłam. – Ty wychodzisz, więc nie doświadczasz przebywania z małym dzieckiem non stop. Chciałbyś się ze mną zamienić na role? – Przyszedł mi do głowy trafny argument.

– Pewnie nie – odparł zamyślony. Podparłszy brodę dłonią. – Nie wiedziałem, że aż tak się męczysz.

Niczego nie zrozumiał, za to ja pojęłam coś istotnego: dobro Ewy jest dla niego ważniejsze niż moje potrzeby. Nie była to miła puenta. Zwłaszcza że podlana odrobiną zazdrości.

Kochałam małą, ale chciałam krzyknąć: „Sorry, ja też tu jestem!”. Ale w ułamku sekundy zobaczyłam swoją reakcję, gdyby chodziło o moje własne, biologiczne dziecko. I ta refleksja mnie poraziła.

Chyba byłam złą matką i traktowałam Ewę niesprawiedliwie.

Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, żeby poznać jej korzenie. Nie miałam pojęcia, dlaczego akurat w tym momencie.

– Powiedz mi, kto jest matką Ewy – poprosiłam Włodka.

– Co takiego sprawiło, że raptem chcesz wiedzieć? – zdumiał się.

– Masz jej dane. Poznałeś ją?

Zaprzeczył.

– Nigdy bym tego nie zrobił bez uzgodnienia z tobą – odparł.

– Jakaś rodzina patologiczna? Dwunaste dziecko pijaczki i bezrobotnego?
Proszę, zaprzecz.

– Możesz być spokojna. Nic z tych rzeczy. Chcesz więcej prawdy?

Pokręciłam przecząco głową. Zdawałam sobie sprawę, że tego zaprawdę, ale wciąż nie byłam gotowa.

Dogadaliśmy się w kwestii mojego powrotu do firmy. Pani Zdzisia pod moją nieobecność miała opiekować się Ewą, a my z Włodkiem solidarnie zmieniać się przy dziecku po pracy.

Osiągnęłam, co chciałam, i zyskałam trochę przestrzeni dla siebie. Rodzina zadziałała niczym dobrze naoliwiony mechanizm. Odciażyłam Włodka od firmowych zajęć, on przeznaczył wolny czas dla córki, którą z każdym dniem kochał bardziej. A ja miałam możliwość za nią zatęsknić.

Zbliżały się wakacje i zaplanowany wyjazd do teściów, do Hiszpanii. Ewa już siedziała, a nawet zaczynała powoli wstawać w kojcu.

Pod koniec lipca odwiedziliśmy Malagę. Żar lał się z nieba, plaże były obleżone, ale w rezydencji rodziców Włodka, pod oplecionymi winogronem pergolami, w sąsiedztwie basenu z niewiarygodnie ciepłą wodą, znajdowaliśmy ukojenie.

Mama Jadwiga od razu pokochała tłuściutką, ale nie utuczoną wnuczkę. Przejęła nad nią opiekę razem z Inez i Angelą, a my fruwaliliśmy po okolicznych wyspach i zakochiwaliśmy się w sobie jeszcze bardziej.

„Nie masz pojęcia, jak nam tu dobrze”, napisałam do Izy. „Dzisiaj byliśmy w nadmorskiej restauracji na rybie przygotowanej w pięciu kilogramach soli (dasz wiarę, że nie była słona?!). Została przywieziona na stoliku na kółkach, a wszyscy inni klienci spoglądali zazdrośnie. Ewka zaopiekowana, my z Włodkiem przeżywamy miesiąc miodowy, jestem szczęśliwa”.

„Cudownie. A u nas też nowina. Jestem w drugiej ciąży”, odpisała, a mnie ścisnęło się serce.

Pomyślałam o dziecku, którego nie tak dawno nie chciałam. Ale najbardziej zabolalo mnie, że nie przeżyję cudu narodzin. Kochałam Ewunię, lecz w moim sercu tkwiła zadra.

– Chodźcie na kolację. – Teściowa pojawiła się na tarasie z wnuczką na rękach.

– Wezmę ją. – Podbiegłam.

– Przynieś z kuchni talerze – zarządziła.

Ewa wczepiała się w jej szyję.

To był piękny wieczór, tym bardziej że jeden z ostatnich. Za dwa dni odlatywaliśmy do Polski. Hiszpańskie wakacje dobiegały końca, nadchodził czas pracy i codzienności.

Byłam opalona i wypoczęta. Wspaniale się czułam, chociaż w uszach dźwięczały mi słowa mamy Włodka. Zapamiętałam sobie to, co powiedziała przy grillu, skorzystawszy z okazji, że jesteśmy same.

– Wiesz coś o rodzicach Ewy? – zagadnęła.

– Włodek wie. Ja nie chciałam – odparłam.

– Zapytałam go, ale nie odpowiedział. Przepraszam za wścibstwo, jednak wydaje mi się, że powinnaś znać prawdę. Przynajmniej ja chciałabym znać – zakończyła i zaprosiła naszą gromadkę do stołu.

Wzięłam sobie zdanie teściowej do serca. Dostyc, najwyższy czas! – postanowiłam.

Kiedy położyliśmy Ewę spać, wzięłam byka za rogi.

– Włodek, zdecydowałam się – oznajmiłam. – Powiedz mi, kto jest matką Ewy.

– Na pewno chcesz wiedzieć?

– Nie pytałabym, gdyby było inaczej.

– Marcelina Koryncka.

Nawet nie mrugnął okiem.

– O Boże! Córka tych Korynckich? Moich wykładowców, którzy zginęli w wypadku?

– Właśnie ona.

Wiedziałałam, że w życiu zdarzają się niezwykle zbiegi okoliczności, ale ten zwałił mnie z nóg. I zmartwił, bo byliśmy z Marceliną niemal sąsiadami.

Rozdział 27

Marcelina

październik 2013 roku

Obudził mnie dzwonek do drzwi.

Potworny ból głowy utrudniał powrót do rzeczywistości. Przymknęłam oczy, by powstrzymać karuzelę przedmiotów, które krążyły po pokoju, i próbowałam zrozumieć, co się dzieje. Miniony wieczór przypomniła mi pusta butelka po whisky. A miałam nadzieję, że jej zawartość i tabletki nasenne zrobią swoje... – pomyślałam zawiedziona.

Nie dość, że żyłam, to jeszcze ból rozsadzał mi głowę.

Dźwięk dzwonka nie ustawał. A nawet wsparło go potężne bębnienie w drzwi. Ktoś usilnie pragnął dostać się do mojego mieszkania.

– Marcelino, proszę otworzyć! – Dotarł do mnie głos sąsiadki z dołu.

Wykonałam ogromny wysiłek, by wstać z kanapy i doczłapać do przedpokoju.

– O co chodzi? – wyszeptałam na widok pani Bukowskiej, która pominąwszy grzecznościową konwersację, pognąła prosto do łazienki.

Zakręciła kran i po chwili doczekałam się odpowiedzi.

– Zalałaś nas! Mamy kompletnie mokry sufit! – pokrzykiwała zdenerwowana.

Znała mnie od dzieciństwa i lubiła, ale teraz nie wyglądała jak dobrotliwa staruszka. Zauważyła pustą flaszkę i poszło.

– Urządziłaś sobie libację? Rodzice w grobie by się przewrócili!

– Przepraszam, zapomniałam, że puściłam wodę do wanny. – Biłam się w piersi w akcie skruchy. – Zapłacę pani za remont – wykrztusiłam.

Marzyłam tylko o tym, żeby sobie poszła. I żeby wrócić na kanapę. Przebłagałam ją kilkoma stówkami z ostatniego czynszu za Chruśniak. Na

chwiejnych nogach podeszłam do kredensu i wyciągnęłam je z szuflady.

I tak mi się nie przydadzą, pomyślałam, bo kolejnego dnia nie będzie. Nie udało się, trudno. Do następnej próby przygotuję się lepiej. Kiedy tylko przejdzie mi kac, pójdę do apteki i kupię całą fiolkę tabletek. Tyle żeby wystarczyło.

Kiedy za sąsiadką zamknęły się drzwi, wróciłam do łóżka.

Po raz drugi tego dnia otworzyłam oczy, kiedy zmierzchało. Kołowacizna w głowie przeszła na tyle, że mogłam w miarę stabilnie utrzymać się na nogach.

Zignorowałam głód, zaspokoiliłam pragnienie dwiema szklankami wody, narzuciłam płaszcz i poszłam do apteki.

Na dworze panował październikowy chłód, który wyparł słoneczną pogodę z początku jesieni. Zarezerwowaną i wymodloną przeze mnie na ślub z Hubertem... Na szczęście ból po utraczonej nadziei na szczęśliwe życie u boku ukochanego zelżał już nieco, przyćmiony wizją urodzenia downa. Zresztą to wszystko nie miało już znaczenia.

W aptece nie było ludzi.

Podeszłam do stanowiska obsługiwanego przez młodą farmaceutkę. Ucieszyło mnie, że zastępuje panią Lidię. Prawdę mówiąc, liczyłam na to, że wieloletnia znajoma mamy wieczorami raczej nie pracuje, więc nie przeszkodzi mi w kupnie specyfiku, który załatwi wszystkie moje problemy. Wprawdzie był na receptę, ale miałam wypróbowane sposoby na panie magister. Szczególnie na te młode i niedoświadczone.

– Dobry wieczór – przywitałam się od progu.

– Czym mogę służyć?

– Potrzebuję środka nasennego dla cioci – wymieniłam jego nazwę. – Ale receptę będę mieć dopiero jutro. Właśnie się skończył, a ciocia bez niego nie zaśnie.

– Nie mogę pani sprzedać – usłyszałam.

– Bardzo proszę. Jestem stałą klientką. Pani Lidia nieraz prolongowała dostarczenie recepty. Zawsze przynoszę.

Farmaceutka zachowała czujność.

– Proszę podać swoje nazwisko, zadzwonię do pani kierownik i spytam – usłyszałam.

Opadły mi ręce.

Plan runął, ale jak się okazało, chwila wyczekiwania i pewności siebie odniosła skutek. Panią magister zajął telefon od klienta, po którym machnęła ręką na moje tłumaczenia.

– No dobrze. To kiedy przyniesie pani receptę?

Z radości byłam w stanie złożyć każde przyrzeczenie. Wprawdzie bez pokrycia, ale to nie było ważne. Potrzebowałam tabletek na już. Nie obchodziło mnie jutro i to, czy w aptece zgodzi się saldo recept.

Wracałam do domu, dzierząc w dłoni fiolkę różowych kapsułek.

Pierwsze kroki miarowo i radośnie stukały po chodniku, bo udało mi się zrealizować plan. Kolejne były już nieco mniej prężne, bo pojawiły się wątpliwości, czy naprawdę jestem aż tak odważna, by połknąć lekarstwo. Po schodach wchodziłam już nieco ociężale, odwołując moment przekręcenia klucza w drzwiach i podjęcia ostatecznej decyzji.

Nagle zaczęłam się bać śmierci i tego, co po niej nastąpi. Nie wierzyłam w życie pozagrobowe, w jakieś tam bujanie w zaświatach i wachanie kwiatków na łąkach Pana. Dlatego to, co miałam tu i teraz, chociaż trudne i chwilowo nieszczęśliwe, zaczęło zyskiwać na atrakcyjności.

Gdyby jeszcze nie ten down, przebolałabym Huberta.

Myśl o niepełnosprawnym dziecku ugodziła mnie w samo serce.

Przyśpieszyłam, energicznie przekręciłam klucz w zamku i pognałam do kuchni po wodę. Zanim się rozmyślę.

Może powinnam zrealizować swój zamiar od razu, bez rozsiadania się w fotelu, ale jakaś siła kazała mi zająć w nim miejsce. A jeszcze przedtem sięgnąć po album z rodzinnymi zdjęciami.

Przyglądałam się mamie i tacie sprzed lat. Chłoniłam fotografie z naszych wspólnych wyjazdów, napawałam się miłością, która płynęła z oczu rodziców, kiedy ja, rozkoszny bobas, a potem podrastająca dziewczynka, tkwiłam w ich ramionach.

Wmawiałam sobie, że niebawem znów się spotkamy, choć tak naprawdę wcale w to nie wierzyłam. Bo czy można wierzyć w Boga, który zabrał ci wszystkich, których kochasz?

Decyzja o samounicestwieniu dla mnie oznaczała całkowite rozstanie ze wszystkim. Czekala mnie wyłącznie czarna czeluść. Lecz byłoby mi łatwiej, gdyby nie dziecko w brzuchu. Człowiek, na którego wydałam wyrok śmierci.

Połknęłam pierwsze dwie kapsułki.

Nic się nie zadziało. Podobnie po dwóch kolejnych. Za ledwie lekko zakręciło mi się w głowie i ogarnęła mnie senność. Próbowałam ją opanować, bo czekały następne, a ja chciałam dokończyć dzieła.

– Marcelinko! Obudź się! Nie śpij! Zaczekaj, zaraz przyniosę miskę. Jest!
– usłyszałam.

A potem poczułam palec w gardle i musiałam zwymiotować.

Szarpało mną straszliwie. Czułam się tak źle, że dopiero wtedy naprawdę zapragnęłam umrzeć. Ale żołądek wrócił na swoje miejsce, a dudnienie w głowie powoli ustępowało.

Byłam już w stanie otworzyć oczy.

Nade mną stała pani Daria, mama Aliny, i patrzyła zatroskana.

– Nic nie mów. – Przyłożyła mi do czoła mokry ręcznik.

Zasnęłam. A kiedy się obudziłam, wciąż była przy mnie.

Rozejrzałam się po pokoju. Ani to niebo, ani piekło, tylko mieszkanie moich rodziców, stwierdziłam. Leżałam bez sił i nie byłam w stanie o nic zapytać.

Pani Daria w milczeniu głaskała mnie po głowie.

– Zostanę z tobą na noc – powiedziała po chwili. – Daj rękę, zmierzę ci ciśnienie. Potem zaśniesz. A porozmawiamy jutro.

Chyba mi się znowu nie udało, pomyślałam. Ale tym razem bez poczucia porażki.

Następnego ranka zjadłam jajecznicę i wypiłam herbatę. Czekałam, kiedy zostanę przez mamę Aliny wezwana do tablicy. Jednak ona poprzestała na dyskretnej opiece.

Około południa zaczęłam dochodzić do jakiejś takiej formy. Odezwały się wyrzuty sumienia, że pani Daria traci dla mnie czas.

– Przepraszam, chyba się czymś zatrulałam – zagałam. – Już dobrze. Nie chcę pani dłużej zatrzymywać...

Nie dała się zbyć. Przyniosła mi kolejną miętę, a dla siebie filiżankę parującej kawy, i usiadła naprzeciwko mnie. Widziałam w jej oczach troskę, ale także stanowczość. I poczułam się z tym dobrze. Już dawno nikt się o mnie nie martwił.

– Prawie ci się udało – powiedziała.

– Co?

– Dlaczego się trulaś? – zapytała. – Od kilku tygodni pracuję jako pomoc techniczna w aptece – wyjaśniła. – Usłyszałam na zapleczu, że kupiłaś

środku nasenne, poszłam za tobą. Marcelina, co się dzieje?

Nie miałam ochoty na zwierzenia, ale pękłam. Opowiedziałam o Hubercie i nieszczęsnym dziecku, które miałam urodzić.

– To kara za to, że oddałam Ewę – zakończyłam.

Pani Daria nie przestawała głaskać mnie po ramieniu.

– Gadasz bzdury. To żadna kara, tylko wada genetyczna. Pomogę ci po porodzie – oświadczyła.

Spojrzałam zdumiona i zapytałam dlaczego.

Zanim odpowiedziała, zastanowiła się przez chwilę.

– Bo potrafię. Moja kuzynka miała zespolaka... To znaczy synka z zespołem Downa – poprawiła się. Użyła nieznanego mi określenia. – Trochę wiem, jak takie dzieci funkcjonują. A poza tym, jak już chyba wiesz, Alinka chce zostać w Irlandii. Więc jeśli kiedyś urodzi dziecko... Będą daleko.

Zrozumiałam, że moja przyjaciółka jeszcze nie wspomniała matce o ciąży.

– Dziękuję, pani Dario, ale jeszcze nie wiem, jak będzie – odparłam.

– A jak ma być? Za cztery miesiące urodzisz dziecko. A ja nie pozwolę ci się zabić. Marcelina, razem damy radę. Kiedy masz najbliższą wizytę u lekarza?

– Za tydzień.

– Mogę ci towarzyszyć?

– Tak – wyszeptałam.

Nie wiedziałam, czy jestem zadowolona, czy nie, że ta kobieta przejęła nade mną kontrolę. Mimo to po raz pierwszy od wielu dni zasnęłam spokojnie, w myślach przepraszając dziecko za to, co chciałam zrobić.

Rozdział 28

Roma

do czerwca 2009 roku

Na lotnisku w Maladze panował spory wakacyjny ruch. Najpiękniejsze andaluzyjskie wybrzeże, Costa del Sol, przyciągało rzesze Hiszpanów i obcokrajowców pragnących zakosztować ciepłego morza i atmosfery rozlicznych knajpek z lokalnym jedzeniem ulokowanych w zakamarkach starówki.

Plażą jako taką nie byłam zachwycona. Ciągający się wzdłuż nadmorskiej promenady kilkukilometrowy pas wybrzeża w niczym nie przypominał bałtyckich piasków. Wulkaniczne podłoże sprawiało, że te tutaj były ciemne, jak ze sporą ilością mielonego pieprzu.

Pamiętałam moment, kiedy po raz pierwszy rodzice Włodka zabrali nas na plażę położoną w pobliżu centrum Malagi. Zauważyłam samochody w zasięgu ręki i chyba nie wyglądałam na zadowoloną, bo teściowa zareagowała śmiechem.

– Zawiedziona? Niestety, nie mamy w mieście zacisznych plażowych zakątków – powiedziała. – Wokół bloki, wysokie hotele i samochody. Ale przynajmniej woda jest ciepła, a słońce gwarantowane.

Wkrótce przymknęłam oko na niedogodności, a doceniłam walory. Nasza mała Ewunia również. Bujaliśmy się z nią w falach, słuchając zachwyconych pisków.

– Będzie mi brakować Hiszpanii – stwierdziłam, kiedy już ulokowaliśmy się z Włodziem w samolocie.

– Możemy pomyśleć o przeprowadzce – zaproponował z przewrotnym uśmiechem.

– Nie żartuj! Wtedy straciłabyś na atrakcyjności – odparłam. – Poza tym przecież wiesz, że nie mogłabym zostawić taty i stryja Stefana.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

W głębi duszy musiałam przyznać, że moim niezłomnym postanowieniem w kwestii nieopuszczania rodzinnego miasta zachwiała w ostatnich dniach Marcelina Koryncka. Wśród domowego zgiełku hiszpańskich krewnych nie było czasu ani okazji przegadać sprawy, dlatego próbowałam przetrwać ją sama.

Historia tragicznej śmierci państwa Korynckich swego czasu wstrząsnęła środowiskiem akademickim. Mnie również głęboko dotknęła. Odtwarzałam w głowie daty i próbowałam ustalić wiek Marceliny, gdy rodziła Ewę. Wyszło mi, że miała dziewiętnaście lat.

Nie miałam pojęcia, co ta dziewczyna musiała przeżywać, ale rachuby wzbudziły we mnie niepokój. Biologiczna matka mojej Ewy była bardzo młodą osobą po trudnych przejściach, więc mogła podjąć decyzję o zostawieniu dziecka w akcie desperacji. Z jednej strony cieszyłam się, że nie trafiło do nas małeństwo z patologicznej rodziny, bo o dalekosiężnych skutkach takiego początku życia naczytałam się aż nadto, z drugiej obawiałam się, że za jakiś czas Marcelina zechce nawiązać kontakt z dzieckiem.

Włodek wyjaśnił mi, że dane o rodzinie adopcyjnej są w takiej sytuacji dla matki biologicznej niedostępne, ale dla chcącego nic trudnego. Od czego są detektywi, dobrzy sąsiedzi, lokalne plotkary i wieść gminna? Teraz, pół roku po porodzie, Marcelina jest pewnie jeszcze nieogarnięta, ale kto wie, co jej przyjdzie do głowy za jakiś czas? – myślałam z niepokojem, moszcząc Ewunię na swoich kolanach.

Śpiąca przymykała oczka. I dobrze, bo miałyśmy przed sobą cztery godziny lotu.

Nie wiem, kiedy zasnęłam ukojona widokiem rozjaśnionej światłami Malagi. Obudził mnie podobny widok na, jak się okazało, Warszawę.

Obok mnie nie było Włodka, również córeczka zniknęła z moich kolan. Rozejrzałam się zaniepokojona, ale siedzący obok pasażer wyjaśnił, że mąż poszedł przewinąć dziecko.

– Przepraszam, zasnęłam – próbowałam się usprawiedliwić, kiedy oboje trafili już na miejsca.

– Prosimy zapiąć pasy – powiedział steward. – Będziemy lądować na lotnisku Okęcie.

Samolot osiadł statecznie na płycie lotniska, a my po odbiorze bagażu dotarliśmy na parking, gdzie czekał nasz samochód. Od domu dzieliło nas kilkadziesiąt kilometrów.

Niespodzianka w postaci pełnej lodówki i kolacji przygotowanej przez panią Zdziszę sprawiła nam ogromną przyjemność. Na stole stał w wazonie bukiet kwiatów, pokoje były przewietrzone, a pościel zmieniona.

Pomyślałam o premii, ale jeszcze bardziej zapragnęłam przytulić tego dobrego ducha naszej rodziny.

Następnego dnia Włodek pomaszerował do pracy po wczesnym śniadaniu, a ja zostałam z Ewcią, żeby zaaklimatyzowała się w nowym-starym miejscu. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że dla tak małego dziecka gwałtowna zmiana otoczenia może nie być łatwa. Jednak nasza córka emanowała spokojem, a na spacerze od razu zasnęła.

Spontanicznie postanowiłam zadzwonić do Izy. Zapropnowałam spotkanie w kawiarni przy parku.

– Możesz się wyrwać z biblioteki? – zapytałam.

– Wróciliście z Hiszpanii? Dobrze trafiłaś, bo właśnie wracam od ginekologa. Mogę być w Kawiarni Wujka za dziesięć minut.

Ruszyłam ile sił w nogach.

Gdy Iza pojawiła się w drzwiach, odruchowo spojrzałam na jej brzuch, choć na początku ciąży trudno było spodziewać się pod sukienką krągłości.

Podbiegła i mocno mnie wyściskała.

– Matko, ale jesteś opalona! Wpadnę w kompleksy! – zawołała. – A to twoje dziecię? Raczej jakieś małe Murzyniátko!

Położyłam palec na ustach.

– Dajmy jej pospać, bo nie pogadamy – szepnęłam i wskazałam przyjaciółce krzesło.

I się zaczęło. Ja trochę o Hiszpanii, ona głównie o ciąży.

– Walentynka już się cieszy na rodzeństwo. Będzie chodzić z wózkiem i przewijać małe, jak mówi. Tomasz, oczywiście, spodziewa się chłopca, bo wiesz, jak to mężczyźni, muszą postawić dom, posadzić drzewo i spłodzić syna – trajkotała.

Walentynka skończyła już siedem lat. Kochałam ją jak własną, choć byłam tylko matką chrzestną. Planowałam zabrać ją na kolejny wypad do

Hiszpanii, na co Włodek, dobry wujek, wyraził zgodę.

Pragnęłam się cieszyć, wczuć się w radość Izy. Próbowałam, ale nie potrafiłam. Kiedy patrzyłam, jak gładzi się po brzuchu i pokazuje mi zdjęcie maleństwa na USG, nieznana gula w gardle utrudniała oddychanie.

Wprawdzie miałam córkę, ale nie dane mi było przeżywać kolejnych etapów ciąży, chwalić się wynikami badań, marzyć, jak będzie wyglądać moje dziecko. Czy będzie podobne do mamy, czy do taty. Wiedziałam, że nigdy nie usłyszę od męża, że uśmiech i włosy odziedziczyło po mnie, a kości policzkowe po nim.

Kochałam Ewunię, ale, co z trudem przyznawałam w najskrytszych myślach, marzyłam o wielkim brzuchu. Nawet o wszystkich tych dolegliwościach, które miały doprowadzić do szczęśliwego rozwiązania i własnego, upragnionego dziecka.

Włódkowi, z wiadomych powodów, nie mogłam się do tego przyznać.

– A u nas w Hiszpanii przez cały czas było słońce – wypaliłam ni z gruszki, ni z pietruszki. – Gdyby nie tato i stryjek Stefan, może bym się tam nawet przeniosła na stałe.

– Nigdy w życiu! – zaprotestowała Iza. – Nie wyobrażam sobie, że mogłoby cię tu nie być. A tak w ogóle to jesteś jakaś przygnębiona. Może za dużo gadam o sobie?

Trafiła w punkt, ale nie mogłam jej tego powiedzieć.

– Co ty opowiadasz? – zareagowałam nieszczerze. – To wspaniale, że będziecie mieć kolejne dziecko! A ja dowiedziałam się od Włodka, kto jest matką Ewy – pochwaliłam się.

Nie byłam w stanie zachować tego dla siebie.

Iza sięgnęła po szklanekę i upiła łyk wody, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Córka Korynckich – powiedziałam. – Marcelina. Pamiętasz tę szesnastoletnią małąlatę na pogrzebie?

– Boże... Żartujesz?

– Ani trochę. Urodziła jako dziewiętnastolatka i zostawiła dziecko w szpitalu. A my je dostaliśmy. Iza, boję się, co będzie dalej.

– A co ma być? Przecież sama mówiłaś, że jeżeli matka zrzeknie się dziecka, to nie ma już odwrotu.

– Ale pełnoletnia Ewa może zechcieć poznać swoje korzenie. A Marcelina mieszka w naszym mieście.

– I ty się tym przejmujesz? Tym, co będzie za osiemnaście lat?

– A jeśli ona wcześniej wpadnie na Ewę i w jakiś sposób ją rozpozna?

– Romka, nie wpadnie i nie rozpozna. To młoda dziewczyna. Pozna fajnego gościa i będzie mieć z nim kolejne dziecko. A o Ewie zapomni. Nie martw się na zapas.

Takich właśnie słów wsparcia potrzebowałam, żeby wrócić do codzienności.

Życie potoczyło się po znajomych torach, nasza rodzina funkcjonowała w jak najlepszym porządku. Urządziliśmy Ewuni roczek w Wigilię. Był tort, balony, pokój przystrojony girlandami.

W kwietniu Iza urodziła Ksawerego, a na ojca chrzestnego wybrała Włodka. W ramach prezentu kupiliśmy małemu obligacje, do których dodaliśmy pakiecik ciuchów i niemowlęcych akcesoriów.

– Mam już wszystkie dzieci w domu – cieszyła się Iza.

A my cieszyliśmy się razem z państwem Zawilskimi w ich nowym mieszkaniu. Wprawdzie obciążonym kredytem, ale większym i kiedyś własnym.

Ewunia skończyła półtora roku. Chodziła już pewnie i była małą, inteligentną księżniczką, nad którą oboje z Włodkiem panowaliśmy. Zasyiała sama, rozwijała się świetnie. Ogólnie nie sprawiała kłopotów.

Pani Zdzisia opiekowała się nią najlepiej, jak potrafiła, a my mogliśmy pracować i korzystać z życia.

Mój mąż był zachwycony i gotów jeść córkę łyżkami. Ja również, choć kiedy dostrzegałam podobieństwo Ksawerego do Tomasza, a Walentynki do Izy, gula w gardle rosła.

Nasza Ewunia w niczym nie przypominała ani ojca, ani matki. Kruczoczarna brunetka z kręconymi włosami, wyraźnie odstawała wyglądem od dwojga blondynów. Ale przecież nie chodziło tylko o wygląd, który zresztą Włodkowi w ogóle nie przeszkadzał. Chodziło o moją wiedzę z genetyki – że blond para nigdy nie spłodzi brunetki.

Kochałam naszą córkę, ale nie potrafiłam uciec od myśli, jak wyglądałyby nasze biologiczne dzieci. I niekoniecznie wspólne. Także to, którego pozbyłam się lata temu.

Tego dnia zaszłam do Izy z torbami prezentów dla naszych chrześniaków. Skończyłam pracę wcześniej, ponieważ ostatni klient nie dotarł. Włodek wrócił do domu i zwolnił panią Zdzisławę z opieki nad Ewą.

– Jestem potwornie głodna! – zawołałam od progu, czując się w mieszkaniu przyjaciółki jak w swoim własnym. – Cześć, Walentynko! – Przytuliłam małą. – Chodźmy do Ksawcia. Mam coś dla was.

Po chwili siedziałyśmy z Izą przy smakowitej carbonarze, którą wyczarowała w pięć minut.

– One cię uwielbiają – stwierdziła.

– E tam. Po prostu przynoszę im prezenty – odparłam.

– Jesteś najlepszą ciotką na świecie.

Gdybym jeszcze była równie dobrą matką, pomyślałam. Przecież to Włodek siedział teraz z Ewą i przygotowywał ją do spania.

– Daj spokój – zbagatelizowałam komplement. – To wy jesteście wspaniali.

– Coś u was nie tak? – zapytała zaniepokojona moją nietęgą miną.

Nie miałam ochoty spowiadać się jej z moich myśli, które ciążyły mnie samej. Niezmiennie dotyczyły jednej sprawy: własnego dziecka, którego nie mogłam mieć z Włodkiem.

Rozdział 29

Marcelina

od października do Wigilii 2013 roku

Pani Daria nalegała, abym po nieudanej próbie samobójczej przenieśliśmy się do niej choćby na kilka dni, jednak stanowczo odmówiłam. Przez lata od śmierci rodziców, a potem babci Anastazji, przyzwyczałam się do samodzielnego życia, żeby nie powiedzieć, że do samotniczego. Poza tym nie chciałam zajmować miejsca Aliny u boku matki. Wprawdzie moja przyjaciółka deklarowała chęć pozostania w Irlandii, ale w każdej chwili mogła zmienić zdanie i wrócić do domu.

Z wdzięcznością przyjąłem jednak propozycję, by pani Daria towarzyszyła mi na wizycie u mojego nowego ginekologa, doktora Pańskiego, którego wybrałam po rezygnacji z doktora Witkowskiego. Lekarza poleciła Agnieszka, która, jak się dowiedziałam w czasie naszej ostatniej rozmowy w sprawie Chruśniaka, również była w ciąży. Mieli z Poldkiem zostać rodzicami bliźniąt.

Rzadko jeździłam do domu babci, ale pod koniec sierpnia Agnieszka postanowiła ze mną omówić w cztery oczy ważną sprawę.

Ta chęć spotkania była niepokojąca. Obawiałam się wypowiedzenia umowy lub podobnych komplikacji. Gdyby fundacja miała taki zamiar, szansa na znalezienie kolejnego najemcy była zerowa. Kto chciałby wynająć kawałek chałupy pod lasem, w miejscowości odległej od miasta? Wprawdzie ostatnimi czasy Chruśniak ładnie się rozrastał, a kolejne domy pojawiały się jak grzyby po deszczu, ale amatorzy wyprowadzki na wieś stawiali własne zabudowania.

– Czym ty się zajmujesz? – pytała mnie Alina. – Masz Huberta, niebawem ślub, złożyłaś papiery o pracę, nie jesteś sama. Nawet jeżeli

stracisz to źródółko utrzymania, i tak sobie poradzicie.

Tak. To było dwa miesiące temu. Od tamtego czasu wiele się zmieniło.

– Jestem! – Jak zwykle pogodna i radosna Agnieszka dosiadła się do stolika, który zajmowałam od dobrych kilku minut.

Wybrałam pobliską Kawiarnię Wujka, do której zawitałam piętnaście minut przed czasem. Z nerwów zdążyłam już nawet wypić kawę.

Zamówiliśmy po filizance latte i sporym ciachu bezowym z malinami i bitą śmietaną.

– Ładnie tu. – Agnieszka rozejrzała się wokół.

W przytulnym wnętrzu dominowały siermiężne stoły z litego drewna. Ściany zdobiły zdjęcia „wujka” łowiącego ryby. Delikatne, frywolnie upięte firanki na oknach zdradzały rękę „cioci”.

– Kawiarnię prowadzi starsze małżeństwo – wyjaśniłam. – Pani Łucja piecze ciasta. Popołudniami można tu zjeść smażoną lub wędzoną rybkę z naszego jeziora. Mają własną wędzarnię.

– A wiesz, że narobiłaś mi smaku?

– Możesz sobie kupić na wynos. Wprawdzie nie są tanie, ale warte grzechu – zareklamowałam ryby.

Wtedy właśnie Agnieszka poinformowała mnie, że jest w ciąży, a ja wyjawiałam jej plany ślubu z Hubertem.

– Jak cudownie, że ci się układa, Marcelina. A i my nareszcie zostaniemy rodzicami.

Miło się rozmawiało, ale czekałam, aż wyjawi mi powód naszego spotkania.

Zrobiła to po pierwszych zachwytach nad bezowcem z malinami.

– Słuchaj, jak wiesz, zastąpiłam panią Kornelię na stanowisku szefowej fundacji. Oczywiście, pozostałam wuefistką, ale zrobiłam również kursy fizjoterapii. Rozwijamy się. Poldek założył firmę budowlaną, która świadczy różne usługi nowym mieszkańcom Chruśniaka. Zajmuje się urządzaniem domów, dociepleniem, kładzie kafle i tak dalej. A razem pracujemy nad pozyskiwaniem środków na rozwój fundacji. I mamy coraz więcej niepełnosprawnych dzieci, których rodzice chcą do nas przyjeżdżać. Ostatnio nawet zatrudniliśmy neurologopedę dla dzieci z trisomią 21, to znaczy z zespołem Downa. Pewnie niewiele ci to mówi, ale takich dzieci jest dużo, a ośrodków, które by im pomagały, nie tak wiele.

No dobra, ale co z tego wynika? Do czego ona zmierza? Chce mi powiedzieć, że mają za mało miejsca i muszą poszukać większego lokum?

Na szczęście myliłam się w ocenie sytuacji.

– Marcelina, czy wynajmiesz nam część domu przylegającą do przybudówki, którą zajmujemy? – usłyszałam. – Wiem, że zostanie ci tylko jedna trzecia, ta od ogrodu, ale potrzebujemy przestrzeni. Mamy sporo podopiecznych, a chcemy, i tu kolejna prośba, uruchomić starą stajnię i kupić ze dwa konie do hipoterapii. A w dodatku myślimy o punkcie przedszkolnym dla dzieciaków. Nawet nie wiesz, jakie są potrzeby!

Dogadałyśmy się.

W najbliższy weekend pojechałam do Chruśniaka i przy pomocy Poldka i Huberta przeniosłam meble i inne rzeczy babci do mojej części domu. Opróżnione pomieszczenia przekazałam fundacji i pozwoliłam przeprowadzić stosowny remont.

Mieli postawić ściany, żeby się ode mnie oddzielić, i zaaranżować wnętrza na własne potrzeby. Uzgodniliśmy również zasady korzystania z ogrodu i starej stajni.

W kwestii finansowej nie byłam pazerna. Planowany remont miał i tak dużo kosztować. Dla mnie oznaczało to wzrost wartości nieruchomości, więc zaproponowałam podniesienie czynszu o zaledwie pięćset złotych.

– Nie będzie za dużo? – pytałam pełna skrępowań.

– No coś ty? – zdumiała się Agnieszka. – Bardzo ci dziękujemy. Kiedy zdobędziemy kolejne środki, sama ci zaproponuję podwyżkę czynszu. Ale teraz dziękuję i przepraszam, bo muszę już iść. Mam wizytę u ginekologa. Gdybyś kiedyś potrzebowała, gorąco polecam. Doktor Pański. Jest najlepszy – dodała. – Przepraszam, ale muszę już bieć. Pa! – Ucałowała mnie na pożegnanie i pomachała torebką.

Nie sądziłam, że tak szybko skorzystam z tej rekomendacji. Teraz w towarzystwie pani Darii siedziałam przed gabinetem doktora Pańskiego, ściskając w dłoni wynik testu PAPP-A. Był jednoznaczny.

Nie miałam ochoty poddawać się badaniu ginekologicznemu ani USG, w trakcie którego lekarz zacznie marszczyć brwi i ze zboląłą miną oświadczy, że urodzę downa. Wszystko wiedziałam i chciałam uniknąć współczucia, a tylko dowiedzieć się, co z dzieckiem. Bo w momencie, kiedy postanowiłam żyć i pozwoliłam żyć płodowi (wciąż nie potrafiłam myśleć o nim „dziecko”), zaczęło interesować mnie jego zdrowie.

Jednak doktor mi nie odpuścił. Po USG pomógł mi wstać z kozetki, posadził naprzeciwko biurka i zajął miejsce w swoim fotelu.

– Pani Marcelino, termin porodu przewiduję na połowę kwietnia przyszłego roku – zaczął. – Ciąża rozwija się prawidłowo. Będziemy obserwować, czy nie ujawnią się wady serca, czyli otwór międzykomorowy lub międzyprzedsionkowy, albo wady górnego odcinka przewodu pokarmowego. To dość częste skazy u dzieci z trisomią 21, które w wielu przypadkach trzeba operować natychmiast po porodzie. Ale proszę się nie martwić na zapas, nie muszą wystąpić. Proszę pamiętać o jednym: urodzi pani dziecko z zespołem Downa, które zostało obdarzone dodatkowym, dwudziestym pierwszym chromosomem. A co za tym idzie dodatkową informacją genetyczną w każdej lub prawie każdej komórce swojego ciała. Zamiast czterdziestu sześciu chromosomów ma ich czterdzieści siedem. Dziecko, które rodzi się z wadą genetyczną, nie jest chore, ale w jego życiu mogą wystąpić problemy wymagające leczenia. Jak wcześniej wspomniałem, związane z układem krążenia i pokarmowym, ale także zaburzenia funkcjonowania tarczycy, niska odporność, wiotkość mięśni, zaburzenia słuchu i wzroku, słabszy rozwój intelektualny i inne. Takie dziecko wymaga dużej uwagi i opieki rodziców, i na to się trzeba nastawić. Ale z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że odbierałem noworodki z zespołem Downa, które miały dziesięć punktów w skali Apgar. Gdyby chciała pani zasięgnąć szczegółowych informacji – ciągnął doktor – proszę się kierować do psychologów współpracujących z Miejskim Ośrodkiem Pomocy Rodzinie lub fundacjami na rzecz osób niepełnosprawnych. Ale przede wszystkim się nie bać – podkreślił. – Tym bardziej że mama na pewno pomoże. – Spojrzał na panią Darię.

Nie sprostowałam. Wstałam ze zwieszoną głową, w której huczały słowa: operacja, zaburzenia, słabszy rozwój intelektualny. Jednocześnie nie mogłam pojąć, jak down może dostać dziesięć punktów w skali Apgar. Przecież to nienormalne dziecko!

Chciałam pożegnać się z mamą Aliny natychmiast po wyjściu od lekarza, ale nie dała się zbyć i poszła ze mną do domu.

– Zaparzę herbatę, „córciu” – zazartowała, a po chwili przyniosła na tacy dwie pełne filiżanki. Przysiadła obok mnie i objęła ramieniem. – Kochanie, będziesz miała ze swoim dzieckiem dużo pracy i zachodu. Oby nie

wymagało operacji. Ale wierz mi, że kiedy się urodzi, pokochasz je i podołasz wyzwaniom.

Nie byłam tego wcale pewna. I zupełnie nie rozumiałam, o czym ona do mnie mówi. Pocieszała mnie, jak umiała, i za to byłam jej wdzięczna, ale nie była w stanie pozbawić mnie problemu. Czułam się jak pogrzebana za życia. Co z tego, że urodzę „zdrowe” dziecko z wadą genetyczną? Co mi po tych jego dziesięciu punktach, skoro każdy kolejny dzień, kolejny rok będzie przynosił same problemy?

Nie myślałam o facetach, o ułożeniu sobie życia, o którym mogłam zapomnieć. Przed oczami miałam wyłącznie nieustanne wizyty u specjalistów. Rehabilitacja ruchowa i logopedyczna, zapobieganie chorobom, na które down zapada częściej niż inne, hm, normalne dziecko... Myślałam, jak po porodzie będzie wyglądać moje życie. I ta wizja mnie przytłaczała. Miałam, do cholery, dwadzieścia siedem lat i zero perspektyw!

Hubert się nie odzywał. Przypominałam sobie o nim, kiedy na konto przychodził przelew. Trzeba przyznać, że jego matka pilnowała terminów, skrzętnie unikając kontaktów.

Pani Daria zaprosiła mnie na święta Bożego Narodzenia, na których mieli pojawić się Alina ze Steve'em.

Przygotowałam prezenty i pojechałam do Chruśniaka, w odwiedziny do Agnieszki i Poldka. Doprowadzili babcine domostwo do świetności. Cięża Agnieszki była już widoczna, podobnie jak moja.

Nie zdecydowałam się poinformować ich o moim downie. Wypiłam herbatę i odjechałam, wymówiwszy się pracą, co zresztą było prawdą. Od dwóch miesięcy pracowałam w wydawnictwie jako redaktorka; zajęcie trzymało mnie przy życiu i pozwalało nie myśleć. Robiłam jedną książkę za drugą, zupełnie jakby przyjemność płynąca z pracy miała się zaraz skończyć.

Do porodu zostały niecałe cztery miesiące.

Tuż przed Wigilią zadzwonił Hubert. Gdy na wyświetlaczu zobaczyłam jego numer, mocniej zabiło mi serce. Nie wiem, co sobie wyobrażałam, ale piknęło.

– Wszystko w porządku? – usłyszałam.

– Pytasz, co z ciążą?

– No tak.

– Jak najbardziej. Rodzę w kwietniu. A co u ciebie?

Przez chwilę trwała cisza.

– Marcelina, nie chcę, żebyś się dowiedziała od obcych. Żenię się. Nie martw się niczym, będziemy płacić na ciebie i dziecko. Daj znać, kiedy się urodzi – zakończył mój były narzeczony.

Wyłączyłam komórkę.

Rozdział 30

Roma

2015 rok

Widziałam ją, Włodek! Ledwie udało mi się ukryć Ewunię! – zawołałam do męża zaraz po wejściu do domu.

Wcześniej upewniłam się, że nie ma córki. We wtorki pani Zdzisława odprowadzała ją na basen.

– Kogo widziałaś?

– Marcelinę Koryncką! Wyobraź sobie, wchodzimy do centrum handlowego, a ona stoi w kolejce do piekarni! Z miejsca zrobiłam zwrot do kwiaciarni, ale Ewie jak na złość rozwiązało się sznurowadło. Pochyliłam się, pomagam zawiązać, a Marcelina z zakupami przechodzi tuż obok nas! Na szczęście Ewunia tak była zaabsorbowana butem, że nie podniosła głowy. Wiesz, jaka jest podobna do matki? Boże, po prostu kopia! – relacjonowałam z przejęciem. – Przeczuwałam, że kiedyś dojdzie do takiego spotkania!

Włodek kazał mi usiąść i przyniósł mi wodę, którą łapczywie pochłonełam.

– Czy ona widziała Ewę? – zapytał. – Zamieniłyście kilka słów?

– Jeszcze by tego brakowało! – fuknęłam, wachlując się serwetką. – Mnie również nie poznała, bo i skąd? Byłam studentką jej rodziców, a potem przemknęłam przez cmentarz na ich pogrzebie. Jednak ja bezbłędnie ją zidentyfikowałam. Poczekaj, policzę, ile ona ma teraz lat... Skoro Ewunia skończyła siedem, to Koryncka ma dwadzieścia sześć. Niewiele się zmieniła od śmierci rodziców. Włodek, skoro dzisiaj wpadłyśmy na siebie, ta sytuacja może się powtórzyć! – biadoliłam.

Mój mąż wyglądał na zmartwionego, ale usiłował nie dać tego po sobie poznać. Mimo to po pewnych gestach rozpoznałam jego stan ducha. Mierzwił włosy i pocierał nos wierzchem dłoni.

Zaczął mnie nieudolnie pocieszać.

– Romeczko, skoro przez siedem lat nas nie szukała, to widać odpuściła. Wprawdzie nie mieszkamy w ogromnej aglomeracji, ale dwieście tysięcy to nie jakiś grajdołek, w którym wszyscy się znają. Prawdopodobnie ponownie spotkasz Marcelinę za kolejne siedem lat. Kto wie, czy wtedy w ogóle ją poznasz. Albo nie wpadniecie na siebie już nigdy.

– Ale co z Ewą? Teraz jest mała, ale kiedy zaczniesz sama poruszać się po mieście i wpadnie na Koryncką...?

Katastroficzne wizje nieco zmęczyły mojego męża. Zdążył już powrócić do równowagi i nie miał ochoty ciągnąć tematu.

– Wiesz co? Zapomnij o tym incydencie i tyle – poradził. – A kiedyś będziemy musieli zastanowić się, czy powiedzieć małej o adopcji.

O czym on mówi?

– Nie mam zamiaru mówić Ewie, że nie jesteśmy jej biologicznymi rodzicami! Ty też się nie waż tego robić bez porozumienia ze mną! – Stanowczo postawiłam sprawę.

Zarzuciliśmy dyskusję na ten temat, ale czułam, że różnica zdań nas podzieliła.

Niebawem miałam skończyć czterdzieści lat. Z tej okazji przyszedł mi do głowy szalony pomysł, którym najpierw postanowiłam podzielić się z przyjaciółką.

Zabrałyśmy Ewę i Ksawerego do przytulnego spa pod miastem, według reklamy przyjaznego również dzieciom. Zafundowałam weekend całej czwórce. Nasze dzieci, niemal równolatki, znające się od urodzenia, chętnie spędzały czas razem. A rozmaite atrakcje, jakie oferowało im spa, w tym również opieka animatorów, zapewniały nam bezcenne chwile wytchnienia.

Wieczorem, kiedy nasi młodociani odpłynęli w objęcia Morfeusza, zajęłyśmy miejsca w przepastnych fotelach w lobby i zamówiłyśmy po kieliszku wina. Słodko zmęczone całodziennym spacerowaniem po okolicznych lasach, zabiegami upiększającymi i kąpielami w basenach, już bez dzieci, mogłyśmy oddać się przyjemności rozmowy. Na co, niestety, rzadko znajdowałyśmy czas. Wprawdzie Ewa była jedynaczką i mieliśmy z Włodkiem panią Zdziszę do pomocy, ale i dużo pracy w firmie, natomiast

Iza niespecjalnie przepracowywała się w bibliotece, ale nadrabiała to w domu, przy nastoletniej Walentynie i Ksawciu. Uparty i zdeterminowany Tomek robił karierę naukową, a ta, jak wiadomo czy raczej jak twierdził on, wymagała całkowitego poświęcenia.

Problemy miałyśmy nieco różne, ale zawsze znajdowałyśmy wspólny mianownik. A co najważniejsze, przyjemność ze swojego towarzystwa.

Ja nazywałam Izę matką Polką, ona mnie panią bizneswoman, ale obie doskonale wiedziałyśmy, że to tylko stereotypy. No i zawsze znajdowałyśmy przestrzeń, by skupić się na problemach drugiej strony.

Zamierzałam zasięgnąć opinii przyjaciółki w pewnej kontrowersyjnej sprawie. Nawet nie zaczekałam, aż kelner przyniesie drugi kieliszek wina.

– Wiesz, że w tym roku kończę czterdziestkę? – zadałam retoryczne pytanie.

Iza się roześmiała.

– Podobnie jak ja i Tomek – mruknęła.

– No właśnie. I sama nie wiem, czy uczcić tę nieszczególną rocznicę. Ale jeśli to zrobię, czujcie się zaproszeni – powiedziałam.

– Romka, nie czaj się tak i wal prosto z mostu, o co ci chodzi – usłyszałam. – Znam cię od niemal dwudziestu lat, wiem, kiedy leży ci coś na wątrobie. Masz problem z wiekiem? Kobieto, jesteś młoda!

Trafiła, ale nie w dziesiątkę.

– W pewnym sensie – odparłam. – Wysłuchaj mnie, proszę, i przez moment nie przerywaj. – Uniosłam otwartą dłoń.

Iza gestem symbolicznie zasznurowała usta.

– Kocham Ewę bardzo i zawsze będę ją kochać – oznajmiłam. – Nie chciałabym, żeby to zabrzmiało źle, ale zawsze pragnęłam urodzić dziecko. Poczuć, jak to jest być w ciąży, przeżyć dar narodzin. Chociaż to podobno nic przyjemnego – roześmiałam się słabo. – Wiesz, o czym mówię.

Potakująco skinęła głową.

– No a w tym roku czterdziestka – westchnęłam. – Nie mam zbyt wiele czasu na spełnienie marzeń.

Z każdym moim słowem oczy Izy robiły się coraz większe. Zaniepokojenie rozlało się po jej twarzy czerwonym rumieńcem.

Nie wytrzymała.

– Co ty chcesz zrobić?! – zawołała, mimo że obiecała milczenie.

– Pomyślałam, żeby ponownie wysłać Włodka na badania i sprawdzić te jego plemniki. Może teraz by się nam udało? Jakies in vitro czy coś? Uważasz, że jesteśmy za starzy?

Izie wyraźnie ulżyło. Kilka razy odetchnęła głęboko i wyraziła opinię.

– Oczywiście, że nie jesteście! A ja pomyślałam sobie taką głupią rzecz, że aż mi wstyd...

Zaintrygowała mnie.

– Co takiego?

– Ech, szkoda gadać – zbagatelizowała. – No dobrze, powiem. – Zmieniła zdanie na widok zawodu w moim spojrzeniu. – Sądziłam, że przyszło ci do głowy dziecko z innym facetem – wypaliła.

Spojrzałam rozbawiona.

Wprawdzie miałam powodzenie u mężczyzn, ale nigdy nie myślałam o skokach w bok. I to nie tylko z powodu zasad. Po prostu Włodek mi wystarczał, a nasze niewielkie małżeńskie konflikty likwidowaliśmy w zarodku. Mąż wciąż był dla mnie atrakcyjny, a ja dla niego.

– Iza, nigdy nie przyszedłby mi do głowy aż tak szalony pomysł!

Wyjeżdżałam ze spa z mocnym postanowieniem, że porozmawiam z Włodkiem i przekonam go, byśmy podjęli próbę. Byłam pewna, że ulegnie moim argumentom.

Niestety, odbiłam się od muru. Mój mąż zaatakował jak nigdy dotąd.

– Naprawdę tak ci z tym źle? – zapytał, kiedy poprosiłam go o ponowne badania. – Wiem, że to wszystko moja wina. W trakcie trwania naszego małżeństwa usiłowałam wynagrodzić ci to, że nie mogę dać ci dziecka. Owszem, miałem wyrzuty sumienia z tego powodu, ale nie one powodowały moją miłość do ciebie i staraniami o rodzinę. Sądziłem, że zaakceptowałaś sytuację i że będziemy żyć normalnie. Zwłaszcza że mamy Ewunię.

Widziałam jego rozzalenie i zdenerwowanie. Ale przecież ja nie chciałam go pogrążyć, jedynie zmobilizować do podjęcia ostatniego wysiłku.

– Kochanie, przebadasz się raz jeszcze? – zapytałam ponownie mimo obaw o kolejny wybuch.

– Dobrze, jeśli ci tak zależy – odburknął. – Jednak nie spodziewaj się rewelacji. A może znajdzie sobie młodszego, pełnowartościowego partnera i miej z nim dziecko? My z Ewunią sobie poradzimy.

Przesadził. Nagle pokazał mi drzwi w moim własnym domu, nawiasem mówiąc, odziedziczonym po ciotce.

Wściekłam się nie na żarty. Rozumiałam urażoną dumę. Ale wykorzystywanie w tym kontekście imienia naszej córki było nie na miejscu.

– To nie fair – oznajmiłam. – Ale skoro wystawiłeś ciężkie działa... Przypominam ci, że Ewa jest również moją córką, którą kocham i której nie zamierzam opuścić.

Dyskusja stanęła na tym, że każde poszło w swoją stronę. Ja do gabinetu, żeby nie narazić się na potencjalne wygnanie z sypialni. Po kąpieli wyciągnęłam z szafy śpiwór i ułożyłam się na kanapie.

W drzwiach zobaczyłam twarz męża.

– Może ja się prześpię w salonie, a ty wrócisz do łóżka? – zapytał ostrożnie.

Nie odpowiedziałam. Odwróciłam głowę do okna.

Kolejne dni minęły spokojnie. Do pamiętnej rozmowy nie wracaliśmy. A za jakiś czas Włodek przyniósł mi wyniki badań.

– Prosiłaś o nie. Bardzo mi przykro. – Położył na ławie świstek papieru.

Nie musiałam go studiować. Sprawa się wyjaśniła i została zamknięta na wieki.

A ja pozostałam z wyrzutami sumienia z powodu rozdrapywania ran.

– Bardzo uraziłam Włodka. Uświadomiłam mu, że w moim życiu brakuje czegoś ważnego – zwierzyłam się Izie. – Mój mąż jest bardzo dobrym człowiekiem. Nie powinnam.

– Współczuję wam obojgu – odparła – ale sercem jestem przy tobie. Niczego złego nie zrobiłaś, dzieląc się z Włodkiem swoimi uczuciami. W końcu to najbliższa ci osoba, ma prawo wiedzieć. A że czuje się winny? Cóż, to faktycznie sprawa jego organizmu i to on musi sobie poradzić z ojcowską porażką. Ważne, że macie Ewę i siebie. Dacie radę.

Moją czterdziestkę zorganizowaliśmy pod miastem, u stryja Stefana. Wprawdzie zamówiłam catering, ale nie zabrakło również jeziorowych rybek i karkówki z grilla. Nawet pani Zdzisia dała się namówić na weekendowy wypad. Oczywiście jako gość, a nie niańka Ewy.

Tato opłakał już mamę, ale o nowej partnerce nie chciał słyszeć. Przyjechał w dobrym humorze. Przybyli również Zawilscy z dziećmi. Wąskie grono oddanych przyjaciół.

– Jestem szczęśliwa. Kocham cię. – Późnym wieczorem na pomoście, wtulona w ramiona męża, wyznałam mu miłość.

– Ja ciebie też, kochanie. Jesteś najlepszą, najbardziej wyrozumiałą i najwspanialszą kobietą na świecie. I przepraszam...

Przerwałam mu, przyłożywszy palec do jego ust.

– Nic nie mów. Znajdź na niebie spadającą gwiazdę i pomyśl życzenie. – Podniosłam oczy. – O co poprosiłeś? – zapytałam po chwili, gdy na niebie pojawiła się świecąca smuga.

– Żeby sprawdził się nasz nowy pracownik – zazartował.

Było po romantycznej atmosferze.

– Głupi! – Trzepnęłam go w ramię. – Sama go wyrzucę, kiedy zaczniesz tak pieprzyć robotę jak jego poprzednik. Jak się nazywa? – zainteresowałam się.

W naszej firmie to Włodek zajmował się rekrutacją.

– Julian Borecki, lat trzydzieści dwa, pracował u Karskiego – wyrzucił na jednym oddechu. – Podobno petarda.

– Taaak? To dlaczego Karski się go pozbył?

Mój mąż uśmiechnął się tajemniczo.

– Nie pozbył się. Słabo płacił – wyjaśnił. – A u nas sobie chłopak zarobi. A właściwie już zarobił. Przyproceedził nam dwóch solidnych klientów.

– Jesteś debeściak, mężu! – oznajmiłam. – A teraz chodźmy na rybkę, bo tak mi pachnie, że dłużej nie wytrzymam.

Rozdział 31

Marcelina

Wigilia 2013 roku

Po informacji o ślubie Huberta przepłakałam całą noc, wściekła, że aż tak wyprowadziła mnie ona z równowagi. Wprawdzie nie spodziewałam się powrotu narzeczonego marnotrawnego, ale nie sądziłam, że tak szybko znajdzie sobie pocieszenie.

– Marcela, widzę w tym rękę jego matki.

Kiedy na Skypie podzieliłam się tym z Aliną, moja przyjaciółka szybko znalazła odpowiedzialną.

– Mówisz, jakby Hubert był małym, pozbawionym własnej woli chłopcem – odparłam.

– A nie jest? Bo właśnie tak się zachowuje. Charyzmatyczna matka ma na niego ogromny wpływ. Powinnaś raczej współczuć wybrance Huberta – roześmiała się Ala. – Nie będzie miała lekko z taką teściową. A swoją drogą zdradził, kim ona jest?

– Niestety, nie uczynił mi zaszczytu poinformowania mnie, kto zajął miejsce u jego boku.

– Daj sobie spokój z tym dupkiem i jego okropną mamusią! Najważniejsze jest dopilnowanie, żeby uznał dziecko, bo to da ci prawo do wystąpienia do sądu o alimenty.

– Przecież płacą...

– Uhm. Do czasu. Dobrze ci radzę. Najlepiej znajdź prawnika jeszcze przed urodzeniem dziecka i niech cię przeprowadzi za rączkę przez gąszcz przepisów i formalności. Żebyś nie obudziła się z ręką w nocniku.

Miała rację. Tyle że nie znałam żadnego prawnika.

Wkrótce przyszła mi na myśl kancelaria, która świadczyła usługi fundacji Poldków, i postanowiłam zadzwonić do Agnieszki.

Ale zanim to nastąpiło, przypomniałam sobie o ciąży Aliny i skarciłam się w duchu, że nie zapytałam o jej przebieg. Musiałam natychmiast naprawić błąd.

– A co u ciebie? Jak się ma dziecko?

Przyjaciółka miała same dobre wiadomości. Wszystko przebiegało prawidłowo, poród wyznaczono na maj.

– A jak ty się czujesz? – dopytałam.

Zapewniła, że bardzo dobrze.

– Na tyle, by niebawem podjąć pracę w miejscowym barze – dodała.

Trochę zdziwiło mnie to zajęcie, ale wytłumaczyłam sobie, że po polonistyce rzeczywiście trudno w Irlandii o dobrą pracę.

Alina wyczuła moje zawahanie i postanowiła się wytłumaczyć.

– Bar należy do wuja Steve’a. Rodzinny biznes, w którym pracują sami Smithowie. A że na razie mieszkamy w kawalerce nad barem, mam blisko do pracy – roześmiała się nienaturalnie.

Być może jeszcze nie do końca odnalazła się w rodzinie ukochanego, pomyślałam, ale postanowiłam nie roztrząsać kwestii. Lecz nagle poczułam ochotę, by się do niej przytulić, swobodnie wypłakać na jej ramieniu i usłyszeć, że wszystko będzie dobrze. Na szczęście miało to wkrótce nastąpić. Do Wigilii zostały tylko dwa dni.

– Pewnie się już pakujesz? – zapytałam. – Czekamy tu na was razem z twoją mamą. Jest wspaniała. Wspiera mnie, pomaga. I mam w niej bratnią duszę. – Nie mogłam się nachwalić pani Darii. – Zaprosiła mnie na Wigilię i na całe święta. Ale najważniejsze, że nareszcie zobaczę się z tobą.

Alina na chwilę zaniemówiła.

– Marcela, ja nie przyjadę, przepraszam.

Poprosiła o chwilę przerwy w rozmowie i gwałtownie wstała od komputera. Wróciła pozornie spokojna, ale znałam ją wystarczająco, by wyczuć napięcie.

– Co ty mówisz? Nie przyjedziesz na święta do Polski, do mamy?

Wykręcała się brakiem biletów na samolot i innymi podobnymi bzdurami. Nie uwierzyłam.

– Ala, wiesz, że twoja mama piecze i gotuje już od kilku dni? Wymalowała twój pokój, zmieniała pościel, poluje na prezenty dla ciebie

i Steve'a? Sama przyciągnęła dwumetrową choinkę, którą mamy dziś ubierać. Co z tobą? Nie możesz jej sprawić takiego zawodu! Czy ona w ogóle wie, że jesteś w ciąży? – zapytałam, uświadomiwszy sobie, że pani Daria nigdy nie rozmawiała ze mną na ten temat.

– Po prostu w tym roku mamy inne plany – usłyszałam łamiący się głos, który Ala próbowała zamaskować chrząknięciem. – Nie, nie mówiłam mamie, że jestem w ciąży. I proszę, żebyś też jej o niej nie wspominała. Chciałabym osobiście przekazać jej tak ważną wiadomość.

Nie pozostało mi nic innego, jak z ciężkim sercem życzyć przyjaciółce dobrych świąt i się rozłączyć. Nie wiedziałam, jak rozmawiać z panią Darią. Miałam nadzieję, że Alina powie wreszcie matce, że na święta zostaje w Irlandii.

Zrobiła to wkrótce po naszej rozmowie. Kiedy przyszedłam na umówioną godzinę ubierać choinkę, od razu zorientowałam się w sytuacji.

Z kuchni nie dobiegał żaden nęcący zapach. I ogólnie wiało chłodem.

– Wiedziałaś, że Alinka nie przyjedzie? – Pani Daria postawił na stole herbatę.

– Dzisiaj mi o tym powiedziała – odparłam zgodnie z prawdą. – Naprawdę nie rozumiem...

Pokiwała głową, w zapamiętaniu mieszając cukier w filizance. Jej oczy zwilgotniały, zapatrzyła się w okno.

– Powiedz mi, Marcelina, co złego zrobiłam, że moja jedyna córka postanowiła mnie opuścić i pójść za pierwszym mężczyzną, który stanął na jej drodze? – usłyszałam.

– Chyba się zakochała... – Pozwoliłam sobie na wtręt.

Pani Daria spojrzała mi prosto w oczy.

– A ty go znasz? Wiesz, co to za człowiek? Bo ja go widziałam raptem ze dwa razy i prawdę powiedziawszy, nie zrobił na mnie nadzwyczajnego wrażenia. Czy on jest wart tego, by dziecko odmówiło spędzenia świąt z matką?

Co miałam odpowiedzieć? Ja również nie znałam Steve'a. Wiedziałam, że ma dużą rodzinę i mieszka nad barem, w którym pracuje znaczna część jego krewnych, i tyle. Znałam natomiast tajemnicę Aliny, ale nie mogłam się zdradzić, że wiem o ciąży. Być może Steve odwiódł narzeczoną od podróży w obawie o zdrowie jej i dziecka?

Musiałam jednak wesprzeć panią Darię. Byłam jej to winna za wszystko, co dla mnie robiła. A poza tym brakowało mi wspaniałego zapachu bigosu i pieczystego. No i nie chciałam zaprzepaścić świąt w przedbiegach przez pograżanie się w żałobie po niedoszłej wizycie Alinki.

– Też bym ją chętnie uściskała, ale tym razem się nie uda – powiedziałam.
– Ala z pewnością ma powody, by pozostać w Irlandii. Na pewno przyjedzie, kiedy tylko znajdzie czas, bo nie wątpię, że za panią tęskni. Ale jeśli moja obecność choć trochę osuszy pani łyzy, postaram się ją zastąpić. – Wzniosłam się na wyżyny elokwencji. Może nawet przytoczyłam zdanie z powieści, którą właśnie redagowałam. – Zacznę ubierać choinkę! – Zerwałam się na równe nogi i dopadłam do sterty pudełek z bombkami i innymi ozdobami.

Wkrótce także pani Daria powróciła do równowagi, o czym świadczyła jej krzątania w kuchni. Po godzinie zidentyfikowałam dobiegający z piekarnika zapach pieczonego pasztetu. Jeśli mnie węch nie mylił, z zajęcia.

Babcia robiła podobny na każde święta.

– Ależ aromat! Dziczyszna? – Weszłam do sanktuarium pani domu prowadzona cudowną wonią mięsa i majeranku.

– Alinka bardzo go lubi – zaczęła pani Daria, ale zakryła usta dłonią. Jakby nie chciała, by opuściło je kolejne sprawiające ból słowo.

– Może pani zamrozić. Spróbuje, kiedy przyjedzie. – Znalazłam rozwiązanie.

Odwróciła się do mnie i wytarła ręce w fartuch.

– Będę czekać na swoją córkę. Ale teraz, za dwa dni czeka nas Wigilia, którą spędzimy razem, bez łez i żalów. Pomożesz mi przy serniku?

Odzyskała rezon.

W Wigilię pojawiłam się wczesnym popołudniem, by pomóc pani Darii przygotować i udekorować stół. Uświadomiłam sobie, że dawno nie jadłam prawdziwych świątecznych dań, takich pachnących domem.

– Smażony karp jest wspaniały! Jak u mojej babci – chwaliłam, delektując się każdym kęsem. – A makiełki nawet lepsze. Że nie wspomnę o zupie grzybowej, śledziach w śmietanie i innych wspaniałościach!

Choinka była nieco przerośnięta, więc czubek zahaczał o sufit, a pod nią kilka skromnych prezentów. Miałam nadzieję, że zestaw do makijażu i szalik zrobiony na drutach nie były przygotowane dla Aliny.

Pani Daria najwyraźniej wyczuła, o czym myślę, bo poszła do pokoju i przyniosła sweterek, który wydziergała dla córki.

Był cudowny. Czerwony, z zielonym reniferem pośrodku.

Ala zadzwoniła, gdy na stół wjechały już ciasta.

– Włącz kamerę, chcemy cię zobaczyć – poprosiłam.

W tle usłyszałyśmy gwar głosów.

– Nie mogę, jesteśmy trochę zajęci – odparła i złożyła nam życzenia. – Może uda mi się przyjechać w lutym – dodała. – Mamo, zrobiłaś pasztet z zająca?

– Oczywiście, kochanie. Zamrozę go dla ciebie. Przyjeżdżaj jak najszybciej, tęsknię – prosiła pani Daria łamiącym się głosem.

– Może uda mi się w lutym – powtórzyła Ala.

Dotarł do mnie głos Steve’a i zorientowałam się, że przyjaciółka obsługuje gości w pubie.

– Co on powiedział? – zapytała pani Daria, która nie zrozumiała.

– Chciał, żeby wróciła do stołu – skłamałam i zerknęłam na wyświetlacz. Był czarny. – Przerwało połączenie – brnęłam w nieprawdę. – Może Ala zadzwoni później.

Nie zadzwoniła, ale matczyne serce znalazło wytłumaczenie i nadzieję.

– Przyjedzie za dwa miesiące. To już niedługo.

Oby się nie zawiodła, pomyślałam.

Towarzyszyłam jej do końca wieczoru.

Mimo że nie był to sylwester, zastanawiałam się, co przyniesie nam kolejny rok. Czy Ala wróci do matki? I czy ja kiedykolwiek będę umiała pokochać swoje dziecko tak jak pani Daria córkę? Na razie wydawało mi się to mało realne.

Wciąż miałam żal do losu, że pokarał mnie downem.

Rozdział 32

Roma

lato 2015 roku

Moje przyjęcie urodzinowe nad jeziorem przypomniało mi, że powinniśmy z Włodkiem i Ewunią częściej razem wyjeżdżać. Praca absorbowała nas zbyt mocno i zabierała masę czasu. Hossa na rynku nieruchomości wydawała się nie kończyć, nie mogliśmy narzekać na zarobki, co z tego, kiedy słuszne prowizje okupione były wielogodzinną harową.

Wiktor z Inez zapraszali do Hiszpanii na świętowanie matury Angeli (o nieba, bratanica Włodka właśnie skończyła dziewiętnaście lat, a jej brat Juan siedemnaście, kiedy to zleciało!), a i teściowie dopraszali się odwiedzin. Wprawdzie oboje byli jeszcze na chodzie, ale rzadko przyjeżdżali do Polski.

Miałam ogromną ochotę polecieć do Malagi, niestety nie mogliśmy zostawić agencji samopas. Karolina, nasza pracowniczka z najdłuższym stażem, wyprowadziła się do Warszawy, a kolejne zatrudniane panie zaskakiwały nas urlopami macierzyńskimi. Pozostawały po nich puste biurka i enigmatyczne obietnice powrotu za sześć miesięcy albo i później. Lecz jakkolwiek popierałam prokreację i byłam nader życzliwa przyszłym matkom, firma nie mogła działać bez ludzi.

Po kilku nieudanych rekrutacyjnych strzałach także Włodek zniechęcił się do zatrudniania młodych kobiet.

– Mam tego dość – oświadczył. – Karolina przynajmniej przepracowała u nas ponad pięć lat, niestety Joanna, Marzena i Zyta nie zagrzały miejsca. Niecały rok, tak nie może być! Ledwie wdrożymy kolejną pracowniczkę, a ona już ucieka na macierzyński. Odnoszę wrażenie, że te kobiety, odchodząc, przekazują kolejnym informację o dobrej posadce i karuzela się

kręci. Uważam, że powinniśmy zatrudnić mężczyznę – zakończył. – Tylko mi nie mów, że jestem antyfeministą!

Nie miałam takiego zamiaru. Mój mąż dobrze kombinował.

– Tylko w ogłoszeniu nie podawaj, że posada jest dla panów, bo nas obsmarują w prasie albo podadzą do prokuratora czy innej inspekcji pracy i oskarżą o dyskryminację. Trzeba być czujnym.

– Jasne. Najważniejsze, że się zgadzamy co do meritum – odparł i poinformował, że już rozesłał ofertę zawierającą wyłącznie słuszne treści.

Zajęta sprzedażą sześćdziesięciu mieszkań na nowo wybudowanym osiedlu, chętnie scedowałam na męża wątpliwą przyjemność rekrutacji. Akurat zakończył swój projekt i miał czas, by się tym zająć. Jak się dowiedziałam na urodzinowej imprezie, zadziałał skutecznie i zatrudnił trzydziestodwuletniego byłego pracownika konkurencji. W najbliższy poniedziałek miałam go poznać.

– Przynajmniej nie pójdzie na macierzyński. – Z ulgą przekazałam wiadomość Izie, kiedy zastąpiła Włodka na pomoście.

– I zawsze miło mieć w firmie młodego faceta. – Wyraźnie podchmielona puściła do mnie oko.

– Daj spokój! Marzę tylko o tym, żeby szybko się wdroył i zastąpił nas na dwa tygodnie. Nie mogę się doczekać wyjazdu do Hiszpanii – odparłam.

Moja przyjaciółka, zazwyczaj stonowana i poukładana, dzisiaj pozwoliła sobie na nieco więcej luzu i nie żałowała sobie trunków. Uniosła otwarte dłonie w geście poddania i uśmiechnęła się zagadkowo.

– Ostatnio w naszej bibliotece zatrudnili młodego faceta, Jurka. I wiesz, że atmosfera bardzo się poprawiła? No, nie gniewaj się. – Próbowała mnie udobruchać, pociągając piwo z butelki. – Chciałam tylko powiedzieć, że będzie miło. Zobaczysz.

Nie wiem, co miała na myśli, i w tym momencie nie chciałam wiedzieć. Włodek akurat zaprosił na kolejną porcję karkówki z grilla, a ja poczułam nagły przypływ obowiązkowości i zebrałam się w sobie, by sprawdzić, czy goście mają przygotowane posłania.

Impreza przeciągnęła się do świtu. Już dawno nie pozwoliliśmy sobie na tak nieskrępowaną zabawę przy ognisku, mocno podlewaną alkoholem i w tak dobrej atmosferze.

Goście wyjeżdżali następnego dnia około południa, a my z Włodkiem nieco później. Trzeba było posprzątać i zamknąć dom.

– Pobawisz się ze mną? – marudziła Ewa, kiedy zacierałam ślady nocnej imprezy.

– Zaraz, kochanie, kiedy tylko skończę sprzątać – obiecałam.

– Nudzi mi się.

– Narysuj coś. Przywiozłam ci gazetki i książki z naklejkami.

– Ale ja chcę z tobą.

Wielkie nieba, ciągle to samo! Ksawery wyjechał, nie miała towarzystwa, więc próbowała wziąć nas pod włos.

Odbiłam piłeczkę.

– Poproś tatę.

– Powiedział, że musi umyć grilla i nie ma czasu.

– W takim razie pomóż mi zebrać naczynia ze stołu. – Przypomniałam sobie sprawdzony sposób, by zniechęcić córkę do zawracania mi głowy.

Podziałało.

– To ja pójde porysować – usłyszałam i po chwili Ewa zniknęła z mojego pola widzenia.

Tej nocy zasnęłam snem sprawiedliwego. Następnego dnia obudziłam się wypoczęta i szczęśliwa, że życie wróciło na właściwe tory.

Mimo że trafiłam do pracy pół godziny przed czasem, nowy pracownik już był.

– Julian Borecki. – Na mój widok wstał z krzesła w sekretariacie i uklonił się z gracją.

Andżelika wyjątkowo też przyszła wcześniej. Nie zamierzałam wnikać w przyczynę.

– Roma Jońska. Zapraszam do gabinetu. – Wskazałam kierunek i poprosiłam sekretarkę o kawę. – Pan też się napije? – zapytałam. – Dwie kawy – zmieniłam zamówienie.

– Latte, cappuccino czy espresso? – dobiegł mnie głos Andżeliki.

Wyszła zza biurka i podążyła w stronę ekspresu. Po drodze posłała panu Julianowi uśmiech za milion dolarów.

Nie dosłyszałam, co zamówił, ale nie uszło mojej uwagi, że dostał cappuccino z serduszkami na pianie. I prawdę powiedziawszy, nieco mnie to zirytowało. Nasza sekretarka pozwalała sobie podrywać skądinąd przystojnego faceta. Nie za to jej płaciliśmy.

W każdym razie gdyby przystojniaczek wyobrażał sobie nie wiadomo co, postanowiłam usadzić go na samym początku. Wskazałam mu krzesło

naprzeciwko mojego biurka i przystąpiłam do wstępnego szkolenia.

– Witamy na pokładzie – zaczęłam. – Poznałam pana CV i mam nadzieję, że będzie nam się dobrze współpracować.

– Praca dla najlepszej agencji w mieście to dla mnie zaszczyt. Przyprowadziłem państwu dwóch dobrych klientów.

Musiałam zapytać.

– Podebrał ich pan Karskiemu?

– Nic podobnego. To moje prywatne kontakty. A jeśli chce pani spytać, dlaczego nie zakładam własnej firmy, od razu wyjaśnię, żeby nie było niedopowiedzeń. Rodzice prowadzili kiedyś interes, który nie wypalił. Wyciągnąłem wnioski. Wolę zatrudnić się u kogoś za dobrą prowizję, niż łądować środki we własną firmę. Jestem dostatecznie wiarygodny?

Pan Julian Borecki wydawał się aż nadto szczery. Musiałam przyznać, że jego wyjaśnienia mnie przekonały. Pokazałam mu biurko, zapoznałam z projektami, które realizowaliśmy, i przekazałam klientów, nad którymi należy pracować.

– Będzie pan miał dużo swobody, ale umowy podpisujemy my z mężem – ostrzegłam. – Oprócz pensji będzie pan otrzymywał prowizję od kontraktu. Czasami trzeba będzie pójść na kolację z potencjalnym klientem poza godzinami pracy. Przyjmuje pan ten warunek?

Przytaknął ze zrozumieniem.

– Przepraszam, że o to zapytam, bo może nie powinnam... – Zastanowiłam się przed wyjaśnieniem ostatniej kwestii.

– Proszę się nie krępować – zachęcił.

– Czy jest pan dyspozycyjny?

– W jakim sensie? – Spojrzał na mnie tak, że aż się zaczerwieniłam.

– Musimy czasami wyjeżdżać w delegacje, zdarza się, że również za granicę. Pośredniczymy też w sprzedaży lokali na południu Europy. A nie zawsze możemy z mężem opuścić agencję.

– Ależ oczywiście! – Uśmiechnął się. – Z największą przyjemnością przejmę państwa obowiązki.

Ruszyliśmy z kopyta.

Julian, bo w nieodległej przyszłości przesłam z nowym pracownikiem na ty, okazał się bardzo sprawny i kreatywny. Przyznam, że jego entuzjazm i profesjonalizm także nas mobilizowały do działania. Ale co

najważniejsze, po miesiącu mogliśmy zostawić firmę na jego głowie i wyjechać do Hiszpanii.

Jak zwykle było cudownie, tym bardziej że każdego dnia odbierałam na mejl bieżące informacje, co się dzieje w agencji.

– Co ty tak ciągle siedzisz na telefonie? – Włódka irytował widok komórki w moich dłoniach.

– Julian pisze, co załatwił.

– Roma, po to go zatrudniliśmy, żeby spokojnie wypoczywać. Wyluzuj.

– Jasne, już wyłączam.

Odkładałam telefon i powracałam do hiszpańskiej rzeczywistości. A jednak mnie do niego ciągnęło. Czyżby dlatego, że Julian na końcu każdej wiadomości zamieszczał słoneczko, serduszko lub bukietik kwiatków? Powinnam zakazać mu spoufalania się, ale nie potrafiłam. Zresztą pewnie te emotikony nie mają dla niego żadnego znaczenia, myślałam. Wystarczy, że pod naszą nieobecność firma ma się dobrze, a nawet przybywa klientów.

Poszłam za sugestią męża i oddałam się, jak zwykle zresztą podczas pobytów u teściów, opalaniu, zwiedzaniu i uciechom towarzysko-rodzinnego życia. Angela po maturze postanowiła wyfrunąć na studia do Stanów, a Juan, któremu pozostały dwa lata do matury, zapowiadał podobną drogę.

Teściowie nie potrafili pogodzić się z wyborem wnuków.

– Tak daleko? Jak gdyby nie mogli studiować w Maladze albo chociaż w Madrycie!

Rozumiałam ich, mimo że problem mnie nie dotyczył. Ewa nie ukończyła jeszcze ośmiu lat i jej wybory rysowały się jako odległa przyszłość. Na swoją obronę Angela i Juan mogli wykorzystać przykład dziadków, którzy lata temu wyjechali z Polski, ale nie zamierzałam im podsuwać tego argumentu. Zamknęłam zatem usta, wystawiłam twarz do słońca i korzystałam z cudownej natury Południa, z którą za kilka dni miałam się pożegnać.

Bilety na samolot do Polski leżały na nocnym stoliku, przypominając o nieuchronności powrotu i kieracie codzienności.

– Teraz wasza kolej – żegnałam się z teściami i rodziną szwagra. – Przejeżdżajcie do nas, czekamy.

– Ja też czekam – dodała Ewunia.

Szczególnie przyjaźnie spoglądała na Juana, który wyjątkowo przypadł jej do gustu.

Nawet byli podobni. Juan po matce Hiszpance kędzierzawy brunet, Ewa też smągła i ciemna. Po swojej matce, o czym chciałam zapomnieć.

Wróciłam nieco przygnębiona końcem wakacji, które mogłyby trwać i trwać, ale wzmocniona fizycznie. I bardzo dobrze, bo Julian pracował ostro. Przygotował szereg obiecujących kontraktów, nad którymi trzeba było się pochylić.

Wysłaliśmy Ewę z panią Zdzisią na wczasy nad morze i oboje z Włodkiem zakasaliśmy rękawy.

Usiedliśmy nad grafikami, żeby podzielić się pracą. Mieliśmy do zaplanowania dwa wyjazdy w tym samym terminie, i to w dość odległe miejsca. W Szczecinie szykował się niezły kontrakt na sprzedaż działek na terenach przygranicznych, po jakiejś upadłej fabryce, w Toruniu było do przehandlowania kilka kamienic.

– To może ja pojedę do Szczecina? – Miałam chrapkę na wyskok nad morze.

– Inaczej – zaproponował Włodek. – Ty pojedziesz do Torunia z Julianem, a ja do Szczecina, bo znam szefa fabryki, która ma być wyprzedana. To Józek, którego pewnie nie kojarzysz, mój kumpel z Wrocławia. Chodziliśmy razem do liceum.

No dobra, Toruń to Toruń.

Dzień przed wyjazdem zatankowałam, a kolejnego, o siódmej rano, stanęłam pod domem Juliana.

Przywitał się szarmancko i zaproponował, że będzie prowadził.

– Nie ma potrzeby, ale dziękuję – odparłam i wskazałam na butelkę wody w schowku na drzwiach. – Gdybyś chciał się napić.

Pogoda była piękna, a wyprawa obiecująca. Gdyby umowa doszła do skutku, zarobiliśmy kupę pieniędzy. Dwa i pół procent od sprzedaży trzech kamienic wartych tyle, że aż kręciło się w głowie, to naprawdę niezły deal.

– Gotowy do walki? – zapytałam, opierając stopę na pedale gazu.

– Jasne, szefowo. – Julian czarował mnie uśmiechem.

Wolałam się sama przed sobą nie przyznawać, jak mi się ten chłopak podoba. Nie wypadało. No i przecież miałam Włodka.

Na szczęście byłam dorosła i potrafiłam nad sobą zapanować.

– To jedziemy – odparłam.
Ruszyliśmy do Torunia.

Rozdział 33

Marcelina

drugi dzień świąt 2013 roku

Wigilia i pierwszy dzień świąt u pani Darii były bardzo miłe. Pachnące gałązkami żywego świerka, połyskujące lampkami na choince, nęcące domowymi potrawami. Ale jedna sprawa rzucała na nie cień.

Staraliśmy się podtrzymać dobrą atmosferę, jednak obie odczuwałyśmy nieobecność Aliny.

Drugiego dnia świąt postanowiłam pobyć sama. Po kolacji bożonarodzeniowej, zaopatrzona w wiktuały, wróciłam do domu i rozciągnęłam się na kanapie. Odczuwałam zmęczenie. Za kilka dni kończył się szósty miesiąc ciąży i od czasu do czasu potrzebowałam krótkiej regeneracji.

Musiałam przysnąć, bo obudziła mnie melodyjka z telefonu. Dzwoniła Agnieszka.

– Nie za późno? – zapytała, usłyszawszy mój zaspany głos.

– Nie. Trochę odpoczywam po obfitej uczcie u pani Darii – wyjaśniłam.

– Rozumiem. Moje bliźniaki rozpychają się już w brzuchu, twój maluszek pewnie też. Należy się nam chwila odpoczynku. Ale ja w innej sprawie – zmieniła temat. – Przepraszam, że dzwonię na ostatnią chwilę, ale chciałam cię zaprosić do nas, do Chruśniaka, na jutrzejszy obiad.

– Dziękuję, ale nie róbcie sobie kłopotu. Spędziłam dwa dni u mamy przyjaciółki, chętnie pobędę sama.

Agnieszka wydawała się zawiedziona.

– Powinłam zaprosić cię przed świętami, ale z wizytą zapowiedzieli się teściowie i siostra Poldka z dzieckiem. Nie miałam pojęcia, jak długo posiedzą, na szczęście właśnie wyjechali. Proszę, nie odmawiaj. – Nie

zamierzała odpuścić. – Poldek po ciebie przyjedzie, prześpisz się u babci. Może zostaniesz na kilka dni? Wiesz, że u nas zaczął padać śnieg? Będzie pięknie. Przyda ci się relaks na wsi.

Właściwie propozycja była zachęcająca. Ale Agnieszka z pewnością zechce rozmawiać o ciąży, a ja wciąż nie powiedziałam jej o downie. Z drugiej strony jak długo jeszcze będę to ukrywać przed światem? Tajemnica i tak się wyda na początku kwietnia.

– A wiesz, że bardzo chętnie? – odparłam z przekonaniem. – Tylko nie chciałabym angażować Poldka...

– Daj spokój! Spakuj rzeczy i czekaj około południa. Już się cieszę na nasze spotkanie!

Podłapałam dobry nastrój. Pani Daria była kochana, ale miałam ochotę pobyć z kimś w moim wieku. Może nawet pożartować, po raz pierwszy od dawna, a nie tylko roztrząsać problemy swoje i innych.

Ostatni świąteczny poranek zaskoczył śniegiem i słoneczną pogodą. Kiedy rozsunęłam żaluzje w oknie, musiałam przymrużyć oczy, porażone nieprawdopodobnym blaskiem bijącym od białej pierzynki okrywającej przydomowy skwerek.

Z przyjemnością rozciągnęłam ramiona, chłonąc kojący widok. Nie pamiętałam już, kiedy zima sprawiła na święta taką niespodziankę.

Rozluźniona pomaszerowałam do kuchni zaparzyć poranną kawę. A potem spakowałam do torby kilka drobiazgów.

W sumie Agnieszka miała całkiem fajny pomysł, żebym pomieszkała trochę w babcinym domu. Kończyłam redagować jedną książkę, druga już czekała. Wydawca przesłał mi ją kilka dni wcześniej. Na brak zajęcia nie powinnam narzekać. A jednocześnie posiedzę w miłych okolicznościach przyrody z Agnieszką, moją sąsiadką przez ścianę.

Chruśniak przywitał mnie jeszcze piękniejszym pejzażem niż ten miejski. Przypomniało mi się dziecięce saneczkowanie na pobliskich pagórkach i nieskuteczne próby taty nauczenia mnie jazdy na nartach, które do tej pory były dla mnie czarną magią.

– Cześć, kochana! Dobrze, że jesteś. Możesz przyjść od razu do nas lub rozpakować się u siebie. Poldek rano włączył w domu pani Anastazji ogrzewanie i napalił w kominku. Przepraszam, że tak się porządziłyśmy, ale jak wiesz, mamy klucz – tłumaczyła Agnieszka, gdy tylko wysiadłam z samochodu.

Wybrałam drugą opcję.

Kiedy przekroczyłam próg babcinego domu, poczułam przyjemne ciepło i znajomy zapach. Ten sam od lat, mimo że nikt tu nie mieszkał. Sięgnęłam po stojące na półce nad kominkiem zdjęcia i delikatnie musnęłam je dłonią. Z jednego uśmiechała się mama wtulona w ramiona taty, z drugiego spoglądali babcia z dziadkiem w trakcie któregoś wypadu nad morze. Na kolejnym mama wpatrywała się z miłością we mnie, kilkudniowego oseska.

Zapragnęłam sprawdzić, ile miałam dni, kiedy je zrobiono.

Odczytałam datę i fakty przestały się zgadzać. To nie byłam ja. Dziecko na zdjęciu urodziło się trzy lata przede mną.

– Niemożliwe! – wyszeptałam, przysunąwszy do oczu nieco zamazaną adnotację, pewna, że źle widzę.

Niestety, miałam rację. To dziecko rzeczywiście mogło być moim starszym bratem lub siostrą.

Poczułam złość na rodziców i dziadków. Jak mogli przez całe życie taić przede mną coś tak ważnego? Co się wydarzyło? Starsze rodzeństwo oznaczało, że nie jestem na świecie tak całkiem sama.

Nadzieja wyparła irytację.

Postanowiłam przeszukać wszystkie kąty i poznać prawdę. Gdyby nie pukanie do drzwi, w których po chwili stanęła Agnieszka z zaproszeniem na obiad, z miejsca przystąpiłabym do działania.

Cóż, śledztwo musiało poczekać.

Na jadalnianym stole nie do końca jeszcze urządzonego pomieszczenia parowała zupa rybna, kasza gryczana, kilka rodzajów mięs i gotowane warzywa. Do kaczki nie zabrakło czerwonej kapusty, buraczki dopełniały smaku zrazów wołowych, a bigos pysznił się, smakowity sam w sobie.

– Rozpieszczacie mnie – powiedziałam, chłonąc zapachy i podziwiając obfitość.

Mile podłechtana gospodyni spuściła skromnie oczy.

– Daj spokój. Podgrzewamy resztki. Ale ponieważ, jak wiadomo, są najlepsze, więc siadaj i jedz – zachęciła, nalewając mi zupę do czarki.

– Jak się czujesz? – zagadnęła, kiedy zajęty ogarnianiem po obiedzie Poldek zostawił nas same.

– Bardzo dobrze – odparłam, odczytawszy, że ma na myśli ciążę. – A ty?

Roześmiała się serdecznie i poklepała dłonią brzuch znacznie większy od mojego. Nic dziwnego, skoro spodziewała się bliźniąt.

– Na szczęście ciąża rozwija się prawidłowo. A zresztą nie mam czasu roztkliwiać się nad sobą. Jesteśmy zajęci wyposażaniem ośrodka, urządzaniem domu. I chyba niedługo będziemy mieć nową lokatorkę – dodała z błyskiem w oku.

Spojrzałam zaciekawiona.

– Elektra, przepiękna, choć leciwa, klacz huculska, do hipoterapii naszych dzieciaków. Uratowaliśmy ją przed rzeźnią i przygotowaliśmy dla niej miejsce w stajni. Będzie nowym członkiem rodziny – obwieściła z dumą Agnieszka.

Pochłonięta opowieścią o perspektywach fundacji i ośrodka, zarzuciła, na szczęście, odpytywanie mnie. Zwłaszcza że dzisiaj nie miałabym siły odpowiadać. Ani wspominać o dziecku z zespołem Downa, które nosiłam w brzuchu.

Wyczekałam na odpowiedni moment, wymówiłam się zmęczeniem i pożegnałam. Musiałam znaleźć odpowiedź na pytanie, kim jest dziecko ze zdjęcia.

Z zapamiętaniem dorwałam się do wszystkich możliwych szafek i szuflad, sprawdzając zawartość każdej kartka po kartce i drobiazg po drobiazgu, jednak nie wpadłam na żaden trop.

Że też przez tyle lat nie zorientowałam się, że to nie ja! – wytykałam sobie w duchu. A teraz nie mam już kogo zapytać.

Zmęczona już chciałam odpuścić, ale przypomniałam sobie o strychu. Wprawdzie zawsze mnie trochę odstręczał obecnością myszy, jednak teraz nie miałam wyboru.

Słaba żarówka pod sufitem nie ułatwiała zadania, ale dotarłam do starego kufra prababci, który nie zmienił miejsca od chyba stu lat. Otworzyłam wieko i ręką odgarnęłam kurz. Pod starą, zjedzoną przez mole suknią ślubną znalazłam całą masę ubrań w równie złym stanie i plastikową, głęboko ukrytą teczkę.

Była podpisana imieniem. Filip. Od razu się zorientowałam, że trafiłam w dziesiątkę.

„Filip Koryncki, ur. 10 lipca 1987 r.”, odczytałam akt urodzenia. „Syn Gabrieli i Antoniego Korynckich”.

Nie było żadnych wątpliwości. Miałam starszego brata.

Kolejne dokumenty przerażały mnie coraz bardziej. Znalazłam kariotyp, z którego zorientowałam się, że Filip miał trisomię 21, czyli zespół Downa.

Odczytałam diagnozę choroby serca, które trzeba było operować zaraz po porodzie. A na koniec akt zgonu, bo dziecka nie udało się uratować.

Siedziałam oniemiała i bardzo smutna. Z poczuciem żalu do rodziców i babci, że nigdy nie zająknęli się na temat zmarłego syna i wnuka. Genetyka... Chyba powinni mi powiedzieć o przypadku choroby Downa, który przydarzył się w naszej rodzinie? – myślałam ponuro.

Aż wreszcie ogarnął mnie strach, że moje dziecko skończy tak jak mój brat.

Niedobrze robiłam, udając, że nic się nie dzieje. Nawet jeśli do tej pory wstydziałam się, że ludzie będą mnie wytykać palcami.

Dowiem się o downie jak najwięcej! – postanowiłam.

Rozdział 34

Roma

lato 2015 roku

Przed wyjazdem zapoznałam się ze sprawą sprzedaży kamienic w Toruniu tylko pobieżnie, więc teraz poprosiłam Juliana o ponowne jej zreferowanie.

Wybrałam mniej uczęszczaną trasę wśród lasów, która zapewniała większy spokój na drodze i miłe oku widoki.

Mimo mnóstwa pracy (a może właśnie dlatego?) nie przestawało mnie ciągnąć do wakacyjnych klimatów. Dlaczego nie miałam zafundować sobie miłego przerywnika, nie zatrzymać się na leśnym parkingu czy zjeść obiadu w przydrożnej stylowej gospodzie?

Włodek wprawdzie doradzał autostradę, ale skutecznie oparłam się jego sugestiom, żeby dojechać szybko, wygodnie i bezproblemowo.

– Kochanie, mam ochotę trochę zjechać z drogi. – Zamknęłam dyskusję.

I nie żałowałam. Pogoda dopisywała, rozmowy były zaplanowane na wieczór. Mieliśmy z Julianem sporo czasu na opracowanie strategii.

Julian zajrzał do teczki z dokumentacją i zaczął referować.

– Dowiedziałem się o kamienicach od kolegi z Torunia. W latach dziewięćdziesiątych zostały za grosze sprzedane przez magistrat jednemu z tamtejszych przedsiębiorców, który wkrótce trafił za kratki, a potem zlicytowane za długi. Kupił je jakiś dziany gość z Niemiec, który nic z nimi nie robił, bo nie potrafił pozbyć się lokatorów, którzy mieli przydziały na mieszkania z kwaterunku. Kiedy zmieniły się przepisy i udało mu się wreszcie oczyścić teren, zmarł, ale spadkobiercy nie potrafili działać wspólnie i rozporządzić majątkiem. Po wieloletnim procesie sądowym sprawa jest czysta. Mamy jedynego dziedzica, niejakiego Andrzeja Konieckiego. Facet mieszka za granicą. Próbował pośrednictwa

w sprzedaży z jedną warszawską agencją nieruchomości, jednak ta zażyczyła sobie tak godziwej prowizji, nawet jak na jego kieszeń, że kiedy zaproponowałem niższą, gość zgodził się na spotkanie.

– Myślisz, że nikt nam go nie podbierze?

– Nie wiem. Ale jak się orientujesz, kiedy was nie było, pojechałem obejrzeć te kamienice. I złapałem kontakt z miejskim konserwatorem, który mnie nieco oświecił, ile są warte.

– I ile kupujący będzie musiał wyłożyć na remont – dodałam.

Julian uśmiechnął się pod nosem.

– Jasne, że niemało. Kiedy konserwator położy na czymś łapę, ty musisz trzymać się za kieszeń. Oczywiście, że secesyjne kamienice nie są dla każdego. Wymiana okna kosztuje trzy razy więcej niż w przypadku normalnych plastików. Do tego instalacje, ogrzewanie, elewacja. Nie chciałbym remontować czegoś takiego, ale w konsekwencji to dobra lokata.

Miał rację. Nie do nas należała troska, ile nabywca wyda na renowację domów. Mieliśmy inne zadanie: znalezienie kupca i wynegocjowanie dobrej ceny dla naszego klienta. O ile, oczywiście, ten podpisze z nami umowę.

– Będziemy działać – powiedziałam. – A teraz poszukaj jakiejś miłej gospody przy drodze. Zatrzymamy się na obiad. Jesteś głodny? – zapytałam.

Nie musieliśmy daleko jechać. Drogowskaz skierował nas do Chaty za Płotem, która zachęcała drewnianą elewacją. I jak się wkrótce okazało, oferowała całkiem przyzwoite polskie jadlo.

Uwielbiałam hiszpańską paellę i neapolitańską margheritę z bufaliną, ale na myśl o żeberkach w piwie czy grillowanej goloneczce również ciekła mi ślinka. Więc nie pożałowałam grosza na solidne porcje dla nas obojga.

Julian załatwił świetny hotel nad Wisłą, z basenem, barem i rozległym terenem zielonym wokół. Lecz choć nasz potencjalny klient ulokował się tam, gdzie my, po wizji lokalnej kamienic zaprosiliśmy go na kolację na starówkę.

Jak się okazało, mój pracownik był równie biegły w zdobywaniu klientów jak w organizowaniu spotkań. Zarezerwował dla nas stolik w knajpce przy Starym Rynku. Tuż przy oknie z widokiem na średniowieczny ratusz.

Pan Andrzej Koniecki był około pięćdziesięcioletnim mężczyzną, ceniącym sobie wygodną elegancję. Może nie byłam znawczynią męskiej

mody, ale dostrzegłam, że jego lniana pomarszczona marynarka nie pochodzi z lumpeksu. Podobnie zresztą jak szary T-shirt czy zamszowe buty znanej marki. Wydawał się swobodny i inteligentny.

Rozmawiając na neutralne tematy, czekaliśmy na złożone zamówienie. Do interesów przeszliśmy przy kawie i dobrze się nam je ubijało.

– Mieszkam na stałe we Francji i nieczęsto przyjeżdżam do kraju – powiedział Koniecki. – Ale oczywiście zdążyłem się zorientować, ile mogę uzyskać ze sprzedaży kamienic. Pan Julian zapewnił mnie, że to realna kwota. Zatem o ile uda się wam ją wynegocjować, zapłacę wam od niej za pośrednictwo dwa i pół procent. Naturalnie jestem realistą i dopuszczam niewielkie odchyłki. Zależy mi na jak najszybszej sprzedaży. Jeśli znajdziecie kupca w ciągu trzech miesięcy, dorzucę dodatkowe pół procent.

O nieba! Szybka piłka i czterysta pięćdziesiąt tysięcy na koncie więcej, przeliczyłam w myślach. Minus pięć procent od naszej prowizji dla Juliana, ale i tak zostanie nam kupa kasy. Tylko jak to zrobić? Jak znaleźć kupca, który ma wolne piętnaście milionów na trzy kamienice?

Nad tym postanowiłam główkować później. Teraz miałam w kieszeni umowę na wyłączność z Andrzejem Konieckim, w dłoni kieliszek pełen wina, lekki szmer w głowie i dobry nastrój. A za oknem widok na podświetloną toruńską starówkę.

Choć wieczór był jeszcze młody, nasz klient postanowił się pożegnać.

– Dziękuję za kolację i miłe towarzystwo. – Ukłonił się i spojrzał mi w oczy. – Pozostańmy w kontakcie. – Wręczył mi swoją wizytówkę.

Obserwowałam przez okno, jak pewnym krokiem przemierza Stary Rynek, zadowolona z rezultatu spotkania.

– Chyba możemy zamówić jeszcze po jednym kieliszku? – Zerknęłam na Juliana. – Zasłużyliśmy.

– Szefowa wpadła mu w oko – skwitował niezbyt zadowolony.

Nie zamierzałam reagować.

– Mamy go, Julek! Musimy jeszcze tylko sprzedać kamienice i zgarnąć kasę. Naprawdę jesteś świetny, że wynalazłeś ten strzał! Pogadam z Włodkiem o wyższej prowizji dla ciebie – obiecałam.

Może nieco zbyt pochopnie, ale co tam!

Julian miał kwaśną minę. W pewnym momencie zaproponował spacer.

– Może zmienimy lokal?

– Czemu nie? – zgodziłam się rozochociona sukcesem i nieco już podchmielona.

Przeszliśmy się nadwiślańskim bulwarem i znaleźliśmy stolik na barce.

– Co mogę ci zaproponować? – zapytał, przeglądając kartę.

– Chyba ostatni kieliszek wina – zdecydowałam nie mieszać trunków.

Z barki było widać nasz hotel. Powrót do pokoju nie powinien być problemem, ucieszyłam się. Rozmowa potoczyła się wartko. Wieczorny chłodek koił po upalnym dniu.

– Jesteś żonaty? – zagadnęłam ośmielona alkoholem.

– Nie bardzo.

– Co to znaczy?

– Że nie szukam żony. Może kiedyś? – Uśmiechnął się tajemniczo.

No i dobrze. Właściwie co mnie to obchodzi? – skarciłam się w myślach. I jednocześnie zaniepokoiłam spojrzeniem, jakim taksował mnie Julian.

– Wróćmy już do hotelu. Jestem trochę zmęczona. – Sięgnęłam po torebkę.

Julian przytrzymał moją dłoń.

– A może zostaniemy jeszcze przez chwilę? – zapytał z nadzieją i błyskiem w oku, który mówił wszystko. – Jest tak miło...

Zawahałam się, ale odmówiłam.

– Przepraszam, Julek. Chciałabym się położyć. – Wstałam.

Drogę do hotelu przebyliśmy w milczeniu, oboje zawstydzeni i nie bardzo wiedzący, jak się zachować. Prawdę powiedziawszy, to Julian powinien być zażenowany. Ale byłam i ja. Podobał mi się ten facet i gdyby nie rodzina, gdyby nie Włodek, ten wieczór najprawdopodobniej zakończyłby się inaczej.

Kładłam się do łóżka z poczuciem straty.

Mimo późnej pory zadzwoniłam do Izy.

– Wiesz, że byłam o włos od zdradzenia Włodka? Kiedy Julian tak na mnie patrzył, poczułam się atrakcyjna. Stateczna czterdziestoletnia pani zareagowała na umizgi swojego osiem lat młodszego pracownika! – prychnęłam. – Zrobiłam coś złego?

Iza mnie nie potępiła.

– Romka, ty jesteś atrakcyjną kobietą – powiedziała. – I niejeden facet się za tobą ogląda. Również młodszy. Jako strażniczka domowego ogniska powinnam ci powiedzieć, że dobrze zrobiłaś, oparłszy się pokusie. Jako

wasza dobra znajoma powinnam stwierdzić to samo, ale jako twoja przyjaciółka i kobieta zachowam milczenie. Chociaż w głębi duszy uważam, że lepiej mieć wróbla w garści niż kanarka na dachu – podsumowała. – Pogadamy, kiedy wrócisz, dobrze? Bo Ksawery ma temperaturę i muszę do niego iść.

Byłam wściekła na siebie, że wyrwałam się z tym telefonem. Mogłam Juliana zamieść pod dywan, a tymczasem zanosilo się na powrót do tematu w rozmowie z Izą.

Kiedy wróciłam do domu, Włodka jeszcze nie było. Pani Zdzisia z Ewunią wciąż wypoczywały nad morzem.

Miałam wolny wieczór, więc rozparłam się na kanapie. Doszłam do wniosku, że nic takiego się nie stało. Julian próbował, ja odmówiłam, mogliśmy wracać do pracy.

Wieczorem zadzwonił Włodek i zapowiedział się na jutro. A zanim przyłożyłam głowę do poduszki, mój iPhone zadzwieczał melodyjką. Na wyświetlaczu zobaczyłam wiadomość od Andrzeja Konieckiego.

„Bardzo mi było miło Panią poznać. Czekam na kolejne spotkanie. A.K.”

Mam nadzieję, że nie chce przyśpieszenia sprzedaży, pomyślałam z niepokojem. Jednak zmęczenie sprawiło, że nie roztrząsałam jego słów i zasnęłam.

Rozdział 35

Marcelina

do kwietnia 2014 roku

Od świąt minęły już ponad dwa tygodnie, a ja wciąż nie znalazłam okazji, żeby porozmawiać z Agnieszką o mojej ciąży.

Sporo pracowałam. Skończyłam redagować *Tajemnicę sióstr Brown* i zabrałam się do kolejnej książki. Moja sąsiadka również była bardzo zajęta w fundacji, a jej mąż nieustannie kręcił się w pobliżu. Wolałam wybrać czas, kiedy obie będziemy wolniejsze i same. Taki moment pojawił się niespodziewanie, kiedy Poldek wyjechał do stadniny odległej o kilkaset kilometrów od Chruśniaka po naszą nową lokatorkę, oczekiwaną przez wszystkich klacz Elektrę.

Zaprosiłam Agnieszkę do siebie na kolację, a przede wszystkim na dłuższą rozmowę. Przyszła ze świeżo ugotowanymi gołąbkami, których zapach przyjemnie podrażnił mój zmysł powonienia. Prawdziwe, tradycyjne domowe jedzenie! Od razu zrobiłam się głodna.

– Dziękuję ci bardzo. Zaraz postawię na stole. – Z wdzięcznością przyjąłam półmisek.

– To dla ciebie. Będziesz miała na obiad. Chyba że chcesz spróbować od razu? – roześmiała się Agnieszka, zauważywszy, że pozeram wzrokiem zawartość naczynia.

Najchętniej pochłonęłabym całość za jednym zamachem, nie wypadało mi jednak zdradzać, że nie bardzo przykładałam się do kuchni.

– Weź chociaż jednego. Świeżutkie, prosto z piecyka – kusiła nawet wtedy, gdy pakowałam już największego gołąbka na talerz.

Był znakomity.

Moja sąsiadka sięgnęła po przygotowaną przeze mnie sałatkę z fetą i faszerowane pieczarki.

Rozmawiałyśmy głównie o Elektrze i planowanej hipoterapii dla niepełnosprawnych dzieci. Agnieszka narzekała, że już niebawem ciąża przeszkodzi jej w prowadzeniu zajęć, a w fundacji nie ma nikogo na zastępstwo.

– Chętnie bym ci pomogła – bąknęłam. – Ale jak wiesz, nie mam kwalifikacji. A termin mojego porodu też się zbliża.

– W kwietniu, o ile dobrze pamiętam? Miesiąc przede mną?

– Tak. Agnieszko, muszę ci coś wyznać... – Poczułam, że nadeszła chwila prawdy.

W końcu po to właśnie ściągnęłam przyjaciółkę do siebie.

Spojrzała z zaciekawieniem graniczącym z niepokojem.

Zaczerpnęłam powietrza i zebrałam się na odwagę.

– Urodzę syna z downem.

Spodziewałam się zaskoczenia, współczucia, prób bagatelizowania tematu, bylebym się dobrze poczuła, lecz Agnieszka zaskoczyła mnie na całej linii.

Usiadła na podłodze w pobliżu mojego fotela, wzięła moje dłonie w swoje. Zwróciła ku mnie uśmiechniętą twarz.

– Rozchmurz się. Czeka cię wielka przygoda.

Nie potrafiłam dzielić jej entuzjazmu. Łzy popłynęły niczym nieskrępowanym strumieniem. Opanował mnie dygot.

– Przygoda?! Raczej tragedia! Aga, ja jestem przerażona! Zwłaszcza odkąd niedawno odkryłam tajemnicę rodziców – oznajmiłam.

Nie potrafiłam dłużej dusić w sobie odkrycia istnienia Filipa.

Patrzyła na mnie, ale nie ponaglała. Czekwała na wyjaśnienia.

– Wyobraź sobie, że trzy lata przede mną rodzicom urodził się Filip, chłopiec z zespołem Downa, i zmarł po nieudanej operacji serca, którą przeprowadzono w pierwszych dniach jego życia. A oni, łącznie z babcią, nawet się nie zajęli na ten temat. A przecież powinnam wiedzieć! Może wówczas unikałabym ciąży, żeby nie narażać dziecka i siebie na taki los!

Agnieszka prezentowała kamienny spokój i pogodę. Uśmiech nie schodził z jej ust.

Łatwo się uśmiechać, kiedy nosi się w brzuchu dwoje zdrowych dzieciaków, pomyślałam z goryczą i pożałowałam spowiedzi.

Do czasu, kiedy zaczęła mówić.

– Marcelina, w związku z pracą w fundacji sporo wiem o zespole Downa i zapewniam cię, że nie jest on dziedziczny – zaczęła. – Gdybyśmy wykonali badanie kariotypu rodziców, czyli całego zespołu chromosomów, w których został zapisany materiał genetyczny człowieka, to zazwyczaj będzie on prawidłowy. Twoje dziecko zostało po prostu obdarzone dodatkowym chromosomem. I właśnie ten dodatkowy chromosom kształtuje odmienne cechy dziecka, zewnętrzne i inne. Zespół Downa to nie choroba. To odmienność genetyczna, która może wywoływać różne choroby lub dolegliwości, choć niekoniecznie musi.

– Jakie? – zapytałam zaintrygowana.

– Dzieci z zespołem często rodzą się z wadą serca albo przewodu pokarmowego. Mogą mieć mniejszą wagę urodzeniową, zaburzenia wzroku, słuchu, kłopoty z tarczycą, upośledzenie umysłowe, mniejszą odporność, obniżone napięcie mięśniowe. Czyli są bardziej wiotkie i mają trochę inny wygląd. Skośne oczy, spłaszczony nos, płaską główkę z tyłu. Ale przy odpowiedniej opiece mogą się rozwijać. Mogą skończyć szkołę, a nawet nauczyć się funkcjonować w miarę samodzielnie. Osoby odmienne to nie roślinki. Też mają umiejętności i zainteresowania, które należy odkryć i wspierać. Mamy w naszym ośrodku kilkoro zespołaków, z którymi pracuję. I wierz mi, potrafią dostarczyć rodzicom dużo radości. Bo to bardzo ufne i kochane dzieciaki.

– Mówisz tak, żeby mnie pocieszyć...

– Oczywiście, że tak. Wiem, że jesteś przerażona, ale to z braku wiedzy. Rodzina z dzieckiem z zespołem może liczyć na duże wsparcie. Może nie finansowe, bo zasiłki nie są zbyt duże, ale organizacyjne. Fundacji i szkół specjalnych, ośrodków takich jak nasz i wreszcie innych rodzin zespołaków, które tworzą wspólną społeczność. A nie jest ich mało, bo jeden przypada na sześćset urodzin. Dlatego mam co robić. – Agnieszka uśmiechnęła się przyjaźnie. – Zobaczysz, pokochasz to dziecko. I kiedyś będziesz z nim szczęśliwa, chociaż teraz wydaje ci się to niemożliwe.

Rzeczywiście, nie bardzo mogłam uwierzyć w ten optymistyczny scenariusz, ale i tak poczułam się lepiej.

Agnieszka skierowała mnie do kilku ośrodków pomocy rodzinom, którym ma urodzić się dziecko z zespołem Downa.

– Poinformują cię, jak uzyskać pomoc przy wychowywaniu niepełnoprawnego dziecka, jak zgłosić je do ubezpieczenia zdrowotnego, załatwić różnego rodzaju świadczenia. Powiedzą, o jakie skierowania trzeba zabiegać po narodzinach, bo pomoc specjalistów jest konieczna. Wspominałam ci kiedyś, że zatrudniliśmy neurologopedę, który pomaga właśnie w takich przypadkach. A w razie czego masz nas. Nie jesteś sama, Marcelinko – zakończyła, otwierając moje dłonie, za którymi schowałam twarz. – Kto ci pomoże po porodzie? – zapytała. – Co z Hubertem?

– Teraz pewnie jest już po ślubie – odparłam. – Dzwonił do mnie przed świętami z tą wspianą wiadomością, żebym nie fikała, kiedy dowiem się z innych źródeł. Mogłabym skorzystać z waszego prawnika, żeby formalnie załatwić ojcostwo i alimenty od Huberta? – Przypomniałam sobie sugestią Aliny.

– Nie ma problemu. We wszystkim ci pomogę... No, prawie we wszystkim. Z dzieckiem to chyba nie. Przynajmniej nie na początku – tłumaczyła się. – Będę miała swoje bliźniaki w tym samym czasie.

Przypomniałam sobie panią Darię i zrobiło mi się ciepło na sercu, że w czasie mojej totalnej rozsypki i osamotnienia chciała być mi bliska. Jako jedyna. No, chyba że Alina wróci... Przypomniałam sobie dziwne brzmienie głosu przyjaciółki, kiedy w Wigilię rozmawialiśmy przez telefon.

Co ona robiła w tym pubie? Wielokrotnie bezskutecznie próbowałam się z nią połączyć. Abonent zazwyczaj był nieosiągalny albo rozmawiał przez telefon. Czasami odpisywała, jednak w jej mejlach wyczuwałam dystans. Zupełnie jakby ktoś stał za jej plecami i cenzurował każde zdanie. Redagując książki, nauczyłam się wyłapywać subtelności i czytać między wierszami. Moja Alinka ewidentnie nie była sobą. W dodatku jak dotąd nie wspomniała własnej matce, że za cztery miesiące urodzi dziecko.

Po rozmowie z Agnieszką poczułam się wzmocniona i część tej siły zapragnęłam przekazać przyjaciółce. Zadzwoiłam do niej wieczorem.

O dziwo, odebrała.

– Co u ciebie? Jak się czujesz, kochana? – zapytałam uradowana, że słyszę jej głos. Niemniej ton, jaki usłyszałam na łączach po raz kolejny, mnie zaniepokoił.

Brzmiał poprawnie, a jednocześnie sztucznie.

– Wszystko w porządku. W tym tygodniu powiem mamie o ciąży, jeśli dzwonicz w tej sprawie. Mam nadzieję, że jeszcze nic nie wie? – Ala nie dała mi dojść do słowa.

Nie potrafiłam dłużej znieść tej nieszczerości, którą wyczuwałam każdą komórką ciała.

– Alina, co się z tobą dzieje? – krzyknęłam. – Nie jesteś sobą! Mam intuicję, więc nie zaprzeczaj, tylko powiedz mi natychmiast! Potrzebujesz pomocy?

Na moment zapadła cisza, którą przerwało krótkie wyznanie.

– Marcela, wyszłam za męża.

– Co takiego? Nie rozumiem. Twoja mama nie wspominała...

– Nic o tym nie wie. A ja zrobiłam to, bo rodzina Steve’a jest bardzo religijna. Będzie lepiej dla dziecka, jeżeli przyjdzie na świat w normalnej rodzinie...

– A pomyślałaś o swojej mamie? Pomyślałaś, jak się poczuje, kiedy dowie się wreszcie, że jej córka jest mężatką i będzie rodzic za niecałe cztery miesiące? – wybuchnęłam.

– Tak wyszło. Irlandczycy są bardzo religijni, a ja kocham Steve’a – ucieła. – A co u ciebie?

Straciłam ochotę na rozmowy o czymkolwiek, a już na pewno o sobie. Alina skrywała jakiś sekret i wyczuwałam, że nie jest zainteresowana moimi sprawami. Przestraszyłam się nie na żarty i postanowiłam sprzeniewierzyć się dotrzymaniu tajemnicy o jej ciąży i ślubie ze Steve’em.

Kiedy pod koniec lutego wróciłam do miasta, spotkałam się z panią Darią, z którą zresztą rozmawiałam codziennie przez telefon, i zdradziłam sekret przyjaciółki.

Nie spodziewałam się tego, co usłyszałam.

– Alina powiedziała mi o wszystkim. Rodzi w kwietniu, tak jak ty, ale nie chce, żebym przyjeżdżała. Podobno matka i ciotki Steve’a pomogą jej przy dziecku. A mąż jest bardzo troskliwy i wie, jak zajmować się żoną.

Widziałam jej żal i syndrom odsunięcia i nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Dlaczego moja córka wykluczyła mnie ze swojego życia? – zapytała pani Daria ze łzami w oczach. – Co takiego zrobiłam? Czy jestem złą matką?

Nigdy, przenigdy! – miałam ochotę wykrzyknąć. Nie znałam lepszej, bardziej troskliwej i empatycznej. Nie licząc mojej, którą straciłam jako

szesnastolatka, bardzo dawno temu. Ale wtedy jeszcze niewiele rozumiałam, więc pozostały mi po niej łaskawe wspomnienia.

Martwiłam się o Alinę, ale nie chciałam bardziej denerwować pani Darii, która i tak była na dnie rozpaczy.

– Może pani do niej poleci i na miejscu zobaczy, jak sprawa wygląda? – wpadłam na pomysł.

– Nie potrafię, Marcelinko – poskarżyła się. – Nigdy nie latałam, nie znam języka. Nie poradziłabym sobie. A ciebie nie mogę prosić o pomoc w tym stanie.

Faktycznie, na ostatniej wizycie u ginekologa dostałam zalecenie, żeby na siebie uważać, czego skrupulatnie przestrzegałam. W zakres moich aktywności nie wchodziły wycieczki zagraniczne, w dodatku samolotem.

Wkrótce pani Daria doszła trochę do siebie, a ja wobec zbliżającego się porodu przestałam myśleć o Alinie.

Dziesiątego dnia kwietnia poczułam skurcze i natychmiast zadzwoniłam po mamę przyjaciółki. Nie sądziłam, żeby Hubert był zainteresowany odwożeniem mnie na porodówkę.

Po kilku godzinach zostałam mamą. Lekarz pokazał mi dorodnego oseska, który głośno krzyknął po przyjściu na świat. Gdybym nie wiedziała, że jest chłopcem z zespołem Downa, nigdy bym się tego nie domyśliła.

Zwłaszcza że usłyszałam słowa lekarza.

– Dziesięć punktów w skali Apgar, pani Marcelino – obwieścił zadowolony. – Pięknie oddycha, serce w porządku, skóra bez skazy. Czy chce pani przytulić synka?

Czy chciałam? Popłakałam się ze wzruszenia, kiedy położył mi na piersiach małe stworzonko, które nawet otworzyło oczka.

– Jesteś mój, Witusiu! – wyszeptałam przez łyżę. – To ja, twoja mama. – Przytuliłam go delikatnie, bojąc się uszkodzić.

Byłam bezmiernie szczęśliwa. A kiedy mi go zabierano, upewniłam się, czy za kilka minut znajdę go w łóżeczku obok mojego łóżka.

Wszystkie obawy, wątpliwości i wstyd z powodu narodzin syna z downem poszły w niepamięć. Liczył się tylko Wituś, który zaszczycił mnie swoim pierwszym spojrzeniem na tym świecie.

Rozdział 36

Roma

do października 2015 roku

Kiedy następnego ranka zadzwoniła Iza i zaproponowała wypad do kawiarni, siedziałam w szlafroku przy filiżance espresso. Sama, bo Włodek miał wrócić ze Szczecina dopiero wieczorem.

– A co z Ksawerym? – spytałam przyjaciółkę, mając w pamięci wczorajszą temperaturę.

– Wyobraź sobie, że przyjechała teściowa i zaproponowała, że z nim zostanie. Zresztą dzisiaj jest już o niebo lepiej. Mały stan podgorączkowy i wrócił mu apetyt. Babcia obiecała wnusiowi kogel-mogel i naleśniki, wolę jej nie przeszkadzać – roześmiała się. – Bo przecież mam do załatwienia masę spraw na mieście – odchrząknęła porozumiewawczo.

No tak, teściowa w domu, więc bierz nogi za pas i korzystaj z życia.

Przekalkulowałam za i przeciw. Powinnam za chwilę pojawić się w pracy i pociągnąć temat toruńskich kamienic. Ale przecież jestem szefową, która nie musi spowiadać się pracownikom z małego spóźnienia.

Niestety, z bliżej nieokreślonych powodów zawsze się usprawiedliwiałam, kiedy szłam na wagar. Nie raz i nie dwa informowałam Andżelikę, że mam do załatwienia sprawę w banku lub idę na spotkanie z klientem. Chyba lepiej się czułam, wysyłając personelowi jasny, choć nie zawsze zgodny z prawdą sygnał: szefowa jest bardzo zajęta i także od pracowników oczekuje dużego zaangażowania. A zresztą, jak mawiała mama, co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie.

Krótko mówiąc, nie musieli zbyt dużo wiedzieć, a drobne kłamstewka pomagały w utrzymaniu właściwego morale w firmie. W końcu czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. I tak harowałam jak koń i należała mi się

chwila relaksu. Zwłaszcza że wczoraj podłapaliśmy z Julianem w Toruniu obiecujący kontrakt. O ile, oczywiście, znajdziemy kupców na trzy kamienice pana Konieckiego.

Nie zastanawiałam się długo nad propozycją Izy.

– Gdzie się spotkamy? Jak zwykle?

– Będzie miło. W Kawiarni Wujka – potwierdziła i posłała mi przez telefon donośne cmoknięcie.

Wyczułam, że jest w dobrym nastroju.

Niebawem zajmowałyśmy stolik w ogródku na tyłach kawiarni. Patio wyposażono w stoły i siedziska z palet, które zaopatrzono w wygodne poduchy. Intymność zapewniały porozstawiane wokół kratki porośnięte szybko rosnącym winobluszczem. Musiał się bardzo starać, by opętać okratowanie w trakcie sezonu, ale właśnie tak uczynił.

Siedziałyśmy tuż przy ceglany murze odgradzającym podwórko od sąsiedniej posesji. Mimo wczesnej pory czuć było nadciągający upał, więc chłód bijący od kamienia był przyjemnością.

– Ja biorę mrożoną herbatę – zdecydowałam, odkładając kartę.

– A ja... Może lody? – Iza postukała palcem w zdjęcie pucharka udekorowanego niczym głowa angielskiej arystokratki.

– Okej. Wyglądają smakowicie. Na długo was nawiedziła? – zapytałam o wizytę teściowej.

– Jutro ma jakieś badania, po których zaraz wyjeżdża. Siostra Tomka pracuje, a teściowa zajmuje się jej dziećmi, rozumiesz. Ale dzisiaj należy do mnie i oto jestem! Załatwiłaś, co chciałaś, w Toruniu?

– Chyba tak – odparłam. – Teraz czeka nas kupa roboty ze sprzedażą kamienic. Mam nadzieję, że Julek już nad tym pracuje.

Iza uśmiechnęła się tajemniczo.

– Spodobał ci się?

A więc jednak nie udało mi się uciec od kłopotliwego tematu. Lecz skoro już puściłam parę, postawiłam na szczerłość.

– Może przez moment tak. W każdym razie do niczego nie doszło – odparłam.

Spodziewałam się pochwały, ale Iza zapatrzyła się w sufit.

– Sama nie wiem, czego bym chciała... – Zboczyła na własne tory. – Może właśnie jakiegoś drobnego romansu?

– Ty? – wyrwało mi się niezbyt stosownie.

Iza posłała mi zawiedzione spojrzenie, po którym poczułam się fatalnie.

– Nie ma o czym rozmawiać – usłyszałam jej zmieniony głos i wyczułam, że coś jest na rzeczy.

– Izka, przepraszam, jeśli cię uraziłam. – Próbowałam zatrzeć niezręczność. – Chciałaś mi o czymś powiedzieć, prawda?

Trafiłam w sedno.

– Ten nowy pracownik w naszej bibliotece, Jurek... Mówiłam ci o nim. Zaprosił mnie na kawę.

I...? – zapytałam spojrzeniem.

– I poszłam.

Oczywiście, nasuwało się pytanie o dalszy ciąg, ale zaskoczona przebiegiem rozmowy, nie zdecydowałam się go zadać.

Iza postanowiła zdradzić szczegóły z własnej inicjatywy.

– Poczułam się atrakcyjna, Roma. Miałam straszliwe wyrzuty sumienia, że siedzę w knajpie z obcym facetem i jest mi dobrze, ale jednocześnie wiatr powiał w żagle. On chce kontynuować te spotkania, a ja nie wiem, co robić.

Z ulgą stwierdziłam, że odrzucając Juliana, pozbyłam się problemu.

– Iza, ja zrezygnowałam z doraźnej przyjemności – odparłam. – Ale nie jestem ekspertką w tej materii. Musisz sama podjąć decyzję. Każda z nas wie, że mąż i dzieci są najważniejsze, ale... Daj sobie czas na przemyślenie sprawy – poradziłam.

Opuszczałam kawiarnię w aureoli wielkiej psycholożki, ale z ciężarem w sercu. Co ja mogłam wiedzieć o zdradzaniu męża i jego konsekwencjach? Włodek był najlepszym z partnerów, miałam w nim oparcie. A Ewa wprowadziła do naszego życia promień słońca, może trochę przyćmiony faktem, że jej nie urodziłam. Ale wszystko było poukładane, przebiegało statecznie, normalnie i szczęśliwie.

Mimo to Iza zasiała ziarno wątpliwości.

Na szczęście na krótko. Obawiałam się wprawdzie spotkania z Julianem w pracy, on jednak nie powrócił do tematu. A nawet kiedy weszłam do sekretariatu, flirtował zawzięcie z Andżeliką.

Chwała Bogu, że się nie wygłupiłam! – pomyślałam, zauważywszy, że się spieszyli.

– Mam nadzieję, że wam nie przeszkadzam? – przywitałam parkę z przekąsem i zamówiłam filiżankę herbaty.

Juliana poprosiłam do siebie i upomniałam.

– Wiem, że Andżelika jest bardzo atrakcyjną kobietą, w dodatku wolną, ale bardzo proszę, powstrzymajcie się w pracy od amorów. Zazwyczaj nie wynika z takiej sytuacji nic dobrego.

Miałam nadzieję, że ta uwaga załatwi problem raz na zawsze. Potrzebowałam ich obojga, ale jako energicznych pracowników, a nie gruchających gołąbków, których nie będę mogła zostawić samych.

Julian, zamiast przytaknąć ze skrucą, uśmiechnął się figlarnie.

– Ja w ogóle nie jestem zainteresowany Andżeliką – powiedział. – To szefowa mi się podoba. Z tą swoją klasą, inteligencją... No, całokształtem. – Obciął mnie spojrzeniem od góry do dołu. – Ale zrozumiałem zarówno wczorajszą, jak i dzisiejszą lekcję. I obiecuję poprawę.

– Julek, jeżeli mamy razem pracować, to nigdy nie wracajmy do tego tematu. – Odruchowo obciągnęłam wąską spódniczkę. – Ale jeżeli nie jesteś w stanie...

Przerwał mi w pół zdania.

– Oczywiście. Czy nadal mogę mówić do szefowej po imieniu? – zapytał.

– Jasne. Zależy mi na swobodzie w pracy. Byle nie za bardzo intymnej. – Uśmiechnęłam się na widok miny zbitego psa. – A teraz zreferuj, co dzisiaj załatwiłeś.

Zbyt wiele nie zdziałał. Wprawdzie miał przygotowaną całą litanie czynności, które rzekomo wykonał, ale tak szczwana lisica jak ja potrafiła oddzielać ziarno od plew i wyłapywać drobne kłamstewka.

No, powiedzmy, że małe odstępstwa od prawdy.

– Julek, nic dzisiaj nie zrobiłeś – podsumowałam. – Mówisz, że surfowałeś po necie? Rozumiem, ale pokaż mi efekty swojej pracy. Może jakaś mała analiza toruńskiego rynku nieruchomości? Nie masz? Bardzo się cieszę, że znalazłeś te kamienice na sprzedaż, ale to dopiero początek drogi, a nie miejsce spoczynku na laurach. Ale dobra, morały na bok i zabierajmy się do roboty.

Andżelika, która w tym momencie weszła do gabinetu z herbatą, trafiła na bojowo nastawioną szefową, czego, zapatrzona w Juliana, niestety nie dostrzegła. Dobrze, że doniosła tacę w całości.

– Dziękuję. A teraz powtórzę ci to samo, co powiedziałam Julkowi – zwróciłam się do sekretarki. – Bardzo proszę, żebyście swoje sprawy prywatne załatwiali poza firmą.

Spojrzała zaskoczona. Mimo solidnej warstwy tapety dostrzegłam na jej twarzy lekki rumieniec.

– Ale my nic... – spróbowała tłumaczenia.

– I tak ma zostać w tych murach – ucięłam. – Wasze życie poza firmą mnie nie interesuje.

Nie wiem, jak komentowali to na osobności, ale nie miałam zamiaru tego zgłębiać. Najważniejsze, że nie dałam się zbałamucić Julianowi. A Izie współczułam jej dylematów związanych z młodszym kolegą z biblioteki.

Jednak, jak się miało okazać niebawem, los postanowił ze mnie zadrwić.

Rozdział 37

Roma

W związku z powrotem Włodka postanowiłam wspiąć się na kulinarne wyżyny i przygotować jego ulubione żeberka w sosie barbecue. Wprawdzie pani Zdzisi zapewne wyszłyby lepiej, ale moje miały być z dodatkiem serca i miłości.

Mój mąż zawsze doceniał wszystkie moje, bardziej lub mniej udane, próby w kuchni, nie narzekając, kiedy stek, który miał być średnio krwisty, okazywał się wysmażony na wiór. Lecz mimo że trochę się męczył przy gryzieniu, chwalił i tak, chociaż dobrze wiedziałam, że spaprałam danie.

Tym razem postanowiłam się przyłożyć i ściśle trzymać przepisu mojej ulubionej blogerki. Wprawdzie był nieco pracochłonny, ale gwarantował sukces. W pierwszej kolejności wlałam do miski sos pomidorowy, wzbogaciłam go musztardą, czosnkiem, papryką, solą, mielonym pieprzem i odrobiną cukru, dodałam cebulę, rozmaryn i trochę wody. Do tej aromatycznej mieszanki włożyłam żeberka i dusiłam je przez dwie godziny. Kolejny etap przygotowań odłożyłam do powrotu męża. Pół godziny przed podaniem przełożone na blaszkę do pieczenia żeberka, posmarowane resztką sosu pomidorowego z musztardą, miały dojść w piecyku i nabrać lekko dymnego aromatu i koloru.

Kiedy dostałam sygnał od Włodka, że będzie w domu za godzinę, przygotowałam stół i otworzyłam wino, żeby pooddychało. W przerwie od krojenia warzyw na sałatkę znalazłam bardzo oryginalny przepis na niekonwencjonalne ziemniaki z rozmarynem, tak zwane *hasselback*. Surowe pyrki ponacinałam od góry co kilka milimetrów, włożyłam do żaroodpornego naczynia z oliwą i rozgniecionymi ząbkami czosnku w łupinkach. Posolone, posmarowane masłem i przykryte pokrywką

włożyłam do nagrzanego piekarnika, by zgodnie z przepisem po trzydziestu minutach odwrócić je do góry nogami i piec przez kolejne pół godziny.

Po kilku minutach poczułam czosnkowy aromat. Zerknęłam na zegarek. Zgodnie z planem Włodek powinien się zjawić za około czterdzieści pięć minut.

Wyjęłam uduszone żeberka i przełożyłam na blaszkę.

– Jeśli nie wyjdą, to chyba porzucę kuchnię na wszystkie czasy! – złorzeczyłam pod nosem, a w duchu zaklinałam los, by pomógł mi stworzyć arcydzieło.

Udało się, chociaż od wchodzącego do domu Włodka dostałam prztyczka w nos.

– Co za wspaniałe zapachy! Pani Zdzisia z Ewcią wróciły? – Mój mąż, wiedziony aromatem, rozglądał się za naszą gospodynią.

– No wiesz! – oburzyłam się nie na żarty. – To ja już nie potrafię niczego ugotować? Ślęczę w kuchni od kilku godzin, a ty mi wyskakujesz z panią Zdzisią.

Jeszcze długo pastwiłam się nad Włodkiem, kiedy z rozkoszą zjadał się ziemniaczkami i pachnącymi żeberkami. Nie wiedział, jak ma przeproszać, na szczęście po dwóch kieliszkach wina mi przeszło.

Mimo że mieliśmy nie poruszać zawodowych tematów, nie udało się nam ich uniknąć. Oboje pozyskaliśmy kontrakty i podpisaliśmy umowy. Ja na sprzedaż kamienic, on na działki po upadłej fabryce.

– Będzie sporo z nimi zachodu, bo Józek – Włodek wspomniał kolegę z liceum – jeszcze nie wydzielił działek i oczekuje pomocy. Mógłbym zaczekać, aż to zrobi, ale wtedy kontrakt na ich sprzedaż mógłby przejść nam koło nosa. Nie ukrywam, że jeszcze nie raz będę musiał pojechać do Szczecina.

Norma.

– Jak ja do Torunia – odparłam. – Kamienice są okazałe, ale drogie. Że nie wspomnę o kosztach renowacji pod okiem miejskiego konserwatora. Musimy znaleźć naprawdę dzianego klienta.

Pojedliśmy, pogadaliśmy, omówiliśmy przywiezienie Ewci znad morza i Włodek włączył telewizor.

– Będiesz teraz oglądał? – zirytowałam się.

Inaczej wyobrażałam sobie dalszą część wieczoru.

– Tak mnie nasyciłaś smacznosciami, że zrobiłem się zmęczony. Więc jeśli nie masz nic przeciwko, włączę sobie film – odparł i posłał mi dziękczynne spojrzenie.

I jeszcze poprosił o filiżankę herbaty.

Kiedy zreferowałam sprawę Izie, ta podzieliła się swoimi doświadczeniami.

– Myślisz, że Tomek zawsze jest chętny i gotowy? Do zjedzenia czegoś dobrego to i owszem. Pilota w łapie też nie odmówi. Zresztą nie masz co narzekać na Włodka. Czasami ci kupi prezent, jest opiekuńczy wobec Ewy i potrafi okazać, że cię kocha. Tymczasem Tomasz, szczególnie teraz, przed habilitacją, przez cały czas siedzi na uczelni. Stracił zainteresowanie rodziną. Owszem, jest porządny – przyznała. – Nie zdradza mnie i przynosi do domu pensję, ale z dziećmi to ja muszę się borykać. Daj Włodkowi spokój. Może rzeczywiście podróż do Szczecina trochę go wyczerpała?

Miała rację.

Po czterech dniach Włodek przywiózł Ewę, po tygodniu wyrwaliśmy się we troje na tygodniowy wypad na żagle. A potem przygotowywałam córkę do drugiej klasy, na szczęście już nie tak zestresowana jak w ubiegłym roku, kiedy mała rozpoczynała naukę.

Zabiegi wokół znalezienia kupca na toruńskie kamienice nie przynosiły żadnych rezultatów. Mimo ogłoszeń na różnych portalach, mimo prób uruchomienia kontaktów. Nie było chętnych.

W październiku przyjechał do Polski Andrzej Koniecki. Z duszą na ramieniu udałam się do Torunia, żeby się z nim spotkać. Zaprosił mnie do tej samej restauracji, w której jedliśmy poprzednio.

Nie znosiłam przyznawać się do porażki. I nie chodziło nawet o prowizję, która stawała się coraz bardziej nieosiągalna, ale o nieskuteczność. Obiecałam znaleźć kupca, minęły trzy miesiące, a tu nic.

Szłam na kolację jak skazaniec. Owszem, ubrałam się, jak należy, umalowałam, ale co z tego, kiedy kąciki ust ciążyły ku dołowi. Spodziewałam się rozwiązania umowy, które nawiasem mówiąc, byłam gotowa przyjąć.

Włodek tylko rozkładał ręce.

– Przecież wiesz, że nie wszystkie projekty wypalają – pocieszał. – Ten padnie, ale Szczecin przyniesie nam spory zysk, więc wyjdziemy na swoje. Niczym się nie przejmuj.

Łatwo mu było mówić, bo to on święcił triumfy.

Na widok Konieckiego serce podeszło mi do gardła. Wprawdzie nie miałam dla niego dobrych wiadomości, ale miałam pomysł na rozwiązanie trudnej sytuacji. Liczyłam, że klient przynajmniej go rozważy.

– Witam, pani Romo. Czyżbym się spóźnił? – Z niepokojem zerknął na zegarek.

– To ja przyszedłam chwilę wcześniej. Wszystko w porządku.

Cieszyłabym się, gdyby tak właśnie było.

Wybraliśmy dania. Koniecki zaproponował aperitif, ale wymówiłam się koniecznością powrotu do domu.

– Wielka szkoda – westchnął zawiedziony. – Sądziłem, że zwiedzimy miasto, a potem uda mi się zaprosić panią na kolację. Nie mam tu nikogo znajomego, a do Francji wracam dopiero pojutrze.

Będzie inaczej śpiewał, kiedy pozna efekty mojej pracy, pomyślałam. Żeby nie przedłużać, przeszedłam do rzeczy.

– Niestety, wciąż nie znaleźliśmy kupca – oznajmiłam. – W mieście jest kilka ofert kamienic na sprzedaż, i to sporo tańszych. Rozumiem, że te pana są dość okazałe, ale poza ścisłym centrum. I wymagają dużych nakładów, co zniechęca potencjalnych klientów. Poza tym trudno będzie spieniężyć je wszystkie naraz. Gdyby zgodził się pan sprzedać je pojedynczo, miałabym większe pole manewru.

– Czy ktokolwiek w ogóle się zgłosił?

Położyłam przed Konieckim wydruki mejli.

– Mój pracownik, którego pan poznał, czterokrotnie jeździł do Torunia pokazywać lokale – poinformowałam. – Ostatnią wizytę odbyliśmy razem i pozwoliliśmy sobie poprosić o pomoc znajomego budowlańca. Mam pewien pomysł, jak zadziałać w tej sytuacji. Jeżeli pan go zaakceptuje, przystąpimy do rzeczy.

Odłożył sztucce i spojrzał z zainteresowaniem.

– Z góry mówię, że potrzebne będą nakłady – dodałam.

– Mam nadzieję, że nie zamierza pani odwrócić proporcji? – roześmiał się. – Nie chciałbym wkładać piętnastu milionów, zamiast je zarobić.

Pominięłam milczeniem ten żart i zarysowałam ideę koncepcji.

– Wszystkie trzy kamienice potrzebują remontu, ale jedna jest w znacznie lepszym stanie od pozostałych – zaczęłam. – Gdyby ją odświeżyć, stworzyć pięć pełnowartościowych mieszkań, może nawet osiem przy odpowiednim

podziale, mógłby pan ją sobie zostawić i czerpać zyski z najmu. Proszę zerknąć na naszą kalkulację. Owszem, kamienice na Starym Mieście bywają wystawiane za nawet dziesięć tysięcy za metr kwadratowy, ale to nie oznacza, że za tyle pójdą. Natomiast cena wywoławcza takich jak pańskie, secesyjnych i poza obrębem ścisłego centrum, wynosi co najwyżej cztery tysiące za metr. A powierzchnia jednej waha się od sześciuset do sześciuset pięćdziesięciu metrów. Łatwo policzyć, że jej cena ofertowa to co najwyżej dwa miliony sześćset tysięcy.

Koniecki w milczeniu dokończył swoją pastę ze szparagami w sosie borowikowym i oparł się wygodnie.

– A może wstrzymać się ze sprzedażą? Zaczekać na lepszą koniunkturę? – poddał myśl.

– Wykorzystałam wszelkie swoje umiejętności, koneksje i doświadczenie, żeby sprostać panu wymaganiom. Po analizie uważam, że nie należy spodziewać się ożywienia na rynku, w każdym razie nie takiego, by podwoiła się obecna stawka. A domy niszczej. Na dzień dzisiejszy proponuję zejść z ceny, a jedną z kamienic wyremontować. Niekoniecznie w najwyższym standardzie. I tak, zważywszy na nadzór konserwatorski, będzie to sporo kosztować, ale dostanie pan do dyspozycji kilka mieszkań. Jak wspomniałam, nawet osiem. Dwa duże po sto dwadzieścia metrów i sześć mniejszych po sześćdziesiąt. Lokalizacja na Bydgoskim Przedmieściu jest bardzo dobra. Blisko do centrum i niezbyt daleko od uniwersytetu.

Koniecki wpatrywał się we mnie jak w obrazek. Nic dziwnego. Zastosowałam wypróbowaną strategię: najpierw złe wiadomości, potem pomocna dłoń i wyjście z sytuacji.

– Ale jak miałbym zająć się najmem z Francji? – zapytał, uświadomiwszy sobie trudność.

– Można to zlecić lokalnej agencji.

– Wspomniała pani o znajomym budowlańcu. Czy mam przez to rozumieć, że określił on koszt remontu kamienicy?

Trafił. Nie miałam pojęcia, czym zajmował się nasz klient, ale był bystry i umiał uważnie słuchać.

– Proszę traktować padające kwoty bardzo umownie – ostrzegłam. – Widelki cenowe zależą od standardu i szczegółowej analizy stanu budynku. Mówmy raczej o wersji podstawowej. Konieczne będą modernizacje

i naprawy, których wymaga bezpieczeństwo mieszkańców, wymiana mediów, stolarki drzwiowej i okiennej, ale już niekoniecznie parkiety i ogrzewanie podłogowe. W przypadku bloku z lat sześćdziesiątych podałabym stawkę remontową w kwocie minimum tysiąc złotych za metr. Gdybyśmy zastosowali to do jednej z pana kamienic, wychodzi sześćset tysięcy złotych. Niemało. Ale czynsz z najmu też nie będzie mały.

Oszacowałam potencjalny zysk i twarz mojego klienta pojaśniała. Inwestycja miała szansę zwrócić się w ciągu pięciu, góra siedmiu lat.

– No i kamienica pozostanie w pana rękach – zakończyłam.

Pozostawało pytanie, czy Andrzej Koniecki ma do wydania pieniądze.

Poczułam się trochę lepiej, choć propozycja remontu kamienicy była ryzykowna. Gdyby została przyjęta, Koniecki zapewne poprosiłby mnie o pomoc. Nadzór na odległość był oczywiście realny, ale z biznesowego punktu widzenia mało opłacalny. Ale cóż, nie spisałam się przy sprzedaży. Musiałam się zrehabilitować w inny sposób. Choć gdyby klient się nie zdecydował, nie rozdierałabym szat, pomyślałam. Włodek zrozumiałby na pewno.

Pochłonięta kombinowaniem nie zauważyłam, kiedy mój klient zamówił kawę i ciastko. Po czym przeprosił mnie i oddalił się na chwilę.

Wybrałam numer Włodka, ale nie odebrał. Na ratuszowym zegarze dochodziła piąta. Pewnie odbiera Ewcię z angielskiego, przypomniałam sobie.

I nagle zapragnęłam przytulić córkę.

Na żaglach było wspaniale, zwłaszcza że Ewa okazała się rasową żeglarką. Gotowaliśmy w kokpicie gładką, czyli makaron z mielonką z puszki w pomidorach (najlepsze żarcie świata na jeziorze!), spaliśmy wszyscy razem w dziobowej. Razem cumowaliśmy, odbijaliśmy od przystani, stawialiśmy żagle. Żeńska część załogi w sile dwóch sztuk posłusznie poddawała się rozkazom kapitana Włodka, w wolnych chwilach próbując znaleźć dobre miejsce do opalania. A kiedy słońce stawało się nie do zniesienia, pan kapitan wyrzucał na środku jeziora koło ratunkowe na linie, a my baraszkowałyśmy w wodzie. Wprawdzie popełniałyśmy wykroczenie, ale byłyśmy zaasekurowane i zachowywałyśmy ostrożność.

„Musimy wyjechać na jakiś miły weekend”, napisałam do męża. „Najlepiej na Mazury. Sytuacja z Konieckim opanowana. Jeśli przyjmie

propozycję, będę mieć trochę zawracania głowy. Jeżeli nie, to święty spokój. Kocham cię. Roma”.

Odpisał, że czeka, i przysłał serduszko.

Mój klient powrócił do stolika.

– Skontaktowałam się ze swoim doradcą – uhu, miał doradcę! – i myślę, że jeżeli zdecyduję się na remont, środki się znajdą.

– Wspaniale. Będę czekać na pana decyzję.

Odsiedziałam w restauracji stosowne pół godziny, po czym się pożegnałam. Podziękowałam za odprowadzenie do samochodu.

– Zaparkowałam na sąsiedniej ulicy, niedaleko. Dziękuję za spotkanie i obiad.

– Proszę na siebie uważać.

Czyżbym zauważyła smutek?

– Oczywiście. Szczęśliwego powrotu do domu – odwzajemniłam troskę.

Odchodząc, czułam na sobie spojrzenie pana Konieckiego, ale się nie obejrzałam.

Rozdział 38

Marcelina

do czerwca 2014 roku

Witusia i mnie wypisano ze szpitala dopiero po sześciu dniach. Na szczęście Agnieszka zdążyła mnie na tyle wyedukować, że wiedziałam, jak rozmawiać z lekarzami. Na do widzenia zostałam zaopatrzona w wynik badania genetycznego potwierdzającego trisomię 21, niezbędnego przy staraniu się o jakąkolwiek pomoc dla niepełnosprawnego dziecka, i w skierowania do specjalistów. Ścierpłam, gdy okazało się, że mój Wituś musi regularnie odwiedzać neurologa, kardiologa, endokrynologa, okulistę, logopedę i rehabilitanta.

Zanim to jednak nastąpiło, leżałam na sali z dwiema mamami i ich dziećmi. Wprawdzie na oddział nie wpuszczano osób z zewnątrz, ale rodzinom jakoś udawało się przemknąć.

– Musisz poprosić lekarza, żeby przeniósł was na inną salę! – usłyszałam przez niedomknięte drzwi. Jedna z moich sąsiadek rozmawiała na korytarzu z matką. – Nasza Karolinka obok downa, kto to słyszał! Czy to bezpieczne?

– Mamo, przestań! Tym nie można się zarazić – szeptała pani Nina.

– No nie wiem! W każdym razie takie dzieci powinny być izolowane!

Mama Karolinki wróciła na salę. I choć była dla mnie miła, wyczuwałam dystans.

Po raz pierwszy zetknęłam się z brakiem zrozumienia i zdałam sobie sprawę, że czeka mnie w życiu sporo nieprzyjemności. Może nawet samotność.

Zwierzyłam się pani Darii.

– To wynika z ludzkiej niewiedzy – odparła. – Ludzie uciekają od inności w obawie, że w jakiś tajemniczy sposób przejdzie ona na nich. Musisz być

silna, chociaż wiem, jakie to trudne.

Wspierała mnie z całych sił. Trwała przy mnie w szpitalu i w domu. Załatwiała wszystkie sprawy związane z przyjściem Witusia na świat.

Poinformowałam Huberta, że ma syna.

– Chcesz go zobaczyć? – zapytałam.

Nie robiłam sobie nadziei. Hubert od kilku miesięcy był szczęśliwym mężem Aldony, młodej lekarki w szpitalu, w którym pracował. Mimo to coś w środku mnie szeptalo, że widok syna poruszy w nim czułą strunę.

Miałam rację. Poruszył, tyle że nie tę, na której podświadomie mi zależało. Stojąc nad łóżeczkiem małego, zmienił się na twarzy. Minę miał taką, jakby miał zamiar uciec. Niemniej wykrztusił z siebie zapewnienie, że pójdzie do USC zgłosić narodziny syna.

Tylko tyle i aż tyle.

Kiedy wyszedł, nawet mi ulżyło. Nie musiałam patrzeć na jego przerażenie. Ale zachował się, bądź co bądź, przyzwoicie i nie wycofał z obietnicy uznania dziecka. Jednocześnie postawił sprawę jasno, że nie chce brać udziału w jego wychowaniu.

– Będę łożyć na małego. A ciebie proszę tylko o to, żebyś nie informowała nikogo, że jestem jego ojcem.

Ze łzami w oczach analizowałam jego słowa.

– Hubert, to twój syn – powiedziałam. – Za jego odmienność odpowiadamy oboje. Jako lekarz zdajesz sobie sprawę, jak dużej opieki będzie wymagał.

– Szkoda, że kiedy się dowiedzieliśmy o ciąży, było za późno na jej usunięcie – odparował. – Może teraz bylibyśmy razem?

Nie mogłam tego słuchać. Podziękowałam losowi, że powstrzymał mnie przed ślubem z takim człowiekiem.

O wszystkim opowiedziałam pani Darii.

– A to gnojek! – Zacisnęła zęby.

– Tak czy siak, dopóki będzie płacił, nie zamierzam występować do sądu – oświadczyłam. – Bo na inną pomoc nie mogę liczyć.

Obawiałam się, że Wituś z powodu wiotkości mięśni nie będzie umiał ssać, ale szło mu na tym świecie całkiem dobrze. Nie ulewał pokarmu, nie wymiotował, szybko pozbył się żółtaczki.

Mama Aliny przeprowadziła się do nas i pomagała mi opanować noworodka, który wydawał się dzieckiem absolutnie normatywnym.

Niewielki otwór międzykomorowy w serduszkach miał się zasklepić w ciągu kilku miesięcy, ominęły nas wady górnego odcinka przewodu pokarmowego, badania wzroku i słuchu również nie wykazały potrzeby dodatkowej ingerencji lekarza. Przebadaliśmy układ nerwowy i tarczycę.

Miałam szczęście. Mój Witus był wzorowym downem. Miał dobrą wagę urodzeniową, jadł, spał, pozostawał pod opieką fizjoterapeuty i neurologopedy.

Rozumiałam, że rehabilitant ma pobudzić do pracy mięśnie, ale po co dziecku, które długo jeszcze nie będzie mówić, logopeda?

– Mięśnie twarzy również są leniwe i trzeba je rozruszać. Logopeda je rozmasuje – usłyszałam od lekarza ogólnego.

No cóż. Przyjmowałam wszelkie sugestie i działałam zadaniowo, wierząc, że „wyleczę” Witusia, który rozwijał się nadzwyczaj dobrze. Prawdę powiedziawszy, nawet nie było po nim specjalnie widać cech dziecka z zespołem Downa. Do tego stopnia, że zaczęłam się zastanawiać, czy lekarze nie postawili błędnej diagnozy. Przybierał na wadze. Mamy z wózkami, które spotykaliśmy na spacerach, zachwycały się pucołowatą buźką, kiedy spał i nie było widać oczu.

– Bardzo się cieszę, że syn dobrze się chowa, ale proszę pamiętać, by nie przerywać rehabilitacji – napominała mnie lekarka na wizycie kontrolnej po ukończeniu przez Witusia drugiego miesiąca życia.

– Do kiedy ona potrwa? – zapytałam.

Nieco się zasępiła.

– Proszę pani, będzie konieczna jeszcze bardzo długo – powiedziała. – Ruchowa może się kiedyś zakończy, na przykład jeśli chłopiec zacznie uprawiać sport, a logopedyczna? Nie jestem w stanie powiedzieć. Niektóre dzieci z zespołem zaczynają wydawać dźwięki szybciej, innym zajmuje to kilka lat. Jednak żadne z nich nie osiągnie takiej biegłości w mowie jak ludzie normatywni – podsumowała.

A ja zdałam sobie sprawę z tego, że mimo najszczerszych chęci, nieograniczonego nakładu pracy własnej i specjalistów nie mogę spodziewać się cudów.

Zabrałam od lekarki mojego Witusia i pojechałam do domu. Synek trochę marudził, więc próbowałam go nakarmić. Odrzucał pierś, prężył się, płakał. Próbowałam uspokoić go noszeniem, przemawiałam ciepło, śpiewałam kołysanki, które jakimś cudem wydobyłam z zakamarków pamięci.

Nic. Ryczał wniebogłosy i nie chciał przestać.

– Boże święty, zamknij wreszcie buzię, bo oszaleję! – Niecierpliwiłam się coraz bardziej.

Po chwili płakaliśmy oboje. Wiem, że nie powinnam, bo to ja w tym domu nosiłam spodnie, ale ogarnęła mnie bezradność.

Pani Daria wyjechała na dwa dni do chorej siostry, na Huberta nie miałam co liczyć, więc w desperacji postanowiłam zadzwonić do Agnieszki, kiedy tylko Wituś wreszcie się uspokoi. Tyle że on nie zamierzał.

Aż wreszcie się przemogłam i postanowiłam po raz pierwszy w życiu dać mu smoczek. Przestrzegano mnie, że zwichruje mu zgryz albo przyczyni się do wielu innych przypadłości, ale w obliczu kompletnej bezsilności machnęłam ręką na ostrzeżenia. Wyparzyłam smoczek i zatkałam synkowi usta.

Podziałało. Zassał. W mieszkaniu zaległa kojąca cisza.

Nie wiem, kiedy zasnęłam na kanapie z Witkiem u boku. Obudził mnie telefon. W pierwszej chwili chciałam go wyłączyć, ale imię Agnieszki na ekranie zmobilizowało mnie do odebrania.

Usłyszałam zmęczony głos przyjaciółki, który natychmiast mnie ocucił.

– Marcelina, urodziłam Henia i Teodora. Jestem przeszczęśliwa.

Musiałam się wznieść na wyżyny dobrego humoru, żeby jej pogratulować.

– Wspaniale, Agnieszko! To cudownie! Wszystko u was w porządku?

– W jak najlepszym. Chłopcy są na medal, Poldek obok mnie. Jestem wymęczona, ale szczęśliwa. Dostali po dziesięć punktów. A jutro pewnie wrócimy do Chruśniaka.

– Jestem z tobą i gratuluję! – zapewniłam przyjaciółkę, siląc się na radosny ton w obawie, by nie dosłyszała, jak załamuje mi się głos pod wpływem guli w gardle.

Po cichutku, żeby nie obudzić Witusia, wstałam z kanapy i poszłam do lodówki po wodę.

Gula pozostała na swoim miejscu.

Złożyłam dłonie i choć nie wierzyłam w żadne cuda, wzniosłam oczy w górę.

– Dlaczego? – zapytałam na głos i poczułam łzy spływające po policzkach. – Czy całe moje życie już takie będzie? Tylko śmierć

i choroby? Dlaczego innym się układa, a mnie nie? Co mam zrobić, by zasłużyć na szczęście?

Rozdział 39

Roma

do marca 2016 roku

Koniecki nie odzywał się przez ponad dwa tygodnie i prawdę powiedziawszy, było mi to na rękę. Obawiałam się nieco dalszego angażowania mnie w sprawę kamienic. Ba, chętnie pozbyłabym się zlecenia.

Włodek ciągnął Szczecin, a na naszym lokalnym rynku królował detal. Pośredniczyliśmy w sprzedaży i najmie pojedynczych lokali, rozważaliśmy wejście w biznes wynajmu krótkoterminowego, na przykład w ramach Airbnb, ale jesień i zbliżająca się zima były mało turystyczne, zatem nierentowne.

Mimo wszystko doceniałam pomysł Juliana, który podsunął mi z myślą o poszerzeniu naszej działalności, bo mógł się przyczynić do rozwoju firmy.

– Wrócimy do tematu na początku przyszłego roku – zakomunikowałam mu po rozmowie z Włodkiem. – Ale dobrze kombinujesz z tym najmem krótkoterminowym. A Koniecki chyba zrezygnował – dodałam.

Julian spojrzał zdziwiony.

– Nie jestem pewien. Właśnie miałem wspomnieć, że wydzwania od samego rana.

– Przecież ma numer mojej komórki... – Wyciągnęłam telefon i uświadomiłam sobie, że wyłączyłam ją w czasie porannej wizyty u dentysty. – Może chce zrezygnować?

– Wolałbym, żeby nie. – Uśmiechnął się. – Korci mnie moje pięć procent prowizji.

– Nie ma co gdybać, zadzwonię i się przekonam – zdecydowałam. – Przyniesiesz mi filiżankę kawy? A właściwie to gdzie jest Andżelika?

– Wzięła urlop na żądanie. Przepraszam, nie wspomniałem, ale ogarnąłem jej sprawy. Wysłałem kilka mejli, więc wszystko jest pod kontrolą, szefowo.

– Co ja bym bez ciebie zrobiła? – Uśmiechnęłam się i zamknęłam za sobą drzwi do gabinetu, żeby w spokoju porozmawiać z Konieckim.

Niestety, nie zrezygnował. Zgodnie z moją sugestią (założyłam sobie pętlę na szyję!) postanowił wyremontować jedną z kamienic, przeznaczwszy na to siedemset tysięcy złotych. I sporą sumkę dla nas, jeżeli zdecydujemy się nadzorować remont.

– Zgodziłam się – relacjonowałam Włodkowi rozmowę. – Jeśli się powiedziało a, i tak dalej. Julian już szuka wykonawców w Toruniu. I oczywiście nie przestajemy poszukiwać kupca na dwie pozostałe kamienice. Na szczęście pan Andrzej obniżył cenę, więc będzie łatwiej, chociaż ludzie w dalszym ciągu szukają kawalerek lub dwupokojowych mieszkań w domach do remontu, a nie kamienic. Sama bym chyba takiej nie kupiła...

Mój mąż zrećźnie ustawił mnie do pionu.

– Kochanie, zaczynasz popełniać błędy. Nie sprzedasz, jeśli sama nie dostrzeżesz walorów lokalu. Więcej entuzjazmu.

Miał absolutną rację. Czyżbym traciła czujność i chęć działania? Cechy, które pozwalały mi pracować z pasją i osiągać sukcesy?

Niestety, od jakiegoś czasu dostrzegałam u siebie syndrom wypalenia. A przecież byłam znana z pracoholizmu i totalnego zaangażowania w sprawy firmy. I, do choinki, niestara! Dopiero niedawno przekroczyłam czterdziestkę.

– Może zbliża się menopauza? – przypuszczałam w rozmowie z Izą, która roześmiała mi się w nos.

– Ty i menopauza! Jeszcze kilka miesięcy temu mówiłaś o dziecku, a teraz nagle stoisz nad grobem? Może wyjedźcie gdzieś z Włodkiem i Ewką? Odpoczniesz?

– Od naszego ostatniego wyjazdu na Mazury Włodek nie ma czasu – westchnęłam. – Ciągłe jeździ do Szczecina, bo natrafił tam na żyłę złota. Działek okazało się więcej, niż przypuszczaliśmy, i musi trzymać rękę na pulsie. Podobno transakcja miała się zakończyć do listopada, ale potrwa do wczesniej wiosny. A ja tu siedzę i kwitnę.

Iza zastanowiła się przez chwilę, zanim zadała kolejne pytanie. Z jej miny odgadłam, czego będzie dotyczyć.

– Przepraszam, może nie powinnam... Masz wyniki badań Włodka?

– Gdyby były dobre, już byś wiedziała – odpowiedziałam nieco zbyt oschle. – O dzieciach możemy zapomnieć.

– Bardzo mi przykro.

– Mnie również – skwitowałam. – A wiesz, że Ewunia dostała wyróżnienie w konkursie plastycznym „Jesień w parku”? – Zmieniłam temat. – Naprawdę, ma dziewczyna talent. Zapisalam ją na warsztaty malarskie do prywatnej szkoły artystycznej pani Nowak, tej przy rynku. Mówi, że mała jest bardzo bystra i ma wyczucie. A na ostatnich zajęciach Ewa namalowała mój portret, znaczy portret mamy. Ze wzruszenia aż się poryczałam. Chociaż jeden detal nieco mnie zastanowił.

– Jaki?

– Namalowała mi czarne włosy, a przecież jestem blondynką.

Iza zamilkła, ale po chwili znalazła wytłumaczenie.

– Dziecięca wyobraźnia nie zna granic. A zresztą nie jestem psychologiem i nie zamierzam się wymądrzać. Ale nic nie wie o biologicznej matce? – zaniepokoiła się.

– Absolutnie nic.

– Jesteś pewna pani Zdzisławy?

– Jak najbardziej. Zatrudniłam ją, kiedy Ewa już u nas była. Ona nic nie wie o adopcji.

– Zatem nie musisz się przejmować. – W głosie przyjaciółki zabrzmiała pewność. – I powiem ci jedno, Romeczko, daj sobie spokój z marzeniami o rodzonym dziecku, bo sobie zatrujesz życie. Kochacie się z Włodkiem, macie Ewunię, jesteście szczęśliwą rodziną. A że chwilowo nie cieszy cię robota? To minie.

Miałam ochotę zapytać ją o Jurka z biblioteki, ale przeszkodził mi telefon. Dzwonił Koniecki, który zapowiedział swój przyjazd na piątek przed następnym weekendem.

– Nie chciałbym pani ciągnąć do Torunia, więc możemy spotkać się w pani mieście. Tam również mam kilka spraw do załatwienia – usłyszałam.

Odetchnęłam, że nie będę musiała gnać dwieście kilometrów w jedną stronę.

– Julek, szukaj intensywniej firmy remontowej dla Konieckiego. I poproś o wycenę modernizacji kamienicy. Na piątek – poleciłam, przystępując do przeglądania mejli.

O dziwo, jeden z nich pochodził od pana Andrzeja.

„Pani Romo, może rzeczywiście powinienem sprzedać wszystkie kamienice za cenę niższą niż zakładana i zerwać kontakty z Polską, ale jakoś mi się odechciało. Bardzo dziękuję za pomysł zachowania jednej z nich. Jest pani mądrą kobietą. A.”

Aha. Ale zawsze miło usłyszeć komplement.

Niewiele brakowało, a zapomniałabym o przyjeździe Konieckiego. Włodek był w Szczecinie, pani Zdzisia musiała po raz kolejny odwiedzić chorą siostrę w odległym mieście, Ewą nie miał się kto zająć.

Z pomocą przyszła mi Iza.

– Naprawdę możesz wziąć do siebie Ewunię? – Ucieszyłam się. – Zrewanżuję ci się w przyszłym tygodniu – obiecałam, choć nie miałam pojęcia, czy Włodek będzie miał czas. – Zabierzemy Ksawcia nad jezioro.

Następnego popołudnia spotkałam się z Konieckim. Zamówił stół w restauracji i przywitał mnie bukietem astrów.

Omawialiśmy sprawę remontu kamienicy.

– Żona pochodziła z Torunia, więc pomyślałam, że miło by jej było, gdybym zachował ten dom. – Zobaczyłam w jego oczach wzruszenie. – Nie żyje od trzech lat – wyjaśnił – a że nie doczekaliśmy się dzieci, jestem sam. Mam małą galerię w Breście, próbuję handlować dziełami sztuki, w wolnych chwilach trochę tłumaczę. Ot, takie nudne życie – zaśmiał się z goryczą. – A pani? – Nieoczekiwanie wziął mnie na spytki.

Nie odebrałam tej ciekawości jako wścibstwa. Dobrze się czułam w towarzystwie tego mężczyzny. Był delikatny i nienachalny.

– Ja jestem, jak pan wie, kobietą interesu. Mam męża i córkę Ewę.

– Czyli rodzina w komplecie. Nawet nie wie pani, Romo, jak chciałbym mieć kogoś bliskiego. Cóż, los zdecydował inaczej.

Jak dobrze, że Ewa dziś nocuje u Izy, pomyślałam, gdy pora podwieczorku niepostrzeżenie przeszła.

Pożegnaliśmy się około dwudziestej pierwszej i umówiliśmy następnego dnia w firmie na podpisanie stosownych pełnomocnictw w zakresie remontu kamienicy.

Koniecki odprowadził mnie pod dom. Przystanął przed drzwiami i uniósł moją dłoń do ust.

– Jest pani wyjątkowo piękną kobietą – powiedział. – A proszę mi wierzyć, że nie należę do mężczyzn prawiących fałszywe komplementy. I pierwszą kobietą, której to powiedziałem, nie licząc mojej Irenki. Proszę mi wybaczyć śmiałość.

Pocałował mnie w policzek i odszedł, nie odwróciwszy się ani razu.

Jak kiedyś ja w Toruniu.

Długo nie mogłam zasnąć. Przywoływałam w pamięci twarz tego mężczyzny i dreszcz emocji, jaki poczułam, kiedy stał obok mnie przed moim domem. Niedawne chwilowe zauroczenie Julianem miało się do tych uczuć nijak.

Nalałam sobie szklaneczkę męzowskiej whisky z nadzieją, że alkohol osłabi wyobraźnię. Nic z tego. Na szczęście Andrzej Koniecki niebawem wyjeżdżał.

Miałam nadzieję, że na długo.

– Nie musi się pan niczym martwić – zapewniałam go w trakcie naszej ostatniej rozmowy przed jego wylotem. – Będziemy panu raportować wszelkie działania, przesyłać zdjęcia i wykazy kosztów.

– Oczywiście. Do zobaczenia.

Byłam zła na siebie za to, że ten facet wytrącił mnie z równowagi. Zamiast skupić się na rodzinie i pracy, nieustannie sprawdzałam skrzynkę mejlową. Przesadzałam z zaangażowaniem w remont, byleby mieć co raportować. Odpisywał regularnie, dodając do każdego mejla kilka miłych słów.

Niekoniecznie chciałam powierzyć Izie moją tajemnicę, ale w pewnym momencie nie wytrzymałam ciśnienia.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – zakończyłam. – Ciągle myślę o tym facecie. Jak gdybym się zakochała.

– A może się zakochałaś? – Przyjaciółka spojrzała spod oka.

– Przecież kocham Włodka! – odparowałam.

– Jasne. Ale nie jesteś w nim zakochana.

Iza miała rację. Nie byłam zakochana w mężu. Stanowiliśmy dobraną parę, dawaliśmy sobie poczucie bezpieczeństwa. Ale gdzie się podziało dawne wielkie uczucie?

Wspomniałam czas studiów, moją chwilową obecność w domu Włodka, potem roczną przerwę w kontaktach zakończoną jego przyjazdem, wspólnym zamieszkaniem i wreszcie ślubem. Potem już poszło: firma, Ewa, codzienne życie. Zgodne plany i ich realizacja.

Puknęłam się w czoło. Facet obdarzył mnie kilkoma komplementami, a ja byłam gotowa lecieć za nim jak ćma do ognia.

– Jestem zakochana we Włodku, Iza. – Wysiłam się, by zabrzmiało to przekonująco. – A co u ciebie i kolegi Jurka? – zagadnęłam.

– Byłam z nim parę razy na kawie. Zrezygnowałam. Nudziarz i tyle.

Oby i Koniecki okazał się nudziarzem! – pomodliłam się w duchu.

Niestety. Andrzej, bo niebawem zaczęliśmy sobie mówić po imieniu, często odwiedzał Polskę. A ja zawsze znajdowałam dla niego czas.

Któregoś dnia postanowiłam zostać na noc w Toruniu. Był lutowy wieczór, a ciemności i zadymka nie sprzyjały powrotowi do domu. Nawet Włodek radził, bym przespala się w hotelu.

Przez skórę czułam, czym zakończy się kolacja z Andrzejem. I chociaż dręczyły mnie wyrzuty sumienia, poszłam z nim do pokoju. A może była to decyzja mojego ciała?

– Naprawdę tego chcesz? – upewnił się.

Nie zdążyłam odpowiedzieć. Przepadłam w jego ramionach.

Zrobiłam to. Zdradziłam mojego męża. Powinnam czuć się fatalnie, tymczasem po prostu obudziłam się wczesnym rankiem, zjadłam śniadanie podane do łóżka i zapadłam w krótką drzemkę.

Andrzej obudził mnie pocałunkiem, informując, że dzwonił wykonawca, który chce się spotkać w kamienicy za półtorej godziny.

Poczucie obowiązku przywróciło mnie do życia.

Wyskoczyłam z łóżka i okryta prześcieradłem popędziłam do łazienki.

Po powrocie czekała na mnie filiżanka parującej kawy.

Andrzej wydawał się nie mniej zawstydzony ode mnie.

– Żałujesz tej nocy? – zapytał niepewnie.

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Nie żałuję. Ale teraz już czas iść – odparłam z nadzieją, że praca wybije mi z głowy amory.

Jednak każda minuta spędzana z Andrzejem sprawiała mi przyjemność. Tembr jego głosu, spokój, sposób, w jaki zerkał na mnie z ukosa, uśmiech kątem ust przeznaczony tylko dla mnie, wreszcie delikatne gesty, kiedy

osłaniał mnie przy wchodzeniu na remontowane chybotliwe schody...
Wszystko to sprawiało, że chciałam być tu i teraz, z tym facetem.

Kompletnie oszalałam. I on również.

Przyjeżdżał z Brestu dwa razy w miesiącu. Nasza idylla trwała, chociaż coraz trudniej przychodziło mi wymyślanie wiarygodnych pretekstów dla moich wyjazdów i wyjść.

I coraz bardziej uwierało mnie poczucie winy.

W pewnym momencie zaczęłam nawet unikać kontaktów z Andrzejem, tym bardziej że zaczęłam się źle czuć.

– Iza, muszę iść do lekarza – powiedziałam przyjaciółce o swoich dolegliwościach. – Chyba szwankuje mi wątroba. Mam mdłości i jestem dziwnie osłabiona.

Spojrzała zaniepokojona, ale niepokój niemal od razu zastąpił uśmiech.

– A może ty jesteś w ciąży?

Rozdział 40

Marcelina

do końca października 2014 roku

Miesiąc po Witusiu urodziła się córeczka Aliny, Emily.

Wprawdzie Ala twierdziła, że imię wybrali oboje ze Steve'em, ale domyśliłam się, do kogo należało ostatnie słowo. Moja przyjaciółka, która od zawsze marzyła o Lenie, przegrała.

Dlaczego mnie to nie dziwiło?

Zajęta opieką nad noworodkiem specjalnej troski nie miałam czasu zastanawiać się nad tym dłużej. Ani nad obecną sytuacją Aliny, która mogła niepokoić. Niemniej od czasu do czasu o tym myślałam.

Alinka od kilku ładnych miesięcy nie była w Polsce. Odpuściła sobie nawet święta Bożego Narodzenia. No i ukrywała przed matką ciążę i ślub ze Steve'em. Nie trzeba było psychologa, aby dostrzec, że coś jest nie tak.

W rozmowach wyczuwałam, że jest spięta i nieswoja. Jak gdyby ktoś ją cenzurował i pilnował każdego jej słowa. Hipoteza była dość śmiała, zważywszy, że nikt z rodziny Steve'a nie mówił po polsku, a ja być może byłam nadwrażliwa, ale zwyczajnie żal mi było pani Darii odstawionej przez córkę na boczny tor. Siłą rzeczy zwróciła się ku mnie i Witusiowi, dla którego stała się przyszywaną babcią.

Swoją wnuczkę Emily mogła oglądać jedynie za pośrednictwem Skype'a, a i to sporadycznie.

Namawiałam ją na wyprawę do Irlandii, jednak konsekwentnie była na nie.

– Alinka obiecała, że przyjedzie do Polski, kiedy mała podrośnie – pocieszała się.

– To znaczy kiedy?

– Niech Emily skończy przynajmniej pół roku. Może pod koniec wakacji? Pani Daria postanowiła czekać, ale ja powoli nabierałam ochoty na zmianę otoczenia. I wymyśliłam, że pojedę do Chruśniaka. Tylko jak to zorganizować? – pomyślałam o tabunie rzeczy, które musiałam zabrać. Dom po babci nie był przystosowany do potrzeb dziecka. Brakowało łóżeczka, przewijaka i tak dalej. Właściwie wszystkiego. Ale zbliżające się lato nęciło, by zmienić miejskie klimaty na wiejskie powietrze.

Poproszę o pomoc Huberta, zdecydowałam. I nie czekając, aż zmienię zdanie, wybrałam jego numer.

– Chcesz, żeby zawieźć was do Chruśniaka? – powtórzył zdumiony.

– Jak słyszałeś. Czy to byłby dla ciebie duży problem?

– Oczywiście, że nie – zaprzeczył. – A jak się chowa mały? – zapytał po chwili.

– Wituś ma się dobrze. – Przypomniałam Hubertowi, jak ma na imię jego syn. – Jesteś lekarzem, więc nie muszę cię wprowadzać w detale. Powiem tylko, że uniknęliśmy operacji serduszka. Jesteśmy pod opieką specjalistów i walczymy. Jest bystrym i kochanym chłopcem.

Powstrzymałam się od uwagi, że bez ojca, chociaż miałam ją na końcu języka. Hubert płacił, a teraz nie robił problemów, by zawieźć nas do Chruśniaka. Jak na niego to i tak dużo.

Nie uznałam za stosowne zrewanżować mu się pytaniem o związek z Aldoną.

Nie bolało, że szybko się pocieszył, a wobec obietnicy pomocy niemal odpuściłam mu grzechy. Byłam zadowolona, że nie muszę tkwić u boku mężczyzny, który nie potrafi zachować się w trudnej sytuacji. Prawdopodobnie pod wpływem matki, ale to mnie już nie obchodziło. Słaby charakter Huberta był teraz problemem wyłącznie jego żony.

Krzyżyk na drogę, pomyślałam. Niech się kobieta osobiście przekona, za kogo wyszła. A ja skorzystam z pakownej limuzyny mojego byłego, do której zmieszczą się wszystkie rzeczy Witusia.

– Mogę liczyć na ciebie również w kwestii powrotu? – zadałam pytanie.

– Jasne! I daj znać, kiedy będę potrzebny – zakończył.

Pani Daria wróciła od chorej siostry przygnębiona. Zawitała do mnie wieczorem z solidną porcją wieprzowych poledwiczek i młodej gotowanej kapusty. Bardzo à propos, zważywszy, że Wituś po ostatnim szczepieniu marudził i nie dał mi szans na zrobienie zakupów. Chwilowo żywiłam się

resztkami, a do najbliższego, słabo zaopatrzonego sklepu wyskakiwałam tylko w czasie wizyt rehabilitanta.

Dostrzegłam, jaka jest zgaszona, już gdy stanęła w progu. Miała worki pod oczami i włosy w nieładzie.

W pierwszym momencie pomyślałam, że coś złego u Aliny.

– Jadwiga ma przerzuty. Muszę się liczyć z najgorszym – wyjaśniła pani Daria w pierwszym zdaniu. – A to dla ciebie. – Wręczyła mi jedzenie. – Jak się czuje mój Wituś? – zapytała z błyskiem w oku i pośpieszyła do pokoju synka.

Nie dała mi szansy odpowiedzieć.

Zaniosłam wałówkę do kuchni i pomaszerowałam za panią Darią. Zastałam ją z Witusiem w objęciach. Tuliła go jak najmilszego pluszaka.

– Mój ty kochany, jak ja się za tobą stęskniłam! – wyśpiewywała miłośnie. – Pamiętasz mnie jeszcze? To ja, twoja babcia!

Zastygłam w progu, żeby nie przeszkadzać obojgu. Bo mój synek w odpowiedzi po raz pierwszy w życiu wydał z siebie dźwięk. Do czego – aż do teraz – bezskutecznie próbował go nakłonić logopeda.

Niemal popłakałam się ze szczęścia.

Stałam w bezruchu, dopóki nie dotarł do mnie głos pani Darii.

– Przełożyłaś gdzieś pampersy, bo nie mogę ich znaleźć? Witulek ma mokro.

Pognałam po pieluchy, które rzeczywiście zmieniły miejsce pobytu.

– Może ja go przewinę? – zaproponowałam.

Odsunęła mnie gestem.

Poszłam do kuchni szczęśliwa, że jest ktoś, kto jest w stanie zastąpić mnie choć na trochę. I kto kocha Witusia jak ja. Przepełniała mnie wdzięczność do losu, który wreszcie sprawił, że przez moment poczułam się bezpiecznie i błogo.

Wituś musiał odczuwać podobnie. Zasnął szybko po karmieniu i wieczornej kąpieli, zupełnie jak nie on.

Miałyśmy czas na rozmowę.

– Przepraszam cię, Marcelinko, ale w najbliższych tygodniach nie będę mogła wam pomagać – zaczęła pani Daria. – Jadwiga umiera i muszę być przy niej. – Z trudem powstrzymała łzy. – Niestety, jej dzieci też mieszkają za granicą...

Pomyślała o Alinie. Było mi jej żal.

Na szczęście mogłam jej pomóc.

– Pani Dario, moja druga mamó, nie myśl teraz o nas – zaczęłam z głębi serca. – Jedziemy z Witusiem do Chruśniaka na całe lato. Przecież wiesz, że tam będzie Agnieszka, która prowadzi fundację dla niepełnosprawnych dzieci.

Mama Ali spojrzała przenikliwie.

– Co ty powiedziałaś...?

– Że Agnieszka prowadzi...

– Nie o to mi chodziło – przerwała. – Moja druga mamó?

– Przepraszam, jeżeli panią uraziłam...

– No coś ty! – Przygarnęła mnie i przytuliła tak mocno, że nie mogłam się wysupłać z jej ramion.

A zresztą wcale nie chciałam.

– Martwię się o Alinkę – powiedziała.

– Ja również – przytaknęłam.

– Ja również, mamó – poprawiła mnie pani Daria.

– Ja również, mamó – powtórzyłam posłusznie, choć miałam ochotę krzyknąć z radości.

Mama Ali wypuściła mnie z objęć i zapadła się w siebie.

– W tej Irlandii dzieje się coś złego, córciu – zaczęła. – Chyba rzeczywiście powinnam tam polecieć, ale tego nie zrobię. Nie teraz, kiedy moja siostra umiera. Obiecasz mi, że nie stracisz z Alinką kontaktu? – poprosiła.

– Oczywiście. Możesz spokojnie jechać do pani Jadwigi. Będę trzymać rękę na pulsie.

Hubert wywiązał się z obietnicy i odwiózł nas do Chruśniaka. W drodze trochę rozmawialiśmy.

– A może zrobiłabyś prawo jazdy? – zapytał w pewnej chwili.

– Po co, skoro nie mam samochodu? I pewnie nigdy nie będę mieć. – Odrzuciłam propozycję.

Mój były zrobił tajemniczą minę.

– Nie stać mnie teraz na nowy model, ale znajdę jakieś starsze sprawne auto – mruknął. – Żebyście byli z Witkiem niezależni.

Pewnie dlatego, żebyś nie musiał nas wozić, pomyślałam. Ale rzecz była warta zastanowienia.

– Nie mam czasu robić prawa jazdy – odparłam ostrożnie. – Z kim mam zostawić Witusia?

I tu się zdziwiłam. Hubert zaproponował opiekę.

Postanowiłam wrócić do sprawy po wakacjach.

Na razie wylądowałam w Chruśniaku, gdzie przeżyłam kilka fajnych wakacyjnych miesięcy. W domu babci, z Agnieszką i jej bliźniakami, na spacerach. W otoczeniu przyrody. I nareszcie spokojna. Obawiałam się trochę czasu bez rehabilitanta i logopedy, ale do fundacji przyjeżdżali specjaliści, z których usług mogłam korzystać. No i w stajni miałam Elektrę. Wprawdzie Wituś był jeszcze zbyt mały, żeby korzystać z hipoterapii, ale ja wypoczywałam, kiedy mogłam zajmować się kłaczą.

W tym czasie mój synek pozostawał pod opieką Agnieszki.

– Wierz mi, dwóch czy trzech to prawie to samo – uspokajała moje obiekcje w kwestii podrzucania jej synka. – Ogarnij Elektrę, to Poldek będzie miał czas wieczorem, by wykąpać chłopaków – zachęcała, a ja ochoczo biegłam do stajni.

Może nawet zostałamby w Chruśniaku na dłużej, gdyby nie fakt, że Wituś wymagał regularnej opieki lekarskiej i kolejnych zabiegów, a pani Daria wróciła do domu po śmierci siostry.

Alina, niestety, nie znalazła czasu ani możliwości, żeby odwiedzić matkę i pokazać jej kilkumiesięczną już Emily. Moja druga mama została zmuszona przyjąć do wiadomości, że zobaczy córkę i wnuczkę dopiero na święta Bożego Narodzenia.

Wituś skończył pół roku. Ja poukładałam nasze życie i poszłam na kurs prawa jazdy.

Hubert dotrzymał słowa. Pod warunkiem, czego nie powiedział wprost, ale zasugerował, że jego wizyty mają mieć status *top secret*.

Okej. Nie zamierzałam ingerować w jego prywatne życie. Ale coraz silniejsze więzi taty z Witusiem cieszyły. Czułam nawet coś w rodzaju szczęścia, bo dostałam od Huberta więcej, niż mogłam się spodziewać.

Kiedy egzaminator obwieścił, że zdałam, miałam ochotę go ucałować. Przede wszystkim dlatego, że Hubert nie będzie musiał po raz kolejny płacić za dodatkowe jazdy i ponowny egzamin.

– Mam prawko! – Wpadłam do domu jak burza.

Mój były powitał mnie z Witusiem na rękach.

Mogłoby tak być każdego dnia, przemknęła mi przez głowę idiotyczna myśl, ale zaraz skarciłam się w duchu.

– Fajnie – usłyszałam. – Weźmiesz małego na chwilę? Muszę coś załatwić.

Pewnie dzwoniła Aldona z wymówkami, pomyślałam. Jak zawsze, gdy siedział u nas.

– Jasne! Chodź, synusiu, mamunia ma prawo jazdy! – pochwaliłam się. – Gdy tylko zdobędę jakiś samochód, będę cię wozić! Do Chruśniaka, do konika, do cioci Agnieszki! – Radośnie podrzucałam synka.

Festiwal radości przerwał nam Hubert.

– Będę już szedł – oznajmił. – I oczywiście ci gratuluję – zwrócił się do mnie. – I tobie, młody człowieku, takiej mamy. – Podrapał Witusia pod brodą i obdarzył go uśmiechem. – Odprowadzicie mnie? – zapytał, zakładając kurtkę.

W sumie dlaczego nie?

Znaleźliśmy się na ulicy wciąż oblanej promieniami słońca. Żałowałam, że nie wzięłam okularów przeciwsłonecznych. Hubert prowadził nas w kierunku swojego auta, jednak minęliśmy jego wypasioną brykę i stanęliśmy w pobliżu śmietnika przy bursztynowym renaulcie.

– Jest twój – usłyszałam i poczułam w dłoni kluczyki.

– Jak to...?

– Musicie przecież czymś jeździć z Witusiem. Proszę, przyjmij. Przynajmniej tyle mogę dla was zrobić.

– Dziękuję!

Byłam zaskoczona, wdzięczna i jednocześnie szczęśliwa. Na chwilę odebrało mi mowę.

– To do zobaczenia – wykrztusiłam wreszcie. – Wpadniesz jeszcze kiedyś do Witusia?

– Wpadnę – obiecał. Pocałował synka, a mnie pokiwał na pożegnanie.

Zostałam na parkingu z kluczykami od nowego renault captura i z synkiem na rękach.

– Zobacz, jaką mamy nową zabawkę – wyszeptałam. – Będziemy jeździć, gdzie się da. Będzie fajnie!

Rozdział 41

Roma

do marca 2016 roku

Podejrzewałam, że Iza może mieć rację. Wprawdzie nigdy dotąd nie przeżywałam dolegliwości pierwszych dni ciąży, ale znałam je z relacji przyjaciółki i koleżanek. Moja ciąża przed laty była na tyle wczesna, że nie licząc spóźnionego zatrzymania miesiączki, nie dawała charakterystycznych objawów. A potem, z powodu problemów Włodka, już nigdy nie dane mi było zajść w kolejną.

Czyżby los ze mnie zadrwił? – myślałam intensywnie, jednocześnie zadziwiona i przerażona. Najpierw musisz kupić test ciążowy. A najlepiej dwa, przemawiałam do siebie w myślach, próbując zrationalizować działania. Nawet jeśli wypadną pozytywnie, najlepiej iść do lekarza i potwierdzić. Testy mogą się przecież mylić.

Mimo że wiedziałam, co robić, jakaś bliżej nieokreślona siła powstrzymywała mnie od wizyty w aptece. Zdawałam sobie sprawę, jak wielkie tąpnięcie czeka mnie w życiu, gdybym rzeczywiście była w ciąży. Wolałam nie myśleć o reakcji Włodka i konsekwencjach romansu z Andrzejem. Oczami wyobraźni widziałam, jak mąż odchodzi i zabiera mi córkę. Albo każe się wyprowadzić wiarołomnej żonie.

Miałam ochotę chwycić za telefon i zadzwonić do Izy, ale uświadomiłam sobie, że bez wyniku testu nie mam po co.

– Andżelika, wychodzę na chwilę – poinformowałam sekretarkę. – Pamiętaj, żeby sprawdzić nasze promowane oferty, którym kończy się ważność. Przygotuj listę, zdecyduję, czy będziemy je kontynuować.

– Pani prezes. – Powstrzymała mnie. – Dzwonił pan Kazimierz i prosił o telefon.

Przestraszyłam się. Tato rzadko niepokoił mnie w pracy, więc musiało się coś stać.

Podziękowałam, nie zrugłam Andżeliki, że informuje mnie dopiero teraz, i wróciłam do gabinetu, by skontaktować się z ojcem.

Odebrał natychmiast.

– Dzwoniłeś? Co się dzieje? – Od razu przeszłam do rzeczy.

– Nic takiego, córeczko. I przepraszam, że dzwoniłem do pracy, ale ostatnio trudno cię złapać. Czy moglibyśmy się spotkać? Chciałbym z tobą porozmawiać.

Boże, mój tato chce rozmawiać! Jak nic nad naszą rodziną zbierają się czarne chmury.

– Jesteś chory? A może stryj Stefan niedomaga?! Powiedz mi szybko, bo umieram z niepokoju – wypaliłam.

– Wszystko z nami w porządku, córuś. Po prostu poinformuj mnie, kiedy znajdziesz czas.

Odetchnęłam. Jeśli w grę nie wchodziły kwestie zdrowotne, każda inna sprawa była błahostką.

– Co byś powiedział na jutrzejszy lunch? Około pierwszej, w rynku? – zaproponowałam.

Zgodził się ochoczo i przypomniał, że jutro po południu zabiera Ewę na weekend nad jezioro.

– Stefan już tam jest i dogrzewa domek na przyjazd naszej wnuczki.

Moja córcia miała szczęście posiadać dwóch kochających dziadków. W Polsce. A trzeciego w Hiszpanii.

Uświadomiłam sobie własne szczęście, że mam u boku Włodka, tatę, stryja Stefana, oddaną panią Zdzisję. A przede wszystkim Ewunię. Mądrą, kochaną i kochającą.

I że mogę zniszczyć ten budowany latami układ.

Nie było na co czekać i zamęczać się niepewnością. Narzuciłam płaszcz, porzuciłam wątpliwości i pomaszerowałam do apteki po testy.

Trafiłam na dobry moment. Nie było żadnego klienta i miałam panią magister dla siebie.

W pierwszym momencie zawstydziłam się swojego wieku i próbowałam lawirować, że to dla siostrzenicy, ale w końcu odpuściłam.

– Czy test będzie wiarygodny, jeżeli przeprowadzę go dzisiaj po południu, a nie rano?

– Oczywiście – przytaknęła farmaceutka. – Najwyższe stężenie hormonu ciążowego, czyli gonadotropiny kosmówkowej, jest rano, ale teraz również powinien wyjść miarodajny wynik. Dla pewności może pani powtórzyć test jutro rano. Podać coś jeszcze? – zapytała.

Szybko się rozliczyłam i wyszłam z apteki.

Wróciłam do firmy, ale zamiast myśleć o pracy, nieustannie zaglądałam do torebki, w której leżały dwa niewielkie pudełeczka. Czy jednak wypadało mi poznać prawdę w takim miejscu?

Zadzwoiłam do Izy, ale odrzuciła połączenie i przysłała esemesa.

„Tomasz zafundował nam dłuższy weekend w Jastarni. Ma jakąś konferencję i spory pokój, w którym wszyscy się pomieścimy. Zwolniłam dzieci ze szkoły i jedziemy. Wprawdzie marzec to niekoniecznie najlepszy miesiąc na włóczęgi po plaży, ale skoro nadarzyła się okazja, grzechem byłoby nie skorzystać. Poza tym mój mąż naukowiec jest bardzo dumny, że może zafundować rodzinie wyjazd za małe pieniądze. Robiłaś test?”

Odpisałam, że dam znać, kiedy będę miała pewność, i pożyczyłam przyjaciółce miłego pobytu. A sama powędrowałam do łazienki.

Oba testy pokazały po dwie różowe kreseczki, które nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Byłam w ciąży.

Wróciłam do gabinetu jak pijana i przygnieciona prawdą opadłam na fotel.

Na szczęście Włodek po raz kolejny wyjechał do Szczecina i dzisiejszego wieczoru nie będę musiała patrzeć mu w twarz, pomyślałam. I spędzę całe popołudnie z Ewą, postanowiłam.

Wyszłam wcześniej z pracy i zwolniłam panią Zdzisławę.

– Kochanie, jutro jedziesz z dziadkami nad jezioro – przypomniałam córce. – Ale co byś powiedziała na dzisiejszy spacer do zoo, a potem na lody w kawiarni?

– A czy Elwira będzie mogła pójść z nami?

– Dzisiaj nie, bo musiałabym to wcześniej ustalić z jej mamą. Ale obiecuję, że następnym razem zabierzemy twoją przyjaciółkę.

Rozumiałam, że pozbawiam moją ośmiolatkę atrakcji, ale tym razem egoistycznie chciałam mieć córkę na wyłączność.

– To może zabierzemy wtedy jeszcze Adę, Kasię i Wojtka? – Ewa wymieniła rodzeństwo koleżanki. – Też bym chciała mieć siostrę albo brata – dodała i posłała mi prośące spojrzenie jedynaczki.

Jeszcze wczoraj wytłumaczyłabym jej, że nie ma na co liczyć, ale dziś zaniemówiłam.

– Ubieraj się i w drogę! – Zdopingowałam ją do działania.

Ogród zoologiczny znaleźliśmy na wylot. W ciemno skierowałyśmy się do klatek z dzikimi zwierzętami, weszłyśmy do terrarium i oceanarium. Zakupionym pokarmem dopieściłyśmy alpaki i dwa młode osły, a także stadko swojskich kóz. Zwierzaki sięgały po smakowite glutki wprost z naszych rąk, potrząsając brodą i wspinając się na ogrodzenie.

W kawiarni, do której wkrótce zawitałyśmy, otoczyło nas przyjemne ciepło. Kelnerka zaproponowała nam gorące kakao. A zamiast na lodach skończyło się na ulubionej rybie z frytkami Ewuni i skrzydełkach w sosie barbecue dla mnie. A co, raz w życiu można! – pozwoliłam sobie.

Miałam przy sobie córeczkę, którą kochałam nad życie. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, że ją tracę, choć dziecko, które z dużą, bardzo dużą dozą prawdopodobieństwa nosiłam, mogło to spowodować.

– Kochanie, zamówić ci jakiś deser? – zaproponowałam, jak gdybym kolejnym przysmakiem mogła przychylić jej nieba.

Poprosiła o szarlotkę, a ja niezwłocznie przywołałam kelnerkę.

Nie wiedziałam, czy powodowała mną miłość, czy wyrzuty sumienia, że Ewunia mi nie wystarczyła. Że zawsze pragnęłam zostać prawdziwą matką, która rodzi swoje dziecko w bólach i jest z nim związana, najpierw pępowiną, a potem niewidzialną nicią genów i uczuć, o których słyszałam, ale ich nie doświadczyłam.

I wtedy ją zobaczyłam. Weszła do kawiarni, prowadząc przed sobą wózek z dzieckiem. Ktoś pomógł jej przy drzwiach.

W tym momencie wszystkie moje rozterki poszły w ką. Poczułam się jak lwica, której młode jest zagrożone.

– Ewuniu, musimy już wyjść – powiedziałam. – Tato pewnie zadzwoni niebawem, powinniśmy być w domu. – Wstałam, nie czekając na zamówienie.

Kobieta usiadła przy stoliku w głębi kawiarni i wyjęła z wózka dziecko. Mimo odległości zauważyłam, że mniej więcej dwulatek ma zespół Downa.

Z niewiadomych powodów poczułam się nieswojo. Tym bardziej nie zamierzałam tu dłużej pozostać.

– Wychodzimy, córciu!

Sytuacja wytrąciła mnie z równowagi. Dlaczego już po raz drugi w życiu spotkałam tę kobietę?

Dziewięcioletnia Ewunia robiła się coraz bardziej podobna do swojej biologicznej matki, Marceliny, która najwyraźniej miała upodobanie do tych samych miejscówek, co ja. Niczemu niewinną kawiarnię wykreśliłam z mojej listy raz na zawsze.

W drodze do domu analizowałam: urodziła kolejne dziecko, więc pewnie ułożyła sobie życie. Ale to dziecko z niepełnosprawnością.

Jak dobrze, że Marcelina nie ma pojęcia, jaką jej oddana do adopcji córka jest piękną i mądrą dziewczynką! – pomyślałam. I oby się nigdy nie dowiedziała! – wypowiedziałam w duchu życzenie, z emocji naciskając mocniej na pedał gazu.

Miałam mętlik w głowie. I mdłości, które na szczęście dopadły mnie, dopiero gdy położyłam Ewę spać.

Rozdział 42

Roma

marzec 2016 roku

Wiedziałam, że nie powinnam przeszkadzać Izie w wypoczynku nad morzem, ale czułam przemożną potrzebę zwierzeń.

Rano napisałam krótkiego esemesa: „Zrobiłam dwa testy. Wyszły pozytywnie. Dzisiaj umówię się z doktorem Witkowskim. Trzymaj za mnie kciuki. R.”.

Zadzwoiła po dwóch minutach.

– Mam ci gratulować czy współczuć? – zapytała bez ceregieli.

– Sama nie wiem – odparłam, wdzięczna losowi, że nie musimy z Izą czaić się z każdym słowem i przemawiać do siebie drukowanymi literami. Każda z nas mogła powiedzieć wszystko, nie urażając drugiej.

W tle usłyszałam głos Ksawerego, który wołał matkę. Dotarła do mnie także jej szybka odpowiedź, by chwilę poczekał.

– Przepraszam, właśnie weszliśmy na śniadanie. Czy mogę zadzwonić później?

Przyjaciółka nie miała czasu na dłuższą rozmowę.

– Jasne. To ja nie powinnam zawracać ci głowy od rana. Skontaktuję się po wizycie u lekarza – odparłam i wyłączyłam komórkę.

Odwiozłam Ewunię do szkoły, potwierdziłam spotkanie z tatą o jedenastej i pobiegłam do firmy.

Andrzej na szczęście się nie kontaktował. Za to Julian pochwalił się sukcesami przy remoncie kamienicy.

– Mamy już kosztorys do zatwierdzenia i termin rozpoczęcia – poinformował. – Oto i on. – Podał mi wydruk z komputera. – Wykonawca

przedstawił kilka alternatywnych rozwiązań, klient musi coś wybrać. Chyba nie obejdzie się bez wizji lokalnej.

Podziękowałam Julkowi, zamówiłam u Andżeliki kawę i poprosiłam o chwilę spokoju.

– Przez piętnaście minut nie ma mnie dla nikogo – zapowiedziałam i zamknęłam drzwi gabinetu.

Po naszym ostatnim spotkaniu z firmą remontową dostaliśmy całkiem realną i nie tak drogą ofertę, którą, jak oceniłam, Andrzej powinien przyjąć. Postanowiłam jednak, że zadzwonię do niego dopiero po wizycie u ginekologa.

Niezwłocznie wybrałam numer przychodni i zostałam zaproszona na wizytę za półtorej godziny.

– Klientka zrezygnowała i zwolniło się miejsce – usłyszałam. – Jeśli sobie pani życzy, zapraszamy na dziesiątą piętnaście.

Nie było nad czym myśleć. Randkę z tatą przesunęłam o godzinę i przysiadłam fałdów nad bieżącymi sprawami firmy. I zanim z niej wyszłam, plan zadań dla personelu był gotów.

– Pamiętaj, by przesłać papiery do biura rachunkowego – poleciłam Andżelice. – A ty nie zapomnij pokazać klientom mieszkania na Zarybiu – przypomniałam Julianowi. – I jeszcze jedno. Włodek prosił, żeby podrzucić mu mejlem nasze dokumenty rejestrowe. Wrócę około drugiej. Dzwoncie wyłącznie w ważnych sprawach – zakończyłam.

Los mi sprzyjał. Gabinet był pusty, więc zostałam z marszu zaproszona na fotel. Na razie ten przy biurku lekarza.

– Co się dzieje, pani Romo? – Witkowski rozpoczął wywiad.

Skrepowana nie wiedziałam, jak zacząć. Znał historię moich i Włodka starań o dziecko i wyniki badań mojego męża, które eliminowały go jako ojca.

– Zrobiłam dwa testy ciążowe – bąknęłam. – Wyszły pozytywnie. Chciałam się upewnić u pana doktora...

Musiał pomyśleć, że zrobiłam skok w bok. Ale był doskonałym specjalistą i lekarzem, który niejedno w życiu widział, więc nie skomentował. Pogadaliśmy jeszcze chwilę o moim samopoczuciu i objawach, po czym poddałam się badaniu.

– Potwierdzam ciążę, pani Romo. Szósty tydzień – mówił zapatrzony w ekran aparatu do USG. Pokazał mi bijące serduszko i załączki kończyn.

I ani razu na mnie nie spojrział.

Badanie się przedłużało. Powinien je już chyba zakończyć? – pomyślałam, ale Witkowski robił swoje.

Zaczęłam się niepokoić.

– Coś nie tak? – zapytałam.

– Jeszcze tego nie wiem – odparł, nie odrywając oczu od monitora. – Wskazane byłyby badania prenatalne.

– Nie rozumiem... – Wpadłam w popłoch.

Dowiedziałam się, że fałd karkowy płodu jest nieco większy, niż przewiduje norma. Przekracza ją także nieznacznie tak zwana przezierność karkowa.

– Co to oznacza? – zapytałam przerażona.

– Że pani dziecko może mieć wadę genetyczną i cierpieć na zespół Downa.

Krew odpłynęła mi z twarzy. Pomyślałam, że zaraz zemdleję.

– Czy to pewne, panie doktorze? – usłyszałam własne słowa. Dobiegały gdzieś z daleka.

– Musimy wykonać test PAPP-A. Dam pani skierowanie, ale musi się pani uzbroić w cierpliwość. Badanie może zostać przeprowadzone dopiero między jedenastym a trzynastym tygodniem ciąży. Wtedy będzie wiarygodne. Dodatkowo zlecę tak zwane USG genetyczne, które wiele wyjaśni.

Wyszłam od Witkowskiego kompletnie rozbita. Nie dość, że byłam w ciąży z Andrzejem, to jeszcze groziło mi niepełnosprawne dziecko. Jakiś koszmar.

Najchętniej wyautowałamby się ze spotkania z tatą, ale było na to za późno. Właśnie przesłał mi wiadomość, że zajął stolik w kawiarni przy oknie i oczekuje mnie przy filizance kawy. Skierowałam zatem kroki do lokalu i z maską bizneswoman na twarzy zamasyście pomachałam tacie na powitanie.

– Cześć, córuś! Pewnie oderwałam cię od jakichś ważnych transakcji? – zapytał.

– Nie ma o czym mówić. Ciekawa jestem twojej sprawy – odparłam i przywołałam kelnerkę.

Kiedy przyniosła cappuccino, spojrzałam na tatę pytająco.

Odchrząknął. Ale ponieważ znał specyfikę działania firmy i moje obłożenie robotą, od razu przystąpił do rzeczy.

– Romeczko, chciałem się ciebie poradzić... Widzisz, poznałem kogoś. To znaczy kobietę. I spotykam się z nią od kilku miesięcy.

Tato ma kogoś tyle czasu i do tej pory ukrywa? I stryj Stefan nawet się nie zająknął?

Zaniemówiłam zdumiona.

– Kochanie, minęło trzynaście lat od śmierci mamy, więc pomyślałam sobie, że może w tej znajomości nie ma nic niestosownego – ciągnął. – To znaczy nikogo nie szukałem, bo do dziś bardzo kocham moją Anielkę. Ale... Celina zatrudniła się w naszym instytucie rok temu. Tak jakoś wpadliśmy na siebie na uczelni i... No, zaczęliśmy się spotykać.

– Jest dużo młodsza? – zapytałam, jak gdyby to miało jakieś znaczenie.

Tato gwałtownie zaprzeczył.

– Skąd! Jest prawie w moim wieku. Przecież wiesz, że nie uganiam się za studentkami. Romeczko, chciałem zasięgnąć twojej opinii, bo jesteś dla mnie najważniejsza. Sama wiesz, że nigdy nie zdradziłbym mamy. Ale teraz jej już nie ma...

Ty byłeś wierny, ale ja nie, pomyślałam ponuro. Zdradziłam Włodka, a nawet spodziewam się dziecka z innym.

Otarłam pot, który pod wpływem emocji pokrył moje czoło, i odsunęłam od siebie niewygodne myśli. Teraz rozmawialiśmy o sytuacji taty.

– Stryj Stefan zapewne wie o pani Celinie?

– Tak. Trudno, żeby nie zauważył, skoro pracujemy razem. Nie chciałem ci mówić, zanim nasz związek się nie umocni.

Czyli tato jest już całkowicie pewien tej kobiety.

Nie chciałam odmawiać mu prawa do szczęścia, chociaż poczułam żal w imieniu nieżyjącej mamy i zastryk zazdrości o kogoś, kto skradł serce jej męża. Który teraz siedział naprzeciwko mnie i czekał, co powiem.

Może gdyby nie moje problemy, zaczęłabym go wypytywać o szczegóły. Ale emocje były zbyt świeże, bym mogła skoncentrować się na ich związku.

– Tato, zasługujesz na szczęście. Na kolejną szansę. – Nie wierzyłam, że to mówię. – Ale mam do ciebie pretensje, że tak długo to przede mną ukrywałeś. Czy ta pani ma rodzinę? – Nie zdołałam nie okazać zainteresowania.

Dowiedziałam się, że podobnie jak tato pogrzebała małżonka i ma dwójkę dorosłych dzieci, które mieszkają za granicą. Wnuki ogląda raz, dwa razy do roku.

– Nie zamierzamy się pobierać – zaznaczył tato. – Przynajmniej nie na razie. Nie masz nic przeciwko temu, żeby Celina poznała dzisiaj Ewunię u Stefana? Bo chcę ją tam zaprosić.

Przytaknęłam.

– Jesteś jakaś nieswoja, Romuś – zauważył tato, gdy już odetchnął z ulgą.
– Ostatnio rzadko się spotykaliśmy, tym bardziej widać, że zmizerniałaś. Wszystko w porządku?

Naprawdę nie chciałam się zwierzać komukolwiek, zanim nie podejmę decyzji, co z ciążą, ale zdradziły mnie łzy, które nagle podeszły pod powieki.

Tato przeraził się nie na żarty.

– Jesteś chora?!

Uspokoiłam go gestem dłoni.

– Zrobiłam złą rzecz i los mnie pokarał. – Sięgnęłam po chusteczkę i otarłam oczy. – Od kilku miesięcy mam romans z klientem, a dzisiaj ginekolog potwierdził ciążę – wypaliłam.

Jak mogłam się spodziewać, tato zaniemówił.

– Doktor zalecił mi przeprowadzenie badań prenatalnych, bo podejrzewa u płodu wadę genetyczną. Mogę urodzić dziecko z zespołem Downa – dokończyłam spowiedź.

Podświadomie oczekiwałam, że lęk ubrany w słowa zostanie oswojony, lecz wcale mi nie ulżyło.

– Nie wiem, co powiedzieć – usłyszałam. – Chciałbym cię pocieszyć, pomóc, ale nie wiem jak. Włodek zna prawdę?

– Nic nie wie o Andrzeju, a tym bardziej o ciąży. Do tej pory powiedziałam Izie i teraz tobie. Jestem kompletnie załamana.

Tato podparł brodę dłońmi.

– To się narobiło... – westchnął. – Ale wierzę w ciebie. W twój rozsądek, który podpowie ci, jak postąpić. I w każdej sytuacji możesz na mnie liczyć – zadeklarował.

Posiedzieliśmy jeszcze trochę, ale zmieniliśmy temat rozmowy. Mój taktowny tato nie ciągnął mnie za język, ja nie czułam się na siłach podejmować żadnych decyzji co do przyszłości. Czekałam na powrót Izy

znad morza i solidną, szczerą rozmowę z przyjaciółką. Jak gdyby mogło to rozwiązać wszystkie moje problemy.

Postanowiłam, że zanim nie zrobię testu PAPP-A, nie będę informować o ciąży ani Włodka, ani Andrzeja. Mimo że przeczuwałam, jak trudne sześć tygodni mnie czeka.

Najchętniej zapadłabym w niedzielę sen i je przespała. Ale trzeba było podnieść się z krzesła, wrócić do firmy, a wieczorem przygotować kolację dla męża, który na weekend wracał do domu.

„Ginekolog potwierdził u mnie ciążę. Pogadamy na miejscu. R.”, napisałam do Izy.

Odpisała wspierająco.

„Nie gryź się. Zawsze chciałaś urodzić dziecko, więc urodzisz. A z facetami się poukładasz”.

Zmienisz optymistyczny ton, kiedy usłyszysz o zagrożeniu wadą genetyczną, pomyślałam z goryczą.

Najwyraźniej nie zasługiwałam na szczęście.

Rozdział 43

Marcelina

do Wigilii 2014 roku

Mój debiut we własnym samochodzie nie należał do przyjemnych, tym bardziej że odbywałam go z dzieckiem w foteliku. Wsiadałam z auta na miękkich nogach, z mokrymi plecami i spiętym karkiem. Świadomość, że narażam Witusia, nie pomagała.

– I znowu się udało, synuś, wyjść cało z miejskiej dżungli – przemawiałam do niego. Wydawał się zadowolony z wycieczki. – Nie mamy innego wyjścia, jak doskonalić swoje umiejętności – przekonywałam jego i siebie.

Hubert czasami wpadał, chociaż wyraźnie ograniczył wizyty. Rzadziej także dzwonił. Kiedy spróbowałam się z nim skontaktować, przekonałam się, co było tego przyczyną.

Damski głos, należący, jak się za chwilę dowiedziałam, do jego żony, wyjaśnił mi, gdzie moje miejsce.

– Słuchaj, zostaw Huberta w spokoju. Regularnie płaci alimenty, a nawet kupił ci samochód. To chyba i tak dużo, wzięwszy pod uwagę fakt, że jesteś dla niego obcą osobą. Bo o ile się nie mylę, nie wzięliście ślubu? – zapytała z przekąsem Aldona. – Kasy powinno ci wystarczyć na wynajęcie do tego twojego downa niańki czy innej opiekunki, prawda?

Poruszył mnie ten zasadniczy i lekceważący ton.

– Nasz syn – podkreśliłam – ma na imię Witek i jest dzieckiem z zespołem Downa, a nie żadnym downem. I nie życzę sobie, żebyś obrażała go jakimkolwiek impertynenckim słowem. A stosunki między nami a Hubertem nie powinny cię obchodzić, bo dotyczą naszej rodziny – wywaliłam bez ogródek. – Może nie związanej węzłem małżeńskim, ale

przypieczętowanej dzieckiem. Na zawsze, co radzę ci wziąć pod uwagę i zaakceptować.

Nie wiedziałam, skąd mi się wzięła taka elokwencja, ale skontrowałam celnie, bo Aldonę zatkało.

– Jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać w przyszłości, nie odbieraj telefonu Huberta – doradziłam jeszcze i przerwałam połączenie.

Chyba przesadziłam, bo mój były zarzucił kontakty. Widocznie żona skutecznie przemówiła mu do rozsądku i postawiła granice. Może nawet wystosowała jakieś ultimatum, typu ona albo ja?

Nie miałam okazji się o tym przekonać, ponieważ telefon milczał, a ja po raz drugi nie chciałam nadziać się na harpię.

Non stop urzędowaliśmy z Witkiem na mieście, realizując plan rehabilitacji i niezliczonych wizyt u specjalistów. Powróciłam do redagowania książek i robiłam to wieczorami. Pani Daria pomagała, jak mogła, ale po śmierci siostry często wyjeżdżała, żeby zlikwidować mieszkanie zmarłej i załatwić szereg formalności.

Brakowało mi towarzystwa dorosłych. Widywałam wyłącznie rehabilitantów, więc rozmowy siłą rzeczy toczyły się wokół Witka.

Synek skończył pół roku, ale o siadaniu nie było mowy. Uniemożliwiała je wiotkość mięśni, które mimo regularnych ćwiczeń pozostawiały wiele do życzenia. Ze swojej strony robiłam, co mogłam, żeby rozruszać Witusia. Masowałam go, używając różnych narzędzi: ręcznika frotté, delikatnej szczotki czy kąpielowej gąbki. Zgodnie z zaleceniami huśtałam, kołysałam, tańczyłam z nim na rękach, podrygiwałam. Byleby tylko mobilizować go do podejmowania akcji.

Bawiłam się z nim w tak zwane zabawy paluszkowe, typu „warzyła sroczka kaszkę” czy „idzie rak nieborak”. Lekarze twierdzili, że są to także formy masażu i stymulacji dotykowej palców i dłoni, wpływające również na rozwój mowy, gdyż ośrodki czuciowe dłoni w korze mózgowej znajdują się blisko ośrodków czuciowych mowy.

Mimo to Witek prawie nie wydawał dźwięków.

Starałam się jak najdłużej karmić piersią, co jest ważne dla każdego dziecka, ale szczególnie dla takiego jak moje, które miało niską odporność, spowolniony metabolizm, groziły mu alergie pokarmowe, zaburzenia funkcjonowania tarczycy i obniżona perystaltyka jelit.

Bałam się tych wszystkich komplikacji, więc wykonywałam polecenia lekarzy z należytą starannością, co skutkowało stałą, niemal nieprzerwaną obserwacją zachowań synka.

Dzień mieliśmy wypełniony od rana do nocy, ale jak na razie wszystko szło dobrze. Witek nie chorował i powoli robił postępy. Oczywiście nie takie jak inne dzieci, ale cieszył mnie każdy progres.

Pewna mądra lekarka wskazała mi drogę, którą powinniśmy kroczyć.

– Proszę nie porównywać go z innymi dziećmi, a już w żadnym wypadku nie stawać z nimi w szranki. Wituś powinien podążać własną drogą. Pani rolą jest odnaleźć w nim jego najlepsze cechy, skłonności i talenty. Efekty pojawią się w swoim czasie.

Uświadomiła mi, że moje dziecko jest wyjątkowe. I jak wyczytałam w ulotce dla rodziców z dziećmi z trisomią 21 – cuDOWNe.

Po tej rozmowie odetchnęłam. Zrozumiałam, że nie muszę stać na baczność i próbować wykrzesać z Witusia kolejnych umiejętności. Że przecież nie usiądzie, mając pół roku, ani nie zacznie raczkować jak inne dzieci. Zaczęłam cieszyć się z każdego uśmiechu synka, kontaktu z nim, najdrobniejszego wypowiedzianego dźwięku. I wreszcie z miłości, którą się nawzajem obdarzaliśmy.

Najważniejsze, że nie chorował jak inne dzieci z trisomią, które przy najmniejszej infekcji trafiały do szpitala na ostry dyżur. Że z czasem oprócz mojego mleka zaczął jeść inne pokarmy. A nawet, co było widać, wzmocnił się i przybierał na wadze.

Uwierzyłam w siebie. I jako matka, i jako osoba odpowiedzialna za to młodziutkie życie.

– Przyjedziesz do Chruśniaka na święta? – pytała Agnieszka, która utrudzona opieką nad bliźniakami, ostatnio rzadko się odzywała.

Nie udzieliłam wiążącej odpowiedzi. Miałam w perspektywie rozmowę z mamą Darią.

Zakomunikowała mi, że spodziewa się przyjazdu Aliny, zatem co do wspólnej Wigilii miałam mieszane uczucia.

Rozstrzygnął los.

W mikołajki mama Aliny przysłała do nas z prezentem dla Witusia. Mimo że od progu usiłowała okazywać dobry humor, bezbłędnie dostrzegłam jej przygnębienie.

– Przyniosłam dla ciebie kilka fajnych zabawek. – Wyjęła z torby matę edukacyjną, kostki sensoryczne, miękkie książeczki i zabawki. Wszystko z metkami. – Będziesz się nimi bawił, jak babcia wyjedzie – dodała szeptem.

Kiedy odwróciła się do mnie, dostrzegłam łzy.

– Bardzo mi przykro, Marcelinko, ale nie spotkamy się w Wigilię i święta – usłyszałam. – Postanowiłam pojechać do Irlandii. Nie mogę już dłużej trwać w niepewności, co się tam dzieje z moją córką.

– Czy to znaczy, że Ala nie zamierza przyjechać? – zapytałam.

– Właśnie. Podobno miała już wykupiony bilet, ale nastąpiły komplikacje. Nie wierzę w żadne jej słowo. Muszę sprawdzić na miejscu.

Doskonale rozumiałam mamę Darię i podzielałam jej troskę o córkę. Przecież poradzimy sobie we dwoje z Witusiem śpiewająco!

– Jasne! Jedź do Irlandii i spotkaj się z Aliną. Nie widziałyście się od roku, tak nie może być – stwierdziłam z przekonaniem. – A nami się nie martw – dodałam. – Agnieszka zaprosiła nas do Chruśniaka. Będzie mi ciebie brakować, ale chyba tu wrócisz? – Uśmiechnęłam się i wzięłam ją w ramiona.

– Oczywiście. Chciałabym z Alą.

Mama Daria, mimo wielu obaw i strachu przed samolotem, wyleciała dwa dni przed Wigilią. Dokładnie wtedy, kiedy pakowałam walizki przed wyjazdem na wieś.

Agnieszka sygnalizowała, że Poldek napalił u babci, a ona zaprosiła na kolację rodziców i teściów. A zatem będziemy w szerokim gronie.

Szczęśliwie udało mi się zakończyć redakcję książki i wysłać do wydawnictwa. Witek miał się tak dobrze, że podjął próby siadania. W każdym razie całkiem niezle trzymał pion w samochodowym foteliku. Ja również nabrałam wprawy w prowadzeniu auta. Za każdym razem, kiedy do niego wsiadałam, błogosławiłam Huberta za zakup, który ułatwił mi życie. Wprawdzie mój były się nie odzywał, ale czego się mogłam spodziewać? Miał u boku matkę i żonę.

Zadzwoił w momencie, gdy odpaliłam silnik przed drogą do Chruśniaka.

– Cześć! Właśnie ruszam na wieś – powiedziałam na powitanie. – Poczekaj, przerzucę cię na głośny. – Pokonałam skrzyżowanie i pomajstrowałam przy samochodowym komputerze. – Już jestem.

Hubert odzyskał głos.

– Marcela, przepraszam, że milczałem, ale miałem kilka egzaminów kwalifikacyjnych i byłem zajęty – próbował się usprawiedliwić.

I tak się nie spodziewałam, że łaska pańska potrwa długo.

– Trudno. Wpadniesz, kiedy znajdziesz chwilę – odparłam.

– W tym rzecz, że nieprędko – usłyszałam. – Mam propozycję robienia specjalizacji w Londynie i wyjeżdżam na początku stycznia. Czy przedtem mógłbym jeszcze zobaczyć Witka?

Nie miałam nic przeciwko.

– Przyjeźdź do Chruśniaka – wyraziłam zgodę. – No i wesołych świąt.

– Tobie, wam – poprawił się – również. W domu znajdziesz drobne prezenty – dodał.

– To chyba dopiero po świętach?

– Wysłałem je do Chruśniaka. Agnieszka mi powiedziała, że się tam wybieracie. A teraz życzę wam wspaniałych świąt. I do zobaczenia – zakończył.

Długo nie wyłączał telefonu.

Przycisnęłam czerwoną ikonkę i skręciłam w drogę na Dobrobierze, miejscowość odległą od Chruśniaka o czterdzieści kilometrów.

Święta po raz kolejny były cudne.

Duża rodzina Agnieszki i Poldka zasiadła przy stole. My z Witusiem również. Przyniosłam sos z suszonych grzybów z kaszą gryczaną i śledzie w śmietanie. Drobiazg, ale przynajmniej przyłożyłam rękę.

Witek zachowywał się znakomicie, zwłaszcza gdy śpiewaliśmy kolędy. Z zachwytem obserwował obecnych, migającą światelkami choinkę i płatki śniegu za oknem.

Po raz kolejny pomyślałam o przeprowadzce tutaj na stałe, bo w mieście, oprócz mamy Darii, nic mnie nie trzymało. Książki mogłam redagować i na wsi, a mieszkanie w mieście wynająć. Rehabilitantów miałam na miejscu.

Chwilowo pozostawiłam dla siebie te przemyślenia. Cieszyłam się atmosferą wieczoru.

Bliźnięta Agnieszki i Poldka już siedziały, a nawet próbowały wstawać w kojcu. Mój Wituś nauczył się podnosić głowę znad poduszki.

– Spojrzysz na niego? – zapytałam Agnieszkę, kiedy komórka zasygnalizowała połączenie z mamą Darią. Kiedy przejęła Witka, odebrałam.

– Tak? Co u was?

– Marcelinko, zabieram Alinę z Emily do siebie. Dobrze, że tu przyjechałam. Przykro mi, że nie mogłam spędzić z wami świąt. Ucałuj mojego wnuka.

– On też tęskni. I ja!

Odetchnęłam z ulgą. Cokolwiek wydarzyło się w Irlandii, Alina wracała do domu.

Rozdział 44

Roma

Ależ się za tobą stęskniłem! – Włodek po powrocie ze Szczecina porwał mnie w ramiona. – A gdzie Ewunia? Przywiozłem jej do kolekcji karty Pokemonów. – Rozejrzył się w poszukiwaniu córki.

– Wyprawiłam ją na weekend nad jezioro. Z obydwoma dziadkami. I mam dla ciebie hit. Dołączyła do nich nowa przyjaciółka taty, Celina. Dzisiaj się dowiedziałam o jej istnieniu. – Gadatliwością próbowałam wymigać się od powitalnych przytulanek.

Na szczęście mój mąż miał zwyczaj brać prysznic po każdej podróży, tak że i tym razem poprosił o chwilę na toaletę.

– Zaraz wracam, Romeczko. Tak nęcisz zapachami z kuchni, że przybiegnę na jednej nodze! – zawołał i zniknął.

Wyjmując z piekarnika tartę, wyobrażałam sobie, jak będzie wyglądał nasz dzisiejszy wieczór i cały weekend. Cięża ani na moment nie dawała o sobie zapomnieć, ale nie czułam się na siłach zdradzić Włodekowi swojego stanu. Nie dzisiaj, nie jutro ani pojutrze. Najlepiej nigdy, myślałam przerażona o chwili, kiedy będę musiała wyjawić prawdę.

W każdym razie, postanowiłam, do poniedziałku nabieram wody w usta. A potem wróci Iza i podpowie mi rozwiązanie.

Usiłowałam zachowywać się normalnie, a nawet wykrzesać z siebie entuzjastyczny nastrój, niestety Włodek nie dał się nabrać.

– Złapałaś jakiegoś wirusa czy masz kłopoty w firmie? – zapytał.

Przyparta do muru uciekłam się do małej konfabulacji.

– Byłam dzisiaj z tatą w kawiarni i pewnie zjadłam coś nieświeżego.

– Jesteś blada. I nawet nie spróbowałaś tej wspaniałej tarty. – Patrzył przenikliwie, sięgając po kolejny kawałek.

Kłamstewko zręcznie tłumaczyło autentyczne mdłości, które dały o sobie znać wieczorem.

– Nie jadę do żadnego lekarza – odmówiłam stanowczo sugestii, żebym się przebadala. – Wzięłam laremid i krople żołądkowe, zaraz przejdzie – uciełam.

Naturalnie słabość i nudności nie miały zamiaru przejść. Ani tego wieczoru, ani następnego dnia. W sobotę po południu poczułam się całkiem dobrze, nie na tyle jednak, by odpowiedzieć na zaproszenie taty, który chciał nas ściągnąć nad jezioro.

Ustawiłam telefon na tryb głośnomówiący.

– Stefan nałowił ryb, Celina je usmaży. Albo przygotujemy grilla. Może wpadniecie? – kusił.

– Tak, tak, przyjdźcie do nas! – usłyszałam radosny głos Ewuni. – Ciocia Celina zrobiła smakowite placuszki z jabłkami, a dla mnie hot dogi.

Dostrzegłam szeroki uśmiech Włodka. Podszedł do telefonu i serdecznie przywitał się z córką.

– Kochanie, nawet nie wiesz, jak bym chciał cię zobaczyć – powiedział. – Ale mamusia trochę źle się czuje i nie wiem...

Przerwałam mu gestem.

– Nic się nie dzieje. Trochę bolał mnie brzuch, ale już prawie przeszło. Porozmawiamy z tatusiem i zadzwonimy za chwilę – odparłam i przerwałam połączenie.

– Jedź sam. – Podałam pomysł mężowi. – Ewunia prawie cię nie widuje. Zostaniesz na noc, posiedzicie przy grillu lub ognisku, wyluzujesz. A przede wszystkim pobędziesz z córką. I zerkniesz na nową przyjaciółkę taty. – Mrugnęłam porozumiewawczo. – Na razie, jak widzę, pani Celina usiłuje trafić do jego serca przez żołądek. A ja sobie trochę wypocznę i ozdrowię przed kolejnym tygodniem – zakończyłam temat. – Jedziesz w poniedziałek do Szczecina?

Zaprzeczył.

– Tym lepiej. Pomieszkamy sobie wreszcie we trójkę. Jeszcze ci się znudzę – zażartowałam w nadziei, że pojedzie do Ewy i zostanie sama. Udawanie przed Włodkiem, że wszystko jest w porządku, sporo mnie kosztowało.

– A jeżeli ci się pogorszy?

– To po ciebie zadzwonię. To tylko dwadzieścia pięć kilometrów. Będziesz szybciej niż karetka – powiedziałam. – Żartuję, obejdzie się bez lekarza. Przed grillem zadzwonię i poinformuję o swoim stanie zdrowia, żebyś mógł wypić piwo przy ognisku.

Kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, rzuciłam się do telefonu, by zaesemesować do Izy.

„Nareszcie wyjechał. Wyczerpują mnie te matactwa i udawanie zatrucia. Iza, musimy jak najszybciej porozmawiać. Kiedy wracasz? R.”

Odpisała niezwłocznie.

„Mam dobrą wiadomość. Wracamy dzisiaj wieczorem. Zrobiło się cholernie zimno, a w naszym pensjonacie wysiadło ogrzewanie. Możemy się zobaczyć jutro z rana. Wytrzymasz? Iza”

Miód na moje serce!

Odpuściłam kawiarnię, zaprosiłam przyjaciółkę do siebie. Poszłam tylko do dobrej cukierni po kawałek jej ulubionej pavlovej. Nie mogłam się doczekać jutrzejszego ranka.

Dzwonek do drzwi odezwał się punktualnie o jedenastej.

– Tutaj też nie jest zbyt ciepło – zagadała od progu Iza, ściągnąwszy płaszcz. – Ale nad morzem sztorm i wiatr, że głowę chce oberwać.

– Co się dziwisz? Przecież to dopiero połowa marca.

– Nic mi nie mów. Biznesmeni nie pozwoliliby sobie na lokal, w którym wysiada ogrzewanie, ale naukowcom można wcisnąć wszystko – złorzeczyła. – Dobrze, że panel Tomasza odbył się dwa dni temu i mogliśmy wyjechać, bo inaczej byśmy zamazli ostatniej nocy. A i tak mój mąż ma do mnie pretensje, że nalegałam na powrót. Tyle dobrego, że Walentyna zadowolona, bo zdążyła na urodziny koleżanki. Oczywiście Ksawery chciał jeszcze dzień zostać. Nie dogodzisz. Ale ja o sobie, a tu się dzieją ważne rzeczy. Mów, co z ciążą.

Postawiłam na stole kawę i ciasto, celebrując każdy ruch. Przed przyjściem Izy wielokrotnie powtarzałam sobie w duchu, co chcę powiedzieć, ale teraz nie wiedziałam, od czego zacząć.

Przyjaciółka mi pomogła.

– Widzę, że zżera cię stres. Uporządkujmy dane. Lekarz potwierdził ciążę. Który to tydzień?

– Szósty.

Zaciśnięta krtąń się odblokowała i struny głosowe zadziały.

– Aha. To znaczy, że rozwiązanie pod koniec października?
– O tym jeszcze nie rozmawialiśmy – odparłam.
– Jak to? Przecież lekarz zawsze podaje przybliżoną datę porodu.
– Iza, Witkowski nic nie powiedział, bo pojawiły się komplikacje. Nie wiadomo, co będzie z tą ciążą. – Nie czekając na kolejne pytania, wyjaśniłam sytuację. – Słuchaj, on zlecił badania prenatalne, bo nie zgadza mu się coś w budowie dziecka.
– Pewnie przezierność karkowa? – zapytała.
– Właśnie. Skąd to wiesz?
– Sama robiłam test PAPP-A. Ale wszystko skończyło się dobrze.
Przez moment poczułam nadzieję, ale szybko powróciłam do poprzedniego nastroju.
– Witkowski to superspecjalista. On się nie myli – odparłam. – W trakcie USG gapił się na ekran z pół godziny. Mówię ci, urodzę downa! Chyba że...
– Że co?
– Może powinnam usunąć ciążę?
– Po raz drugi, Roma? Zapomniałaś o Marcinie i tabletkę?
Miałam mętlik w głowie. Doktor zalecił wykonanie testu PAPP-A między jedenastym a trzynastym tygodniem. Z tydzień przyjdzie poczekać na wynik i figa z aborcji. Pomijając już to, że w naszym kraju niemal niemożliwej do wykonania. A gdybym się zdecydowała już, jak mam ukryć przed mężem zagraniczne wojaże do jakiejś czeskiej czy słowackiej kliniki i zabieg? Zresztą czy Andrzej, jako ojciec, by się na to zgodził? Jest sam, nie dorobił się potomstwa... Raczej wątpię.
Podzieliłam się z przyjaciółką przemyśleniami.
– Rzeczywiście, sytuacja jest dość zagmatwana – przytaknęła. – Musimy sobie wszystko poukładać. Po pierwsze: czy wiesz, kto jest ojcem?
Przerwałam jej, zanim doszła do drugiego punktu.
– Oczywiście. Włodek nie może mieć dzieci, co sprawdziliśmy dwukrotnie w sporym odstępie czasu. Poza tym on często wyjeżdża i nasze życie intymne prawie nie istnieje – oznajmiłam.
– Za to to z Andrzejem ma się dobrze?
Spojrzałam na Izę spode łba. Pewnie ma mi za złe, zazdrośnica jedna!
– Miało. Bo teraz go unikam. Nie wiem, co mnie popchnęło w jego ramiona, ale stało się. A teraz jestem w ciąży.

– Dobra. Punkt drugi, Romka. Zdajesz sobie sprawę, że będziesz o niej musiała powiedzieć obu panom? I co wtedy? Wiesz, z którym chcesz wychowywać to dziecko?

Uświadomiła mi możliwość wystąpienia kilku scenariuszy. Na pierwszy ogień poszedł mój mąż.

– Włodek albo wyrzuci mnie z domu, albo sam się wyprowadzi. Pamiętasz, jak się wkurzył, gdy podsłuchał moją rozmowę z Marcinem? Wyniósł się z domu na kilka dni.

– Ale wrócił.

– Teraz jest dużo gorzej.

– Kocha Ewę.

– Ale mnie zafunduje separację lub wyprowadzkę.

– Z domu po twojej cioci?

– Okej. Wynajmie mieszkanie i zabierze Ewę.

– A gdybyś miała zostać sama z dzieckiem, a jemu zostawić Ewę? – Iza zaryzykowała kontrowersyjne rozwiązanie.

– Nigdy w życiu! Kocham ją, chociaż jej nie urodziłam. Ilekroć spotykam na mieście jej biologiczną matkę, wpadam w popłoch i czarną rozpacz, że kiedyś dopadnie nas przeszłość. Nie oddam Ewy Włodkowi.

– Ale dziecko chciałabyś urodzić? Przynajmniej tak mi mówiłaś, kiedy skończyłaś czterdziestkę.

Na chwilę zapomniałam o zagrożeniu wadą genetyczną. Odczuwałam wyłącznie wdzięczność dla losu za ostatnią szansę przed menopauzą.

– Pragnę tego dziecka – odparłam szczerze.

Przyjaciółka przetrwała tę chwilę zadumy i kontynuowała psychologiczną sesję.

– Dobrze. A jaką reakcję Andrzeja przewidujesz?

– Bardzo pozytywną. Sądzę, że nawet na dziecko z wadą. Tylko, niestety, on będzie mnie namawiał do rozstania z Włodkiem.

– A czy ty w ogóle rozważasz życie z Andrzejem?

– Nie wiem, Iza. Jest cudowny, kochający, kulturalny, aktywny zawodowo. I nie tylko. – Uśmiechnęłam się. – Ale z Włodkiem łączy nas przeszłość.

– Jeszcze Ewa, rodzina i interesy – przypomniała.

– Tak. Na swój sposób kocham jednego i drugiego. Nie musisz mi wyklądać, że Andrzejem jestem tylko zauroczona. – Uprzedziłam ciąg

dalszy. – Sama to wiem, ale przecież ludzie czasami odnajdują się w nowych związkach. No dobra. – Zrezygnowałam z filozoficznych rozważań. – Nie chciałabym aż tak radykalnie zmieniać swojego życia. Może jestem zbyt zachowawcza albo strachliwa? I mam do stracenia Ewę.

Iza wysłuchiwała do końca w milczeniu. Siedziała niemal w bezruchu. Nie przerywała, tylko kręciła głową. Poprosiła o jeszcze jedną kawę. Kiedy postawiłam na stole filiżankę, uśmiechnęła się tajemniczo.

– Znalazłam rozwiązanie twojego problemu.

Niemal podskoczyłam na krześle. A jednak Iza jest dobra na wszystko i nie bez kozery na nią czekałam!

– Nie będziesz musiała podejmować żadnej decyzji – oznajmiła moja przyjaciółka. – Panowie zdecydują za ciebie.

– Jak to?

– Zaufaj mi. Przeprowadzimy test. Posłuchaj, jak to sobie wykombinowałam...

Rozdział 45

Marcelina

do połowy stycznia 2015 roku

Po świątach długo zwlekałam z powrotem do miasta. Śnieg zasypał pola i otulił białym puchem okoliczne lasy. Wynałazłam na strychu swoje stare drewniane sanki z oparciem, w których sadzałam Witusia, i razem przemierzaliśmy dobrze mi znane ścieżki. Codziennie odkrywaliśmy razem nowe rewiry, począwszy od pobliskiego ściętego lodem jeziora, przez leśne dukty po odwiedzinę centrum wsi i sklepiku spożywczego pani Grażyny.

Pokazywałam Witusiowi otoczenie i cieszyłam się z jego reakcji na nowości.

Mój synek potrafił cieszyć się wszystkim. Kupką śniegu w garści, uśmiechem życzliwych ludzi, którzy z ciekawości przyglądali się mojemu innemu dziecku, ale przede wszystkim barwną i migającą świecidełkami choinką u cici Agnieszki, bo nasza była dość skromna. Najbardziej jednak lubił towarzystwo jej bliźniaków, Henia i Teosia, którzy próbowali stawać na własnych nogach przy jego łóżeczku.

Sadzałam Witusia na podłodze w bujanym foteliku, żeby chłopcy mieli bliższy kontakt. I to przyniosło oczekiwane rezultaty. Mój syn uczył się od nich, a któregoś dnia nareszcie usiadł.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę! – Wyraziłam wdzięczność Agnieszce za obecność jej dzieci. – Żaden rehabilitant nie jest w stanie pobudzić ośrodku mózgowego do rozwoju tak jak przykład innych dzieci. Wituś zrobił w Chruśniaku ogromne postępy.

Przytaknęła, ale uśmiechnęła się zagadkowo.

– Karmisz jeszcze? – Zmieniła temat.

Spojrzałam na nią z niemym pytaniem w oczach. Dlaczego chce wiedzieć? Ale zaprzeczyłam.

Okazało się, że nie miała na myśli niczego złego.

– Ja też straciłam już pokarm. Co byś powiedziała na kieliszek wina dziś wieczorem? Kiedy położymy dzieci.

Przyszła do mnie po ósmej.

Wituś po intensywnym dniu na powietrzu zasnął, więc wspólnymi siłami otworzyłyśmy przyniesione czerwone wino i nalałyśmy do kieliszków. Poczułam przyjemny aromat winogron zmieszany z zapachem wiśni i umoczyłam usta w bordowym płynie. Po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy. I oczywiście alkohol od razu przyjemnie zaszumił mi w głowie. Zupełnie jak na studenckich imprezach wieki temu.

Poczułam przyjemną błogość. Nagle miałam tyle lat, na ile wskazywał kalendarz. Wskoczyłam we własną skórę. Znowu byłam dwudziestoseściolatką, a nie doświadczoną przez los czterdziestką.

Wprawdzie poczucie odpowiedzialności dawało o sobie znać. Przypominało, że w sąsiednim pokoju śpi mój syn, który w każdej chwili może się obudzić i mnie potrzebować. Ale chwila nieskrępowanej wolności uderzyła mi do głowy tak bardzo, że poprosiłam o jeszcze jeden kieliszek.

Agnieszka nie omieszkała mi towarzyszyć.

– Włączę coś. – Znienacka poczułam potrzebę muzyki. Miałam jedynie radio, ale i tak dochodzące z niego dźwięki wywołały we mnie nastrój na zwierzenia. – Wiesz, Aga, boję się – wypowiedziałam słowa, które od dawna nosiłam pod czaszką.

– Czego, Marcelina? Że sobie nie poradzisz z Witusiem? Przecież doskonale sobie z nim radzisz.

– Boję się samej siebie. Czasami mam ochotę wyjechać, zmienić swoje życie. A na to nigdy nie będę mogła sobie pozwolić.

– Kiedyś poznasz odpowiedniego mężczyznę, który pokocha was oboje...

– Jasne. Zwłaszcza moje niepełnosprawne dziecko.

– Właśnie.

– Chyba nie wiesz, o czym mówisz.

– Może nie wiem, ale mam taką nadzieję. A gdybyś zdecydowała się przeprowadzić do Chruśniaka na dłużej?

Prawdę powiedziawszy, myślałam o tym, ale nie byłam gotowa na podjęcie decyzji. W mieście miałam mamę Darię; zawsze to jakaś pomoc

w codzienności i trudnych sytuacjach. Chociaż teraz, kiedy wróciła z Alinką i Emilią z Irlandii, pewnie im poświęci większość czasu. A ja jak zawsze zostanę sama.

Perspektywa nie była zachęcająca. Szczególnie teraz, kiedy wyostrzyło ją wino.

– I co ja tu będę robić? – zapytałam hardo. – Aga, ja chcę żyć! Rozwijać się, gdzieś pojechać, coś zobaczyć, przeżyć!

– Będziesz robiła to samo, co w mieście: redagowała książki, zajmowała się Witkiem, a wakacje spędzała, gdzie tylko zechcesz. Kto ci zabrania podróży? Hubert płaci alimenty, wynajmujesz część domu ośrodkowi, pracujesz. Wynajmiesz mieszkanie w mieście, będziesz miała pieniądze. A w Chruśniaku mały ma zapewnioną rehabilitację, a poza tym wspaniały klimat i warunki do rozwoju. A kiedy podrośnie, to i z nim wypuścisz się w jakąś podróż.

– Z rehabilitantem i logopedą pod rękę! – zakpiłam. – Aga, zbyt dobrze znasz nienormatywne dzieci, żeby rysować przede mną świetlaną przyszłość. Kocham Witusia z całych sił, ale jest mi trudno rezygnować ze wszystkiego.

Z uśmiechem sięgnęła po butelkę wina.

– To chociaż nie rezygnuj z jeszcze jednego kieliszka – zażartowała. – Zobaczysz, los się kiedyś odwróci i pokaże swoje jasne oblicze. Limit nieszczęść już wyczerpałaś i wychodzisz na prostą. Zostań w Chruśniaku, będziesz miała nas, a Wituś towarzystwo. A teraz, mogę już to powiedzieć głośno, po wakacjach otwieramy punkt żłobkowo-przedszkolny, zatrudniamy fachową opiekunkę, która będzie się zajmować pięciorgiem dzieci. Przygarniemy Witusia. A ty w wolnym czasie będziesz mogła pracować czy wyskoczyć do miasta. Dostaliśmy fundusze od marszałka województwa. A poza wszystkim każda para rąk się przyda. Również twoja – dodała.

Przyznaję, zabrzmiało to poważnie i konkretnie. Jednak z ostatecznym „tak” dla Chruśniaka wstrzymałam się do spotkania z mamą Darią.

Witek tak dobrze rozwijał się na wsi, że nie chciałam ciągnąć go do domu. Ale tam czekały sprawy do załatwienia.

Spakowałam torby, ulokowałam synka w foteliku i ruszyłam w drogę.

Wprawdzie Hubert nie przyjechał do Chruśniaka i nie zobaczył syna przed wyjazdem do Londynu, ale przesłał sporą paczkę zabawek i ubrań,

do których dołączył informację o przelewie na dziesięć tysięcy złotych. Domyśliłam się, że to za plecami żony.

– Widzisz, może jednak nie jest taki zły? – Agnieszka cieszyła się razem ze mną. – Związku nie odbudujecie, ale oby ci pomagał jak najdłużej. Szkoda tylko jego kontaktu z Witusiem. Na odległość trudno go utrzymać.

Przypomniałam sobie naszą miłość i wspólne plany. Czas beztroski, wakacyjnych uniesień i bezgranicznej wiary, że nareszcie znalazłam przystań. To działo się tylko półtora roku temu. Niedawno. Ale w kontekście zdarzeń w prehistorii.

– Masz rację, niech płaci – skwitowałam, chociaż w głębi duszy pragnęłam podziękować mu za prezenty i przelew. A może po prostu czułam się samotna i potrzebowałam mężczyzny? Zwłaszcza ojca mojego dziecka? Choćby tylko na chwilę.

Zadzwoiłam do niego natychmiast po powrocie. Odebrał od razu. Ton jego głosu wskazywał na radość.

– Przyjechaliście? Lot dopiero za dwa dni. Mogę na chwilę wpaść?

Czy może? Oczywiście!

Poczułam namiastkę szczęścia. A jeśli zmieni zdanie i zechce do nas wrócić? W tym momencie byłam nawet skłonna mu wybaczyć i przyjąć go z otwartymi ramionami. Nie był sobą, kiedy mnie odsuwał z powodu wady genetycznej Witusia. A poza tym był pod wpływem rodziców, którzy pewnie zaaranżowali cały ten ślub z Aldoną.

W wyniku nagle rozpalonej miłości do Huberta przygotowałam kolację. Czekałam niecierpliwie.

Wbrew moim oczekiwaniom poprowadził rozmowę rzeczowo i racjonalnie. Podziwiał postępy synka, pytał o moje najbliższe plany.

– Agnieszka zaproponowała mi przenosiny do Chruśniaka – poinformowałam. – I właściwie skłaniam się ku temu. Zastanawiam się tylko, czy mieszkanie w mieście puścić w wynajem.

– Zostaw je sobie na wszelki wypadek – poradził. – Zawsze to wentyl bezpieczeństwa. Będiesz mogła w każdej chwili wrócić. Kiedy na przykład znudzi cię życie na wsi albo Wituś będzie potrzebować opieki lekarskiej. Marcelina, wiem, że zawiodłem, przepraszam. Nigdy o was nie zapomnę, a jako lekarz wiem, jak trudno jest z dzieckiem zespołowym. Obiecuję, że będę was wspierać finansowo, a matce i Aldonie nic do tego. Jak widzisz, dorosłem – roześmiał się smutno.

Miałam ochotę zawołać, że wciąż wszystko można odmienić, że powroty się zdarzają, ale Hubert nie był na to gotowy. Mówił o szansie, jaką jest specjalizacja w Londynie, a ja pojęłam, że obrał już jedyny słuszny kierunek.

– Tak zrobię – odparłam. – Nie będę wynajmować. Wiesz, dopadły mnie ostatnio złe myśli. – Nie wiadomo dlaczego wzięło mnie na zwierzenia. – Mnie też gnało w świat, zapragnęłam zmienić otoczenie, zacząć się realizować, poznawać coś nowego. Agnieszka mnie uspokoiła.

– Co powiedziała? – zapytał.

– Że kiedyś spotkam kogoś, kto pokocha mnie i Witusia. Życzysz mi tego?

Hubert spojrzął z ukosa i zmarszczył brwi, a ja poczułam coś w rodzaju satysfakcji. Zazdrość czy tylko mi się wydawało?

– Życzę ci, Marcela, wszystkiego najlepszego. – Wypowiedział tych kilka słów, trzymając mnie za rękę. – Żałuję rzeczy, które nas poróżniły, ale teraz nie ma do czego wracać. Ale pamiętaj, że jestem, i kiedy tylko będziesz potrzebować pomocy, dawaj znać. I nie przejmuj się ani matką, ani Aldoną, jeżeli przyjdzie im do głowy cię niepokoić. Odezwę się z Londynu – zakończył i poszedł do pokoju Witusia.

Pewnie się pożegnać.

Kiedy wyszedł, poruszona zadzwoniłam do Agnieszki.

– Cóż, Marcelinko, pora zdać sobie sprawę, że on wybrał inne życie – westchnęła. – Ale te jego deklaracje są miłe.

– Jesteś okrutna!

– Tylko racjonalna. Radzę ci pilnować alimentów i wyciągać rękę po więcej. Bo to w końcu ty opiekujesz się Witusiem na co dzień i składasz swoje życie na ołtarzu jego niepełnosprawności. Hubert jedzie do Londynu z Aldoną robić karierę. I pewnie także ich wspólne dzieci, więc ze zobowiązaniami wobec Witka może być różnie. Nie trać czujności.

Wylała mi solidny kubeł zimnej wody na głowę. Aż się zezłościłam.

– Daj spokój, Aga! Co tobą powoduje, że tak mi dokładasz? – krzyknęłam i przerwałam połączenie.

Nie reagowałam, mimo że próbowała dzwonić.

„Marcela, przepraszam, jeśli cię uraziłam. Chyba przesadziłam z wchodzeniem buciorami w twoje życie. Rób, co uważasz, a najlepiej wracaj do nas, do Chruśniaka. Jesteśmy twoją rodziną i czekamy.

A najbardziej Henio i Teodor na Witusia. Wybacz. Aga”, przeczytałam w końcu esemesa.

Nie miałam ochoty odpisywać, ale po części odzyskałam spokój.

Niestety, wkrótce miał zostać naruszony.

– Marcela, jesteś w mieście? – usłyszałam w komórce radosny głos Ali. – Ja też, i nawet nie wiesz, jak się cieszę. Przyjdź z małym, nareszcie się zobaczymy. No, chyba że masz inne plany?

– Żadne nie są ważniejsze od spotkania z tobą. I oczywiście z Emily.

Usłyszałam westchnienie ulgi.

– To wpadajcie z Witusiem o czwartej albo kiedy tylko zechcecie. Czekaamy!

Rozdział 46

Roma

Nie, nie, nie! I jeszcze raz nie, Iza! – zawołałam. – Oni mają decydować o tym, co zrobię? Zapomniałaś, że też mam coś do powiedzenia? Rzekłabym, że najwięcej. A ty mi proponujesz casting na ojca!

Nie przestałam liczyć się ze zdaniem przyjaciółki, ale proponowane rozwiązanie wywołało we mnie odruchowy bunt. Zarówno Włodka, jak i Andrzeja powinnam poinformować, ale nie wolno mi przerzucać na nich decyzji!

Sytuacja była skomplikowana. Włodek był moim mężem – kochałam go i wychowywałam z nim Ewunię – Andrzej, mimo wszystko, zaledwie zauroczeniem. Wprawdzie nasz związek był intensywny, ale zdawałam sobie sprawę, że kiedyś musi się zakończyć. Choćby przez wzgląd na przeszłość, której nie mogłam wymazać jednym pstryknięciem palców. Odwlekałam ten moment, desperacko łapiąc każdą chwilę z Andrzejem, ale wiedziałam, że podążam w kierunku przepaści.

Iza nie zrozumiała mojej reakcji.

– Ale dlaczego? – zapytała.

– Bo to nieuczciwe. To ja muszę wybrać związek, w którym będę. Nie oni.

– I zdecydować, co z dzieckiem – dodała.

Niestety, miała rację. Obawiałam się reakcji Włodka na mój romans i ciężę z innym. I potencjalnie zespołowe dziecko. Nie miałam pojęcia, jak zareaguje Andrzej, ponieważ tak naprawdę wcale go nie znałam.

Byłam w czarnej dziurze.

– Wiesz, Iza – odezwałam się po krótkim zastanowieniu – tak czy inaczej, jestem w kiepskiej sytuacji. Może warto, jak w ruletce, zdać się na los?

– To znaczy?

– Wyznać prawdę obu i przyjąć ich reakcję na klatę. A potem podjąć decyzję, co robić. To będzie uczciwe.

Przyjaciółka spojrzała mi głęboko w oczy.

– I może być bolesne.

– Owszem. Ale właśnie tak zrobię – postanowiłam.

Przez moment poczułam się lepiej. Do chwili, kiedy nadszedł czas, by stawić czoła problemowi.

W kolejny poniedziałek spotkałam się z Andrzejem w Toruniu. Remont kamienicy ruszył, byliśmy umówieni z konserwatorem i mieliśmy kilka papierów do podpisania. Widziałam po jego oczach, że chce jak najszybciej dopiąć formalności, by nareszcie zostać ze mną sam na sam. Ja podobnie. Marzyłam o jego objęciach, ale praca zajęła nam czas do wieczora.

Nie spodziewałam się, że kolacja, którą zamówił w naszej ulubionej restauracji, będzie aż tak brzemienna w skutki.

– Czego się napijesz? – zapytał, kiedy zajęliśmy miejsca przy stoliku.

– Wody z cytryną – odparłam, odsuwając kartę.

– Może i masz rację – mruknął. – Nie mają tu dobrego wina. Ale przywiozłem z Bretanii kilka butelek muscadeta, tylko dla ciebie. – Obdarzył mnie tym swoim rozbrajającym uśmiechem.

Zatopiona w jego oczach niemal zapomniałam, z jakiego powodu tu byłam.

Andrzej był w doskonałym nastroju, ale ja nie potrafiłam pozbyć się wrażenia, że jestem jak przyczajony drapieżnik, który zamierza napaść na ofiarę. Jednak mimo wyrzutów sumienia, że zaraz zmiotę z powierzchni ziemi krążące nad stołem feromony, zaczęłam mówić.

– Andrzej, jestem w ciąży – wypaliłam.

Kelner postawił na stole wołowe policzki w winie, z karmelizowaną marchewką i plasterkami buraka. I oczywiście z tymi modnymi, słodkimi amerykańskimi ziemniakami, których nie znosiłam.

– Jak to? – Złapał mnie za rękę, zanim kelner zdążył się oddalić. – Ze mną?

Woda, w którą się rzuciłam, okazała się zbyt głęboka. Na moment straciłam głos. Co miałam mu odpowiedzieć? Że Włodek jest bezpłodny, ale tak naprawdę niezbadane są wyroki losu, więc nie wiem, kto jest ojcem?

– Ze mną? – powtórzył pytanie.

– Nie wiem – odparłam zgodnie z prawdą. – Możliwe.

Przeraził mnie blask w jego oczach. Niepotrzebnie dałam mu nadzieję.

– To wspaniale, Roma! Jestem w szoku!

Milczałam aż do deseru. O wątpliwościach lekarza wspomniałam dopiero przy kawie.

– Sam widzisz, że informacja nie jest jednoznacznie dobra – dodałam. – A test PAPP-A mogę zrobić dopiero za sześć tygodni.

Spodziewałam się zawodu, lecz Andrzej ani na chwilę nie stracił humoru.

– Będziesz miała dziecko, kochanie, mam nadzieję, że moje! Nieważne, takie czy inne! Zawsze możesz na mnie liczyć. Bo cię Kocham, i to małństwo też.

Nie ułatwia! Chyba wolałabym odrzucenie, a tu taki entuzjazm!

Straciłam ochotę i na dalszą rozmowę, i na seks. Pożegnałam się i poprosiłam o czas.

– Andrzej, muszę porozmawiać z mężem i zastanowić się, co dalej.

Najeżył się. Ale przecież „ten drugi” musi być cierpliwy.

– Jasne – odparł. – Czekam na telefon od ciebie. I uważaj na drodze. Szczególnie teraz. – Przytulił mnie i wsunął dłoń w moje włosy. – I pamiętaj o zaproszeniu do Bretanii.

Jeździłam trochę po Europie, ale północno-zachodnie rewiry Francji były dla mnie białą plamą. Chętnie bym tam podryfowała, tylko jak to zrobić? Do tej pory żaden klient nie zapraszał mnie do siebie. Zresztą samotna podróż nie wchodziła w rachubę.

Najprawdopodobniej wypad do francuskiej krainy klifów, silnych atlantyckich fal, kamiennych domków przystrojonych kwiatami, tajemniczej, nieco surowej, ale i romantycznej przyrody, średniowiecznych zamków i katedr spali na panewce, westchnęłam.

Tym bardziej że Włodek już umówił z rodzicami w Maladze najbliższe wakacje. A ponieważ po roku studiów w Stanach miała do nas dołączyć Angela, zapowiadała się niezła impreza.

Tyle że ze mną w ciąży.

Odepchnęłam myśli o hiszpańskiej riwierze w rodzinnym gronie. Po rozmowie z Włodkiem wszystko może się zmienić.

Sprzeczka z Izą poszła w niepamięć. Zwłaszcza że po spotkaniu z Andrzejem potrzebowałam rozmowy.

– Wiesz, że on byłby bardzo szczęśliwy, gdyby okazał się ojcem? – zakomunikowałam bez wstępów.

– Kto, Romka? – Nie rozumiała.

– Andrzej. Wracam z Torunia.

– A zatem pierwszy test wykonany!

– Nie przeprowadzałam żadnego testu, Iza! – podniosłam głos. – Tylko powiedziałam mu o ciąży. I dobrze poszło. Dużo bardziej obawiam się reakcji Włodka.

– Bo bardziej ci zależy, Roma. A poza tym on się dowie, że go zdradziłaś, a to spory kaliber. Trzymaj się. I w jednym masz rację, trzeba postawić na szczerłość. Prawda i tak zawsze wypływa na wierzch.

Zjechałam do domu wczesnym wieczorem. Marcowe dni były już całkiem długie, ale zaparkowałam już po zmroku.

Weszłam do mieszkania z torebką precli, które zawsze kupowałam w jednej z toruńskich piekarni. Ewa i Włodek bardzo je lubili.

– Cześć! Jestem! – zawołałam od progu i poszłam do garderoby, by odwiesić kurtkę.

Ewunia przybiegła ze swojego pokoju i rzuciła mi się na szyję.

– Mamy dla ciebie niespodziankę! – oznajmiła przejęta. – Upiekliśmy kulawik z panią Zdzisią!

– Kulebiak, córciu – poprawił ją Włodek. – Pewnie jesteś głodna, kochanie? – Pośpieszył z buziakiem.

Odwzajemniłam pocałunek pełna wyrzutów sumienia z powodu tego, co zamierzałam mu zafundować.

Postanowiłam nie odwlekać wyznania prawdy.

Rozdział 47

Roma

Ewunia, jak na złość, nie zamierzała zebrać się do łóżka. A ja nie mogłam przełożyć rozmowy, ponieważ Włodek pojutrze wybierał się do Szczecina. Nie chciałam dostarczać mu emocji przed drogą.

Nasza córka padła dopiero około jedenastej.

– Nareszcie sami! – Włodek rozparł się na kanapie. – Napijemy się wina?

Miałam ochotę, by przy nim usiąść i się przytulić.

– Nie teraz, kochanie – powiedziałam zamiast tego. – Muszę z tobą poważnie porozmawiać.

Mój własny głos dobiegał z oddali. Poczułam, że głowę ściska mi niewidzialna kłamra. Musiałam na chwilę przycupnąć na krześle.

Włodek poderwał się z kanapy.

– Co ci jest? Źle się czujesz? – Zaniepokojony przyłożył dłoń do mojego czoła.

Odsunęłam ją.

– Wszystko w porządku – uspokoiłam męża. – Zakręciło mi się w głowie, nic takiego. Mógłbyś zaparzyć melisę?

Wysyłanie Włodka do kuchni dało mi chwilę na kilka głębokich oddechów i opanowanie ataku paniki. Cholernie się bałam.

– Jest. – Postawił na stole szklany dzbanuszek.

Widziałam jego niepokój. Nie było sensu przedłużać dramatu.

– Włodek, usiądź, proszę. I mnie wysłuchaj.

Napięcie sięgnęło zenitu.

– Jesteś chora! Coś ci jest, prawda? – niemal krzyknął. – Podejrzywałem, bo ostatnio ciągle źle się czułaś. Mów, nie trzymaj mnie dłużej w niepewności!

– Jestem w ciąży – oznajmiłam po raz drugi tego dnia.

Tyle że adresatem był inny mężczyzna.

– Co takiego...? To wspaniała nowina! Wiesz już na pewno? Byłaś u lekarza? – Podniecony Włodek mnożył pytania.

– Tak. To szósty tydzień – potwierdziłam.

Mój mąż wyglądał tak, jakby chciał odtańczyć taniec radości. Ale na mojej twarzy gościł lęk.

– Czym się zajmujesz, Romeczko, żonko kochana? – Włodek to zauważył. – Nareszcie nam się udało! Stary bezpłodny mąż nareszcie się spisał! Będziesz miała... Co ja mówię, będziemy mieli, jak zawsze chciałaś, własne dziecko, a Ewunia rodzeństwo! Znasz już płęć?

Nalał sobie kieliszek wina i wychylił do dna.

Nie miał pojęcia, co za chwilę usłyszy.

– Włodek, usiądź, proszę. – Z bólem serca przerwałam ten festiwal radości. – I wysłuchaj mnie do końca.

Spojrzał na mnie i wykonał polecenie. Jednak powstrzymanie się od pytań było ponad jego siły.

– Jesteś podminowana – powiedział. – Cięża jest zagrożona, tak? Damy sobie z tym radę. Niczym się nie martw. Będziesz leżeć do samego rozwiązania, a ja będę się tobą opiekował.

Wobec takiego entuzjazmu uszła ze mnie para. I zapewne poddałabym się, gdyby nie wiadomość od Izy, którą zasygnalizowała melodyjka iPhone'a.

„Trzymam kciuki za ciebie. Dasz radę”, odczytałam i położyłam głowę pod topór.

– Włodek, mam ci sporo do powiedzenia – zaczęłam. – Ale proszę, wysłuchaj mnie do końca, zanim ocenisz. – Żeby nie stchórzyć, usiłowałam nie patrzeć mu w oczy. – Od kilku miesięcy mam romans z Andrzejem Konieckim, naszym toruńskim klientem. Przypuszczam, że to jego dziecko.

Przygotowałam sobie długą przemowę, a skończyło się na dwóch zdaniach.

– To niemożliwe... – Włodek patrzył z niedowierzaniem. – Powiedz, że to nieprawda.

Milczałam.

– Spałaś z nim? – zadał pytanie retoryczne w kontekście ciąży, która przecież nie bierze się z trzymania za rączki. – Dlaczego? Stałem się dla ciebie nieatrakcyjny, bo nie dałem ci dziecka? Roma? Co ty zrobiłaś!

I bez tego moje wiarołomstwo było dla mnie powodem do wstydu. A ponadto obawiałam się, że zaraz zostanie mi wypomniana studencka przeszłość i Marcin Wilczyński.

Pewnie mój mąż pomyślał, że na stare lata odezwała się we mnie natura ladacznicy, pokiwałam głową.

– Włodek, nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego zbliżyłam się do Andrzeja, ale stało się. Jeżeli poprawi ci to humor, to od jakiegoś czasu chciałam z nim zerwać. I pewnie bym to zrobiła, gdyby nie ciąża.

– Czy on wie?

– Dzisiaj mu powiedziałam. I jak widzisz, przed tobą również niczego nie ukrywam.

Włodek zmienił się na twarzy.

– Co za humanitarne podejście! – zakpił. – Poinformowanie męża zaraz po kochanku! Z tym że to kochanek będzie miał dziecko, a mąż dowiaduje się, że ma rogi. Roma, o co ci chodzi? Co chcesz mi powiedzieć? Że rzucisz kochanka i razem będziemy wychowywać jego dziecko? A może zamierzasz przeprowadzić się do Francji?

– Chciałam być wobec ciebie uczciwa... – wyszeptałam.

– Trzeba było o tym myśleć kilka miesięcy temu, kiedy z nim zaczynałaś! To niewyobrażalne! Przez moment miałem nadzieję, że zostanę ojcem, a po chwili stałem się zwykłym jeleniem. Roma, nie znajduję słów, żeby ci powiedzieć, jak bardzo mnie uraziłaś. Najlepiej układaj sobie życie z tym człowiekiem. Nareszcie będziesz miała swoje biologiczne dziecko, a nie adoptowaną Ewę. I faceta, który ma na tyle dobre nasienie, żeby cię zapłodnić. Bo mnie się nie udało.

Rozumiałam jego gniew i rozgoryczenie, ale ostatnie zdania mi się nie spodobały.

– Mam wyrzuty sumienia z powodu romansu, niemniej przesadziłeś z sugestią, że szukałam dawcy nasienia. Nigdy nie robiłam ci wymówek z powodu bezpłodności. Kocham Ewę ponad życie, i ciebie też, jak również nasze życie. Stało się z Andrzejem, to fakt. Nie zostanę z nim. Ale on chce być obecny w życiu swojego dziecka, nawet jeżeli ono okaże się niepełnosprawne – zakończyłam.

– O czym ty mówisz? – spytał zaskoczony.

Powiedziałam, czego dowiedziałam się od lekarza, i wspomniałam o skierowaniu na badania prenatalne.

– Włodek, to dziecko może urodzić się z zespołem Downa – podsumowałam. – Więc sam widzisz...

Wiadomość zrobiła na moim mężu piorunujące wrażenie. Chyba nawet przyćmiła moją zdradę.

– Roma, muszę się z tym wszystkim przespać – oznajmił.

Zostałam na kanapie w salonie. Zmęczona i przeczołgana emocjonalnie, naciągnęłam na siebie koc i zasnęłam.

Następny dzień zaczęliśmy jak gdyby nigdy nic. Przed przyjściem pani Zdzisławy zdążyłam zwinąć się z salonu i przygotować śniadanie Ewuni.

Włodek przyspieszył wyjazd i ruszył z samego rana.

Nie wiedziałam, co myśleć, a nawet nie chciałam. Zrobiłam, co do mnie należało, poinformowałam o sytuacji zainteresowanych, więc jak co dzień poszłam do pracy.

– Zadanie wykonane – poinformowałam Iżę, kiedy zadzwoniła około dwunastej z zaproszeniem na lunch. – Andrzej się cieszy, Włodek jak na razie nie wyrzucił mnie z domu. Zobaczymy, co będzie dalej.

– A gdzie ty jesteś w tym wszystkim? – zapytała w knajpce, gdy grzebałam w talerzu pełnym zielonego makaronu z grzybami i serem. – Postanowiłaś jednak czekać, aż oni zdecydują?

– Przecież jeszcze niedawno sugerowałaś mi takie rozwiązanie – przypomniałam.

– Byłam głupia. Roma, jesteś w ciąży, nie możesz pozwolić powodować sobą facetom. Chcesz tego dziecka czy nie?

Miałam ochotę powiedzieć, że zdecyduję po teście PAPP-A, ale myśl o nowym życiu, które nosiłam, zmieniała perspektywę.

– Chyba tak... Tak! – poprawiłam się. – Czuję je. – Poglaskałam się po brzuchu. – Ale mam ogromne wyrzuty sumienia wobec Włodka i Ewy. Włodek wyjechał i nie daje znaku życia.

– Poczekaj. Może się dogadacie – wsparła mnie, chociaż nie dostrzegałam w jej oczach optymizmu.

Może tak, może nie, pomyślałam, ale słowa przyjaciółki mnie uspokoiły. W każdym razie moje poczęte dziecko nie powinno na tym ucierpieć.

Kolejne tygodnie żyłam w oczekiwaniu na test. Włodka poprosiłam o zawieszenie broni, Andrzeja o rzadsze kontakty. Obaj zrozumieli, więc mogłam funkcjonować w stanie zawieszenia.

Wreszcie wybrałam się po odbiór wyników.

– Może pójść z tobą? – zapytał Włodek.

– Poradzę sobie, ale dziękuję – odparłam, sięgając po płaszcz. – A ty nie powinieneś dzisiaj jechać? – Przypomniałam sobie.

– Czekam na ciebie w domu – usłyszałam.

„Daj znać po wyjściu z kliniki. Jestem z tobą”, odczytałam esemesa od Andrzeja.

Przed wejściem do gabinetu rozpadłam się na atomy, w głębi duszy przygotowana na złe wiadomości. Przecież doktor Witkowski nie mógł się mylić.

– Proszę usiąść. – Lekarz wskazał mi miejsce naprzeciw siebie. – Pani Roma Jońska? – zapytał znad kartki papieru, która zawierała wiedzę na temat przyszłości mojego dziecka.

– Tak, to ja.

Omiótł kartkę wzrokiem i obdarzył mnie badawczym spojrzeniem.

– Pani Romo, z badań wynika, że wszystko jest w porządku. Płód rozwija się prawidłowo. Wykluczaliśmy wady genetyczne. Może pani wracać pod opiekę swojego ginekologa. Źle się pani czuje?! Siostró, wody! – usłyszałam, zanim osunęłam się na ziemię.

Rozdział 48

Marcelina

od stycznia 2015 do grudnia 2022 roku

Alina otworzyła nam drzwi z prześliczną rudowłosą dziewczynką na rękach. Mała chyba spodobała się Witusiowi, bo aż pisnął z zachwytu i wyciągnął do niej łapki.

– On by się tylko do wszystkich przytulał. Taka natura każdego zespolaka – roześmiałam się i cała nasza czwórka padła sobie w objęcia.

– Zespolaka? – zapytała Ala.

– Tak nazywa się dzieci z zespołem Downa – wyjaśniłam, wyciągając małego z kombinezonu i jednocześnie przyglądając się małej Emily. – Jaka ona ładna! – Nie mogłam powstrzymać się od szczerego zachwytu. – Jesteś prawdziwym klejnotem! – zwróciłam się do córeczki Aliny, ale ta nie odezwała się ani słowem.

– Rozumie głównie po angielsku – wyjaśniła Ala. – Ale mam nadzieję, że tutaj zrobię z niej prawdziwą Polkę.

Czułam, że ma mi dużo do powiedzenia, ale na razie celebrowaliśmy radość ze spotkania.

– Gdzie mama? – zapytałam, nie dostrzegłszy pani Darii kręcącej się w pobliżu.

– Wybiegła po śmietankę do kawy. Była bardzo dzielna, że przyleciała do nas do Irlandii.

– Długo zabawicie?

Pytanie sprawiło, że twarz mojej przyjaciółki stężała.

– Nie wiem, Marcela. Oby jak najdłużej – odparła Ala, tuląc do siebie córkę.

Postanowiłam poczekać na wyjaśnienia do czasu, aż będzie gotowa.

Obie z mamą Darią miałyśmy poważne obawy, czy nasza Alinka nie popadła w jakieś tarapaty. Ale teraz była tutaj, na miejscu, w bezpiecznym domu. Prawda mogła poczekać.

Przyglądałam się przyjaciółce z troską, której nie chciałam okazywać, bo zmizerniała i przygasła. Mimo że wydawała okrzyki zachwytu nad Witusiem.

– Gdybym nie wiedziała, że to mały down, chyba bym się nie domyśliła – usłyszałam.

– Daj spokój. Każde dziecko z trisomią ma to wypisane na twarzy. Ale to tylko cechy zewnętrzne. Wituś jest moim największym skarbem. Szczególnie gdy śpi i jeść nie woła – przytoczyłam ogólnie znane powiedzonko.

Posadziłyśmy dzieci na podłodze wśród zabawek. Wszystko wskazywało na to, że dadzą nam chwilę spokoju.

– Jest bardzo towarzyski. – Alina pokiwała głową z uznaniem, przyglądając się mojemu dziecku.

– Przyzwyczajony do chłopców Agnieszki. – W kilku zdaniach opisałam nasze życie w Chruśniaku. – A poza tym mówiłam ci, on łączy się do wszystkich. Kocha, przytula się i nie daje spokoju. A Emily jest cudowna. – Po raz któryś pochwaliłam urodę małej. – Nie wiem, czy podobna do ojca – puściłam oko – ale kolor włosów ma chyba po irlandzkich przodkach?

– O tak. I wystarczy.

Zanim Ala pociągnęła temat, obie usłyszałyśmy odgłos przekręcanej w drzwiach klucza.

Wróciła pani Daria.

Miałam pewien problem, jak o niej myśleć czy w jaki sposób się do niej zwracać, bo teraz, przy Alince, chyba nie wypadało mówić do niej mamó.

– O, widzę, że przyszła moja druga córka z wnuczkiem! – Pani Daria przecięła ten węzeł gordyjski natychmiast. – Witajcie, kochani! – Przytuliła najpierw mnie, a potem Witka.

Spojrzałam na Alinę z niemym pytaniem w oczach, czy pozwala na takie poufałości, ale tylko się roześmiała.

– Siostrzyczko, czy mogę zaproponować ci kawę ze śmietanką? – zapytała radośnie i odebrała od matki torbę z zakupami, by zanieść ją do kuchni.

Kawa przeciągnęła się do obiadu, w trakcie którego mama Daria uraczyła nas solidną porcją pierogów. A kiedy dzieciaki zapadły w popołudniową drzemkę, mogliśmy nareszcie szczerze i spokojnie porozmawiać. We trzy.

Alina najwyraźniej dojrzała, by opowiedzieć mi o półtorarocznej nieobecności w Polsce i życiu w rodzinie Steve'a.

– Na początku bardzo mi się tam podobało. Byłam zakochana i otwarta na wszelkie nowości. Matka i kilka ciotek Steve'a przygotowały na nasz przyjazd solidne przyjęcie, wszyscy się cieszyli. Zamieszkaliśmy na piąterku, w domu jego rodziców. Zwiedzałam okolicę, którą byłam zauroczona. Zielone pola i łąki ogrodzone kamiennymi, omszałymi murkami lub stertami kamieni, wspaniałe, śródpolne stare drzewa, nawet stu- lub dwustuletnie, a nad morzem klify. No i te ich klimatyczne puby! – westchnęła. – Stare, obdrapane, siedzi się w nich na siermiężnych krzesłach i w fotelach, których nikt nie zamierza poddawać renowacji, wśród skrzyń po amunicji i przy nadjedzonym przez korniki barze. Wokół wisi moc nikomu niepotrzebnych przedmiotów: jakiś stary rower, gliniane naczynia, czarno-białe fotografie. I oczywiście tarcza do rzutków. Starzy bywalcy popijają guinnessa... Steve zafundował mi takie wejście, że wow! A potem skończył mu się urlop i zostałam sama z jego rodziną... – zamilkła. – Na początku nie było źle, ale z czasem zaczęli się wtrącać – podjęła Ala. – Naciskali na ślub. A kiedy wspominałam o przyjeździe do Polski, nabierali wody w usta. Poczułam się jak księżniczka zamknięta w wieży. Miałam ochotę wyjść sama, spotkać się z Polakami, porozmawiać w ojczystym języku. Ale matka Steve'a zawsze wynajdywała jakiś powód, by mnie zatrzymać. Przeważnie kulinarny. – Uśmiechnęła się smutno. – Zawsze miałyśmy coś do ugotowania, bo jej syn akurat kończył trasę. Albo pudełka do spakowania, bo się w nią wybierał. A do tego szóstka jego rodzeństwa, niektórzy już z rodzinami. I te ich niekończące się okazje do spotkań.

– Steve, chciałabym zobaczyć się z mamą – poprosiłam któregoś dnia.

Byłam bardzo stęskniona za Polską i za tą oto kobietą. – Spojrzała z czułością na matkę.

– Oczywiście, kochanie – usłyszałam. – Ale chyba nie dzisiaj wieczoru? Bardzo chciałabym, żebyś mi towarzyszyła.

Właśnie wtedy wynajął barcę, na której mi się oświadczył. Atmosfera i bliskość Steve'a sprawiły, że poczułam ogromną wdzięczność do losu. Nie pragnęłam niczego innego. Po raz kolejny dałam się omamić. Minęło sporo

czasu, zanim zorientowałam się, że Steve i jego rodzina izolują mnie od Polski i od mamy.

Wchodził do pokoju, kiedy rozmawialiśmy na Skypie. Nie pracowałam, a on nie dawał mi zbyt dużo pieniędzy, żebym nie zaczęła kombinować z wyjazdem. Cięża rosła, a matka Steve'a otaczała mnie coraz szczelniejszym kokonem. Usłyszałam, że w ciąży podróże nie są wskazane i że ona, jako doświadczona matka siedmiorga dzieci, zaopiekuje się mną znakomicie. Kiedy urodziła się Emily, z tymi swoimi rudymi kędziorkami, radości było co niemiara. Też się cieszyłam. W pierwszych miesiącach życia małej poświęciłam się jej całkowicie. – Ala zaczerpnęła powietrza. – A zatem celebrowano nowego członka rodziny, dając mi do zrozumienia, że jestem ważna, bo dałam Steve'owi córkę. Jego krewni planowali, że kolejny będzie chłopiec, ponieważ mój teść oczekiwał kontynuacji rodu. Ale wreszcie, przed świętami Bożego Narodzenia, porozmawiałam z mężem. A kiedy nie wyraził zgody na mój przyjazd do Polski, postawiłam się wszystkim.

– Dlaczego mi to robicie? Czemu nie pozwalacie mi na kontakty z matką?

– Nic podobnego! – Teściowa zareagowała oburzeniem, jak niesprawiedliwie oskarżona. – Emily jest jeszcze malutka, pozwólmy jej trochę okrzepnąć, zanim wyruszy w podróż samolotem. Może twoja mama przyleci do nas?

Uczepiła się tego argumentu, bo wiedziała, że mama boi się latać.

– Dobrze, w takim razie zaproszę ją na święta.

A kiedy przyjechałaś, mamuś – Ala spojrzała czule na rodzicielkę – myślałam już o tylko o pakowaniu walizek. Nie potrafię żyć z ludźmi, którzy mnie osaczają, a Steve nigdy się nie zmieni.

Historia jak z filmu, ale czy z happy endem? – pomyślałam.

– Nie zamierzasz wracać?

– Nie. Przynajmniej nie w tej chwili. Chcę iść do pracy i nauczyć Emilkę mówić po polsku. I nareszcie odetchnąć pełną piersią. Irlandzka rodzinka będzie musiała obyć się smakiem. Nie oddam im małej!

Nie byłam pewna, czy się to uda, bo prawo międzynarodowe jednak jakoś działało, ale zachowałam milczenie.

Alina okazała się mądrą kobietą. Nie poszła ze Steve'em na udry, nie wniosła sprawy o rozwód, więc nikt nie mógł się przyczepić, że „na jakiś czas” została z dzieckiem w Polsce.

Siedzieliśmy z Witkiem w mieście, ale szarzyzna pierwszych miesięcy roku zaczynała mnie przygnębiać. Mama Daria, jak się spodziewałam, zajęła się Emilką i chociaż nieustannie deklarowała pomoc, odmawiała uprzejmie. Odkąd wróciła jej wnuczka, nasz układ nie miał przyszłości. Ale świadomość, że mogę na nią liczyć choć trochę, była miła.

Podjęłam ostateczną decyzję o emigracji na wieś. Z decyzją o wynajęciu miejskiego mieszkania postanowiłam się wstrzymać.

Wbrew przypuszczeniom, że wieś czegokolwiek mnie pozbawi, nieoczekiwanie odzyskałam spokój. A nawet odkryłam nowe aktywności i przypomniałam sobie stare.

Wydawca podesłał mi kilka książek, Agnieszka zagoniła mnie do pracy w ośrodku. W wolnych chwilach zaglądałam do stajni, gdzie czekał na mnie Roger, spokojny wałach. Nawet nauczyłam się jeździć konno.

Witek rósł jak na drożdżach, wbrew temu, że dzieci z zespołem są mniejsze, lżejsze i dużo mniej sprawne od normalsów. Wieś służyła mojemu synkowi.

Nie przeglądałam stron biur podróży przedstawiających rozległe plaże Południa, cudowne rzymskie zabytki, to, co pozostawili po sobie Grecy, Maurowie, Fenicjanie i kto tam jeszcze, ale czekałam na odpowiedni moment, żeby je obejrzeć. Na razie musiały mi wystarczyć porzeczeki z krzaczków pamiętających jeszcze babcię Anastazję, wiejskie dukty, letnie kąpiele w pobliskim jeziorku i bukiety polnych kwiatów, które cieszyły mnie nieustannie.

Lecz, oczywiście, mój Wituś był w tym wszystkim najważniejszy. Niemniej czasami myślałam o Ewie, dziewczynce, którą urodziłam i oddałam w obce ręce. Ile ona może mieć lat? – zastanawiałam się wtedy. Skoro Witek skończył siedem, powinna mieć już czternaście.

Ciężko mi się robiło na sercu, zwłaszcza że o córce nie rozmawiałam z nikim. Jak gdybym nigdy jej nie urodziła.

Powrócił moment sprzed lat, kiedy Witek jeździł jeszcze w wózku. Byliśmy w jakiejś kawiarni czy restauracji i płaciłam przy barze. Kiedy zwróciłam się do synka, kątem oka dostrzegłam dziewczynkę, której widok poraził mnie niczym prąd.

Mała była moją kopia.

Kelner poprosił o końcówkę do rachunku, więc sięgnęłam do portmonetki. Kiedy odwróciłam się powtórnie, małej już nie było.

Pewnie mi się przywidziało, wytłumaczyłam sobie. Co nie zmieniło faktu, że podświadomie szukałam mojej porzuconej córeczki na ulicach, w sklepach, w parkach. Bo miałam wyrzuty sumienia. Oddałaś, musisz cierpieć, katowałam się w myślach.

Nie miałam ochoty na rozważania, jak ułożyłoby się moje życie, gdybym nie zdecydowała się na ten desperacki krok. A jednak nie zapomniałam.

Olgierd, którego poznałam na początku tego roku, wniósł w moje życie powiew świeżości. Stał teraz przede mną z sięgającą sufitu choinką i niepewną miną. Pozwalał się obskakiwać Witkowi i równie uradowanemu Synonimowi, labradorowi, który jeszcze nie wyrósł ze szczeniństwa.

Mieliśmy spędzić pierwsze wspólne święta.

Powoli wpuszczałam Olgierda do swojego życia. Hubert wyautował się z niego już dawno. Przypominały mi o nim wyłącznie regularne przelewy. Tyle mojego. Mój niedoszły mąż dorobił się z Aldoną dwójki dorodnych dzieciaków, parki, zatem rodzina była w komplecie. Na szczęście nie zapomniał o finansowych powinnościach wobec pierwородnego.

– Może nawet kiedyś przyjedzie zobaczyć Witusia? – rozmarzyłam się w obecności Agnieszki.

– Zapomnij o nim. Mówię ci, Olgierd to facet dla ciebie.

Pewnie miała rację. Był mi bliski, ale wciąż go obserwowałam.

Bo mężczyzną mojego życia był Wituś.

Rozdział 49

Roma

do grudnia 2022 roku

Gdy się ocknęłam, nie kojarzyłam niczego. Leżałam na twardej kozetce, przyglądał mi się bacznie jakiś człowiek w białym kitlu.

Zidentyfikowałam go dopiero po chwili. To był lekarz, który przekazał mi wiadomość o wynikach testu.

Z dzieckiem wszystko w porządku! – przypomniałam sobie. Chciałam wyciągnąć dłoń do lekarza, by mu podziękować, ale opadła bezwładnie.

– Proszę się nie ruszać, pani Romo – usłyszałam. – Powoli, powolutku, a dojdziemy do siebie.

Wykrzesalam z siebie tylko tyle sił, by potwierdzić, że przynajmniej z moją głową jest w porządku.

– Dziękuję! – wyszeptałam.

– Z dzieckiem wszystko dobrze, a pani zaraz odzyska wigor – powtórzył i poprosił pielęgniarkę, by zmierzyła mi ciśnienie.

Z jej zachowania wyczytałam, że powracam do formy. Mroczki zaczęły znikać sprzed oczu.

Dobre wieści przebijały się do mnie powoli. Boże mój, jestem w ciąży ze zdrowym dzieckiem! Skończył się koszmar oczekiwania na test i wyniki! Czas niepewności, lęku, zwątpienia.

Położyłam dłoń na płaskim brzuchu i pogłaskałam go, rozkoszując się poczuciem spełnienia moich najskrytszych marzeń. Niestety, radość nieco przesłaniał strach, że do końca ciąży jeszcze dużo może się zdarzyć. Miałam czterdzieści jeden lat. Niewiele jak na człowieka, dużo jak na przyszłą matkę.

Wprawdzie w dzisiejszych czasach kobiety rodziły coraz później, bo kariera i inne ważne kwestie przesuwają czas macierzyństwa, ale zdawałam sobie sprawę, że biologia nie zawsze akceptuje cywilizacyjne uwarunkowania i mody.

Nie byłam młódką i tak się nie czułam, ale tak bardzo pragnęłam tego dziecka! Musiałam zrobić wszystko, by donosić je i urodzić zdrowe. Nawet wbrew przeciwnościom, których, niestety, się spodziewałam.

Włodek chwilowo odpuścił temat mojej zdrady. Również Andrzej zostawił mi przestrzeń na oddech. Ale właśnie nadszedł czas, by odnaleźć się w nowej rzeczywistości.

Kiedy tylko odzyskałam ostrość widzenia i doszłam do siebie, poprosiłam pielęgniarkę o telefon. Ważyłam go w dłoni, skupiona na dwóch numerach, do dwóch facetów. Rozwazałam również rozmowę z Izą, ale po zastanowieniu zrezygnowałam.

Przeszło mi przez myśl, że to, do kogo zadzwonię najpierw, będzie symboliczne. Może dlatego potrafiłam się zdecydować?

Kochałam Włodka i nasze życie z Ewą, ale to Andrzej dał mi dziecko, którego całe życie pragnęłam. I także on bez mrugnięcia okiem zaakceptował możliwą wadę genetyczną.

– Jak się pani czuje? – Moje rozterki przerwała pielęgniarka, która ponownie stanęła przy łóżku.

– Dobrze – odparłam.

No tak, doszłam już do siebie i powinnam zwolnić miejsce.

Sięgnęłam po leżącą obok torbę i zsunęłam nogi z kozetki. A po kilku minutach siedziałam już w samochodzie. Fizycznie czułam się dobrze, ale psychicznie byłam zdołowana.

Palce podryfowały w kierunku numeru Andrzeja, ale zmieniły kierunek. Przypomniałam sobie, że dzisiaj Ewa ma w szkole przedstawienie z okazji nadejścia wiosny, które przeżywa od dwóch tygodni, i zerknęłam na zegarek. Rozpocząło się za pół godziny.

Nacisnęłam na pedał gazu, ruszyłam i zdążyłam na czas.

Włodek już był.

– I jak? – zapytał mnie na korytarzu, ale udałam, że nie dosłyszałam.

– Gdzie Ewunia? – odpowiedziałam pytaniem, wypatrując córki w gromadzie dzieci przygotowujących się do występu.

Niespodziewanie wpadła mi w ramiona.

– Mamusia! Tato mówił, że nie przyjdiesz, ale ja wiedziałam! Poprawisz mi kokardę? – paplała podniecona.

– Oczywiście, kochanie! – Oddałam torebkę mężowi.

Usiedliśmy w pierwszym rzędzie, jak przystało na rodziców, którzy nie spóźniają się na występy swoich pociech. I ze łzami w oczach podziwialiśmy naszą artystkę. Nieważne, że ze dwa razy się pomyliła i nie zawsze trzymała tonację. I tak wzruszył mnie jej dziecięcy głosik i spojrzenie utkwione w nas, rodziców.

Musiałam się bardzo starać, żeby nie zemdleć po raz drugi tego dnia.

Kiedy w trakcie finału dzieciaki ukloniły się publiczności, Włodek ścisnął moją rękę.

– Powiesz mi, jaki jest wynik badania?

– Wszystko dobrze – odparłam. – Dziecko nie ma zespołu Downa.

Wróciliśmy do domu *via* kawiarnia z lodami. A potem poszliśmy jeszcze na pizzę.

Zanim mogłam w spokoju porozmawiać z mężem, musiało minąć sporo czasu. Moja podekscytowana Ewunia zasypiała z trudem.

Obawiałam się tej rozmowy. Tej z Andrzejem też. Nie zdobyłam się na to, by odpowiedzieć na jego liczne esemesy. Nie czułam się z tym dobrze, ale w moim domu działały się rzeczy ważniejsze. Być może nawet rozstrzygała się przyszłość rodziny.

– Roma, prosiłem cię o trochę czasu, by przemyśleć sama wiesz, jak wiele – zaczął Włodek.

Słuchałam uważnie.

– I do jakich doszedłeś wniosków? – zapytałam.

Zobaczyłam spojrzenie pełne zawodu pomieszanego z miłością. O ile dobrze odczytałam. Z dodatkiem nadziei.

– Rozczarowałam cię, ale wciąż cię kocham. I Ewę. Jesteście całym moim życiem, a nikt nie chce umierać. Zostaniesz ze mną? – zapytał.

Spodziewałam się dłuższej przemowy.

Wyświetlacz sygnalizował połączenie z Andrzejem. Na szczęście wyciszona komórka leżała obok mnie, więc Włodek jej nie widział.

– Kochanie, tak bardzo bym chciała... – odparłam. – Pamiętaj jednak, że to dziecko Andrzeja i...

– Wiem – przerwał mi. – Musi być obecny w życiu dziecka i w naszym życiu. Proszę cię tylko o jedno: nie zostawaj ze mną z litości czy z powodu

wyrzutów sumienia. Jeśli tak ma być, to odejść – zakończył, a mnie się ścisnęło serce.

Nigdy nie chciałam skrzywdzić mojego męża, lecz to zrobiłam, a on wykazał się wspaniałomyślnością. I jakkolwiek to brzmiało w tych okolicznościach, miłością do mnie.

Przeszło mi przez głowę, że zrobił to dla Ewuni i rodziny jako takiej, ale nie mnie było sądzić. W końcu to ja go zdradziłam.

Napisałam Andrzejowi, że z dzieckiem wszystko w porządku. A kiedy się spotkaliśmy, odbyłam trudną rozmowę o przyszłości.

– Nie mogę z tobą być – oświadczyłam. – I bardzo cię za to przepraszam.

Czułam się fatalnie. Jak zawsze, kiedy uzasadniałam decyzję, która nie zadowalała żadnej ze stron.

Nieopatrznie spojrzałam mu w oczy i zrobiło się jeszcze trudniej. Darzyłam go uczuciem i istniało coś, co wiązało nas na zawsze.

Dziecko.

Przykro było patrzeć, jak Andrzej zmalął po drugiej stronie stolika w naszej ulubionej restauracji w Toruniu. Nieba bym mu przychyliła, niestety wystarczało go dla jednego tylko faceta. Dla Włodka, którego wybrałam.

– Czy będę mógł uczestniczyć w jego życiu? – zapytał.

Potwierdziłam.

– Oczywiście. Włodek to zadeklarował. Andrzej, przepraszam.

Musiałam to zrobić. Przeprosić, że go nie wybrałam.

I było mi z tym bardzo źle, bo serce nie służy. Oczami wyobraźni zobaczyłam nas z dzieckiem na klifach Bretanii, wśród krzewów niebieskich hortensji, atakujących łód fal oceanu i w klimatycznych miasteczkach, na bezdrożach północno-zachodniej Francji.

Tyle że na obrazie brakowało Ewuni i Włodka.

– Roma, chciałbym oficjalnie zostać ojcem dziecka. I proszę, byś nigdy nie utrudniała mi z nim kontaktu – usłyszałam.

Zaczęły się schody.

– Andrzej, jeżeli miałabym spełnić twoją prośbę, musielibyśmy najpierw wystąpić do sądu o zaprzeczenie ojcostwa Włodka – wyjaśniłam. – Bo jak mi powiedział prawnik, w małżeństwie istnieje domniemanie ojcostwa męża. Wiem, że to dla ciebie niekorzystne, ale gdyby tak na jakiś czas odłożyć tę sprawę? Odkręcimy ją w sprzyjającej chwili, bo to ty jesteś tatą.

Kiedy nastanie ten najbardziej dogodny moment, by powiedzieć dziecku i zmienić akt jego urodzenia. A teraz nie będziesz musiał płacić alimentów.

– Uważasz, że o to mi chodzi?

– Nie i jeszcze raz nie. Obiecuję ci, że kiedyś ujawnimy prawdę, również na papierze.

Sądziłam, że to nie przejdzie, a jednak. Byłam szczęściarą.

Ciąża przebiegała jak u dwudziestolatki. A wkrótce poznałam mojego męża z Andrzejem. Prawdę poznali tato, stryj Stefan i pani Zdzisława. I rodzice Włodka. Nie wiedziałam, co im powiedział, ale przyjęli rzeczywistość z dobrodziejstwem inwentarza.

Tadzio urodził się pod koniec października. Ponadczterokilogramowy chłopak z bujną czupryną, po ojcu.

Zatem mieliśmy w domu parkę, córkę Ewunię i synka Tadzika, do którego czasami przyjeżdżał z Bretanii jego biologiczny tata.

Miałam kupę szczęścia, że miłość do syna osłabiła jego uczucie do mnie. A kiedy na spacerach z wózkiem zaczął towarzyszyć mu Włodek, owo szczęście nie miało granic.

– W czepku urodzona! – skomentowała Iza moje zachwyty nad komitywą męża i byłego kochanka. – Narozrabiała jak pijany zając w kapuście, a teraz odpoczywa sobie w najlepsze, a Tadzikiem zajmują się faceci. Pozazdrościć!

Nie zdobyliśmy się tylko na wytłumaczenie sytuacji dziewięcioletniej Ewie. I zrobiło się pod górkę, bo Andrzej musiał zacząć występować w roli wujka.

Na wakacje jeździliśmy już nie tylko do Malagi, ale i odwiedzaliśmy rodzinie Bretanię.

Tato ożenił się z Celiną, więc dzieci zyskały babcię.

Mijały lata. Pod koniec października mieliśmy świętować szóste urodziny Tadzika.

Pracy w firmie, jak zwykle, było dużo, ale nauczyłam się nią zarządzać, żeby nie dać się zabić. Julian dojrzał, a nawet się ożenił, i przestał podrywać sekretarki, Andzelika wyszła za mąż za mechanika samochodowego i urodziła mu trójkę dzieci. Na jej miejsce zatrudniłam panią Klarę, pięćdziesięciolatkę bez zobowiązań, za to lojalną.

Tamtego dnia zamierzałam wyjść z firmy wcześniej.

– Pani Klaro, gdyby dzwonił Gutowski z „Ramzesa”, proszę umówić nas na telefon w poniedziałek i potwierdzić spotkanie z notariuszem we wtorek na dziesiątą. Muszę lecieć, bo syn kończy dzisiaj sześć lat. – Nie potrafiłam się powstrzymać, żeby nie obwieścić wspaniałej nowiny.

– Wiem, wiem – mruknęła i spod biurka wciągnęła plik kart z piłkarzami.

Była wspaniała, i za to ją kochałam. I zawsze na czasie w kwestii upodobań małych chłopców. W końcu w domu miała wnuczka w wieku Tadzika.

Wybiegłam jak na skrzydłach i zakasałam rękawy, by pomóc naszej gospodyni przygotować stół.

Kilka dni temu swoją obecność zapowiedział Andrzej. Pojawił się punktualnie, z kobietą, na której widok zaniemówiłam.

Całe życie chciałam wyglądać jak ona.

– Dzień dobry. Miło mi. – Wyciągnęłam rękę do młodej blondynki, która okazała się nie tylko piękną, młodą, ale także inteligentną malarką wystawiającą w galerii Andrzeja.

W dodatku z podejściem do dzieci. Kupiła sobie Tadzika od razu.

Poczułam zazdrość.

– Jesteśmy z Josephine od kilku miesięcy i zamierzamy spędzić razem święta. Chciałbym, żeby towarzyszył nam mój syn – wyartykułował dyskretnie Andrzej.

Zazdrość ukłuła mocniej.

Po moim trupie! – pomyślałam. Nie wyobrażałam sobie świąt bez mojego ukochanego synka. Tyle że także Andrzej miał do niego prawo. Matko jedyna, będę musiała się zgodzić! Jak ja wytrzymam tę rozłąkę? – desperowałam.

– Andrzej, a może przyjechalibyście z Josephine na święta do nas? – zaproponowałam w akcie rozpacz.

– Dziękuję za zaproszenie, ale mamy już inne plany, Roma. Odwiozę go po sylwestrze – obiecał.

Zabrakło mi argumentów. Wyglądało na to, że święta anno Domini dwa tysiące dwudziestego drugiego moja rodzina spędzi w okrojonym składzie.

Andrzej przyjechał po syna w połowie grudnia.

Żeby zabić tęsknotę za dzieckiem, rzuciłam się w wir pracy. I pojawiła się perspektywa wyjazdu z Włodkiem i Ewunią na narty w Dolomity.

I tylko to mnie trzymało przy życiu.

Rozdział 50

Roma

grudzień 2022 roku, święta

Święta bez synka straciły blask, mimo że próbowałam trzymać fason. Dla męża i córki. Jednak wigilijny stół dla trojga nie cieszył.

Planowane narty w Dolomitach spaliły na panewce, bo Ewa złamała rękę. Musiałam rozpakować przygotowane walizki. Tato ze świeżo poślubioną żoną Celiną wybrali się do jej dzieci, zabrawszy ze sobą stryja Stefana.

Zostaliśmy z Włodkiem z lodówką pełną świątecznych przysmaków przygotowanych przez panią Zdziszę i pogrążoną w żałobie po niedoszłym wyjeździe piętnastolatką, która na każdym kroku dawała nam odczuć swoje niezadowolenie.

– Kochanie, może uda się nam wyjechać w czasie ferii. – Mój mąż próbował znaleźć wyjście z sytuacji i podnieść córkę na duchu. – Ręka się zrośnie.

– A jeżeli nie, to co? Będę czekać do następnego roku? – fuknęła.

Popatrzyliśmy po sobie.

Żaden rodzic nie jest przygotowany na bunt nastolatka. I żaden nie ma pojęcia, jak radzić sobie ze stresem, szczególnie w trudnej rodzicielsko sytuacji.

Przez całe święta rozdrażniona Ewa zniknęła w swoim pokoju po posiłkach. O ile w ogóle raczyła zasiadać przy wspólnym stole. Ale kiedy drugiego dnia świąt nie wstała na śniadanie i zakomunikowała, że nie ma ochoty na obiad, zadzwoniłam do Izy, żeby się wypłakać. Jej Walentyna skończyła dwadzieścia jeden lat, a czas burzy i naporu miała za sobą. Liczyłam na dobrą radę i wsparcie, zresztą nie po raz pierwszy. Ewa, od tego roku licealistka, nie raz i nie dwa przyprawiała nas o palpacje.

Wracała po wyznaczonej godzinie, miewała konflikty z koleżankami, prezentowała raczej nikłe zainteresowanie szkołą.

Do tej pory jakoś sobie radziłyśmy. Zatrudniłyśmy korepetytora z matematyki, Włodek odbierał ją z urodzin u koleżanek, woził na treningi jazdy figurowej na lodzie. Te ostatnie zajmowały jej sporo czasu, którego nie pozostawało zbyt dużo na wdrażanie w życie głupich pomysłów.

– Ewa nie chce schodzić na posiłki – relacjonowałam przyjaciółce. – A jeżeli już się pofatyguje, podłubie w talerzu i wraca do siebie.

– Jest zawiedziona. Może nawet brakuje jej brata, dziadka i całego tego świątecznego towarzyskiego zamętu.

– Daj spokój! – parsknęłam. – Tadzika jej brakuje? Jest wściekła, bo nie wyjechaliśmy na narty!

– Całkiem możliwe.

– Ale przecież obiecałyśmy jej wyjazd w lutym...?

– To dla niej odległa przyszłość. Pamiętam, jak Walentyna miała dostać na urodziny rower, ale przesyłka się obsunęła. Chodziła wściekła, dopóki nie nadeszła.

Przez chwilę analizowałam słowa przyjaciółki. Jeżeli nawet było w nich sporo racji, niewiele mnie podbudowały. Tym bardziej że sama miałam doła z powodu nieobecności syna.

– Iza, święta Bożego Narodzenia są raz w roku – powiedziałam. – Czekamy na nie i chcielibyśmy przeżywać je jak najpiękniej. A te moje są do niczego. Ewa siedzi u siebie, Włodek też jakiś nieswój, nie wystawia nosa z gabinetu, a ja odgrzewam potrawy, a potem chowam je do lodówki. Niech się wreszcie zakończą!

Przejęta fochami Ewy nie wspomniałam Izie, że od jakiegoś czasu gnębią mnie bóle w podbrzuszu i płamienie. Pewnie dopadała mnie menopauza, co zresztą nie było niczym dziwnym. Skończyłam czterdzieści siedem lat. Na szczęście miałam wszystkie dzieci w domu i mogłam spokojnie poddać się prawom natury.

– Romka, tęsknisz za Tadzikiem, tato wyjechał, a w dodatku Ewa złamała rękę. Jest ciężko, ale przetrwasz. A w lutym we czwórkę pojedziecie do Włoch i użyjecie sobie za wszystkie czasy.

– Masz rację – odparłam, zła na siebie, że za bardzo koncentruję się na własnych emocjach. – Po sylwestrze Andrzej przywiezie Tadzia i wszystko wróci do normy. A co u ciebie?

Zastanowiła się, zanim odpowiedziała.

– Wala dzisiaj wybyła z Pawłem na jakąś imprezę, Ksawery gra z kolegą online, Tomasz w gabinecie, a ja oglądam szósty odcinek *Parks* na Netfliksie. W sumie nic nie robię. Ale święta miałam dobre. – Wysiliła się na szczyptę entuzjazmu.

Tego wieczoru zmęczony Włodek położył się wcześniej, Ewa zniknęła w swoim pokoju już po dwudziestej, a ja nie mogłam zasnąć.

Poszłam do córki, spragniona towarzystwa i bliskości.

– Co robisz? – zapytałam, stając w progu.

– Esemesuję – odparła, nie odrywając wzroku od komórki.

– Z kim?

Podniosła zniecierpliwione oczy.

– Z koleżanką – odparła. Dalej bębniła w klawiaturę smartfona. – Dzisiaj już niczego nie będę jadła – ostrzegła, gdyby przyszło mi na myśl jeszcze ją podkarmiać.

– Może jutro pojedziemy na jakiś smaczny obiad? We trójkę, pogadamy? Co ty na to?

Spojrzała niechętnie.

– Chyba już się najedliśmy w te święta? Wystarczy. Możecie jechać z tatą, ja sobie posiedzę w domu.

Moje podbrzusze zareagowało gwałtownym skurczem. To pewnie nerwy, pomyślałam. Uruchomiłam regularny oddech i pomasowałam bolesne miejsce. Miałam nadzieję, że Ewa niczego nie zauważyła.

– Ale my chcemy spędzić popołudnie z tobą – odparłam, kiedy opanowałam atak.

– Wątpię. Tadzia nie ma, to i ja jestem dobra! – krzyknęła. – Myślisz, że nie widzę, jak cierpisz, bo brakuje ci twojego ukochanego synka?

– Co ty mówisz?

– Prawdę, mam. Od kiedy on się urodził, zupełnie zwariowałam. A teraz jeszcze pozwoliłam, żeby Andrzej zabrał go do siebie na święta. Czy wy myślicie, że ja jestem głupia?

– Nie wiem, o czym mówisz...

– O tym, że wujek Andrzej jest ojcem Tadzia. Zaprzeczysz?

Przełknęłam ślinę.

Nie doceniłam bystrości własnej córki. Chyba najwyższy czas powiedzieć jej prawdę, pomyślałam.

– Nie zaprzeczę. Andrzej jest ojcem Tadzika – wyartykułowałam przez zaschnięte gardło.

– Zdradziłaś tatę.

Oskarżenie sprawiło, że pociemniało mi przed oczami. Mimo wszystko spięłam się i ustawiłam do pionu.

– Kochanie, to sprawy dorosłych.

– Uhm. Mnie mogłaś mieć z ojcem, a kolejnego dziecka już nie? Czy tato nie był na to dość dobry? I wiesz co? Całe życie powtarzasz, że ludzie muszą się szanować, ale chyba ciebie to nie dotyczy. Daj mi spokój i wyjdź! – Wskazała na drzwi.

Zimny pot, który mnie oblał, uświadomił mi, że poniosłam wychowawczą klęskę.

Wróciłam do salonu i opadłam na kanapę. Potrzebowałam kilku oddechów, żeby uspokoić serce.

A może ona ma rację? – przyszła refleksja. Może kocham Tadzika bardziej niż ją i okazuję to mimo woli? Ranię tym Ewę, bo w jej oskarżeniach jest więcej wołania o miłość niż chęci dołożenia mi za zdradę.

Westchnęłam ciężko. Moja córka dotknęła mnie do żywego. Co ona mogła wiedzieć o naszym życiu? A jednak oceniała i raniła.

– Pokłóciłyście się? – Włodek powrócił do salonu po drzemce.

Pewnie słyszał nasze podniesione głosy.

– Tak bym tego nie określiła – zaprzeczyłam. – Ewa dojrzewa i cierpi, że nie pojechaliśmy w góry – dodałam, niezupełnie zgodnie z prawdą.

Mój mąż machnął ręką i poszedł pomyszkować po kuchni.

– Przejdzie jej – usłyszałam. – Będzie jakaś kolacja?

Była i tego, i następnego dnia. A nawet całkiem przyjemnie spędziliśmy razem sylwestra, po którym Andrzej przywiózł Tadzika.

Któregoś styczniowego wieczoru, gdy siedzieliśmy z Włodkiem przy kieliszku wina, powróciłam do tematu.

– Powiedziałaś Ewie, kto jest ojcem Tadzika – wypaliłam. – A ona zarzuciła mi, że cię zdradziłam, i chyba znienawidziła.

– Po co jej mówiłaś? I dlaczego tego ze mną nie skonsultowałaś?

– Zapytała mnie wprost, nie miałam wyjścia. A poza tym prawda zawsze wypłynie na wierzch. – Naszło mnie na filozofowanie.

– Chyba półprawda? – ironizował. – Bo jak rozumiem, o swoim pochodzeniu Ewa się nie dowiedziała? Nie rozumiem. Nie tak się

umawialiśmy.

– Nie dowiedziała się – przytaknęłam. – I się nie dowie. Nie ode mnie. Nigdy – powiedziałam z przekonaniem.

W połowie lutego narty w Dolomitach nie wypaliły po raz drugi. Tym razem z mojego powodu.

Bóle brzucha wzmagaly się, a płamienie nie ustawało. Zaniepokojona poszłam do ginekologa po tabletki na menopauzę i wyszłam od niego ze zdiagnozowanym polipem i skierowaniem na zabieg. Badanie histopatologiczne zidentyfikowało raka.

Wróciłam do domu, przygotowałam kolację. A kiedy późnym wieczorem z pokoiów dzieci nie dochodziły już żadne dźwięki, pokazałam mężowi wyniki.

– Jestem chora, Włodek – powiedziałam. – I podjęłam decyzję. Nieważne, jak potoczy się leczenie. Chciałabym wyprostować pewne sprawy.

– Co ty mówisz? Znajdziemy najlepszych specjalistów!

– Oczywiście. Ale słuchaj tego, co do ciebie mówię, ze zrozumieniem. Tadzik zna swojego biologicznego ojca, chociaż na razie nazywa go wujkiem. Ale Ewa nic nie wie o swoim pochodzeniu.

– Co masz na myśli?! Chcesz jej powiedzieć, że jest adoptowana? – niemal krzyknął.

– Może.

Rozdział 51

Marcelina

grudzień 2022 roku, święta

Jest cudownie, kochanie. Święta, nasza trójka i śnieg za oknem. Nie mógłbym wymarzyć sobie piękniejszego scenariusza. – Olgierd głaskał mnie po włosach.

Witek spał, a my mieliśmy przed sobą drugi dzień świąt i kilka kolejnych, wolnych od pracy. Chcieliśmy je poświęcić sobie i dziecku.

Planowaliśmy wprawdzie drobny wyjazd, ale ośrodek był zamknięty, więc Agnieszka z Poldkiem i chłopcami wyjechali do rodziny. Musieliśmy zostać na posterunku, bo mieliśmy pod opieką Rogera, Synonima, stadko kur i kozę, która zawitała do obory kilka miesięcy wcześniej, głównie ku uciechu naszych małych podopiecznych.

– Wyjedziemy, kiedy będzie trochę cieplej – pocieszał Olgierd, zobaczywszy zawód w moich oczach. – W kwietniu, maju. Może na południe Europy? – zanęcił. – Witek jeszcze nie chodzi do szkoły, więc nie mamy zobowiązań.

Faktycznie, mój syn, mimo skończonych ośmiu lat, wciąż był przedszkolakiem. Dopiero wiosną miał poddać się kolejnym badaniom i uzyskać, o ile wypadną pomyślnie, orzeczenie o potrzebie kształcenia specjalnego, które kwalifikowało do szkoły. W każdym razie do wakacji mogliśmy mieszkać w Chruśniaku.

Wolałam nie myśleć, co będzie dalej. Zdawałam sobie sprawę, że kiedyś zajdzie potrzeba przeprowadzki do miasta, a wraz z nią całkowita zmiana trybu życia. Przez te kilka lat, które spędziliśmy na wsi, zdążyłam się przyzwyczaić i zaprzyjaźnić z otoczeniem. I Witkowi było tu bardzo dobrze. Tylko czasami ciągnęło mnie do cywilizacji i miejskiego zgiełku.

W końcu miałam dopiero trzydzieści dwa lata i fajnego Olgierda pod bokiem, z którym chętnie wyskoczyłabym do kina czy na randkę w restauracji.

Alina wciąż mieszkała z Emily u matki i niezmiennie proponowała pomoc w opiece nad Witkiem, z której zresztą czasami korzystaliśmy.

Pięć lat temu wynajęłam mieszkanie po rodzicach, więc w trakcie wypadów do miasta przyjmowałam zaproszenie na nocleg u mamy Darii, jednak starałam się nie nadużywać jej uprzejmości. Tym bardziej że często przyjeżdżał Steve. Młodzi mieszkali na dwa domy, ponieważ Alina zdecydowanie odmówiła powrotu do Irlandii.

– Nie wrócę tam, Marcelina – powiedziała zdecydowanie. – Równie dobrze Steve może zamieszkać w Polsce.

Obawiałam się reakcji jej męża. I faktycznie na początku próbował wywierać presję, ale z czasem mu przeszło. Najpierw odwiedzał żonę i córkę w Polsce, potem Alina z Emily wybrały się do Irlandii. Ostatnio moja przyjaciółka przebąkiwała, że Steve zamierza osiedlić się u nas na stałe.

– Zobacz, jakie mieszkanie dla nas znalazłam. – Pokazała mi przyjemny trzypokojowy apartament w domu budowanym przez dewelopera. – Sprzedaje je biuro nieruchomości Jońskich. To w rynku.

Wiedziałam, gdzie znajduje się firma, chociaż nigdy nie korzystałam z jej usług.

– A wiesz, że chyba też do nich zajdę? – odparłam. – Jeżeli będziemy musieli osiąść w mieście z powodu szkoły Witka, powinnam chyba pomyśleć o zamianie mojego starego mieszkania na nowsze? Odkładałam, mam trochę gotówki. I zawsze mogę sprzedać mieszkanie po rodzicach.

– Z Olgierdem dacie radę. – Alina się uśmiechnęła. – Wystarczy tylko chcieć.

Wiedziałam, że podobnie jak Agnieszka próbuje mi przemówić do rozsądku i zeswatać z Olkiem. Ja jednak byłam ostrożna. Wolałam żyć bez zobowiązań i wspólnych kredytów, chociaż z każdym miesiącem miękłam.

W marcu postanowiłam sprawdzić, czy rzeczywiście od przyszłego roku Witek będzie mógł rozpocząć naukę w szkole. Zgłosiłam się do poradni psychologiczno-pedagogicznej, która po badaniach miała wydać stosowne orzeczenie.

Dla mnie syn był całym światem, rozumieliśmy się bez słów, również w sensie dosłownym, bo mówił niewiele, ale zdawałam sobie sprawę z jego niepełnosprawności intelektualnej i nie byłam pewna werdyktu zespołu orzekającego. Zresztą nie miałam pewności, czy chcę, żeby psycholog, pedagog i logopeda posłali go do szkoły. W świetle przepisów mógł jeszcze rok spędzić w przedszkolu.

– Witek jest duży i sprawny fizycznie. Najwyższy i najstarszy w całej grupie. Boję się, że jeśli pobędzie w ośrodku przez kolejny rok, przestanie się rozwijać. – Dzieliłam się z Olgierdem wątpliwościami.

– Wiem, Marcelinko, co cię gnębi. To rzeczywiście dylemat. Z jednej strony w Chruśniaku zna każdy kamień, a w szkole czeka go nieznanne. Ale może to dobrze, że pozna nowe środowisko? Przecież będziesz tu z nim przyjeżdżać. Na ile tylko czas pozwoli – wspierał.

– Ja? A co z tobą? – spytałam zawiedziona, że mówi tylko o mnie i o Witku.

Uśmiechnął się gorzko i zapatrzył w okno.

– Nie wiem. Może tu zostanę? Albo znajdę sobie pracę w innym miejscu? – powiedział poważnie.

– Chcesz nas opuścić?! – krzyknęłam. I spontanicznie dorzuciłam: – Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie!

Spodziewałam się ulgi w jego oczach albo morza pocałunków, ale Olgierd spokojnie wstał i wyszedł z pokoju.

Zbyt długo trzymałam go na dystans! – desperowałam. Zaprzepaściłam miłość mojego życia!

Jednak zanim zdążyłam pogрузić się w rozpacz, Olek stanął w drzwiach. Ręce trzymał za plecami.

A kiedy przyklęknął przede mną z małym pudełeczkiem w dłoni, już wiedziałam, co będzie dalej.

– Marcelino, moja ukochana, czy zechcesz dzielić ze mną życie? Oczywiście razem z Witkiem – dodał.

Pochyliłam się, zarzuciłam mu ramiona na szyję. Łzy nie pozwoliły mi wydobyć z siebie słowa.

– To jak? – Z uśmiechem powtórzył pytanie.

– Uhm – wykrztusiłam, bo łzy nie chciały przestać płynąć. – Tak! – powiedziałam, kiedy wreszcie odzyskałam głos. I pozwoliłam, by Olek założył mi na palec pierścienek zaręczynowy.

Wstał, otrzepał kolana i wziął mnie na rękę.

– Lepiej późno niż później – podsumował z udawaną ironią. – Myślałem, że nigdy się nie zdecydujesz!

Witek był zachwycony, że mężczyzna, którego od dawna nazywał tatą, zamieszka z nami na stałe.

W marcu odwiedziliśmy poradnię psychologiczno-pedagogiczną już we troje.

Fachowcy od orzekania pozwolili Witusiowi pójść od września do szkoły specjalnej. Ocenili go jako dziecko pogodne, chętne do podejmowania współpracy, na ogół spełniające polecenia, choć jak napisali w orzeczeniu, „kiedy nie są dla niego korzystne, udaje, że nie słyszy nauczyciela”.

Roześmiałam się.

– Myślę, że wielu dorosłych też tak robi!

Witek był rozwinięty ruchowo i wrażliwy, jednak jego niepełnosprawność intelektualną oceniono jako umiarkowaną. Mój synek porozumiewał się za pomocą pojedynczych słów, mało rozumiałych dla otoczenia. Krótko mówiąc, rozumieli go wyłącznie najbliżsi. Miał problem z określaniem kolorów i układaniem kilkuelementowych układanek zgodnie z kolejnością obrazków, za to nawlekał korale na sznurek.

To, co potrafili normatywni ośmiolatkowie, on miał osiągnąć dużo, dużo później. O ile w ogóle.

W rozmowach z matkami zespolaków poznawałam różne sposoby podejścia do dzieci. Niektóre matki, bo ojców widywałam rzadko, wyobrażały sobie, że za pomocą intensywnych ćwiczeń, rehabilitacji, szeregu zajęć uda się im „wyleczyć” dzieci z Downem. A z czasem może nawet wykształcić.

Wiedziałam, że to bzdura, bo wspomaganie wspomaganiami, a dodatkowego chromosomu w każdej komórce wyeliminować się nie da. Jako doświadczona, bo „ośmioletnia” matka Witusia skłaniałam się raczej ku innej strategii pomocy, którą kiedyś przedstawiła mi mama dwojga dzieci z zespołem.

– Pani Marcelino, nie uczynimy z nich noblistów ani innych naukowców. Chodzi o to, żeby były szczęśliwe, a nie wyedukowane. Żeby nauczyły się życia wśród ludzi i podstaw samodzielności. Chociaż tak naprawdę to będziemy im potrzebni zawsze.

– Co z tym zrobimy? – Pokazałam Olgierdowi orzeczenie poradni. – Witek ma iść do szkoły.

Spojrzał uważnie.

– No jak to co? Weźmiemy ślub i przeniesiemy się do miasta. Myślałaś o tym, żeby kupić nowe mieszkanie? – Uśmiechnął się tajemniczo.

Tuż po Wielkanocy wybrałam się zakończyć umowę z najemcami. Zostawiłam Witka z Olgierdem, by w mieszkaniu po rodzicach pobyć przez chwilę sama, a wieczorem spotkać się z Aliną.

– Kupujemy ze Steve'em mieszkanie – pochwaliła się jeszcze przed złożeniem zamówienia w naszej ulubionej restauracji.

– My też – odparłam rozbawiona. – Masz coś na oku?

– Szukam na Otodom.

– Ja jednak wybiorę się do agencji Jońskich – zdecydowałam. – Ktoś mi polecił osiedle deweloperskie, a oni zajmują się sprzedażą. Podobno jest położone wśród zieleni, a mieszkania mają duże balkony. I niedaleko szkoły Witka. A co u mamy? – Zmieniłam temat.

– Wszystko gra. Czeka na ciebie jutro z obiadem.

– Nie dam rady, Ala, muszę wracać do chłopaków. Z największą przyjemnością, ale następnym razem.

Czekało nas przygotowanie do sprzedaży mieszkania po rodzicach, formalności związane ze szkołą. A mnie rozmowa z wydawcą.

Na razie jednak wróciłam na stare śmieci. Miałam kilka godzin na poodychanie atmosferą rodzinnych kątów.

Mimo upływu szesnastu lat od śmierci rodziców niewiele tu się zmieniło. Wprawdzie dawno temu zrobiliśmy z babcią Anastazją drobny remont, ale w obliczu potrzeb była to kropla w morzu.

Poszłam do sypialni mamy i taty, w której wszystkie sprzęty i bibeloty stały na swoim miejscu. Z pietyzmem głaskałam stare fotografie, w tym te ślubne, sięgałam po ulubione książki mamy i wertowałam papiery taty.

– Niebawem będę musiała coś z nimi zrobić – szeptałam pod nosem, pochlipując. – Ale teraz mam Olgierda, więc nie musicie się o mnie martwić – przemawiałam do rodziców. – I oczywiście Witusia.

I wtedy dostrzegłam swoje zdjęcie z czasów, kiedy miałam piętnaście lat. Z roku przed wypadkiem. Zobaczyłam na nim ciemno- i długowłosą dziewczynę o hardym, niechętnym światu spojrzeniu.

Pamiętałam, kiedy mama je zrobiła. Mieliśmy wyjechać nad morze, ale rodzicom wyskoczył niespodziewany naukowy wyjazd do Francji. Wprawdzie rodzinne plany zostały przesunięte zaledwie o miesiąc, ale i tak byłam zawiedziona.

– Zostaw ten aparat! – zawołałam wściekła.

– Kochanie, muszę cię taką uwiecznić. – Nie odpuściła.

A kiedy rodzice dotrzyмали obietnicy i w sierpniu pojechaliśmy do Włoch, zgodziłam się po powrocie, by zdjęcie zbuntowanej nastolatki stało na kredensie.

Trudno mi będzie zlikwidować to mieszkanie, westchnęłam, ale nie było rady. Nadszedł moment, by ruszyć z miejsca.

Rano zafundowałam sobie śniadanie w pobliskim bistro. Wzięłam kawę, croissanty i – a co tam! – dwa tosty z szynką i serem. Byłam głodna. Jedzenia i chyba jeszcze czegoś...

Nowego życia.

Nasycona i pełna dobrych emocji powędrowałam z marszu do agencji Jońskich.

– Dzień dobry. Chcę sprzedać mieszkanie i kupić nowe w lokalizacji, którą oferujecie – przywitałam się z sekretarką.

Wskazała mi fotel i poprosiła o chwilę cierpliwości. Zniknęła w gabinecie szefostwa.

– Pani Jońska zaprasza – usłyszałam po chwili. – Napije się pani kawy?

Skinęłam głową i weszłam do gabinetu.

Zza biurka wstała elegancka jasnowłosa kobieta. Wyciągnęła do mnie rękę.

– Jońska. Proszę usiąść przy ławie. – Wskazała na dwa fotele. – Będzie nam wygodniej. Zamówiła pani kawę u...? – zamilkła na widok sekretarki z tacą.

– Marcelina Koryncka – przedstawiłam się.

Boże, co to za agencja? – pomyślałam, zobaczywszy, jak podejmuje się tutaj klientów. Chyba nie wyglądam na osobę, która zamierza zostawić u nich miliony?

– Co panią do nas sprowadza? – usłyszałam po chwili.

Wyjawiłam swoje oczekiwania.

Jońska słuchała uważnie. Przyglądała mi się przenikliwie. A kiedy skończyłam, westchnęła i przejęła pałeczkę.

– Oczywiście, sprzedamy pani mieszkanie i znajdziemy odpowiednie w nowym budynku... – przerwała. – Pani Marcelino, proszę wybaczyć... Od jakiegoś czasu chcę się z panią skontaktować. – Zaskoczyła mnie wiadomością.

– Ze mną? – Nie pojmowałam.

– Tak. Musimy z mężem poważnie z panią porozmawiać.

– Ale o co chodzi? – Ogarnął mnie nagły lęk.

– Chodzi o Ewę.

Rozdział 52

Roma

od lutego do świąt 2023 roku

Moment, w którym poprosiłam Marcelinę Koryncką o spotkanie i wyjawiałam jego powód, mnie samą wprawił w osłupienie. Przez chwilę zastanawiałam się nawet, czy nie zadziałałam pod wpływem emocji. Przecież nie podjęliśmy jeszcze z Włodkiem ostatecznej decyzji w kwestii ujawniania prawdy.

Odbyliśmy mnóstwo rozmów na ten temat, niejednokrotnie na najwyższych emocjonalnych obrotach. Amplituda stresu nierzadko sięgała zenitu.

Włodek, przez wzgląd na mój stan zdrowia i perspektywę operacji nowotworowej oraz dalszego leczenia chemio- i radioterapią, które już zapowiedzieli lekarze, starał się, jak mógł, trzymać nerwy na wodzy. Ale temat Ewy był ponad wszystko. Bał się stracić córkę. Przez szesnaście lat to ja odrzucałam wszelkie sugestie, by pomyśleć o wyjawieniu prawdy, teraz sytuacja się odwróciła.

Mój mąż stawiał kategoryczne weto.

– Roma, co jej to da? Zwłaszcza teraz, kiedy jako nastolatka przeżywa okres dojrzewania i rozmaitych rozterek. Wychowujemy Ewunię od urodzenia, jest naszą córką. Na dobre i na złe. Dlaczego chcesz to zmieniać? – wołał z rozpaczą.

Rozumiałam go jak nikt inny. I byłam wdzięczna, że Włodek nie wykorzystuje Tadzika jako oręża przeciwko mnie. Nigdy nie wystawiał ciężkich działań. Wręcz przeciwnie. Wychowywał Tadzika jak syna i dzieciaki traktował jednakowo.

Nawiasem mówiąc, Andrzej zadowolony był z roli wujka. Dotrzymał umowy sprzed lat, mimo że mógł czuć się poszkodowany.

Oczywiście, w przypadku tak Ewy, jak i Tadzika miałam wątpliwości, a niespodziewana choroba jeszcze je wyolbrzymiła. Mogłam umrzeć i pozostawić po sobie dwie niezakończony sprawy. Nic dziwnego, że dyskusje z Włodkiem były bardzo emocjonalne.

– Kochanie, po prostu nie chciałabym zostawić cię samego z tym wszystkim – odparłam.

– Jakże zostawić?! – podniósł głos. – Wyjdiesz z tego, choćbyśmy mieli poruszyć niebo i ziemię! Operacja się uda i dalsza kuracja również. Mamy pieniądze, rodzice już szukają w Hiszpanii dobrej kliniki.

Doceniałam ten optymizm, ale wspomnienie mamy, którą choroba zabrała w niecały miesiąc, dawało o sobie znać i przypominało o kruchości życia. Miała wtedy tyle lat, co ja teraz...

– Włodek, posłuchaj mnie, proszę, i nie usiłuj za wszelką cenę podtrzymać na duchu. – Skierowałam do niego otwarte dłonie, na znak pokoju. – Oczywiście, że mam nadzieję na wyzdrowienie, ale jestem też realistką. Przecież mnie znasz. – Uśmiechnęłam się z nadzieją, że nie wypadło to zbyt gorzko. – Sprawa Ewy i Tadzika pozostaje niezakończona. Uważam, że czas najwyższy wyjaśnić wszystko. Przede wszystkim dla nich, ale i dla ciebie. Bo możesz zostać sam z problemem, a tego bym nie chciała.

Mąż schował głowę w ramiona i skurczył się do rozmiarów małego chłopca. Usłyszałam, że płacze.

Musiałam być silna, żeby przekonać go do swojego planu.

– Chcę skontaktować się z Marceliną Koryncką i porozmawiać z Andrzejem – dodałam, kiedy odzyskał równowagę. – Dzieci powinny poznać swoich biologicznych rodziców. Jestem pewna, że i tak najbardziej kochają ciebie.

– Roma, dlaczego mówisz tak, jak gdybyś już się poddała? – zapytał rozżalony.

– Nic podobnego. Po prostu już dawno powinniśmy to zrobić – odparłam z przekonaniem. – Znajdziesz mi adres Marceliny Korynckiej? – zapytałam.

Włodek bez słowa skinął głową.

Następnego dnia zjawiłam się w pracy, jak zwykle jako pierwsza, i otworzyłam lokal. Do operacji pozostał niecały tydzień, więc

postanowiłam ogarnąć papiery i wyprowadzić niektóre sprawy na prostą.

Włodek kontrolował kilka większych projektów, ja zajmowałam się detalem: sprzedażą, zamianą i najmem. Od pamiętnego remontu toruńskiej kamienicy Andrzeja i zbyciu dwóch pozostałych nie przyjmowałam spraw wymagających wyjazdów w Polskę. Ograniczyłam się do lokalnych zleceń. Wprawdzie pani Zdzisia wciąż była z nami, ale zdrowie nie pozwalało jej poświęcać naszej rodzinie aż tak dużo czasu jak kiedyś. Przejęłam sporo jej obowiązków, szczególnie tych związanych z Tadzikiem.

Po opanowaniu spraw służbowych zamierzałam skontaktować się z matką Ewy. Jak najszybciej, zanim się rozmyślę. I nie czekając na kolejną próbę wybicia mi tego z głowy przez Włodka.

Dopijałam ostatni łyk kawy, kiedy pani Klara zapowiedziała klientkę.

Poznałam ją natychmiast.

W progu stanęła starsza wersja mojej Ewy. Nie miałam wątpliwości – to był znak.

– Marcelina Koryncka – przedstawiła się.

Chciała sprzedać mieszkanie po rodzicach i kupić nowe na osiedlu budowanym przez dewelopera.

Oczywiście przyjąłam zlecenie. A potem, nie zważając, czy to czas i pora, zaproponowałam spotkanie.

– Ale o co chodzi? – zapytała zdziwiona.

– Chodzi o Ewę – wypaliłam.

Klamka zapadła.

Spotkaliśmy się we troje dwa dni przed moją operacją. Sądziłam, że Włodek weźmie na siebie zreferowanie sprawy, ale musiałam zrobić to sama.

– Pani Marcelino, jesteśmy adopcyjnymi rodzicami Ewy – zaczęłam bez ogródek. – Pewnie jest pani ciekawa, dlaczego właśnie teraz, po szesnastu latach, poprosiliśmy o kontakt. Powiem wprost. Mam nowotwór. Bardzo kocham Ewę... Oboje z mężem ją kochamy – poprawiłam się. – I dlatego, na wypadek gdyby coś się ze mną stało... Cóż, chcę, żeby poznała biologiczną matkę.

Marcelina patrzyła na mnie zdumiona. Ale w jej oczach dostrzegłam iskielki radości.

Raniły.

Czego się spodziewałam? Sama wystawiłam się na emocjonalną rzeź. Na co liczyłam? Że ona odrzuci propozycję poznania córki?

– Proszę pani, my na nic nie liczymy i niczego nie oczekujemy – wtrącił Włodek. – Powiem nawet więcej. Byłem przeciwny naszemu spotkaniu, ale żona się uparła.

Zszokowana Koryncka nie przestawała się w nas wpatrywać.

– Bardzo państwu dziękuję. – Zdobyła się na odpowiedź.

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli – ciągnął mój mąż. – Ewa to nasza córka. My tylko proponujemy, żebyście się poznały. Wyjawienie jej prawdy to osobna sprawa.

Marcelina trzymała się z trudem. Ocierała łzy. Na szczęście była rozsądną osobą.

Po operacji przedstawiliśmy ją dzieciakom jako moją dawno niewidzianą daleką kuzynkę.

Marcelinę, jej syna Witka i partnera, z którym w lipcu planowała ślub, gościliśmy często. Dobrze dogadywała się z Ewą, która na szczęście, skupiona na problemach nastolatki, nie dostrzegła podobieństwa.

Na ślubie Marceliny z Olgierdem nie byliśmy, bo akurat przechodziłam kolejną, bardzo wyczerpującą chemię. Żeby nie obciążać dzieci chorobą, wysłaliśmy Ewę do dziadków, do Hiszpanii, a Tadzika Andrzej zabrał na prowansalskie wybrzeże.

Leżąc wyczerpana intensywną kuracją w szpitalnym łóżku, rozmyślałam, kiedy Andrzej upomni się o ustalenie ojcostwa. Ale jemu wciąż wystarczała rola wujka. Tym bardziej że Josephine miała mu za kilka miesięcy urodzić dziecko.

Pisał do mnie kojące wiadomości, które pomagały przetrwać trudne chwile.

„Zdrowiej. Niczym się nie martw. Pogadamy, kiedy będziesz w formie. A.”

Podobnie dobre fluidy spływały od Marceliny. Włodek sprzedał mieszkanie po jej rodzicach i pośredniczył w kupnie nowego, które urządzali z mężem. A kiedy w październiku i listopadzie raz po raz trafiałam do szpitala z coraz gorszymi wynikami, odwiedzała mnie na oddziale.

Przed moim wyjściem na grudniową przepustkę do domu lekarz wezwał do siebie Włodka i zaprosił mnie do gabinetu. Niestety, nie po to, by złożyć

nam świąteczne życzenia.

Siadając na dobrze mi znanym krześle, zauważyłam przygaszony wzrok doktora. Domyśliłam się, że nie ma mi nic miłego do powiedzenia.

– Pani Romo – zaczął. – Zrobiliśmy wszystko, co było możliwe. Terapia eksperymentalna się zakończyła. Pobraliśmy próbki do analizy, teraz czekamy na wyniki. Powinny nadejść przed świętami.

– A jeżeli będą niedobre? – wyrwał się Włodek. – Czy są jeszcze jakieś szanse leczenia?

Doktor Witkowski zamilkł.

– Bądźmy dobrej myśli – odezwał się po chwili i wstał z krzesła.

W drodze do samochodu milczałam. Zrezygnowany Włodek człapał nogą za nogą.

Zajęłam miejsce pasażera i zapatrzyłam się przed siebie.

– W te święta musimy zaprosić wszystkich naszych bliskich i wyjawić dzieciom całą prawdę – powiedziałam.

– Oczywiście, kochanie. Jedziemy do domu?

Skinęłam głową.

Rozdział 53

Marcelina

Znalazłam się w kropce. Serce waliło jak oszalałe, cała się trzęsłam.

Musiałam pilnie porozmawiać z kimś bliskim. Olgierd, niestety, nie wchodził w rachubę. Przez okrągły rok naszej znajomości nie znalazłam odpowiedniej chwili, by wyjawić mu swoją niechlubną przeszłość, która właśnie mnie dopadła.

Pomyślałam o Alince.

To zaledwie kilka ulic dalej, stwierdziłam i sięgnęłam po komórkę. Modliłam się w duchu, by znalazła dla mnie czas.

– Jesteś bardzo zajęta? – zapytałam, gdy odebrała.

– A wiesz, że nawet nie? Emily w szkole, Steve wczoraj wyjechał w tygodniową trasę. A ja właśnie oddałam książkę po redakcji i chwilowo jestem *free*.

Byłam bardzo zadowolona, że udało mi się załatwić przyjaciółce pracę w moim wydawnictwie. Dzięki temu zyskałyśmy dodatkowe, zawodowe pole do pogadania.

– To gdzie się spotkamy? – Nie bawiłam się w ceregiele.

– W rynku, w Kolorowej? – zaproponowała.

Kawiarnia znajdowała się jakieś pięćdziesiąt metrów od agencji Jońskich, więc po kilku minutach siedziałam przy stoliku, wypatrując Aliny.

Weszła rozpromieniona.

– Cześć. Ależ jestem zmarznięta! – Przywitała mnie zimnym pocałunkiem. – Fajnie, że zadzwoniłaś. Nie mówiłaś, że wybierasz się do miasta?

Zignorowałam tę uwagę. Nie podzielałam entuzjazmu przyjaciółki. W mojej głowie pulsowały słowa Jońskiej. „Chodzi o Ewę”.

– Zamówiłaś coś? – Alina sięgnęła po kartę.

– Dla ciebie wzięłam latte i kawałek sernika. Może być?

– Jasne. Domówię sobie jeszcze tosta ze szpinakiem i wędzonym łososiem. Jestem głodna. – Obdarzyła mnie szerokim uśmiechem i skinęła na kelnerkę.

Nieco dziwił mnie nadzwyczaj dobry humor przyjaciółki, ale zajęta problemem nie drążyłam tematu.

Alina usadowiła się wygodnie i z apetytem przystąpiła do konsumpcji tosta. A potem spojrzała przenikliwie.

– Coś się stało, że jesteś taka poważna? – wymamrotała z pełną buzią.

– Byłam dzisiaj w agencji Jońskich – odparłam.

– A my wczoraj – podchwyciła temat – wybraliśmy mieszkanie! W budynku tuż przy lesie. Drugie piętro, winda, cztery pokoje, duży balkon, wokół pięknie zagospodarowany teren, mówię ci, luksus – trajkotała. – Co prawda po dysze za metr kwadratowy, ale mamy spore oszczędności, więc kredyt nie będzie duży.

– Wspaniale. Cztery pokoje to aż nadto na waszą trójkę – zauważyłam bez entuzjazmu.

Alinka nie traciła dobrego humoru.

– Wiesz, kiedy rodzinka Steve’a zacznie się zjeżdzać, to i tak będzie mało – odparła. – A tak poważnie, to chciałabym ci o czymś powiedzieć. – Sięgnęła do torebki, skąd wyjęła niewielkie niebieskie pudełeczko. – Zobacz. – Włożyła mi je do rąk.

Otworzyłam ostrożnie. Zawartość tłumaczyła wszystko.

– Buciki. Jesteś w ciąży – bardziej stwierdziłam niż zapytałam.

– Już czwarty miesiąc! I lekarz jest prawie pewien, że urodzę chłopca! Nie posiadam się ze szczęścia!

Rzeczywiście. Na twarzy Ali malowała się radość. Przystając do zimowych rysunków na szybie.

Przemknęło mi przez głowę, że nie powinnam angażować jej w swoje problemy. A nawet wykrzesalam z siebie coś na kształt ożywienia i podniecenia wiadomością.

– To cudownie! Steve pewnie zachwycony...

– Spróbowałyby nie być! Czwarty pokój będzie dla naszego synka – oznajmiła. – Ale, ale. – Przypomniała sobie. – Też już znalazłaś u Jońskich mieszkanie dla was? Może będziemy sąsiadkami?

Byłoby fajnie, ale w tym momencie topografia naszych mieszkań zajmowała mnie najmniej. W życiu często bywa, że z ludźmi jest nam po drodze i myślimy podobnie, jednak nie zawsze w tym samym czasie, pomyślałam. Tym razem trochę się nam z Alą rozjechały emocje.

– Wiesz, chyba będę szła – powiedziałam.

– Czy ty się na mnie o coś gniewasz? – zaniepokoiła się przyjaciółka.

Ponownie przysiadłam na krześle.

– Marcela, przepraszam, jeśli czymś cię uraziłam...

– Nie, nie – odparłam. – Jońska chce się ze mną spotkać w sprawie Ewy.

– Ulało mi się. – Jońscy są jej rodzicami adopcyjnymi – wyjaśniłam.

Przegadałyśmy z Aliną kolejną godzinę. A nawet dwie.

– Czego mam się spodziewać? – pytałam. – Po szesnastu latach kobieta nawiązuje ze mną kontakt. Chce Ewę oddać? A może Ewa jest chora?

– Nic więcej ci nie powiedziała?

– Niestety. Z jednej strony jestem podekscytowana, a z drugiej się boję. A poza tym Olgierd o niczym nie wie. Nie przyznałam mu się, że oddałam dziecko. Nie wiem, czy on zaakceptuje wyrodną matkę jako kandydatkę na żonę...

– Gadasz bzdury! Nigdy nie widziałam i nie zobaczę lepszej matki dla dziecka, dla Witusia, niż ty!

– A jednak Ewę oddałam...

– To było dawno i w całkiem innych okolicznościach. Miałaś osiemnaście lat i traumę po śmierci rodziców i babci. Wybrałaś dla swojej córki najlepsze rozwiązanie.

– A może po prostu chciałam pozbyć się problemu? – Nie ulegałam sugestiom.

– Byłaś w czarnej dupie, kochana. Zrozpaczona, słaba i bezsilna. Idź na to spotkanie z Jońską i dowiedz się, o co dokładnie chodzi – poradziła Alina. – Teraz jesteś w stanie stawić czoła każdej sytuacji – wsparła.

Po tej rozmowie zadzwoniłam do pani Romy i umówiłam się z nią na środę. Jednak przedtem musiałam przekroczyć kolejny Rubikon i wyjawić Olgierdowi prawdę o swojej przeszłości. Wydawało mi się to zadaniem niemal niewykonalnym.

– Nie bój się – dopingowała mnie Agnieszka, której zwierzyłam się po powrocie do Chruśniaka. – To mądry facet, zrozumie.

Wzięła do siebie Witka na noc.

Chodziła mi po głowie kolacja przy świecach, ale w końcu zrezygnowałam z pomysłu. Całkowicie opadłam z sił.

– Witek jest u Kwiatkowskich, zamówiłam pizzę – poinformowałam narzeczonego, gdy wrócił z jakichś komputerowych napraw u sąsiadów.

Ciągle ktoś go wołał na pomoc.

– Bardzo dobrze! Jestem głodny. I pizzy, i ciebie. – Objął mnie w tali i zaczął całować.

Odsunęłam go.

– Co jest? Moja pani nie w humorze? – zapytał, nie tracąc dobrego nastroju.

– Olek, musimy porozmawiać.

Opowiedziałam mu o mojej przeszłości z detalami.

– A teraz Jońska chce się ze mną spotkać – zakończyłam.

– A ty? – zapytał po chwili.

– Co ja?

– Czy ty masz ochotę do tego wracać?

Oczywiście, że miałam! Ale tego nie mógł zrozumieć nikt, kto nie oddał własnego dziecka. Byłam ciekawa Ewy po szesnastu latach, a perspektywa jej zobaczenia wyzwoliła we mnie nieznane dotąd pokłady miłości. Do dziewczynki, której nie widziałam od porodu.

– Potępiasz mnie? – zapytałam.

– Nie, Marcelinko. Współczuję ci, że musiałaś przez to wszystko przejść. Spotkaj się z tymi Jońskimi.

Tak też zrobiłam.

Okazało się, że pani Roma jest chora na raka, kto wie, czy nie śmiertelnie, więc postanowiła uporządkować swoje sprawy. Zaproponowała mi kontakt z Ewą bez ujawniania naszych koligacji.

Być może nie przystałabym na taki układ, gdyby nie choroba. Było mi żal tej kobiety. A poza tym doceniałam jej szlachetny gest, no i mogłam poznać córkę.

Boże, jakże Ewa była do mnie podobna! Ten sam kolor włosów, ich skręt, i karnacja. Aż dziw, że niczego się nie domyśliła. Miałam ochotę ją przytulić, ale dotrzymałam ustaleń.

Jońscy obiecali, że kiedyś to nastąpi, a ja, może naiwnie, uwierzyłam. Nie chciałam pani Romie dokładać stresu. Występowałam w roli kuzynki, z którą odświeżono kontakt, więc często jeździliśmy z Olgierdem do

miasta, by zająć się dziećmi Jońskich, kiedy Włodek czuwał przy łóżku żony. Zbliżyłam się do Ewy i polubiłam Tadzika. Poznałam i polubiłam także dwóch dziadków i babcię Celinę.

– Wiesz, że zaczęłam ich traktować jak swoją rodzinę? I ten francuski wujek Andrzej też jest wspaniały – powiedziałam do Olka, gdy wróciliśmy do Chruśniaka po kilku dniach niezłej jazdy. Roma po kolejnej chemii miała zapaść, z której na szczęście się podniosła. – Nawet nie chcę sobie wyobrazić, co by było, gdyby stało się najgorsze – popłakałam się. – Oni oboje z Włodkiem są cudownymi rodzicami. A to, że postanowili mnie wpuścić do swojego życia, jest bardzo szlachetne z ich strony. Będę ich wspierać – postanowiłam.

Zrozumiałam ich nieobecność na naszym ślubie i weselu. Nawet miałam wyrzuty sumienia, że bawię się, kiedy Roma walczy o życie. Ewunia wyjechała w tym czasie do hiszpańskich dziadków, Tadzika zabrał wujek do Prowansji.

Pod koniec lata sprzedałam mieszkanie po rodzicach i kupiliśmy z Olgiemdem nowe. Oczywiście przez agencję Jońskich. Zatrudniliśmy firmę remontową i rozpoczęliśmy pielgrzymki po składach budowlanych w poszukiwaniu materiałów i dodatków. Zawsze sobie wyobrażałam, że w takim momencie będę z przyjemnością ganiać po sklepach, przerzucać strony komputerowe i kreślić na papierze idealne wnętrza, ale życie miało wobec mnie inne plany.

Pod koniec września Alina urodziła Collina.

– Dziwisz się, że zdecydowałam się na irlandzkie imię? – zapytała, gdy nie udało mi się ukryć zaskoczenia wyborem państwa Murphy.

– Trochę – przyznałam. – Odgrażałaś się, że będzie Krzysztof albo Grzegorz. – Uśmiechnęłam się. – Ale żaden Irlandczyk by tego nie wymówił.

– Niech im już będzie. – Ala wspomniała rodzinę męża. – Collin to taki bonus za to, że zostawili nas w spokoju.

W październiku zadzwonił Włodek.

– Marcelina, jest źle. Odebraliśmy wyniki kontrolne w trakcie kuracji eksperymentalnej i się nie poprawia. Roma chce powiedzieć Ewie o tobie, ale ja bym jeszcze chwilę poczekał. Ona się poddaje... – usłyszałam z trudem skrywany płacz.

– Wybij jej to z głowy! – zareagowałam energicznie. – Przyjadę jutro.

Niestety, z każdym dniem było coraz gorzej. Krótco po Wszystkich Świętych Roma ponownie trafiła do szpitala.

W grudniu jej lekarz obwieścił zakończenie terapii eksperymentalnej, wypuścił Romę do domu na przepustkę i kazał czekać na ostateczne wyniki. Miały nadejść w grudniu.

Nie zdziwiłam się, kiedy zadzwoniła do mnie tydzień przed Bożym Narodzeniem i zaprosiła na Wigilię.

– Przepraszam cię, Olek, ale chyba musimy odwołać przyjazd twoich rodziców – powiedziałam do męża.

Zrozumiał bez zbędnego tłumaczenia.

– Jedziemy do Jońskich?

Przytaknęłam i wtuliłam się w jego ramiona.

Rozdział 54

Roma

Wigilia 2023 roku

Czekanie na wyniki było ciężką próbą cierpliwości. Mogłam się poddać lub działać. Po niemal roku walki z rakiem, po przejściu wielu zapaści i utracie wiary w wyzdrowienie byłam zrezygnowana.

Mimo zdecydowanego charakteru miałam serdecznie dość huśtawki samopoczucia i nastrojów. W dodatku doktor Witkowski wyraźnie dał mi do zrozumienia, że zostały wykorzystane wszelkie sposoby leczenia. Jeżeli terapia eksperymentalna, którą właśnie zakończyłam, nie przyniesie efektów, on rozkłada ręce.

A jednak, mimo że zestresowana, zdołowana i zrozpaczona (przed sobą się do tego przyznawałam), postanowiłam nie opuszczać rąk. Choćbym miała nie dożyć wiosny.

Zaplanowałam wyjazd na narty w Dolomity i namówiłam nań Włodka. Kupiliśmy bilety na samolot, zarezerwowaliśmy lokum na czas po świętach. Nawet spakowałam walizki, które miały przypominać, że nie zmienię zdania w kwestii nart, także kiedy wyniki okażą się złe.

Chodziłam do pracy, ogarniałam agencję przed końcem roku, robiłam przedświąteczne zakupy, które pani Zdzisia zamieniała w smakołyki. W zamrażalniku czekał już bigos i kilka worków pierogów z grzybami, domowe łązanki i inne. Zadbałam o prezenty dla rodziny.

Włodek z niepokojem obserwował tę aktywność, dopatrując się w niej zapewne ostatnich ruchów topielca. Także mnie dopadały myśli o tym, że pozostało mi niewiele czasu. Rzadkie chwile dobrego samopoczucie odczytywałam jako ciszę przed burzą.

Zmartwiona Iza dopytywała, czy nie powinnam trochę zwolnić.

– Naprawdę dobrze się czuję – tłumaczyłam.

Nie byłam pewna, czy trafia jej to do przekonania. Prawdopodobnie przyjaciółka podzielała obawy mojego męża.

Jednak cokolwiek miało się zdarzyć, gorzej być nie mogło.

Ustaliliśmy z Włodkiem, że na Wigilię zaprosimy całą rodzinę. Tę polską, hiszpańską i francuską. Było z tym trochę przepychanek, bo mój mąż nie chciał „ostatniej wieczerzy”, jak się wyraził, ale niewiele mnie to obchodziło.

Nie licząc teściów zaabsorbowanych bliskim porodem Angeli, wszyscy przyjęli zaproszenie: tato z Celiną, stryj Stefan, Marcelina z Olgierdem i Witkiem oraz Andrzej i Josephine.

Byłam im wdzięczna. Przybyli nawet ci, którzy mieli bliższą rodzinę niż państwo Jońscy. Robili nawet więcej – wspierali nas od początku choroby, rozumieli, nie protestowali słowem przeciwko pozostawianiu na drugim planie w życiu własnych dzieci. Cierpliwie czekali, aż będziemy gotowi, by stawić czoła prawdzie. Zdawałam sobie sprawę, że zarówno Marcelina, matka Ewy, jak i Andrzej, ojciec Tadzika, zechcą kiedyś wyjść z cienia, ale nie nalegali. Pozwalali mi spokojnie leczyć tego cholernego raka.

– Roma, wyjdiesz z tego – przekonywała mnie Iza. – Ale czy wtedy nadal będziesz chciała powiedzieć Ewie i Tadzikowi?

– Będę chciała – odparłam, chociaż zdawałam sobie sprawę z potencjalnych perturbacji. – Boję się, jak przyjmą tę wiadomość, ale liczę na to, że przez lata stworzyliśmy kochającą się rodzinę. Może jestem naiwna? – Pytanie przyjaciółki wzbudziło wątpliwości.

– Będziesz musiała trochę się nimi podzielić...

– Wiem. Ale wiem już także, że nie można budować życia na niedopowiedzeniach.

Powstrzymałam się od refleksji, że dalsze trwanie owego życia może mnie nie dotyczyć. A wierzyłam w szczerze uczucia zarówno Ewy, jak i Tadzika do ojca. Beze mnie rodzina się nie rozpadnie. Będą razem odwiedzać mój grób. Czasami, pomyślałam gorzko.

Niemal się rozplakałam, ale przypomniałam sobie w porę, że przecież jestem twarda i silna.

Z takim wizerunkiem siebie było mi łatwiej. Dzięki temu nie rozpadałam się na kawałki, przeżywając porażki. I mogłam patrzeć sobie w twarz, wynędzniałą po minionych już, na szczęście, chemiach.

Pięknie przystrojona choinka czekała.

Przy wigilijnym stole zasiadła nas dwunastka. Włodek pełnił honory domu, ja z Ewą, Celiną i Marceliną (ależ piękny rym!) donosiłyśmy kolejne potrawy. „Ciężarówkę” Josephine zwolniłyśmy z kuchennych obowiązków.

Mój mąż zadbał o napoje, kolędy i dobry nastrój. Nalewał, zachęcał do jedzenia, zabawiał rozmową, a jednocześnie obserwował mnie bacznie. Zapewne w obawie, że nagle zasłabnę lub wybiegnę z płaczem.

Miał trochę intuicji albo po prostu znał moje nastroje.

Nie wiedział o kopercie z wynikami, która już nadeszła i leżała nieotwarta w szufladzie szafki w sypialni. Odbierała mi apetyt i nie pozwalała o sobie zapomnieć. Markowałam jedzenie, myśląc wyłącznie o tym, jak się wymknąć i zapoznać z wyrokiem.

Właściwa chwila długo nie nadchodziła. Goście pławili się w atmosferze wieczoru i każdy z nich próbował mnie zagadywać. A to tato mnie przytulał i szeptał mi komplementy, a to Ewa pokazywała prezenty od Mikołaja i tak dalej. Jakby się zmówili, bym nie odeszła od stołu.

Wykorzystałam moment, kiedy Celina zaproponowała kawę i słodkości.

– Co tam? – Włodek zauważył próbę ewakuacji. – Dobrze się czujesz?

– Owszem – odparłam, może trochę zbyt oschle.

Chciałam otworzyć kopertę w samotności.

W sypialni przycupnęłam na łóżku i wyciągnęłam szufladę.

List leżał nietknięty.

Drżącymi palcami rozerwałam kopertę i wyjęłam uszkodzoną kartkę.

Spojrzałam i łzy pociekły mi ciurkiem.

Kompletnie rozstrojona, nie byłam w stanie dźwignąć się z łóżka. Aż wreszcie wzięłam się w garść, wstałam i pomimo dygotu rąk wygładziłam czerwoną świąteczną sukienkę.

W takiej chwili dobrze być wśród ludzi, pomyślałam. Głęboko zaczerpnęłam powietrza i pomaszerowałam do salonu.

Na widok rozmazanego makijażu obecni zamarli.

Poczułam nagłą słabość w nogach. Włodek podbiegł do mnie i doprowadził do kanapy.

– Co ci jest?! – dopytywał przerażony. – Źle się czujesz?

Odjechałam.

Kiedy się ocknęłam, miałam ich wszystkich przy sobie. A przede wszystkim Ewę i Tadzika, którzy opadli mnie jak omułki.

Rozryczałam się.

– Wyniki są dobre – wykrztusiłam z trudem. – A wy... – Spojrzałam na moich najbliższych. – Jesteście najlepsi! Obiecuję, że wszystkie nasze sprawy załatwimy jak najszybciej! – W oczach Marceliny i Andrzeja pojawiły się łzy wzruszenia. – Czy możemy to zrobić zaraz po powrocie z Dolomitów?

W powietrzu unosiła się miłość. A ja byłam szczęśliwa.

Zasłużyłam sobie na to szczęście, pomyślałam.

KONIEC

Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)